

WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Królewna

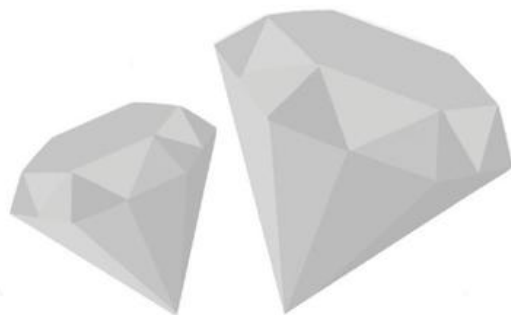


tom 2 część 2

WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Królewna



część 2

**YOU &
YA**

Ilustracja i projekt okładki: *Dixie Leota* Redakcja: *Marta Stochmiątek*

Redaktor prowadzący: *Anna Wyżykowska*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Korekta: *Karolina Mrozek, Kornelia Dąbrowska*

Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku,

ponieważ niektóre motywy i zachowania opisane w książce mogą urazić uczucia odbiorców, zalecamy ostrożność podczas czytania.

Wszystkie wydarzenia i postacie przedstawione w powieści są fikcyjne.

Życzymy dobrej lektury,

Autorka i Wydawnictwo

© for the text by Weronika Anna Marczak

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-1941-5

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

–fragment–

32

SMOKI ZIE JĄ CE OGNIEM

Woda.

To tylko woda.

Była na tyle cie pła, że na szkła nych ścia nach ka bi ny pra wie od razu osa dzi -

ła się para.

Wie dzia łam, że to nie moż li we, by z desz czow ni cy try snął kwas, a mimo to po trze bo wa łam kilku do brych minut, żeby ze brać od wa gę i wziąć prysz nic.

Od dy cha łam głę bo ko, gdy zmy wa łam z sie bie trau my wczó raj sze go wie -

czo ra, choć nawet świe ża i pach ną ca od czu wa łam dziw ne otę pie nie. Ko ją cy prysz nic nie roz luź nił moich spię tych mię śni ani nie po mógł na do skwie ra -

ją ce uczu cie nie po ko ju.

Sonny czaił się za mną bli żej niż kie dy kol wiek, gdy scho dzi łam na dół, ale nie prze szka dza ła mi jego obec ność. Po raz pierw szy chyba byłam mu wdzięcz na.

Naj wy raż niej bez piecz nie nie mo głam się czuć nawet we wła snym domu.

– Ha ilie, dzień dobry – przy wi tał mnie w kuch ni Vin cent, od sta wia jąc kubek z kawą i uno sząc wzrok znad lap to pa.

Od burk nę łam mu od po wiedź i na la łam sobie wody do szklan ki, którą wy pi -

łam na raz. Do pie ro teraz po czu łam, jak od wod nio na je stem przez ten wczó raj szy płacz. Usia dłam przy stole, na prze ciw ko brata i wes tchnę łam, roz kła da jąc się na bla cie.

– Po win naś zjeść śnia da nie – oznaj mił, cią gle na mnie pa trząc.

Po ki wa łam głową, przy my ka jąc po wie ki.

– Mhm – mruk nę łam i ziew nę łam. – Zaraz sobie zro bię. Tosty fran cu skie czy coś.

Szko da, że Eu ge nie nie pra co wa ła w nie dzie le.

Roz le gły się szur nię cie krze słem i ciche kroki. My śła łam, że Vince ot tak sobie po szedł i tro chę za czy na ło mi się robić przy kro, że nawet się nie za in -

te re so wał, czy wszyst ko u mnie w po rząd ku po tym, jak ktoś pró bo wał

zabić mnie per fu ma mi z kwa sem, ale potem usły sza łam brzdęk na czyń i pod nio słam szyb ko głowę, marsz cząc brwi.

Vince w bia łąj ko szu li i ciem nych spodniach wy cią gnął pa tel nię i się gał po jajka z lo dów ki.

Ga pi łam się onie mia ła, do pie ro po chwi li ro zu mie jąc, co się dzie je.

– Ja mogę sama, nie mu sisz... – za czę łam, dziw nie się czu jąc, że osoba taka jak on robi mi śnia da nie.

– Wiem, że mo żesz sama – od parł tylko, zer ka jąc na mnie prze lot nie.

Ob ser wo wa łam go przez chwi lę, przy gry za jąc wargę. Gdy wrzu cił tosty na pa tel nię, za czę ły gło śno sy czeć.

– Pomóc ci?

– Siedź.

Zgar bi łam się i po wo li moja głowa znowu uło ży ła się na bla cie. Cią gle jed -

nak wo dzi łam spoj rze niem za Vin cen tem. Robił mi śnia da nie. Po raz pierw -

szy wi dzia łam go przy tak przy ziem nym za da niu.

Nie dłu go potem sta nął przede mną ta lertz z dwoma to sta mi fran cu ski mi, po -

kro jo nym w pla ster ki ba na nem, a obok gar nu szek z sy ro pem klo no wym i her ba ta. Po dzie ko wa łam i ostroż nie unio słam kubek. Mu sia łam naj pierw

prze ko nać pod świa do mość, że to tylko go rą cy napój, a nie żaden kwas, bo prze cież za ser wo wał mi to Vin cent. Do pie ro wtedy ostroż nie upi łam łyk, pa rząc sobie język. W tym cza sie Vince usiadł z po wro tem na wcze śniej zaj mo wa nym miej scu, za mknął lap to pa, od chrząk nął i znowu wbił spoj rze -

nie we mnie.

– Jak się czu jesz? – za py tał i był dla mnie uprzej my, ale w jego ja snych oczach cza ła się ta sama złość co wczo raj.

– Nie tak źle. Boli mnie głowa – od par łam, prze żu wa jąc pierw szy kęs tosta.

– Jeśli nie przej dzie ci po je dze niu, to weź ta blet kę.

Po ki wa łam głową.

Chwi la ciszy.

– Wiesz już, od kogo była ta pacz ka? – za py ta łam.

– Jesz cze nie.

Znowu po ki wa łam głową, przyj mu jąc tę od po wiedź do wia do mo ści, a potem przy szła mi na myśl jesz cze jedna kwe stia, którą chcia łam po ru -

szyc.

– Skąd wie działaś, że coś będzie z tymi per fu ma mi nie tak?

Vince wes tchnął i po tarł sobie oczy. Gdy znowu spoj rzał na mnie, zgo dzi

-

łam się na wią zać z nim ten kon takt wzro ko wy.

– Zna łem za war tość pa czek. Wie działa łem, że do sta niesz kol czy ki, pióro, pu -

deł ko ro bio nych na za mó wie nie pra lin i coś od Ruby, notes czy może ka len -

darz. Żadne per fu my.

Nie mia łem siły się zło ścić, że Vince kon tro lo wał nawet moje pre zen ty.

Gdzież bym zresz tą śmia ła. Gdyby było ina czej, by ła bym mar twa.

Wi działa łem, że chce mi po wie dzieć coś jesz cze, i z ja kie goś po wo du czu -

łam, że mi się to nie spodo ba. Na szczę ście nie zwle kał długo.

– W naj bliż szych... ty go dniach chciał bym, żebyś ogra ni czy ła swoje wyj -

ścia z domu – po in for mo wał mnie. Swoim uważ nym spoj rze niem wy raż nie dawał mi do zro zu mie nia po wa gę sy tu acji, choć gdzieś tam w cze lu ściach jego mroź nych tę czó wek kryła się ła god ność.

– Ale Vince... – Za wa ha łem się, ner wo wo ba wiąc się pla ster kiem ba na na na ta le rzu. – Tutaj nie ma czego ogra ni czać. Prze cież poza szko łą prak tycz -

nie ni gdzie wy cho dzę.

– Wiem o wszyst kich two ich wyj ściach, Ha ilie. I mówię, że muszą one zo -

stać ogra ni czo ne – po wtó rzył spo koj nie.

Je dze nie w moich ustach stra ci ło smak i prze łknę łam je szyb ko, zwal cza jąc od ruch wy plu cia go na ta lerz. Ślad zde gu sto wa nia po zo stał jed nak na mojej twa rzy, gdy wpa try wa łam się w brata. My śła łam, że po pro stu źle go zro zu -

mia łam.

– Chcesz mi dać szla ban?

– To nie szla ban. I nie kara.

– Brzmi jak szla ban i kara – mruk nę łam ze zmę cze niem, bo z jed nej stro ny chcia łam się bun to wać, ale z dru giej ktoś wła śnie pró bo wał mnie zabić.

– Mó wiąc o ogra ni cze niu – rzekł – cho dzi ło mi głów nie o twoje re gu lar ne wyj ścia.

Zmarsz czy łam brwi, nie ro zu mie jąc.

– Chciał bym, żebyś przez kilka na stęp nych ty go dni sko rzy sta ła z przy wi le -

ju na ucza nia do mo we go.

– Słu cham?

– Za ła twię ci pry wat nych na uczy cie li. Bę dziesz na bie żą co z całym ma te -

ria łem.

– Ale ja... Mam spraw dzia ny i pro jek ty, ja... Nie mogę tak nagle prze stać po ja wiać się w szko le...

– Ha ilie, wiem, że to dla cie bie trud ne. Wiem, że lu bisz cho dzić do szko ły.

Nie chcę robić ci na złość. Wczo raj sza sy tu acja jed nak zmu sza mnie do za -

cho wa nia nie co dzien nych środ ków ostroż no ści.

– Po co niby Sonny wszę dzie za mną cho dzi? Co on, jest do ozdo by?

– Ha ilie, wtar gnę cie na teren wa szej szko ły to żadna filo zofia. Shane i Tony nie za wsze są przy tobie. A Sonny mu siał by sie dzieć z tobą w kla sie i na każ dej prze rwie, żeby jego ochro na w szko le miała sens. Nie chcę jed -

nak, żeby się aż tak osten ta cyj nie po ka zy wał w two jej obec no ści, zresz tą ty sama też tego nie chcesz, uwierz mi.

No jasne, że nie chcia łam. Chyba za pa dła bym się pod zie mię, gdy bym mu -

sia ła zno sić tak oczy wi stą obec ność swo je go ochro nia rza w kla sie.

– To jakiś kosz mar – wes tchnę łam i scho wa łam twarz w dło niach.

– Nie bę dzie tak źle – po cie szył mnie sztyw no Vince.

Ode rwa łam ręce i unio słam głowę.

– Bę dzie tra gicz nie. Jak długo to po trwa? Aż nie znaj dzie cie osoby za to od po wie dział nej? – py ta łam. – A co, jeśli nie znaj dzie cie jej nigdy? Czy już na za wsze będę za mknię ta w domu?

– Ha ilie, nie na krę caj się i nie dra ma ty zuj, je ste śmy...

Zmru ży łam oczy i we szłam mu w słowo, do brze pa mię ta jąc, że tego nie lubi:

– Dra ma ty zo wa łam wczo raj! Zaraz po tym, jak ktoś chciał mnie zabić!
Dzi -

siaj myślę trzeź wo i...

-Ha ilie, jest to de cy zja, kó rej pod ję cie na le ży do mnie, nie do cie bie.

Na sta ła cisza. Pa trzy łam teraz gdzieś w bok. Byłam z sie bie dumna, że nie pła ka łam, choć byłam na praw dę bli ska roz pa czy. Po pro stu wszyst kie ły wy la łam wczó raj.

– Dusz no mi – wy mam ro ta łam, a mój brat prze chy lił głowę. Po pa trzy łam na niego. – Nie mogę zła pać od de chu. Czuję się jak w klat ce. Wszę dzie po -

dą za za mną ochro niarz. Mój te le fon to jedno wiel kie urzą dze nie szpie gow -

skie. Nie mogę pro wa dzić sa mo cho du, nie mogę pójść na im pre zę, nie mogę iść na głu pią rand kę. Odkąd tu za miesz ka łam, chyba nigdy nie byłam kom plet nie sama w domu. W szko le na każ dym kroku wpa dam na bliź nia -

ków. Już tak nie mogę...

– Mó wi łem ci. Twoje na zwi sko nie sie ze sobą za rów no mnó stwo ko rzy ści, jak i wy rze czeń – przy po mniał mi Vin cent.

– Wy da je mi się, że jed nak nie sie ze sobą zde cy do wa nie wię cej wy rze czeń

– stwier dzi łam po nu ro.

– To dla te go, że przy zwy cza iłaś się do nie któ rych ko rzy ści. In nych jesz cze nie zdą ży łaś po znać.

Prych nę łam ci chut ko, chcąc po ka zać swoje nie za do wo le nie, ale tak, żeby nie prze giąć.

– Co, jeśli będę nie szczę śli wa?

Vin cent nie był na mnie zły. Moż li we, że choć jest to nie po twier dzo ne, nawet mi tro chę współ czuł. Ska no wał mnie swo imi zim ny mi tę czów ka mi, po czym pod niósł się i zła pał w jedną dłoń swo je go lap to pa.

Drugą dłoń na to miast po głębia skąd mnie po głębie, gdy przed wyjściem
z kuchni zbliżył

się do mnie.

– Po stała się temu za raźnic – szepnął, po czym po prostu w krawędź ta le -

z moim śniadaniem. – Do końca to, proszę.

Po pa trzyłam tępo na nadgryzionego, złożył ci go tosta i topniejącego
w syro -

piekło no wymyślano.

– Vince? – za wolą łam nagle, szybko się obrać. Nie zdążył jeszcze
opu -

ścić po mieszkaniu, więc za trzymano się i odważnie moje spojrzenie.
Ob -

li za łam nieśmiało do mnie wargi, zanim odważyłam się zadać pytanie. –
A co

z moją pracą dla fundacji? Co z balem, który miał być z Ruby or ga ni
zo -

wać? I przyjdę ciemno dla dzieci?

Nic nie powiedział, ale pokręcił lekko głową, za chwycił pełną po
wę. To wystarczyło. Moje serce za drżało nie przyjemnie. Nie akceptowałam
takiej odpowiedzi.

– Nie. Nie za bieraj mi tego, proszę!

Przebież do piero co chwila się wszystkim, jak bardzo cię szanuję
nad -

choć dążę do jakiegoś.

– Prze ka że Ruby, żeby wy dzie li ła dla cie bie za da nia, któ ry mi mo
żesz zając się zdal nie.

– I zdal nie do łą czę do balu? Ale fraj da! – prych nę łam i nawet nie dałam
mu szan sy, żeby od po wie dział. Po pro stu wsta łam i igno ru jąc reszt ki
śnia da nia, wy bie głam z kuch ni, lekko go przy tym sztur cha jąc.

Naj pierw chcia łam za ba ry ka do wać się w swo jej sy pial ni i tam po grą
żać w roz pa czy i zło ści, ale i od niej po trze bo wa łam ode tchnąć. Dla te
go po gna -

łam w głąb ko ry ta rza. Już się tam wczę śniej za pusz cza łam. Znaj do wa
ły się tam po ko je go ścin ne. W jed nym z nich za miesz ka ła Maya z wuj
kiem Mon -

tym, gdy za trzy my wa li się pod na szym da chem. Dziś we szłam do lo so
wej sy pial ni i mimo po ru sze nia, jakie czu łam w sercu, uśmiech nę łam
się lekko na sam po wiew świe żo ści, jaki we mnie ude rzył. Nad tymi po
ko ja mi czu -

wa ła Eu ge nie i za wsze po rząd nie je wie trzy ła. Zo sta wi ła roz sz czel
nio ne okna i wczó raj sza rześ kość jesz cze stąd nie ule cia ła.

Sy pial nia była biała, z drob ny mi, zie lo ny mi ak cen ta mi, które bar dzo
cie szy -

ły moje oko. Na przy kład łoże za ście lo ne kapą w ko lo rze so czy stej
trawy wręcz przy cią ga ło. Opa dłam na nie z wes tchnie niem.

Pokój mnie uspo ka jał nie tylko re lak su ją cy mi bar wa mi, lecz także nie
za gra -

co ną prze strze nią. Poza nie licz ny mi me bla mi znaj do wa ły się tu
świecz ka za pa cho wa, uro cza nocna lamp ka i kak tus, o któ re go rów
nież dbała go spo -

sia. Dzię ki temu, że pokój nie był za miesz ka ny przez żad ne go sta łe go
lo ka -

to ra, nie pa no wał tutaj ba ła gan w po sta ci po roz rzu ca nych ksią żek,
dłu go pi -

sów, no ta tek czy lap to pów. Żadna torba nie le za ła w kącie, żadna kurt
ka nie była prze wie szo na przez opar cie fo te la i żadna szklan ka wody
nie za le ga ła na sto li ku noc nym. Taki mi ni ma lizm ko ją co wpły wał na
mój zmę czo ny umysł.

Przy mknę łam na chwi lę po wie ki i zna ła złam się w ide al nej po zy cji
do do ło -

wa nia samej sie bie. Roz pa cza łam po cichu nad kie run kiem, jaki obie ra
moje życie. Będę za mknę ta tu jak w wię zie niu. A prze cież nie je stem,
kur -

czę, świni ką mor ską, którą można wsadzić do klat ki i któ rej po trze by
spro -

wa dza ją się do świe że go sian ka i mio do wej kolby.

W rze czy wi sto ści nie zło ści łam się na Vin cen ta. Może tro chę, bo spo
sób, w jaki prze ka zy wał mi in for ma cje o wpro wa dze niu ogra ni czeń
do mo je go życia, po zo sta wiał wiele do ży cze nia, ale ro zu mia łam, dla
cze go to robił.

Sy tu acja była po waż na. Ktoś do ko nał za ma chu na moje życie. Ja sama
do końca nie wie dzia łam, jak mam po tym wszyst kim teraz nor mal nie
funk cjo -

no wać.

Po pro stu zro bi ło mi się przy kro, że w związ ku z tym zo sta ją mi ode
bra ne nie licz ne przy jem no ści. Nie po tra fi łam po ra dzić sobie z tą nie
spra wie dli wo -

ścią.

W pew nym mo men cie zza przy mru zo nych po wiek do strze głam wyj
ście na bal kon i wy obra zi łam sobie, jak wspa nia le bę dzie po czuć po

wiew wia tru na twa rzy, więc zwło kłam się z łoża i ruszyłam w tamtą stronę. Bałkon był be -

to no wy z ele ganc ką bawier ką skła da ją cą się z ma łych ko lumn. Po dobrym miałam w po ko ju, ale nieco więcej szy. Ten jednak wychodził na inną stronę i po do bał mi się ten nowy widok, choć na dobrą sprawę także skła dał się głów nie z gęstych rzędów drzew.

Usiadłam na ziemi i oparłam plecy o ścianę, gapiąc się na zielone igłaków po mieszana brązem na gich koronach drzew po zbawionych już o tej porze roku liści. Nie wiało, więc nic nie sma gało mnie po twa rzy, tak jak to sobie wy -

obrażałam, ale pa no wał chłód, więc od razu zrobiło mi się zimno. W pew -

nym momencie prze niosłam spojrzeć nie z po nu rzech drzew na wierzchołkowej na giej ręki i zmrużyłam oczy, obserwując z największą uwagą sto jące na baczność włośki.

Mogę się przeziębować, skoro i tak będę się dzieć teraz w domu.

Wokół Rezydencji Monety pa no wała cisza, jak za wsze, dla tego też gdy rozległo się ci chutkie stuknięcie w ścianie, moje uszy od razu je wychwy -

ciły i obróciłam po dejrzenie głowę.

Prze wróciłam oczami i za cisnęłam jedno cześnie szczękę na widok Sonny'ego.

– Przy szłam tu, bo chcę być sama – oznajmiłam nieco niegrzecznie. Obec -

ność ochroniarza często wzbudzała moją agresję i nie byłam z tego dumna, ale w tamtym momencie o tym nie myślałam.

– Przepraszam. Tylko sprawdzam... – odpowiedział mi Sonny, jak zwykle uprzejmie.

Pew nie my ślał, że je stem roz piesz czo na i ze psu ta. Trud no.

– Czy co? Czy nie ucie kłam? Niby jak? – prychnęłam iro nicz nie. Sie dzia -

łam na bal ko nie, na pię trze i o ile nie do rwa ła bym ni gdzie la ta ją cej mio tły, na praw dę nie mia łam jak się stąd wy do stać. Nie wspo mi na jąc o samym wyj ściu poza gra ni ce po se sji, co bez wie dzy moich braci było zwy czaj nie nie moż li we.

– Czy nic głu pie go nie przy szło ci do głowy.

Unio słam brwi.

– Niby co? Je stem za mknię ta w tym domu, więc jakoś nie mam dużo pola do po pi su, wiesz?

Sonny nie od po wie dział, tylko ski nął głową. Cier pli wie zno sił moje hu mo -

ry, przez co – zna jąc życie – będę miała póź niej wy rzu ty su mie nia.

Głu pie to wszyst ko, chyba się za bi ję.

Och. Otwo rzy łam sze rzej oczy, gdy do tar ło do mnie, co Sonny miał na myśli. Na tych miast na niego spoj rza łam, na chwi lę za po mi na jąc o zło ści.

– Spraw dzasz, czy nie robię sobie krzyw dy? – za py ta łam, drżąc na samą myśl.

– Mam pil no wać two je go bez pie czeń stwa. Nawet jeśli mam cię chro nić przed samą sobą – przy tak nął sztyw no Sonny.

Za mil kłam na chwi lę, z lek kim dresz czy kiem wy obra za jąc sobie, co mo gła -

bym zro bić. Mo gła bym się po ciąć, sko czyć z tego bal ko nu albo nawet się za strze lić. W końcu więk sze go pro ble mu ze zna le zie niem broni w

tym domu mieć nie po win nam.

– Nie za bi ję się – po wie dzia łam bez barw nie.

– Miło mi to sły szyć, panno Monet.

Już wy cho dził, by dać mi tę wy ma rzo ną chwi lę sa mot no ści, ale go za trzy -

ma łam.

– Sonny? – za py ta łam i od razu dziw nie się po czu łam, zwra ca jąc się do niego po imie niu.

– Tak, panno Monet?

– Mo żesz mówić do mnie Ha ilie – za su ge ro wa łam.

– Nie sądzę, panno Monet.

– Nie bę dzie mi to prze szka dza ło, na praw dę.

– Ro zu miem, ale do sta łem od pana Mo ne ta od po wied nie in struk cje i po wi -

nie nem ich prze strze gać.

Prze krzy wi łam głowę, jak bym nadal nie miała kon tak tu z rze czy wi sto ścią, ale się nie kłó ci łam.

– A ile ty tak w ogóle masz lat?

Uśmiech nął się. Ba wi łam go.

– Dwa dzie ścia.

Ob ję łam się ra mio na mi, bo ro bi ło mi się coraz zim niej, ale jed no cze śnie do -

brze sie dzia ło mi się na dwo rze.

– Je steś bar dzo młody jak na za ufa ne go ochro nia rza – oce ni łam.

Sonny par sk nął ci chut ko.

– Bar dzo młoda to je steś ty, panno Monet.

Za my śli łam się, ga piąc się na męż czy znę z nie skry wa nym za in te re so wa -

niem. Ostat nio był cią gle obec ny w moim życiu, a ja tak mało o nim wie -
dzia łam.

– Dla cze go tak wła ści wie je steś ochro nia rzem? My śla łeś o tym, żeby
zmie -

nić pracę? Iść może na stu dia czy coś? – cią gnę łam.

Sonny wzru szył obo jęt nie ra mio na mi.

– To świet nie płat na fucha i je stem w niej dobry – od po wie dział, a ja po
ki -

wa łam tylko głową i choć mia łam jesz cze kilka pytań, to nie za da łam
ich, bo nie chcia łam wyjść na wścib ską. Gdy wy czuł, że to ko niec na szej
po ga -

wędk, ze brał się do wyj ścia i tylko ob ró cił się ostat ni raz w moją stro
nę, żeby zwró cić mi uwagę. – To nie moja spra wa, panno Monet, ale prze
zię -

bisz się na tym bal ko nie.

Wy szedł, a ja zer k nę łam na ręce, które za czy na ły mi się trząść. Prze sie
dzia -

łam na dwo rze jesz cze kilka minut, ale potem po trze ba kom for tu wy gra
ła i unio słam ze sztyw nia łe ciało, by wró cić do po ko ju. Za trza snę łam
drzwi bal ko no we i za trzę słam się. Brr. Se kun dę póź niej dałam się sku
sić wiel kie -

mu łożu. Za ko pa łam się pod wszyst ki mi na rzu ta mi i koł dra mi, któ ry
mi było za ście lo ne, i wresz cie się roz grza łam. Za mknę łam po wie ki,
roz ko szu jąc się tym przy jem nym uczu ciem. Obu dzi ło mnie sztur cha
nie w ramię.

– Will! – wes tchnę łam, gdy obu dzi łam się na tyle, by roz po znać ulu bio
ne go brata.

– Hej, ma lut ka, co tutaj ro bisz? – za py tał mnie, uśmie cha jąc się lekko,
choć jego oczy były wy raź nie zmar twio ne.

Prze wró ci łam się z boku na plecy i ziew nę łam cicho, przy kry wa jąc
usta.

Wtu li łam się w koł drę jesz cze bar dziej i do pie ro po chwi li za uwa ży
łam, że le za łam w po przek łożka. Nie pa mię tam tylko, czy tak za snę
łam, czy po pro stu prze mie ści łam się w trak cie snu.

– Śpię – od par łam nie win nie, od gar nia jąc włosy z oczu.

Will uśmiech nął się jesz cze sze rzej.

– Czas na obiad. Już późno.

– Prze cież chwi lę temu zja dłam śnia da nie. – Zmarsz czy łam brwi, a
wtedy Will mach nął mi przed oca mi swoim ze gar kiem, któ re go wska
zów ki wy -

raż nie po ka zy wa ły go dzi nę osiem na stą.

– Z tego, co mi wia do mo, to za wiele go nie zja dłaś.

To mi przy po mnia ło po ran ną roz mo wę z naj star szym bra tem.

– Will, Vince chce zmuścić mnie do do mo we go na ucza nia i za ka zu je mi jeź -

dzić do fun da cji... – po skar żyłam się z przy gnę bieniem.

Will otwo rzył usta i zaraz je za mknął, a na stęp nie usiadł na brze gu łóżka i spoj rzał na mnie.

– Wiem, że ci przy kro – wes tchnął. – Ale nie masz po ję cia, jak się wszyscy wy stra szy li śmy. Jak Vince się wy stra szył. Te per fu my... Ha ilie... I to w na -

szym domu, tuż pod na szym nosem. Vince teraz naj chętniej za mknął by cię w zamku, a na stra ży po sta wił z osiem smo ków. Ta kich zie ją cych ogniem.

Chyba ra czej pięć – po my ślałam.

Ga piłam się w sufit. W gło wie ko tło wa ło mi się tyle myśli, że za tę sk niłam za tą pust ką, która w niej go ści ła na czas snu.

– Za wsze chciałam być jak księż nicz ka... – po wie działam mo no tonnym gło sem.

– Je steś księż nicz ką – od parł z uśmie chem i bły skiem w pięk nych, błękit -

nych oczach. – I je steś dla nas zbyt ważna, by ry zy ko wać twoje życie.

Przy mknęłam oczy i teraz to ja wes tchnęłam.

– Will, za nu dzę się.

Mój brat za śmiał się ser decz nie i pod niósł się, wy cią ga jąc do mnie rękę.

– Sta nie my na gło wie, żeby do tego nie do szło – obie cał, a ja wtedy otwo -

rzy łam oczy i wciąż nie prze ko na na, za czę łam wy grze by wać się z koł dry i uści snę łam rękę Willa. Po zwo li łam mu się przy tu lić, ale nagle po czu łam prze szy wa ją ce mnie zimno.

– Mogę twój swe ter? – za py ta łam bez wstyd nie, wie dząc, że Will mi nie od -

mó wi.

Mia łam rację. Uśmiech nął się czule i zdjął spraw nym ru chem swój bor do -

wy swe ter. Za ło żył mi go przez głowę. Z za do wo le niem wsu nę łam ręce w ręk awy. Od razu zro bi ło mi się le piej i cie plej. A ubra nie cu dow nie pach -

nia ło Wil lem.

Skie ro wa li śmy się razem do kuch ni, gdzie przy stole spo tka li śmy Shane'a.

Gapił się w te le fon i za ja dał lody pro sto z pu deł ka. Na mój widok odło żył

łyżkę, a także od su nął i po kle pał krze sło obok sie bie, które chciał, że bym za ję ła. Za py tał też, czy do brze się czuję, a ja uśmiech nę łam się do niego tro chę smut no, na co on po ło żył dłoń z boku mojej głowy i przy cią gnął ją do swo jej pier si, spra wia jąc, że zna laz łam się w bar dzo nie wy god nej po zy -

cji. Stę k nę łam, ale nie pró bo wa łam się nawet wy rwać, tylko do ce ni łam jego pró bę oka za nia mi czu ło ści.

Potem za ję łam się je dze niem zupy dy nio wej, aż nagle prze rwa łam, gdy do kuch ni wszedł Dylan. Ubra ny był w czar ną, ob ci słą bluz kę z ja kimś małym, bia łym znacz kiem na lewej pier si i w rów nież czar ne spodnie. Ależ on był

wielki. Machnął głową, żeby pozbawić się wściekłości, która wpała mu do

oczu, gdy za trzy miesiące się one na mnie i jego twarz stała. Bardzo trudno było mi uwierzyć, że wczoraj sze go wie, co ra to właśnie jego ramiona opiera -

ta była mnie tak opiekuńcza.

Dylan usiadł na przeciwko mnie i Shane'a. W momencie, gdy czuję nośność bliźni -

nieka na chwilę się uspiła, on się gwałtownie przez stół i porwał jego pudło lodów.

-Spadła! - huknął Shane i nachylił się, by odzyskać swój deser, ale był

poza jego zasięg. Dylan, lizając bez wstydu łyżkę, do prosił do tego, że Shane mu się wstać, by okrążyć stół i wyrwać mu swoją własność. Nie obeszło się bez szarpnięcia i normalnie pewnie już dawno chociażby bym wniebożyła, ale nie dzisiaj.

- Weź się ogarnij - mruknął Tony. Właśnie dołączył do nas w kuchni i wyjął sobie puszkę coli z lodówkami. On również rzucił mi dłuższe spojrzenie -

nie, które go z pewnością nie uniknęłam.

Will wkrótce wyszedł, prosił mnie na odchodnie, bym zjadła wszystko, a ja wiedziałam, że te trzy dobermany, które zostały ze mną, na pewno będą pilnowały, by tak się stało, więc skupiłam się na byciu grzeczną młodszą siostrą i wyściłam talerz. Poza tym na prawdę byłam głodna. Ja dłam po cichu w towarzyszyście chłopaków, którzy gawędzili. Kiedy odkładałam ta -

lerz do zmywania, Tony głosił beknął, a Dylan po raz pierwszy dzisiaj ode -

zwał się bez po śred nio do mnie.

– E, dokąd idziesz, mała dziew czyn ko?

Od wró ci łam się z wes tchnię ciem.

– A dokąd ja mogę iść? – za py ta łam zre zy gno wa na. – Do sy pial ni czy do sa lo nu? Hm, trud na de cy zja, na praw dę. W sy pial ni mogę leżeć na łóżku, ale w sa lo nie jest te le wi zor. Muszę to prze my śleć.

Nie za mie rza łam tak iro nicz nie od po wia dać, ale byłam roz draż nio na i znu -

żo na, więc nad tym nie pa no wa łam.

Shane za chi cho tał, Dylan uniósł brew, a Tony znowu bek nał.

Od wró ci łam się z po wro tem do wyj ścia, ale i tym razem Dylan mnie za -

trzy mał.

– Rusz cie dupy – rzu cił do po zo sta łych braci. – Po mo że my na szej małej Ha ilie się wyżyć.

I po szli śmy na strzel ni cę.

33

KWIA TY I CZE KO LAD KI

Moi bra cia może nie są ide al ni, ale mu sia łam im przy znać, że po tra fią bez -

błąd nie po pra wić mi humor.

Strze la li śmy wszy scy. Gdy mia łam lek cje z Tonym, to zwy kle tylko nade mną ster czał i ko ry go wał błędy. Dzi siaj urzą dza li śmy sobie razem mi ni za -

wo dy, które – nic no we go – prze gry wa łam. Moi bra cia byli dla mnie nad wyraz mili, ale nie na tyle, by dać mi wy grać, co nawet mi nie przeszkadza -

ło. Zwłaszcza że byłam na końcu nie dla tego, że fatalnie strzelałam, tylko dla tego, że po prostu oni strzelali o wiele lepiej i czekało mnie jeszcze sporo ciężkiej pracy, bym mogła im dorównać.

Kilka razy mnie pochwalili, więc tyle mi wystarczyło.

Na robiliśmy sporo huków, a chłopcy co chwila zmieniali pistolety. Dali mi nawet raz użyć strzelby, wczesniej strasząc mnie, że jestem na nią za drobna i od rządu urwie mi rękę. Docho dzące – mimo słuchał – do moich uszu wystrzały były jak najpiękniejsza muzyka, bo działały na mnie kojąco. Rze -

czywiście się żywałam. I na prawdę przynosiło mi to ulgę.

– A ten? – za pytałam, za głądając ukradkiem do wielkiego sejfów pełnego broni, od którego Tony za każdym razem kazał trzymać się z daleka.

Wskazywałam na karabin maszynowy, który im ponoć swoją wielkością, maszynowością i byłą bardzo ciekawa, czy robi tyle za mnie szanowna, jak po ka -

zu ją to w filmach.

– Ten nie jest dla młodych dziewczynek – odpowiedział mi Tony.

– Żadna broń nie jest dla młodych dziewczynek.

– Ale tej nie utrzymasz, choć byś się miała posikać w majtki – powiedział

do mnie Dylan i pocałował mi włosy na głowie.

Młodsze z irytacją, ale zaraz szybko zrobiłam słodką minę.

– To pokaż mi chociaż, jak strzeła. Proszę.

Dylem na nie trzeba było długo namawiać. Wy mi nie znała ce spojrzenia z blizniakami, po czym się gnął po karabinamach noży.

– Vince się przywali – ostrzegł Tony, ale nie specjalnie go za trzy mywał.

– Do czego? – za pytałam, przyglądając się, jak Dylan ostrożnie wyjmie broń. Nikt mi nie odpowie. Za miast tego Dylan podał mi ją ostrożnie, żebym mogła zobaczyć, ile waży. – Ciężka.

– Bo masz słabe go bicka – zaśmiał się Shane, szczypiąc mnie w przedramię -

mię, tak że piśniełam i gdyby Dylan nie asekurował trzymania przeze mnie broni, to upuściłabym ją sobie na stopy.

Tony parsknął i wywrócił oczami, a Dylan tymczasem usta wiał sobie broń w odpołudnie po zycji, po głaskał ją i należało do wał, po czym zmrużył oczy i wpastrył się w wiszące dałek przed nim tarce.

– Say hello to my little friend – zaśmiał się chrypiącym głosem bandziora.

Cofnęliśmy się z chłopakami jeszcze bar dziej, gdy Dylan zaczął swój show.

Wszyscy mieli już teraz założone słuchawki na uszy oraz gogle ochronne, ale mimo to huk, jaki towarzyszył agresywnej serii wystrzałów, wderał się w uszy i tarabanił w mózgu. Czułam się, jak bym wkroczyła w wir tuż przed światłem z strzeleń braci. Oprócz tego z lufy aż się błyskało i przez to broń wydawała trochę, jakby miała ogień. Gapiłam się na to z otwartą -

tą buzią. To lepsze niż fajerwerki!

W końcu Dylan zaczął pokazywać. Po walił opuszczył pistolet, z którego go aż się lekko dygotało, i jedną ręką zdjął słuchawki, a na twarzy miał wał

mu się wielki banan. Znowu czule po klepał uchwyt i chyba do brzo się bawił. Tar -

czy, do którego rychło walczył, nie po dziurawość tak po prostu. Sprawił, że prześta -

ły istnieć.

– Nie źle – gwizdnął Shane, który mu aż świeciły się oczy.

– Co jest z wami? – warknął głos zza naszych pleców.

Nie po trzech było jasno wiadomo, by wiedzieć, że ten ostry, lo do waży ton na le -

żał do naszego najstarszego brata, który lubił poją wiać się w różnych miejscach -

scach jak duch.

Zerknąłem na niego, sprawdzając, czy swoje wyrzuty nie idą do mnie, ale obojętnie tylko przełotnym sposobem spojrzeliśmy i raczej można było z ulgą stwierdzić, że dzisiaj do stać się komuś innemu.

– To tylko po prostu dla Hailie. Sam mówiłem, żeby do starczyć jej trochę radości. – Dylan wzruszył ramionami.

– Ale nie karabinem masz no wym, scho waj to na tych miast – syknął Vin -

cent, kręcąc z dezaprobatą głową. – Mówiłem, żeby nie wyciągać przy niej takiej broni, czy nie?

– No dobra, już, chciała zobaczyć, to jej pokazuję. Strasznie rze czy.

Tony zaśmiał się i Vince trzepnął go wierzchem dłoni w ramię. Tak bardzo przytrzymał mi w tym momencie ojca, że prawie rozdzierałam usta.

– Dla cze go niby nie można przy mnie wy cią gać ta kich broni? – za py ta
łam z lek kim obu rze niem, ośmie lo na aro gan cją Dy la na.

Vince prze niósł na mnie spoj rze nie.

– Bo tak mówię.

Mia łam ocho tę prze wró cić ocza mi i nawet go prze drzeź nić, ale jego wy
zy -

wa ją cy wzrok przy wo łał mnie do po rząd ku. To by było głu pie, nie po
trzeb ne i skut ko wa ło by pew nie banem na lek cje strze la nia z Tonym.

Wie czór w stylu braci Monet do biegł więc końca. Kiedy moja mama jesz -

cze żyła i chcia ła mi po pra wić humor, zwy kle ro bi ła nam her ba tę sma
ko wą, otwie ra ła ciast ka i ukła da ły śmy razem puz zle, gra ły śmy w
scrab ble albo ka -

lam bu ry.

Moi bra cia na to miast za bra li mnie na strzel ni cę.

Naj lep sze jest to, że ich te ra pia fak tycz nie po dzia ła ła i mimo iż wciąż
byłam za ła ma na nowym ry go rem, to wró ci łam do sy pial ni za do wo lo
na i uśmiech nię ta. Do pie ro gdy po ło ży łam się na łóżku i po łą czy łam
się z Moną na wideo, by wy ja śnić jej, dla cze go nie zo ba czy mnie przez
naj bliż -

sze ty go dnie w szko le, znowu odro bi nę po smut nia łam.

Ona sie dzia ła na swoim ró żo wym dy wa nie, opie ra ła się o łóżko i wci
na ła krąż ki ce bu lo we. Gdy opo wie dzia łam jej, co mnie spo tka ło, aż
opa dla jej szczę ka. Vince za bro nił mi roz po wia dać o spra wie z kwa
sem, więc mu sia -

łam tro chę la wi ro wać po mię dzy praw dą a kłam stwem i zro bić z niego
prze -

wraż li wio ne go ro dzi ca.

Mona la men to wa ła, że nie bę dzie my się wi dzia ły tak dłu go, a ja obie ca łam wy pro sić dla nas spo tka nie. Czu łam, że mog ło ono nie na stą pić zbyt prę d -

ko, ale chcia łam dać jej na dzie ję. A gdy się po że gna ły śmy i obie ca ły śmy sobie, że wy kom bi nu je my coś, żeby zo ba czyć się jak naj szyb cie j, pod ję łam ko lej ną de cy zję.

Na pi sa łam do Leo. Nie od zy wa łam się do niego od wcz o raj i wy sła łam mu teraz po pro stu krót ką wia do mość, oznaj mia ją cą, że nie bę dę cho dzić na razie do szko ły. Przez wię k szość czasu pie lę gno wa li śmy naszą przy ja ciel -

ską re la cję, spę dza jąc razem wy bra ne prze rwy. Ma ło pi sa li śmy, nigdy do sie bie nie dzwo ni li śmy, dla te go zdi wi łam się, gdy mój te le fon za czął wi -

bro wać.

Dźwięk jego g ło su w słu chaw ce był dla mnie czymś nowym. Serce za bi ło mi jakoś moc niej i usia dłam na łóżku po tu rec ku, z wy pro sto wa ny mi ple ca -

mi. Ści ska łam te le fon obie ma rę ka mi przy lewym uchu, wiel ki mi ocz a mi wpa tru jąc się w pod ło gę.

– Cześć – przy wi tał się pro sto, a ja po czu łam ciar ki na ple cach.

– Cześć, Leo – szep nę łam, prze ły ka jąc ślinę. Ode rwa łam jedną rękę od słu -

chaw ki i prze je cha łam nią po koł drze, pro stu jąc jej fałd ki.

– Sta ło się coś, Ha ilie? Dla cze go nie bę dziesz cho dzi ła do szko ły? – za py tał

cicho.

Wes tchnę łam.

– Nie wiem. Nic, o czym mi wia do mo. Vince po wie dział mi dziś rano, że przez kilka ty go dni będę miała do mo we na ucza nie. To wszyst ko.

Na chwi lę za pa dła cisza.

– Mam na dzie ję, że on wie, co dla cie bie dobre – po wie dział w końcu Leo.

Ja też.

– Szko da tylko, że nie bę dzie my się wi dy wać – cią gnął.

Uśmiech nę łam się do sie bie.

– Wiem, ale i tak za wiele się nie spo ty ka my, nie?

– Ale czuję się raż niej, jak wiem, że je steś gdzieś w po bli zu.

Uśmiech nę łam się jesz cze sze rzej.

-Mam na dzie ję, że to na praw dę bę dzie tylko kilka ty go dni.

– Jak bę dziesz bar dzo sa mot na, to daj znać. Może uda mi się za kraść pod twój bal kon. Jeśli w ogóle masz bal kon. Pew nie masz. Mógł bym wziąć róże i cze ko lad ki.

Choć nie mo głam tego zo ba czyć, to byłam pra wie pewna, że pu ścił mi oczko, i za chi cho ta łam.

– Pro szę nie, moi bra cia cię roz szar pią.

– Chyba że mnie nie na kry ją.

– Nie ma szans, by kto kol wiek przedarł się pod dom bez wie dzy Vin cen ta –

przy po mnie łam mu. – Serio, Leo, nawet nie pró buj. Cza sa mi na noc spuszc -

cza ne są psy. Nie chcia ła bym, żeby cię za gry zły.

– Cho le ra. Że też aku rat mu sia ła mi się spodo bać dziew czy na, która ma pię -

ciu star szych, krwio żer czych braci.

– Hej, tylko czte rej z nich są krwio żer czy – po wie dzia łam nie na tu ral nie szyb ko, by ukryć, jakie wra że nie zro bi ły na mnie jego słowa.

Po do ba łam się mu i przy znał to wprost. Aż mi się zro bi ło go rą co i opa dłam lekko na plecy, roz plą tu jąc nogi.

– Tylko czte rej? A, to nie ma spra wy.

Za śmia łam się, tak samo jak on. Czu łam cie pło w sercu na długo po tym, jak się wresz cie roz łą czy li śmy. Le za łam z te le fo nem w ręce i ga pi łałam się w sufit.

Chło pak, któ re go uwa za łam za atrak cyj ne go za rów no fi zycz nie, jak i in te -

lek tu al nie, przy znał, że mu się po do bam. Brnął nawet w naszą re la cję mimo tych wszyst kich trud no ści i kom pli ka cji, jakie się z nią wią za ły. Nie mia łam szan sy na nor mal ny zwią zek jak dziew czy ny w moim wieku, bo więk szość ewen tu al nych kan dy da tów wie dzia ła, że wy star czy się do mnie ode zwać, by zna leźć się na czar nej li ście braci Monet, a nikt ra czej nie szu kał ta kich kło po tów. A tu nagle po ja wił się Leo, który – mimo iż miał już do czy nie nia z moją ro dzi ną, i to w dość nie przy jem nych oko licz no ściach – był na tyle wy trwa ły i od waż ny, by ją te sto wać. Może na praw dę mnie lubi?

Przy kro mi było, gdy wydał mnie przed Vin cen tem, ale zro bił to dla mamy, co go w moich oczach uspra wie dli wia ło. Poza tym moja re la cja z naj star -

szym bra tem tylko zy ska ła na sile po tym wy da rze niu. Z cza sem juź
nawet za po mnia ła m o całej spra wie...

Po nie dzia ła k, tak jak się spo dzie wa ła m, był nudny. Snu ła m się po opu
sto -

sza ła m domu. Ze wszyst kich moich braci obec ny w nim był tylko Will,
który pra co wał i któ re go przez więk szość dnia nie wi dzia ła m. Pró bo
wa ła m

się uczyć, ale mój umysł się bun to wał. Cały czas wi sia ła nade mną świa
do -

mość, że nie wra cam na razie do szko ły, co znowu mnie do ło wa ło.

Wie czo rem, gdy po pro si ła m Vin cen ta o week en do we wyj ście z
Moną, by uczcić moje uro dzi ny, zmie nił temat.

We wto rek po zna ła m dwóch no wych na uczy cie li, któ rzy przy je cha li
do re -

zy den cji, żeby oso bi ście usta lić ze mną plan nauki, choć więk szość lek
cji mie li śmy od by wać zdał nie. Nie uśmie cha ło mi się śle cze nie nad
kom pu te -

rem i psu cie sobie wzro ku, mimo iż do sta ła m wiel ki ekran, kla wia tu rę
i sto -

jak na lap to pa, żeby pod czas zajęć sie dzieć w od po wied niej po zy cji.
Nowy kom pu te ro wy ze staw wy głą dał bar dzo ele ganc ko i pro fe sjo
nal nie na moim biur ku. Su ge ro wał, że mógł na le żeć do do ro szej ko bie
ty, która zaj mo wa ła się ar chi tek tu rą, pro gra mo wa niem lub gra fi ką,
a nie do na sto lat ki, któ rej głów nym za da niem było wku cie tek stu z
pod ręcz ni ków na pa mięć.

Tam te go dnia aku rat za ko py wa ła m się w książ kach, tak jak lu bi ła m,
ro biąc sobie ko lo ro we no tat ki i za zna cza jąc pewne frag men ty ta
siem ka mi. Wła -

czy łałm jakąś mu zy kę kła sycz ną, po dob ną do tej, którą cza sa mi gry
wał Vin -

cent. Wtedy po raz pierw szy po my śła łałm sobie, że może na ucza nie do
mo -

we nie bę dzie aż tak złe, jak mi się wcz e śniej wy da wa ła.

Na dwo rze było zimno, więc mi ła sie dzia ła się w domu. Wia ła chyba jakiś
strasz li wy wiatr, bo ude rza ła w szyby moich okien i robi ła tym tro chę ha ła
su.

Gdy wy jął ko wo dziw ny dźwięk po wta rza ła się zbyt długo, zmarsz czy
łałm brwi z iry ta cji.

A potem coś wal nę ła o szybę tak, że aż pod sko czy łałm. Wsta łałm po wo
li, nie źle wy stra szo na. W końcu kilka dni temu ktoś pró bo wa ła zabić
mnie kwa -

sem za war tym w per fu mach. Od su nę łałm fi ra nę, ale żeby po rząd nie
się ro -

zej rzeć, mu sia łałm wyjść na bal kon. Opa tu li łałm się szczel niej swe trem
Willa, któ re go po tylu dniach wciąż mu nie od da łałm, i otwo rzy łałm
drzwi.

Naj pierw ostroż nie wyj rza łałm, ale bal kon świe ci ła pust ka mi, a po stro
nie, na którą wy cho dzi ła, wi docz ne były po pro stu drze wa i ka wa łałk na
szej dział ki.

Dziś to wszyst ko ską pa ła sza rość, tak jak to bywa pod sam ko niec li sto
pa -

da.

To tylko wiatr, nic się nie dzie je.

– Ha ilie!

Może jed nak to nie wiatr.

Już mia łam wra cać do po ko ju, gdy dźwięk mo je go imie nia za trzy mał mnie i zmro ził krew w ży łach. Po wo li zbli ży łam się do ba rier ki, prze ko nu jąc w duchu samą sie bie, że to pew nie któ ryś z moich głu pich braci robi sobie ze mnie żarty.

W dole, tuż pod moim bal ko nem, zo ba czy łam ogrom ny bu kiet czer wo nych róż, a po chwi li blond czu pry nę Leo.

Na tych miast kur czo wo zła pa łam się ele ganc kiej ba lu stra dy, bo ina czej bym upa dła. Oczy pra wie wy szły mi z orbit i przez chwi lę my śła łam, że śnię.

Wiatr tar gał mi włosy i mu sia łam pomóc sobie jedną ręką, by za ło żyć je za uszy, jed no cze śnie pa nicz nie roz głą da jąc się wkoło. We wła snej wy obraż ni wi dzia łam Dy la na, który bie gnę na Leo, a w rę kach trzy ma ka ra bin ma szy -

no wy, który po ka zał mi na strzel ni cy.

-Leo, co ty tutaj ro bisz? Jak tu wsze dłeś? – za wo ła łam do niego go rącz ko -

wym szep tem i ob ró ci łam się za sie bie, by spraw dzić, czy nikt z ja kie goś po wo du znie nac ka nie wszedł do mojej sy pial ni.

– Wszyst kie go naj lep sze go! – od po wie dział, szcze rząc się do mnie i uno -

sząc jesz cze wyżej bu kiet oraz ja kieś pu deł ko.

Za pew ne cze ko lad ki.

Na chwi lę sku pi łam się na nim i prze krzy wi łam ze wzru sze nia głowę, ale zaraz potem do tar ło do mnie, że on stoi sobie pod moim bal ko nem tak po pro stu, bez bron ny i wy sta wio ny na po żar cie.

– Leo, po waż nie, jak udało ci się tutaj wejść? – za py ta łam, za gry za jąc z ner wów wargę. Znowu mu sia łam ujarz mić włosy, bo wiatr nie dawał mi spo ko ju.

– Spo koj nie, Ha ilie. Mó wi łaś, że nie da się tutaj wejść bez wie dzy Vin cen -

ta, więc po pro stu wsze dłem za jego wie dzą – od parł Leo i opu ścił nieco bu kiet kwia tów, uśmie cha jąc się do mnie za dzior nie. – To jak, zej dziesz tu do mnie?

Od razu prze sta łam się roz głą dać i za pa trzy łam się teraz pro sto na niego.

– V–Vince wie? – upew ni łam się.

Leo po ki wał głową.

Za la ło mnie po czu cie ulgi. Ode tchnę łam i wciąż nie ro zu mia łam, co się dzie je, ale wszyst ko wska zy wa ło na to, że po win no obejść się bez rę ko czy -

nów. Po raz ko lej ny od gar nę łam sple tą ta ne już włosy. Cóż, żadna ze mnie książ ko wa Julia ani tym bar dziej baj ko wa Rosz pun ka, dla te go po sta no wi -

łam jak naj szyb ciejsz opu ścić bal kon.

– Cze kaj! – rzu ci łam do Leo i wbie głam do sy pial ni, nie do kład nie za my ka -

jąc za sobą drzwi, a na stęp nie wy strze li łam po scho dach w dół, mi ja jąc w ko ry ta rzu za sko czo ne go Sonny’ego. Z wa lą cym ser cem za trzy ma łam się do pie ro przed drzwia mi wej ścio wy mi, nagle się za wa haw szy, gdy usły sza -

łam głos za ple ca mi.

– Załóż kurtkę – po wie dział mój naj starszy brat.

Błyskawicznie nie się odwróciłam. Stał obok schodów, znów pojął się zni-

kać. Albo to ja byłam mało spostrzegawcza.

Trzymałam rękę w kieszeni swoich eleganckich, ciemnych spodni, a drugą po-

łożyłam na poręcz, jakby za mnie miał iść na górę i tylko przystanął na moment.

Po słyszaniu zdjęłam z wieszaka nowy jesienno- zimowy płaszcz. Był bar-

wny, dziewczęcy i uroczy, w kolorze jasnego brązu i żółci na piękne, wielokolorowe, białe guziki. Z kaptura wystawał biały plusz i cieszyłam się, że miałam pod ręką ładną kurtkę, w której mogłam przywitac Leo.

– Masz pięć minut – poinformował mnie Vincent, po czym faktycznie zaczął się wspinać po schodach, a ja wtedy ukradkiem zerknęłam jeszcze w lustro i porównałam włosy, nie mogąc wyjść z podziwu, że Vincenta prawie-

nie było. Leo wkroczył na teren naszego domu. To jakiś cud.

Na cisnęłam na klamkę i wyszłam przez główne drzwi na zewnątrz. Leo też już się przebiegł.

– Hej – powiedział, gdy prawie na niego wpałam. Na szczęście otworzył

drogę dla mnie, więc mu się nie udało przebiec. Przez podłogę, które trzymano, trudno mu było mnie objąć. Gdy się od niego odsunęłam, przez chwilę mi pachniało pachnącymi różami, które pachniały czerwoną była najbar-

dziej in ten syw ną barwą w za się gu wzro ku, i owi nię te wstąż ką cze ko
lad ki. –

Wiem, że uro dzi ny masz do pie ro jutro, ale z two imi brać mi nie ła two
się ne go cju je.

Za mknę łam oczy i za to pi łam twarz w płat kach kwia tów, wdy cha jąc
ich świe ży za pach. Po raz pierw szy do sta łam bu kiet od chło pa ka. Cie
szy łam się, że je stem wresz cie tą dziew czy ną, która do sta je róże.

– Z wiel ką przy jem no ścia mogę za czać świę to wać je już dzi siaj, na
praw dę

– oznaj mi łam mu, przy tu la jąc do sie bie kwia ty i pu deł ko cze ko la
dek, a potem spoj rza łam mu w oczy.

Mi mo cho dem zer k nę łam też na jego usta. Nie byłam na tyle głu pia, by
ca -

ło wać się z nim w swoim ogród ku, ale mój szur nię ty mózg mu siał, po
pro -

stu mu siał to za su ge ro wać. Wtedy zo ba czy łam, że ma lekko roz cię tą
wargę, i zmarsz czy łam brwi.

– Co ci się stało? – za py ta łam, pod bród kiem wska zu jąc na jego ranę.
Do -

sko na le wie dział, o czym mówię. Pod niósł dłoń i mu snął pal ca mi swoje
usta, jakby spraw dza jąc, czy roz cię cie wciąż tam jest.

– Nic ta kie go – uciał. – Nie wie dzia łem, jakie cze ko lad ki lu bisz, więc
ku pi -

łem mie sza ne...

– Co ci się stało w wargę? – po no wi łam py ta nie, wie dzio na bez błęd ną
in tu -

icją.

Leo wes tchnął i uśmiechnął się do mnie słodko.

– Tony najpierw reaguje, a potem słucha.

– Tony cię uderzył! – za wołałam z nie do wiary.

– Uderzył to za dużo po wiedziale. – Leo machnął ręką. – To nie ważne,
Ha -

ilie.

– Ważne. Chcę wiedzieć, co za szło między tobą i moimi braćmi. Jak w ogóle udało ci się przekonać Vince'a?

– Za gadałam wczoraj na przejazd do bliźniaków. Uznałam, że warto spróbować -

bo w końcu, zwłaszcza że przez ciebie chodziło o to, żeby zrobić coś miłego dla ciebie -

nie, no a z tym nie powinni mieć problemu. Tony po prostu zdążył się wkuć -

zrobić, zanim jeszcze otworzyłam usta, ale Shane go po prostu walczył i w końcu mnie wysłuchał. Przez kasała moją prośbę Vincentowi, a on się zgodził.

-Wow – mruknęłam pod nosem. Popatrzyłam na kwiaty, na pudełko czekoladek -

la dek i na końcu na Leo. – To nie są moją. I odważne. Dziękuję.

– To mała rzecz. Za sługujeś na wiele, wiele więcej.

– To bardzo dużo – za proste słowa, po czym się skrzywiłam, bo porządny powiew wiało mi włosy do oczu i uniosłam dłoń, w której trzymała -

łam cze ko lad ki, by je z nich wy cią gnąć, ale Leo szyb ko za re ago wał i de li -

kat nym ru chem mi po mógl. Aż za drża łam, gdy jego palce do tknę ły przy oka zji moich zzięb nię tych już po licz ków. – Dzię ki. Chcesz wejść do środ -

ka?

– Eee... Może kiedy in dziej. Umowa była taka, że mogę spo tkać się z tobą pod domem na ja kies pięć na ście minut i mam się zmy wać – wy tłu ma czył

mi Leo, odro bi nę roz ba wio ny wy tycz ny mi, jakie do stał od braci Monet.

Prze wró ci łam oczu mi.

– No tak. W każ dym razie dzię ku ję. Na praw dę po pra wi leś mi tym humor –

wy zna łam i po raz setny wsa dzi łam nos w róże.

– Faj nie, że wszyst ko się udało – pod su mo wał Leo z za do wo le niem, zer ka -

jąc w górę, na mój bal kon.

– Wy szło ide al nie.

Pięć na ście minut mi nę ło sta now czo zbyt szyb ko i szko da było mi roz sta wać się z Leo, ale mu sia łam cie szyć się tym, co mam. Na od chod ne po ca ło wał

mnie w po li czek i za mar łam, prze ra zo na, że któ ryś z braci wy sko czy z krza ków. Na szczę ście tak się nie stało, a jego mały, nie win ny całus wy -

wo łał ogrom ny uśmiech na mojej twa rzy. Przy tu la ła bu kiet do sie bie, gdy pa trzy ła, jak Leo od cho dzi, i do ce nia ła, że mam cho ciaz kwia ty, które będą mi przy po mi na ły o tej nie sa mo wi tej nie spo dzian ce.

34

DUŻE DZIE CI

Bliź nia cy zżar li moje cze ko lad ki od Leo.

Moja wina. Nie po win nam zo sta wiać ich w kuch ni. Po pro stu odło ży ła je na blat, pod czas gdy w nie skoń czo ność de lek to wa ła się aro ma tem pierw -

sze go w życiu bu kie tu kwia tów, który otrzy ma ła. Eu ge nie naj pierw za -

chwy ca ła się ró za mi razem ze mną, a potem po le cia ła szu kać od po wied nie -

go dla nich wa zo nu.

Dzię ki różom moja sy pial nia od ży ła. Nie była nudna i zwy czaj na, bo ja -

skra wość czer wie ni wcho dzi ła w kon trast z ja sny mi ścia na mi, a ich wy ra zi -

stość do da wa ła świe zo ści ca ła mu po miesz cze niu. Nie mo głam się na nie na pa trzeć. Na pi sa ła Leo wia do mość, po raz setny dzie ku jąc za tak wspa -

nia ły gest. Wtedy przy po mnia ła sobie o słod ko ściach i ze szłam do kuch ni tylko po to, by na kryć Shane'a i Tony'ego, któ rzy sie dzie li przy stole, cze -

ka li na obiad i żuli coś le ni wie. Na stole le za ło zmor do wa ne pu deł ko cze ko -

la dek z wy mię tą i po rwa ną, prze źro czy stą folią obok.

– Hej! – za wo ła ła m z obu rze niem. Po de szłam do stołu i chcia ła m się gnać po reszt ki sło dy czy, ale Shane za brał mi je sprzed nosa. – To moje!

– Po wiedz my, że to twoja za pła ta za naszą fa ty gę – za pro po no wał Shane i wrzu cił sobie do ust dwie cze ko lad ki naraz.

Dwie naraz!

– Jaką znowu fa ty gę? – fuk nę ła m, ła piąc się pod boki.

Tony się gnął i prze chwy cił z pu deł ka ko lej ną cze ko lad kę.

– O kurr r wa – wes tchnął, z za do wo le niem mru żąc oczy. – Mmm, mar ce pan.

Za ci snę ła m dło nie w pię ści.

– Gdyby nie my, to twój blon da sek mógł by sobie co naj wy żej po ma rzyć o wpro wa dze niu swo je go ki czo wa te go planu w życie – przy po mniał mi Shane.

– Sami je ste ście ki czo wa ci – wark nę ła m, ły piąc na bliż nia ków spode ła, na dłu żej za trzy mu jąc się przy Tonym. – A ty! Ty go ude rzy łaś!

Tony wzru szył ra mio na mi.

– Dobra, dobra, już. Masz tu ostat nią. Wi dzisz? Łap, jest dla cie bie – mruk -

nął Shane i po pchnął w moją stro nę pu deł ko.

– Wy serio zje dli ście wszyst ko! – za wo ła ła m z nie do wie rza niem.

– Nie – ode zwał się Dylan, który wła śnie wszedł do kuch ni i sta nął za moimi ple ca mi, po czym się gnął po po zo sta łą cze ko lad kę. Wrzu cił ją sobie do buzi i do mnie mru gnął. – Teraz do pie ro zje dli śmy wszyst ko.

Rzu ci łam mu mor der cze spoj rze nie, na co on wy szcze rzył do mnie uba
bra -

ne cze ko la dą zęby i mla snął mi w twarz.

– Je steś obrzy dli wy.

Dylan uszczyp nął mnie mocno w po li czek. Zdzie li łam go w rękę, ale nie
prze jął się tym, tylko mnie wy mi nął, by zająć miej sce przy stole.

– Dobrze nawet. Skąd to? – za py tał, gdy roz wa lił się już na krze śle.

– Od ci che go wiel bi cie la Ha ilie.

– Co? – Dylan zmarsz czył brwi, po waż nie jąc, po czym prze niósł wzrok
z Shane’a na mnie. – Kogo niby?

– Nie mów mu, nie mów cie mu! – rzu ci łam przez za ci śnię te zęby, pa
trząc na bliż nia ków ostrze gaw czo.

Nie prze ję li się. Nikt w tym domu nie trak to wał mnie po waż nie.

– Cicho, dziew czyn ko – mruk nął na mnie Dylan, z po wro tem zwra ca
jąc się do na szych braci. – No więc?

– Był tu taki jeden z bu kie tem róż – par sk nął ze śmie chem Shane.

– Co? Jaja sobie ze mnie ro bisz? – Dylan po pa trzył na Tony’ego, szu ka
jąc po twier dze nia tych słów.

– Tak, tak, robi sobie jaja! – za wo ła łam pi skli wie, pra gnąc po wstrzy
mac nad cho dzą cą ka ta stro fę.

– Cicho – po wtó rzył Dylan, na chy lając się do na szych braci. – Ga daj
cie, kurwa, o co cho dzi.

– Dobra, e, wy lu zuj. Zna jo my Ha ilie chciał dać jej kwiat ka, nic wiel kie
go –

wy ja śnił Shane.

– Po co?

– Bo mam urodziny? – wtrą ciłam ze zniecierpliwieniem.

– Który zna jego imię?

– Nie mów ciemu, proszę. – Złoty złamał rękę jak do mojej dławi, a wielki mi, błagał mi oczami wpatrywał się w bliźniaków.

– Ogar ni się – warknął do mnie Dylan, jak tylko dostrzegł, że chłopcy byli go towarzyszyć moją prośbę. – A tak w ogóle to co za idiota pozwolił mu tutaj wejść?

– Vincent.

Wtedy skończyła się dyskusja.

Może nie całkiem skończyła, bo Dylan wciąż ma rękę, jak wielką głowę po tą było wpuszczanie nie pod mój balkon jakiegoś za kochanego mała. Przez sta -

łam go słuchać, gdy upewniłam się, że dzięki temu, że o całym zajściu wie -

dział Vincent, Dylan nie miał prawa interweniować.

Do końca dnia nie mogłam już skupić się na niczym innym. Ciągle myśla -

łam o tym, co się wydarzyło. Leżałam na łóżku, czytałam książkę i co chwila zerkałam na bukiety róż. Uśmiechałam i powracałam do tekstu tylko po to, by po kilku minutach znów się od niego odebrać. I tak aż do wie -

czego, gdy Will zapukał do drzwi mojej sypialni i oznajmił, że razem z chłopakami za mną coś na kochanie. Było dość późno, więc się zdiwi -

łam, ale zgłód nia łam, i nie za mie rza łam gar dzić pach ną cym ham bur
ge rem.

Na je dzo na, spa łam w naj lep sze na ka na pie, gdy nagle ktoś trą cił mnie
w ramię. Raz, a potem drugi. Za mru ga łam, ziew nę łam, na stęp nie prze
tar -

łam oczy. Za ło ży łam, że czas prze nieść się do sy piał ni, ale zmarsz czy
łam brwi, bo zo ba czy łam ra żą ce świa tło. Drgnę łam nagle i szyb ko pod
nio słam się do po zy cji sie dzą cej, jesz cze sta ran niej po cie ra jąc po wie
ki.

To był ogień. Zdą ży łam spa ni ko wać, aż nagle po ję łam, że to rze czy wi
ście ogień, ale na świecz kach. Świecz kach wbi tych w uro dzi no wy tort.

– O Boże! – wy krzyk nę łam, ła piąc się za serce.

Ten tort był zde cy do wa nie za wiel ki jak na szes na ste uro dzi ny w ro
dzin nym gro nie, ale na pewno był prze zna czo ny dla mnie, bo na bia łej,
kre mo wej po wierzch ni wid niał napis: „Speł nie nia ma rzeń, mała Ha
ilie”.

Białe, kla sycz ny tort, przy ozdo bio ny do dat ka mi z ciem nej cze ko la
dy, po bo kach opró szo ny jej wiór ka mi i ob ra mo wa ny świe ży mi ma li
na mi. Pro sty, a jed no cze śnie nie zwy kły.

No i te świecz ki. Nie czu łam po trze by prze li cze nia ich, ale byłam
pewna, że było ich do kład nie szes na ście. Wszyst kie ró żo we i za czy na
ły się już topić, ale cze ka łam ze zdmuch nię ciem ich, bo chłop cy wła śnie
za czę li śpie wać mi Sto lat. Każdy robił to na wła sny spo sób i wy da wa
ło się, że wszy scy oni byli jesz cze bar dziej na tu ral ni, niż gdy ro bi li to
dla mnie rok temu. Vince zda wał się wy do by wać z sie bie tylko co dru
gie słowo, ale pa trzył też na

moją onie mia łą minę z lek kim uśmie chem. Dylan był naj gło śniej szy i
fał -

szo wał naj bar dziej. Will i Shane jako je dy ni sta ra li się wejść w ładne,
uro -

dzi no we tony. No i to mru cze nie Tony'ego.

Byłam tak ocza ro wa na, że o mało nie roz to pi łam się razem z tymi
świecz -

ka mi.

– A teraz ży cze nie. – Will mru gnął do mnie.

Za mknę łam oczy, wzię łam głę bo ki wdech i za jed nym razem zdmuch
nę łam wszyst kie świecz ki, a w gło wie mia łam tylko jedną myśl.

Że by śmy na praw dę za wsze trzy ma li się razem. Nie waź ne, co przy nie
sie przy szłość. Nie waź ne, gdzie każde z nas bę dzie. Nie waź ne z kim.

– O co po pro si łaś los, mała Ha ilie? List z Ho gwar tu? – za gad nął
Dylan, trą -

ca jąc mnie lekko.

– Nie – prychnę łam i prze wró ci łam ocza mi, po czym sama się po grą ży
łam, do da jąc: – Prze cież te listy do sta je się w wieku je de na stu lat.

– My śła łem, że koń czysz dzie sięć.

– Tak na praw dę za ży czy łam sobie, żebyś był dla mnie mił szy.

– Nie można pro sić o rze czy nie moż li we.

Wznio słam oczy do nieba, ale na ustach mia łam uśmiech. No bo jak tu się
nie cie szyć? Po pra wi łam się na ka na pie i od rzu ci łam na bok koc, bo z
emo -

cji zro bi ło mi się go rą co. Prze cze sa łam włosy, choć wie dzia łam, że ni
ko go nie ob cho dzi ło, jak wy głą da łam, bo by li śmy w swoim to wa rzy

stwie. W tym cza sie tort wy lą do wał na sto li ku do kawy. Mi mo cho dem
zer k nę łam na ze -

ga rek, który wska zy wał chwi lę po pół no cy.

Will zja wił się z wiel kim nożem, a Vince po ło żył obok ta le rzy ki i ma
leń kie srebr ne wi del czy ki, które błysz cza ły się ni czym naj wspa niał
sza bi żu te ria.

Jako so le ni zant ce przy padł mi za szczyt po kro je nia cia sta, ale Dylan
szyb ko prze jął nóż, który Will mi wła śnie po da wał. Rzu ci łam mu spoj
rze nie spo de łba, ale tak na praw dę wcale się nie wku rzy łam. Byłam zbyt
szczę śli wa, by

brać do ku cza nie na serio. Shane za czał usu wać świecz ki z po wierzch ni
tortu, a z każ dej z nich do kład nie zli zy wał krem.

– Serio mu sie li ście na pi sać „mała” Ha ilie? – wes tchnę łam.

– Miało być po pro stu Ha ilie, ale Dylan zajął się tor tem i wpro wa dził
swoje... po praw ki – od parł Will, który wła śnie przy niósł ręcz ni ki pa
pie ro -

we i rzu cił na sze mu wspo mnia ne mu bratu zna czą ce spoj rze nie.

Dylan za śmiał się pod nosem, jakby to, co zro bił, było wy bor nym żar
tem.

– Wiesz, że w na szym domu ra czej nie do sta je się pre zen tów – przy po
mniał

mi Will, gdy wszy scy już koń czy li śmy nasze ka wał ki tortu. To zna czy
moi bra cia koń czy li, a ja ledwo do szłam do po ło wy. Nie dla te go, że mi
nie sma -

ko wał. Wręcz prze ciw nie, de li kat ny krem roz pły wał się w ustach, a
cze ko -

la do we, lek kie cia sto na są czo ne ma li na mi per fek cyj nie pod trzy my
wa ło ba -

lans mię dzy sło dy czą a ła god ną kwa sko wa to ścia. Po pro stu do sta
łam ol -

brzy mi ka wa łek, z któ rym nie mo głam sobie po ra dzić.

Po ki wa łam głową. Miesz kam już z brać mi Monet ponad rok, a wciąż nie
mo głam uwie rzyć, że gdy żyłam z mamą, to przez całe dwa na ście mie się
cy ob my śła łam i pla no wa łam, o co ją po pro sić z oka zji uro dzin, pod
czas gdy będąc pod opie ką Vin cen ta, mo gła bym wy my ślać pre zen ty
co ty dzień i więk szość z nich za pew ne bym do sta ła.

– Szes na ste uro dzi ny trak tu je my jed nak wy jął ko wo – po wie dział
Vin cent, po czym podał mi bar dzo małe, kwa dra to we pu deł ko. Gdy za
uwa żył, z jaką re zer wą po de szłam do otwar cia tego upo min ku, dodał:
– To od nas, nie mu -

sisz się oba wiać.

– Okej – mruk nę łam za chryp nię tym gło sem i wciąż za cho wu jąc
ostroż ność, zaj rza łam do środ ka.

Klu czy ki do auta.

Unio słam wzrok na Vince'a.

– Sa mo chód?

Ledwo uczy łam się jeź dzić. Ostat nio pra wie wje cha łam w drze wo.

Jesz cze wcze śniej pró bo wa łam roz je chać Dy la na.

– W twoim przy pad ku to mało prak tycz ny pre zent. Ale nie jest po wie
dzia -

ne, że bez u ży tecz ny. – Vince znowu wzru szył ra mio na mi.

– Wszy scy do sta ją auta na szes nast kę – dodał Dylan.

– Nie, Dylan, nie wszy scy – za pro te sto wa łam uprzej mie, ale sta now czo.

Trze ba ich edu ko wać. Le piej późno niż wcale.

– Ale w na szej ro dzi nie wszy scy – upie rał się.

Wy ję łam klu czyk i zmru ży łam oczy, żeby od czy tać napis na em ble ma cie, bo moja zna jo mość marek sa mo cho do wych była zni ko ma.

Wy tę ży łam wzrok jesz cze bar dziej. Po rsche.

Hm. Po rsche.

O kur czę.

– Dzię ki...? – wy mam ro ta łam, ob ra ca jąć klu czyk w ręce.

– Pa trz cie na jej minę, ona nie ogar nia, co się dzie je – prychnął Shane, po czym po krę cił głową i się pod niósł, mach nął szy na mnie ręką. – Idzie my do ga ra żu. Trze ba jej po ka zać.

Po słusz nie wsta łam, go to wa, żeby do ce nić pre zent. Do ga ra żu wy bra li śmy się wszy scy, wcz e śniej ła piąc za kurt ki, i gdy tylko w ogrom nym po miesz -

cze niu za pa li ły się świa tła, w moje oczy rzu cił się nowy kolor auta, taki, któ re go tu jesz cze wcz e śniej nie było.

Złote, spor to we, błysz cza ło no wo ścia i zwra ca ło na sie bie uwagę nawet po -

śród in nych, jesz cze bar dziej luk su so wych sa mo cho dów. Zbli ży łam się do niego i za trzy ma łam, do pie ro gdy sta łam tak bli sko, że mo głam do tknąć maski. Zro bi łam to bar dzo de li kat nie, bojąc się, że po ry su ję la kier opusz ka -

mi pal ców.

– Chcesz je wy pró bo wać? U nas, na po se sji? – za py tał Will, obej mu jąc mnie ra mie niem.

– Nie jest za ciem no? – W rze czy wi sto ści bar dziej niż nocy oba wia łam się sia da nia za kie row ni cą ta kie go cacka.

– Za pa li my lampy.

Moi bra cia chyba eks cy to wa li się nowym na byt kiem w swo jej ko lek cji bar -

dziej niż ja. Vince wsiadł na miej sce obok kie row cy, za kół kiem zaś usa do -

wił się Will, wcze śniej wy cią ga jąc mi z rąk klu czy ki. Auto nagle ożyło, świa tła się za pa li ły, a sil nik za mru czał za czep nie.

– Jest hy bry do wy – po in for mo wał mnie Shane, z fa scy na cją przy głą da jąc się ma new rom na sze go brata. Will wy je chał autem na ze wnątrz, a ja, Dylan i bliź nia cy szyb kim kro kiem po szli śmy jego śla dem.

Po dro dze Dylan klik nał nie po zor ny włącz nik, jeden z wielu, przy sze ro -

kich drzwiach do ga ra żu. Na ciem nym, po nu rym po dwór ku roz błę sły jasne re flek to ry. Na se kun dę mnie ośle pi ły i ra mie niem za kry łam oczy przed ra -

żą cym świa tłem. Czu łam się jak na pu stym bo isku do ba se bal la, gdzie już zaraz miał roz po cząć się wiel ki mecz. Nawet nie wie dzia łam, że mamy tu takie lampy.

– Dawaj, Ha ilie – za wo łał Will, gdy za trzy mał się nie opo dal i otwo rzył drzwi, by wy siąść i wpu ścić mnie na swoje miej sce. Wcze śniej nie omiesz -

kał zro bić jesz cze paru kólek, a na twa rzy miał sze ro ki uśmiech.

Jezu, oni wszy scy byli jak duże dzie ci.

Zbli ży łam się nie pew nie do ma szy ny, która błysz cza ła nie ziem sko w srebr -

nym świe tle. Nie wie rzy łam, że to było moje auto.

– Co, jak je roz bi ję? – za py ta łam, zanim wgra mo li łam się na miej sce kie -

row cy. Od razu po czu łam róż ni cę mię dzy sa mo cho dem, który zwy kle pro -

wa dzi łam pod czas lek cji z Vin cen tem i Shane'em, a tym spor to wym cu deń -

kiem. Wnę trze obite było czar ną skórą i przy po mi na ło mi nieco lam bor ghi -

ni Shane'a.

– Nie roz bi jesz, po pro stu się skup – po ra dził rze czo wo Vin cent, który wciąż sie dział obok. – I uwa żaj, bo to auto jest czul sze od tego, któ rym razem jeź dzi my.

Rze czy wi ście, było. Z całej siły za ci snę łam palce na smuk łej kie row ni cy z ogrom nym logo Po rsche na tar czy i za ak cep to wa łam fakt, że muszę przy -

jąc po zy cję pół le żą cą, żeby pro wa dzić to auto. Stopą od szu ka łam pedał

gazu i de li kat nie go wci snę łam.

Sa mo chód wy strze lił do przo du jak be stia i jesz cze bra ko wa ło, żeby zio nął

z maski ogniem. Okropnie się wystraszyłam i na tych miastach na ciśniełam
ha -

mu lec, który od razu gwałtownie nami szarpnął.

Zwałam cym sercem i z palcami wciąż przyczepionymi do kierownicy,
gałki -

łam się przed siebie w szarówkę. Nocne niebo było ładne i pełne
gwiazd, które upiększały czarnej jak smoła tło. Było też o wiele spokojniej -

sze niż ja teraz.

– Mówiłam, że jest czułe – mruknął Vincent.

– Po wiedziałeś, że jest czulsze, a nie, że do słów nie samo jeździ!

Odgarnęłam włosy ze spoczonego czoła, a gdzieś w tyle słyszałam śmiechy
reszty chłopaków.

– Spokojnie, przyzwyczaj się do niego.

Po kiwałam głową na przebiegniętych najstarszych brata. Po prostu
się na siebie dźwigałam, obniżyłam nieco pas i po prostu kierowałam.

– Okej. Okej – powiedziałam do siebie i wzięłam głęboki wdech. –
Okej.

Jeszcze raz.

No i pojechałam. Żeby mieć ją słońce – nadal byłam ślaba i nie kierowałam.
Zbyt strachliwym, ze stresem, z paniką, z paniką. To wszystko
nie było -

nielozownie urodziła się królowej dróg. A prosiła, że nie ta kierowałam
choćdu wytrzymała chyba ja kierowałam do świadomości, oswoiła ją z jazdą.
Muśnięciem jed -

nak przy znać, że już po paru chwilach za częłam się do niego po woli przy -

zwy cza jać. Było czułe, zgadzaliśmy się, ale też wspólnie. Reago wali na każdą moją komentację, trochę jakby czytał mi w myślach. Po kilku następnym tych momentach już śmiało powiedział, że prowa dze nie go było całkiem w porządku -

ku. To zna czy do póki nie jeździłam nim po jezdnim, z innymi mi samochodami obok...

Później przyjechała kolejna bracia i każdy z nich mógł sobie poświęcić za kierownicą swoje miejsce w samochodzie. Frajdę sprawiał im też stan w mieście i te stosunki, którymi na najwyższych poziomach walczył jak dziki, roz -

wścieczono zwierzę, i aż się prosiło, by zakłać uszy. Kręciłam na to wszystkim -

ko głową. Ciękawo, czy faktycznie kupili ten samochód dla mnie, czy dla siebie...

Gdy wróciliśmy do domu, Vince rzucił coś w stylu, że jak się nauczę po -

porządku kierować, to może nawet będę mogła sporadycznie jeździć swoim nowym samochodem. Oczywiście pod warunkiem, że któryś z braci będzie mi towarzyszył.

W naszym domu nasze ochłodziło się za ramię niemy. Moja najmoc -

niej, jak dostrzegłam w luźnym. Wróciliśmy do salonu, a nie któryś bracia przebrał coś o dokładanie tortu. Ja sama myślałam, że to konieczne spo -

dzianek i byłam go towarzyszyć się ulotnić, by zasnąć w swojej sypialni.

Gdy jed nak opa dłam na ka na pę, by spę dzić odro bi nę wię cej czasu w to wa -

rzy stwie ro dzi ny, oka za ło się, że mieli mi jesz cze coś do po wie dze nia.

– Przy oka zji – za czął Vince i od chrząk nął. – Jutro le cisz na Wyspy Ka na -

ryj skie. Z Shane'em i Tonym.

Za krztu si łam się cia stem i za czę łam kasz leć. Will po mógł mi odło życ na bok ta le rzyk, a Dylan po kle pał mnie lekko po ple cach.

– C-co ta kie go???

Oczy wi ście za sko czo na byłam tylko ja. Bliż nia cy opy cha li się tor tem i ta wia do mość nie zro bi ła na nich wra że nia.

– Na Wyspy Ka na ryj skie? Czemu tam? Z bliż nia ka mi? Czemu z nimi?

–

py ta łam Vin cen ta, mru ga jąc w za sko cze niu.

Shane prze stał na chwi lę prze żu wać i rzu cił mi spoj rze nie.

Will prze cze sał pal ca mi moje włosy i od po wie dział mi, pa trząc na czu bek mojej głowy.

– Oj ciec chciał by cię zo ba czyć.

Wy ba łu szy łam oczy.

– Jest na Wy spach Ka na ryj skich?!

– Ciii. Tak, jest na wy spach.

-Dla cze go le ci my jutro? Od kiedy o tym wie cie? Dla cze go nikt nie po wie -

dział mi wczesniej? – szep ta łam z po ru sze niem. Cóż, nie była to zwy czaj na in for ma cja. Jutro pla no wa łam się uczyć, czy tać książ kę i może zro bić coś sza lo ne go wie czo rem, na przy kład za mó wić je dze nie. A tu nagle taka in for -

ma cja.

– Po myśl po ja wił się wczesniej, ale do ostat niej chwi li nie wie dzie li śmy, czy wy pa li. Oj ciec nie wie dział. Ale się udało. Wczoro raj do stał się do Eu ro -

py, wszyst ko po szło zgod nie z pla nem. Dzi siaj to po twier dził – wy tłu ma -

czył Will.

– Nie było sensu robić ci złud nej na dziei, w razie gdyby coś po szło nie tak

– dodał Vin cent.

Z ner wów za czę łam na mięt nie gryźć włą sną wargę, aż Will uniósł dłoń i pal cem mu snął mój po li czek, bym się opa mię ta ła.

– Ro bisz sobie krzyw dę – mruk nął.

Po pa trzy łam na niego.

– No a dla cze go aku rat Wyspy Ka na ryj skie? To nie tak, że mam coś prze -

ciw ko, ale... dla cze go? Skoro to było dla niego tak skom pli ko wa ne, żeby się tam do stać?

– Zo ba czysz – uciął Vin cent, nie sko ry do pro wa dze nia dys ku sji.

Za mil kłam na chwi lę. Bar dzo krót ką chwi lę.

– A co z moimi za ję cia mi? Na jak długo w ogóle mamy tam le cieć?

– Nie wiemy do kład nie, na jak długo. Okaze się. A za ję cia bę dziesz od by -

wa ła zдал nie. To nie będą wa ka cje ani dni wolne od nauki. Na zwij my to po pro stu... zmia ną kli ma tu.

Zmia na kli ma tu, co?

– A czemu lecę tylko z Shane'em i Tonym?

Od po wiedź, którą otrzy ma łam, była dość oczy wi sta. Bo Vince to Vince, jest za wsze za ję ty i nie ma czasu na wy ciec ki, Will rów nież jest za ję ty po ma -

ga niem mu, a Dylan ma ważne eg za mi ny na stu diach, któ rych nie może od -

pu ścić. Shane i Tony jako je dy ni mogą po świę cić swoją edu ka cję, ale i to nie na długo, więc moż li we, że po le cą ze mną na miej sce i po kilku dniach wróca, a ja zo sta nę, jeśli tylko będę chca ła. Wy ob ra zi łam sobie, że mia ła -

bym spę dzać czas sama z ojcem, i... zdzi wił mnie wła sny spo kój.

Jesz cze jed nym ar gu men tem prze ma wia ją cym za wy jaz dem, na który wpa -

dłam, do pie ro gdy już po ło ży łam się do łożka, było to, że tutaj ktoś pró bo -

wał mnie zabić. Może na Wy spach Ka na ryj skich mia łam być bez piecz niej -

sza. Bar dzo praw do po dob ne, że moi bra cia wzię li to pod uwagę.

Za snę łam do pie ro nad ranem, prze ję ta wizją na głe go wy jaz du. Nie mo głam się zde cy do wać, czy się bar dziej cie szy łam, czy oba wia łam. Mia łam znów zo ba czyć tatę.

Moi braćcia się nie pałaczkowali i jak już coś postanowili, to po prostu się to działo. W południe zjadłam późną dańkę, a już dwie godziny później -

chciałam na lotniskowym terenie Shane'a i Tony'ego. Oczywiście po prostu -

gnałam się z resztą mojej rodziny i jeszcze raz otrzymałam od nich garść życzeń.

Vince tradycyjnie nie kazał mi być grzeczną, Will warknął na niego, że prze-

cież za wszystko jestem, a Dylan odparł Willovi, że w końcu nie zaszkodzi mi przy mnie.

Skłamałam bym, gdybym powiedziała, że nie bałam się ani trochę opuścić domu. Ciągle miałam wrażenie, że ktoś tu na zewnątrz czyha na moje życie.

Musiłam się jednak wziąć w garść. Byłam z chłopakami i Sonnym. Będzie dobrze.

Od rana też dostałam wiele wiadomości od ludzi ze szkoły. Mona do mnie zadzwoniła i rozmawiałyśmy prawie pół godziny. Następnie przepelniełam do siostry i szczęściem telefon otrzymałam od Mai. Do jej życzeń dołączył

się wesółwujek Monty. Odezwała się do mnie też Roxanne, przyjaźniaczka z dzieciństwa, i gdy odprawiłam tej dziewczynie, czułam się, jakbym na chwilę powracała do swojego świata.

Odprawiłam na tyle wiadomości, na ile byłam w stanie, bo wiedziałam, że resztę urodzin spędzę w samotności, a na miejscu będę dopiero jutro.

Shane usiadł na podjeździe przy wejściu, a Tony na jednym z podwojnych po lewej. Ja z przodu ku przodkowi się wzdanie

za nimi, ale po starcie bliźniacy włączyli wiązki na ścianie te lewizory i uruchomili grę na PlayStation. Za chwilę zerkać na ekran z ciekawością. Tym razem nie była to zwykła strzelanka ani wyścigi. Chyba jakiś horror, sądząc po mrocznej planiszy i przyprawiającej o gęsią skórkę ścieżce dźwiękowej.

-Chcesz zaigrać? – zaapytał Shane, gdy nakrył mnie na wykręcaniu szyi.

Pokiwałam chętnie głową i wstałam, by nie śmiało usiąść obok Tony'ego.

– Tony, daj jej swoje go-pada.

– Sam jej daj swoje go.

– No dawaj. Ma urodziny.

– No co ja?

– Siedziesz obok ciebie, to aku ratuj wyty mach, co i jak.

– To rusz dupę i sam jej wyty mach.

Wstałam.

– Dobra, nie waż się – weszłam ostentacyjnie i zrobiłam krok, żeby wrócić

na swoje miejsce przednie.

– Dobra, Jezu. – Tony wrócił oczami, złałam mnie za bluzę, szarpnął

i po chwili gnął z powrotem na fotel, na który opadłam, krzywiąc się. Wcisnął

mi w rękę kontroler, który na tych miestach nie miał, nie kryjąc nawet triumfu

faktycznie go uśmiechnął.

Gra była prze ra za ją ca i bar dzo emo cjo nu ją ca, ale ba wi łam się zna ko mi cie.

Wy ma ga ła nieco lo gicz ne go my śle nia i zwy kle, gdy trze ba było po ko nać ja -

kieś mon strum, ja byłam przy nę tą, a Shane ata ko wał od tyłu i za bi jał be stię.

Cał kiem nie zła ko ope ra cja.

Nawet nie wiem, kiedy przy snę łam, a gdy się obu dzi łam, moja głowa opie -

ra ła się o ramię Tony'ego, który już dawno ode brał mi pada i wy trwa le po -

ru szął się w fa bu le gry do przo du. Naj pierw drgnę łam, a potem za mru ga łam i wy pro sto wa łam się, na chwi lę za po mi na jąc, gdzie je ste śmy.

– Ob śli ni łaś mnie – mruk nął do mnie, nie od cią ga jąc wzro ku od ekra nu.

– Hę? – Zer k nę łam na jego białą bluzę, gdzie na ra mie niu fak tycz nie znaj -

do wa ła się mała, mokra plama. Nie sko men to wa łam tego, tylko od wró ci łam głowę, by jak naj szyb cie j o tym za po mnieć. Ale wstyd.

Po wo li uczy łam się pro duk tyw nie spę dzać takie dłu gie loty. Tro chę czy ta -

łam i pra co wa łam nad bo ok sta gra mem. Przed wy jaz dem ucię łam pą czek jed nej z róż z bu kie tu od Leo i wło ży łam go mię dzy stro ny, by go usu szyć i za brać ze sobą jako pa miąt kę. Za każ dym razem, gdy otwie ra łam książ kę, my śla łam tylko o tej wspa nia lej nie spo dzian ce.

Do pie ro gdy bliż nia cy za de cy do wa li, że czas coś zjeść, i wy cią gnę li ka nap -

ki, wró ci łam na fotel obok Tony'ego.

– Tooo... po wie cie mi, dla cze go le ci my aku rat na Ka na ry? – za py ta łam, bio rąc pierw sze go gryza i nie kry jąc swo jej eks cy ta cji. Wciąż mia łam w gło wie pięk no Taj lan dii i cie szy łam się na myśl, że znowu będę miała szan sę zo ba czyć po dob ny raj na ziemi.

Chłop cy wy mie ni li spoj rze nia i Tony wró cił do je dze nia, a Shane po tarł nos wierz chem dłoni, cią gle trzy ma jąc ka nap kę, i za kasz lał. Mia łam wra że nie, że ce lo wo prze zu wał dłu żej, niż to było ko niecz ne.

– Ej no, chcę wie dzieć. – Zer ka łam to na jed ne go, to na dru gie go brata.

– Po wie dzieć jej juź teraz? – Shane za py tał Tony'ego, który wzru szył ra

-

mio na mi, bio rąc ko lej ny kęs.

– Jak chcesz.

– No mów cie – po na gli łam ich nieco po iry to wa na.

Na stą pi ła chwi la ciszy, po czym ode zwał się Shane, ły piąc na mnie ostroż -

nie:

– Tam miesz ka nasza bab cia.

35

WOL NOŚĆ

Otwo rzy łam buzię ze zdzi wie nia, a juź na pewno wpa try wa łam się w niego bez słowa.

– Jaka bab cia? – za py ta łam ze ści śnię tym gar dłem.

Na sam dźwięk tego słowa robiło mi się przykro. Koja rzyło mi się z moją je dyną, przez którą babcia, która część swego życia poświęciła, by pomóc mojej mamie w wychowaniu mnie. Złota kobieta, która piekła najlepsze ciasta, cudownie śpiewała i pocięła piękne kosze.

– Nasza babcia – odparł zyczajnie Shane.

– Wasza?

– Nasza. Twoja też.

Ja wiem, że normalnie ludzie mają po dwie babcie. W moim małym świecie -

ku jednemu miano babci przypadało tylko jednej kobiecie, która zmarła. Nie mogłam sobie wyobrazić, że miałabym mieć inną. Tak jakby miała za stąpić tę prawdziwą.

– To mama nasza go taty – wyjaśnił mi Shane.

Milczałam przez chwilę. Próbowalam oswoić się z nową informacją. Mimo że po winnam być przyzwyczajona do głośnego odkrywania sekretów po dobre -

niegdyś kłamałam, to teraz wolałam mnie zszokowała. Przygryzłam wargę i pa trzy -

łam przez okno na białe i puszyste jak wata chmury.

Nagle cmoknęłam z irytacją i gwałtownie odwróciłam głowę, by zobaczyć -

wać obydwóch braci pełnym wyrzutem i złości spojrzeliem.

– Dla czego nikt mi nie powiedział? – zapytałam przez zaciśnięte zęby.

Tony przechylił włącznie puszkę coli i zerknął na mnie z rezerwą, jakbym wcale nie miała powodu, by się na nich deprecjować. To wkurzy

ło mnie tylko jesz cze bar dziej.

– Naj pierw do wia du ję się o was, potem o ojcu, o wujku, teraz mó wi cie mi o ja kiejś babci... Kto bę dzie na stęp ny? Ciot ka na Sy be rii?! A może mamy sio strę w Du ba ju? Albo ku zy na w Egip cie?! – krzyk nę łam.

– Nie mamy ni ko go w Egip cie ani na Sy be rii – od po wie dział Shane, jakby w ogóle nie zro zu miał, o co mi cho dzi.

– Cały czas coś przede mną ukry wa cie – po skar ży łam się, za kła da jąc ręce na pier si.

Z chę cią bym gdzieś sobie po szła i naj le piej trza snę ła drzwia mi, ale w sa -

mo lo cie nie było to moż li we, poza tym chcia łam też do wie dzieć się wię cej.

Lą do wać mie li śmy za kilka go dzin i warto było się przy go to wać na to, co spo tka mnie po wyj ściu z od rzu tow ca.

– Nie cho dzi o to, żeby ukry wać przed tobą rze czy dla za ba wy. Wszyst ko ma swoje przy czy ny.

– Co, ta cała bab cia też ukry wa się przed Or ga ni za cją? – wark nę łam, a słowo „bab cia” ledwo prze szło mi przez gar dło.

– Wi dzisz, dla te go Vince wolał z tym po cze kać, aż wy lą du je my. Le piej, gdyby prze ka zał jej to oj cieć – mruk nął Tony.

Ude rzy łam go z całej siły w ramię. Za bo la ła mnie dłoń, a on drgnął i po pa -

trzył na mnie z iry ta cją.

– Bo ci oddam – ostrzegł mnie oschle.

Nie od po wie dzia łam mu, ale spoj rze niem peł nym tu pe tu da wa łam mu do zro zu mie nia: „Nie od dasz”.

I mia łaam rację.

– Okej – wtrą cił Shane, uno sząc wolną dłoń, żeby mnie uspo ko ić. – Słu -
chaj, masz prawo być zła. Fak tyz nie słabo, że nikt ci nie mówi o wszyst -
kich szcze gó łaach, ale wiesz do brze, dla cze go tak późno do wie dzia łaś
się o ojcu. A bab cia... cóż, nie ja da my u niej nie dziel nych obiad ków,
nie wi du -

je my się czę sto. Oj cieć chciał, żebyś ją po zna ła, tak, ale też chciał być
przy tym obec ny. A wiesz, nie ła two było mu się do stać do Eu ro py – tłu
ma czył

mi ciepli wie, pod czas gdy ja sie dzia łaam na bur mu szo na. Jed no cze
śnie chca łaam i nie chca łaam go słu chać. – Nasza ro dzi na jest skom pli
ko wa na, to już wiesz. A z kom pli ka cji rodzą się se kre ty.

– Ale z cie bie poeta – za drwił Tony.

– Przy naj mniej pró bu je mi coś wy ja śnić! – syk nę łaam na niego.

Tony roz ło żył ręce.

– Niby co wy ja śnić? Za kilka go dzin sama babkę po znasz. Za miast ukła
dać je ba ne wier sze, mógł by cię na to przy go to wać.

– Na co przy go to wać?

Bliź nia cy znowu wy mie ni li spoj rze nia.

– Jest spe cy ficz na – oznaj mił mi w końcu Shane, a gdy zo ba czył mój py
ta -

ją cy wyraz twa rzy, roz wi nął swoją wy po wiedź: – Nie pier do li się w
tańcu, sama zo ba czysz. Po pro stu nie bierz do sie bie wszyst kie go, co
mówi.

Na ustach chłopa ków ma ja czy łyta jem nie cze uśmiech ki, które tylko pod sy ci -

ły moją cie ka wość.

Do końca czy łaś ka napkę, nie śpisz się. Miałaś czas na rozmyślenia i co chwila na chodź mi nie chęć, by nie z gruszką, nie z piekarnikiem zadać ja kieś pytań, ale szybko się po wstrzymano i zaraz chciałaś zadać kolejne, inne. Shane w końcu zasnął, a Tony za chwilę się w niej kiejś gru bej książce ze

smo ka mi i po two rzy ska mi na okładce. Nie wyglądał na chętnego do udzia -

ła nia wywiadu młodszego strze.

Przez resztę po drodze myślałam o tym, co mnie czeka. Wczynieś trochę się de nerwo wałam, ale też w duchu szczerze cię przytuliłam na spotkanie nie z ojcem.

Teraz za chwilę się bardzo stresować, bo oto miałaś po znać kogoś nowego, kto znowu wlezie z bucioremami w moje życie i jeszcze na dodatek będzie na -

zywać się moją babcią. Czuję, jak bym zaraz miała zdradzić moją prawdziwą babcię.

No ale ta też jest prawdziwa – szepnął mi do ucha nieśmiały

gł -

sik. Bliźniacy ostrzegli jednak, że ta babcia jest specjalna. Co to miało zna -

czyć – nie wiem. Gdy podchodziłiśmy do ławki, nie wytrzymałam i za -

pytałam o to chłopa ków, ale na brali wody w usta i ka za li mi wy lu zo wać.

Fi nał nie miałam w głowie tyle myśli, że jak tylko drzwi są mo lo tu zo stały otwarte, wzięłam ogromny wdech, by na pełnię płuca świeżym powietrzem.

Tak jak w Tajlandii, tutaj też na tych miast poczuję zmianę klimatu. Po wie -

trze było inne, ciepłe, choć na pewno nie upalne. Moimentalnie pod eks cyto -

wałam się tym, że znów jestem w Europie.

Gdy tylko opuściliśmy samolot, Sonny na tych miast przybrał swoją profe -

sjonam maskę i pojąwił się u mojego boku. Opuściliśmy budynki lotniska i powyszedliśmy i poszliśmy na parking, śladem za Tonym, który roz -

ma wiał z kimś przez telefon. Jak zwykła podnieco na byłam w do kiem palm i tym, że w domu lada dzień spadnie pierwszy śnieg, a tutaj było ciepło nawet po miomociągnięciu wiatru.

Okażało się, że czekał na nas pewien pan, który przyjechał tu wielkim, te re -

no wym autem. Nażywał się Benny, był całkiem wysoki i miał białe jak mąka włosy, ładny wyraz twarzy. Ubrany w jasną, krótką sukienkę z krótkim rękawkiem i kremowe spodnie do kolan, które trzymany się na jego wąskich biodrach dzięki brzości, skóra na mu pasowała. Przywitał

się uściskiem dłoni z braćmi i nawet z Sonnym, a do mnie uśmiechnął się miło.

Po tym, jak za pa ko wa li śmy ba ga że do auta Benny'ego i za ję łam swoje miej sce z tyłu razem z Shane'em, ru szy li śmy w drogę. Brat opo wie dział mi, że mąż czy zna jest przy ja cie lem na szej babki, że to w po rząd ku gość i że po znał się z nią jesz cze w Ame ry ce.

Tony mil czał i kli kał coś na te le fo nie. Zaj mo wał miej sce z przo du, obok Benny'ego, który naj wy raż niej też nie był ga du łą. Je cha li śmy za wi ły mi dro ga mi przez wzgó rza i pa gór ki. Z jed nej stro ny cią gnął się widok cza ru ją -

ce go oce anu, z dru giej – pu sty ni, a potem nagle wy sko czy ły su ro we góry z eks tre mal nie małą ilo ścią zie le ni. Z całą pew no ścią Benny wi ózł nas w głąb wyspy, bo wkrót ce woda znik nę ła z za się gu na szych oczu i wje cha -

li śmy w oliw ny gaj.

Moja krew aż bu zo wa ła z nad mia ru emo cji. To całe pięk no, nowe kra jo bra -

zy, per spek ty wa zo ba cze nia ojca, po zna nia babci... Byłam bli ska za wa łu.

Krę ci łam się na sie dze niu, jakby ma ło nami te le pa ło przez nie rów ną drogę, w którą w pew nym mo men cie skrę cił Benny. Wy głą da łam przez okno i nagle tak za trzę sło sa mo cho dem, że wal nę łam się czo łem w szybę, co wy -

jął ko wo roz ba wi ło Shane'a.

Wresz cie auto za trzy ma ło się przed prze uro czo wkom po no wa nym w na tu rę domem. Stał on na po chy łym te re nie tak, że tuż obok niego stro mo pięła się wiel ka góra, ale z lewej stro ny było bar dziej pła sko i cał kiem zie lo no.

Dom wy głą dał na stary. Jego ścia ny po kry wa ła gęsto róż no rod na ro ślin -

ność. Na pierw szy rzut oka spra wiał wra że nie ru de ry, ale miał w sobie coś kli ma tycz ne go, ni czym bu dy nek z bajki. Sze ro ki ganek z za da sze niem i ochron ną mo ski tie rą wokół za chę cał do od po czyn ku. Roilo się tu od kwia -

tów, ale też dziw nych przed mio tów, a mó wiąc wprost: gra tów.

Moją uwagę od razu przy cią gnął mąż czy zna w bia łej blu zie z kap tu rem i krót kich, czar nych spoden kach. Miał brodę, odro bi nę dłuż szą niż ostat nio, gdy go wi dzia łam, a włosy tra dy cyj nie spiał w luźną kitkę z tyłu. Opie rał

się o ba lu stra dę i palił cy ga ro, a jego ciem ne oczy zda wa ły się nie przy jem -

ne. Zmie ni ły się jed nak, gdy padły na nasz sa mo chód.

Oj ciec na tych miast się wy pro sto wał i zga sił nie dba le cy ga ro, po czym szyb -

kim ru chem od gar nął mo ski tie rę, by zejść ka mien ny mi schod ka mi w dół

i czym prę dzej nas przy wi tać.

Cała ze sztyw nia łam i po czu łam nagle rów no cze śnie szczę ście i strach, dla -

te go wy sia dłam z sa mo cho du jako ostat nia. Zaraz za nami za trzy ma ło się ko lej ne spore auto, któ rym przy je chał Sonny.

Oj ciec zbli żył się do nas i naj pierw przy tu lił Tony'ego. Przyj rzał się jego twa rzy, jakby szu kał w swoim synu ja kichś zna czą cych zmian, a potem pod szedł do Shane'a, roz trze pu jąc jego włosy w taki słod ki, oj cow ski spo -

sób. To było na praw dę uro cze. Nie śmia ło na cią ga łam ręk a wy bluzy na dło -

nie i przy oka zji wbi ja łam w nie pa znok cie, choć mimo de ner wu ją ce go wia -

tru wcale nie było mi zimno. Stre so wa łam się. Nawet nie świa do mie przy -

gry złam wargę i żało wałam, że nie mam w tej chwi li ni cze go, czym mo gła -

bym się zająć.

Oj ciec wy ści skał już Shane'a i naj wy raż niej pa mię tał, że zja wić się dziś mia łam rów niez ja, bo jak tylko na cie szył się sy na mi, pod niósł głowę i szu -

kał mnie wzro kiem.

Uśmiech nę łam się znowu nie śmia ło, a serce biło mi jak sza lo ne.

– Hej – po wie dzia łam ci szej, niż za mie rza łam, bo nie spo dzie wa łam się, że głos mi tak za chryp nie.

Oj ciec ru szył w moją stro nę i po wo li otwo rzył dla mnie ra mio na, jakby spraw dzał naj pierw, czy zga dzam się na przy tu la nie. A ja nie tylko się na nie zga dza łam, lecz także go po trze bo wa łam, więc od razu zro bi łam krok do przo du i ob ję łam jego sporą syl wet kę ra mio na mi. Czu łam od niego świe żość i nie daw no pa lo ne cy ga ro. Za czy na łam przy zwy cza jać się do tego za pa chu i go z nim utoż sa miać.

– Hej, kró lew no – przy wi tał się, a jego ręka de li kat nie prze cze sa ła moje włosy. Ści skał mnie dość mocno, ale nie prze szka dza ło mi to. – Wszyst kie -

go naj lep sze go.

Wspa nia le było znowu wi dzieć się z tatą. Znowu mia łam ro dzi ca, cho ciał jed ne go. Chcia łam na cie szyć się tym na szym uści skiem, ale wybił mnie z niego nigdy wcze śniej nie sły sza ny prze ze mnie, wy raż ny i zrę dli wy głos.

– Czy to moje szał now ne wnu czę ta?

Ode rwa łam się od ojca, by z cie ka wo ścia spoj rzeć w stro nę jego źró dła. Na ganek wy szła star sza ko bie ta. Szła po wo li i za trzy ma ła się tuż przed mo ski -

tie rą, jakby naj pierw chcia ła ob rzu cić nas wszyst kich spoj rze niem, choć w rze czy wi sto ści na nas nie pa trzy ła. Zła pa ła się po rę czy i od gar nę ła długi, siwy war kocz za plecy. Po je dyn cze ko smy ki wło sów po wie wa ły wokół jej twa rzy. Za pa trzy łam się na nią z fa scy na cją, bo mu sia ła to być moja nowa bab cia, a obraz babci, jaki do tej pory mia łam w gło wie, ab so lut nie od bie gał

od tego, co wła śnie wi dzia łam.

Miała na sobie bluzę spor to wą. Taką luźną, po dob ną do tych, które no si li moi bra cia i którą miał wła śnie na sobie oj ciec. Tylko że czar ną i z ja kimś dziw nym logo na samym środ ku. Się ga ła jej po ło wy ud, a spod niej wy sta -

wa ła kwie ci sta spód ni ca do sa mych ko stek.

Naj bar dziej za sko czy ły mnie jej duże, jasne oczy, które miały w sobie coś dziw ne go, fa scy nu ją ce go i, nie ukry wam, prze ra ża ją ce go.

– Le piej. Twoi ulu bień cy. – Shane się wy szcze rzył i kla snął w dło nie.

– Aha. Co za za szczyt – mruk nę ła bab cia, prze dzie ra jąc się przez mo ski tie -

rę. Ze szła na dół, wspie ra jąc się na ba lu stra dzie, a gdy zna ła zła się u pod nó -

za scho dów, mach nę ła ręką, pa trząc gdzieś w bok. – No co, po dej dzie tu któ ryś ła ska wie?

Shane i Tony ru szy li się w tym samym cza sie, a ką ci ki ich ust uno si ły się w roz ba wio nych uśmiesz kach. Oj ciec wciąż trzy mał mnie bli sko sie bie, ale od wró cił się do Sonny’ego. Przy wi tał się z nim, za ska ku ją co

przy jaź nie, bo za gad nął chyba nawet o jego sa mo po czu cie i sy tu ację,
a więc wy wnio sko -

wa łam, że mu siał go znać. Prze ka zał mu też parę słów ści szo nym gło
sem.

Mój ochro niarz za cho wy wał cią gle po wa gę i od po wia dał mo je mu
ojcu z wi docz nym sza cun kiem. Po tej krót kiej wy mia nie zdań pod niósł
swoje ba ga że i ru szył za Ben nym.

W tym cza sie bab cia wy ści ska ła bliź nia ków i zaraz unio sła po now nie
brodę, jakby w ocze ki wa niu.

– Po dob no mia łam po znać dziś swoją wnucz kę. Gdzie ona jest? – wark
nę ła gło śno, roz kła da jąc ręce w ma ło przy ja znym ge ście.

Pa trzy ła w jakiś punkt za moimi ple ca mi, więc się od wró ci łam zdez o
rien to -

wa na, aż oj ciec objął mnie moc niej swoim ra mie niem i szep nął mi do
ucha:

– Blan che nie widzi.

– Och – wes tchnę łam, nie wie dząc, jak ina czej za re ago wać.

– Twoja córka też chyba nie widzi, skoro jesz cze się nie zo rien to wa ła –
za -

skrze cza ła bab cia.

– Bądź że dla niej miła, co? – upo mniał ją oj ciec i po tarł moje ramię w ge
-

ście wspar cia.

Blan che unio sła brwi, co wy głą da ło ko micz nie i strasz nie jed no cze
śnie.

Tony roz siadł się na ka na pie ogro do wej na ganku i wy cią gnął pa pie ro sa, a Shane znik nął w domu, zo sta wiw szy po sobie tylko grze cho czą ce ko ra li -

ki, które wi sia ły przy wej ściu.

– No to gdzie je steś, dziew czy no? – za py ta ła i chyba sta ra ła się rze czy wi -

ście brzmieć bar dziej przy ja ciel sko, ale szcze rze mó wiąc, nie wy cho dzi ło jej to naj le piej.

Chcia łam nie śmia ło do niej za ma chać, ale w ostat niej chwi li się po wstrzy -

ma łam.

– Tutaj – ode zwa łam się cicho, nie spe cjal nie za chwy co na tym, że muszę ścią gnąć na sie bie uwagę.

– Tutaj gdzie? – wes tchnę ła. Znowu roz ło ży ła ra mio na i od wró ci ła się w stro nę, z któ rej do biegł mój głos.

Nie chęć nie zro bi łam kilka kro ków w jej stro nę, rzu ca jąc wcze śniej szyb kie spoj rze nie ojcu. Mru gnął do mnie przy jaź nie, a po sta wa Blan che wy da wa ła się nie robić na nim wra że nia.

Za trzy ma łam się jakiś metr od ko bie ty i ode zwa łam znowu. Ona sko ry go -

wa ła swoją po zy cję tak, by stać teraz już do kład nie na prze ciw ko mnie i wy -

cią gnę ła dło nie przed sie bie. Na tknę ły się na moje ręce i unio sły aż do ra -

mion, gdzie spo czę ły na chwi lę. Potem po wę dro wa ły wyżej i po czu łam ciar ki, gdy prze mknę ły po mojej szyi. Nie czu łam się kom for to wo z chłód -

ny mi pal ca mi obcej ko bie ty na swoim gar dle. Na szczę ście ją in te re so wa ła bar dziej twarz. Za dzi wia ją co de li kat nie za czę ła mu skać ją opusz ka mi. Do -

tknę ły mojej brody, zba da ły kształt szczę ki, prze bie gły po ko ściach po licz -

ko wych i nosie. Przy mknę łam oczy, gdy zbli ży ły się do brwi i ła god nie prze mknę ły po moich po wie kach. Wszę dzie zo sta wia ły po sobie ślad ledwo od czu wal ne go mro wie nia.

– Fak tycz nie, po dob na do Dy ła na – sko men to wa ła, wresz cie za brow szy ode mnie ręce.

Otwo rzy łam oczy i rzu ci łam jej po dejrz li we spoj rze nie.

– Mó wi łem – ode zwał się oj ciec. Pod szedł do nas i znów po ło żył mi dłoń na ple cach, co po raz ko lej ny do da ło mi otu chy.

Blan che po ki wa ła w za my śle niu głową, po czym od wró ci ła się na pię cie, by z po wro tem wspiąć się po ka mien nych scho dach. Spód ni ca maj ta ła jej się przy kost kach, a do dat ko wo tar gał nią wiatr i bałam się, że ko bie ta się wy -

wró ci.

– Chodź my do środ ka – za rzę dzi ła. – Benny przy go to wał pa el lę.

Próg chat ki prze kra cza łam nie pew nie. Bar dzo do ce nia łam obec ność taty, który na każ dym kroku dawał mi do zro zu mie nia, że mam jego wspar cie za wsze i wszę dzie. Li czy łam, że wkrót ce po czu ję się tutaj swo bod nie, bo na razie za po wia da ło się na to, że styl bycia Blan che może mi to utrud niać.

Za dzi wia ła mnie. Z nie zwy kłą spraw no ścią po tra fi ła prze miesz czać się po domu bez wpa da nia na ścia ny czy meble, cho ciał cza sa mi przy ła py wa łam ją na ukrad ko wym wy cią ga niu przed sie bie ręk, w celu wy ba da nia tego, co znaj do wa ło się wokół.

Wnętrze domu urządzone no bar dzo przytulnie. Wszystko było tu drewniane i w wiejskim stylu. To rodzaje domu, w jakim chętnie zamieszkałaby moja babcia Bonnie, gdyby tylko miała takie możliwości. Ona tak samo jak Blanche -

chętnie miała by trochę kolorowych krychli w kuchni, wygodnie -

ny, bujanym fotel w salonie oraz olbrzymi, orzechowy, kremowo-granatowy perski dywan.

Podłogi w holu trzeszczały z każdym krokiem przez nas krokiem.

Z drugiej strony ciągnęły się w górę proste, długie schody. Ścianki przy -

ozdobione tu mnóstwem różnych obrusów. Sporo kwiatów. Wiśnięty pod sufitem, stały w wazonach bądź do nicz. Wszystko dekoracja z pewnością się dobrane i bez smaku, ale babcia chyba miała to głębożną.

Wona, która unosiła się w powietrzu, sprawiała, że za burzą mi w brzuchu, a do ust nałożyła ślinę. Wyraźnie czułam szary. Pachniało wyborczy.

W kuchni rozgościł się już Shane i włączył się nad ogromną paletą -

nią.

– Ani mi się waz – syknęła babcia, a ja przez chwilę myślałam, że może jednak uda mi się i tak na prawdę wszystko widzi. Ale zaraz po myślenie, że przecież nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby się spodziewać, że Shane dozwie się do niej.

Mój brat odsunął się od gara, ale wcześniej też skubał sobie z niego kretek. Tony znowu się rozsiadł, tym razem na solidnym drewnie

-

nia nym krze śle, jed nym z wielu po usta wia nych do oko ła rów nie so lid
ne go stołu na kry te go bia łym, za kar do wym ob ru sem.

– Benny! – za skrze cza ła babka, a z rzeź bio nej sza fecz ki nad zle wem
wy ję ła szklan ki. Kuch nię znała jak wła sną kie szeń. – Gdzie jest Benny?

Oj ciec od su nął dla mnie jedno z krze seł, więc od razu je za ję łam, cie
sząc się, że ktoś pró bo wał uła twić mi akli ma ty za cję.

– Je stem – za mel do wał się sta ru szek i od razu pod szedł do czar nej pa
tel ni.

Zła pał za wiel ką, drew nia ną łyżkę i fa cho wo prze mie szał znaj du ją cy
się

w środ ku żół ta wy ryż z wa rzy wa mi i owo ca mi morza. – Po ka zy wa
łem sy -

piał nię jed ne mu z na szych gości.

– Komu znowu? – burk nę ła, ale szyb ko mach nę ła ręką – Ach, tam te
mu.

Roz daj ta le rze. On też bę dzie jadł? – Babka zła pa ła za spory, po dłuż ny
dzba nek z wodą, prze zro czy sty, z na ma lo wa ny mi na szkle kwia ta mi,
i po -

sta wi ła go na stole.

– Za pro si łem go – od parł Benny i schy lił się do rów nież rzeź bio ne go
kre -

den su utrzy ma ne go w wik to riań skim stylu. Ta le rze grze cho ta ły, gdy
sta wiał

je przed nami, a potem się gnął do szu fla dy po wi del ce.

Nagle pod sko czy łam, bo tuż przede mną coś się gwał tow nie po ru szy ło.

Tony par sk nął śmie chem, bo prze ra ził mnie kot, który wsco czył wła śnie na stół. Szczu pły i bury da cho wiec rzu cił mi spoj rze nie spode łba.

– Zjeż dżaj – wark nął na niego oj ciec, spy cha jąc go dło nią na zie mię. Kot za pro te sto wał z nie za do wo le niem, ale szyb ko znik nął.

– Chyba cię nie lubi – za żar to wał do mnie Shane.

– Kto? Kot? Kogo? Ha ilie? – fuk nę ła Blan che, a mnie prze szły ciar ki na dźwięk wła sne go imie nia w jej ustach. Ko bie ta po sta wi ła na stole kosz pie -

czy wa za kry ty pa pie ro wą ser wet ką w zie lo ne list ki. – To gbur, ni ko go nie lubi.

Póź niej ścież ki moje i kota krzy żo wa ły się wiele razy i w isto cie był to naj -

bar dziej na bur mu szo ny zwie rzak, ja kie go kie dy kol wiek wi dzia łam. Nie po -

wie dzia łam tego na głos, ale przy po mi nał mi tro chę Tony’ego.

Obiad minął swoj sko i z za łącz ka mi ro dzin ne go kli ma tu. Chyba wpływ na to miał fakt, że oprócz mnie i bliż nia ków był z nami rów nież oj ciec, no i bab -

cia, czyli osoby w róż nym wieku, tak jak na ro dzin nych obia dach zwy kle by wa ło. W końcu aż trzy po ko le nia za sia da ły teraz przy na szym stole.

Do łącz czył też do nas Sonny. Oj ciec na to na le gał, bo głu pio by było, gdyby jadł w innym po miesz cze niu. Sonny po słu sz nie za siadł w kącie, ale nie ode -

zwał się ani sło wem.

Cam za ga dy wał mnie i bliź nia ków o naj roz ma it sze spra wy, spra gnio ny roz -

mów ze swo imi dzieć mi. Póź niej po da ro wał mi pięk ny złoty ze ga rek. Bar -

dzo ko bie cy i de li kat ny, z wąską bran so let ką i wiel ką, białą tar czą, po środ -

ku któ rej, w miej scu, gdzie krzy zo wa ły się wska zów ki, wid niał drob ny i sub tel ny dia men cik. Za ło żył mi go na mój nad gar stek.

– To taki dro biazg – mówił oj ciec, gdy pa trzył, jak oglą dam go z oczą ro wa -

niem. – Wiesz, że nie po do ba mi się, gdy uro dzi ny ob ra ca ją się wokół rze -

czy ma te rial nych. Z tobą po pro stu widzę się tak rzad ko... – tłu ma czył się.

– Chłop ców po tra fi łem wy cho wy wać bar dziej zde cy do wa nie. Rze czy, które chce li lub któ rych po trze bo wa li, mo głem kupić im każ de go in ne go dnia w roku, bez oka zji. W uro dzi ny cho dzi ło za wsze o to, żeby na chwi lę cała ro dzi na mogła zwol nić, choć na jeden wie czór, usiąść razem, zdmuch nąć świecz ki, zjeść tort, na cie szyć się wła snym to wa rzy stwem... Wo la łem, żeby chłop cy pa mię ta li swoje uro dzi ny jako dzień, gdy każdy czło nek ro -

dzi ny był dla nich i wspie rał ich. Chcia łem, żeby wi dzie li pięk no w ta kich pro stych, ma łych rze czach.

-Dylan mówił, że wszy scy do sta li auta na szes nast ki – od par łam scep tycz -

nie, od ry wa jąc wzrok od pięk nej tar czy ze gar ka.

– Cóż, aku rat w tym wy pad ku to się zga dza – za śmiał się Cam. – Szes na ste uro dzi ny to wy ją tek... A wła śnie, jak ci się po do ba twoje po

rsche?

– Jest bardzo ładne – od powiedz mi uprzejmie, na co Cam zaśmiał się znowu i mnie przytułił.

Tego dnia spędziłam z ojcem i braćmi dużo czasu, a gdy już nie mogłam za-

pać, no w końcu nadopieczony mi powiedział, że pójdę spać. Choć planowałam jutro pojechać z nami, powiedział mi, że nie, Cam zaśmiał się, żeby przełóżycie na sobotę. Dzięki temu mogłam sobie odpuścić przez jeden dzień.

Mój życiowy grafiol nie mógł być bardziej rozbity, ale wtedy jeszcze my-

ślałam, że będzie mi to zupełnie nieobojętne, więc przytaknęłam i następnego dnia cieszyłam się wolnym piątkiem.

Sonny również nie miał pracy, jako że miałam i tak być całą głę pod opieką ojca. Nie wiem, po co on tu w ogóle przyjechał.

Śniadania podał mi Blanche i Benny'ego były raczej ubogie i składały się głównie z owoców, ciasta, kakao, kawy i herbaty albo grzanki z dżemem -

mem lub oliwą i szynką i rybkami. Vince był tutaj przez krótko, słowo daję.

Ten najważniejszy, po dobrym, po śnieku dnia ja da no też tutaj całą noc późno, ale w ogóle cały ten dom budził się do życia z wyjątkiem opóźnienia.

Zgodnie z tym, co usłyszałam z ust babci, tego dnia wstała o jedenaście.

Moja babcia Bonnie przebudziła się około szóstej rano. Takie wcześnie -

sne wsta wa nie wy da wa ło mi się ko lej ną cechą cha rak te ry stycz ną babć.

Blan che zda wa ła się jed nak wy jął kiem od pra wie każ dej re gu ły.

Potem dałam się ojcu za pro sić na spa cer po plaży. Dzień nie był chłod ny, ale cał kiem nie źle wiało, dla te go za ło ży łam na nagie ra mio na swe ter, a na gołe stopy ba let ki. Oka za ło się, że w ogrom nym ogro dzie na te re nie domu babci i Benny’ego znaj do wa ły się za ro śnię te i eks tre mal nie stro me schod ki wy rzeż bio ne w skale ze starą, za rdze wia łą ba lu stra dą po jed nej stro nie. Oj -

ciec scho dził po nich jako pierw szy, żebym w razie upad ku wpa dła na niego, a nie po to czy ła się w dół. Wi do ki ab so lut nie wy na gra dza ły tę dra -

stycz ną prze pra wę. Ra czej pa trzy łam pod nogi i pil no wa łam, by się nie po -

śli zgnąć, ale gdy już uno si łam głowę, za mie ra łam z za chwy tu.

Kra jo braz był bar dzo le ni wy, taki, w jaki można by się wpa try wać przed drzem ką po sytym obie dzie. Po je dyn cze chmu ry su nę ły sen nie po nie bie -

skim nie bie, a pia sek zda wał się tań czyć do me lo dii po wol nej bryzy, która nad cho dzi ła od oce anu i przy oka zji przy wie wa ła ze sobą małe, spo koj ne fale. Sły chać było mewy, za pach soli ude rzał w noz drza, a przy jem na cisza dzia ła ła re lak su ją co.

– Ład nie tu, co? – za ga ił oj ciec, uśmie cha jąc się do mnie ła god nie. Gdy tylko zna lażł się u pod nó za tych okrop nych, wą skich i jesz cze na do da tek śli skich scho dów, od wró cił się, żeby wy cią gnąć do mnie dłoń i pomóc mi ze sko czyć na pia sek. Chęć nie ją przy ję łam.

– Pięk nie – zgo dzi łam się, bio rąc głę bo ki wdech, który wy peł nił całe moje płuca świe żym, mor skim po wie trzem. Oboje zdję li śmy buty i prze szli śmy przez całą plażę aż do wody, by za nu rzyć w niej stopy. Uśmiech

nę łam się sze ro ko, gdy po czu łam jej lekki chłód. – Przej dzie my się brze giem?

– Jak sobie ży czysz, kró lew no.

Chwi lę roz ma wia li śmy o wszyst kim i o ni czym. Po ka zy wa li śmy pal ca mi na wi szą ce da le ko na nie bie pa ra lot nie. Prze wi dy wa li śmy, czy słoń ce scho wa się za tą nad cho dzą cą, małą chmur ką, czy może ona je omi nie. Ko men to -

wa li śmy, jak to jest tu miło i spo koj nie. Aż w końcu prze szli śmy do zu peł -

nie in nych spraw.

Oj ciec wy py ty wał mnie, co się dzie je w domu. Opo wia da łam mu, jak bar -

dzo nie po do ba mi się po myśl ze zda nym na ucza niem i po jego re ak cjach wi dzia łam, że Vin cent na pewno in for mo wał go na bie żą co o wszyst kim, bo w ogóle nie był za sko czo ny moim na rze ka niem.

– Chcia ła bym... pójść na spa cer. Sama, bez chło pa ków i ochro nia rzy – mó -

wi łam. – Albo wyjść na deszcz bez kurt ki tak, żeby nikt mi nie zrę dził nad uchem, że mam wra cać, bo się roz cho ru ję. Chcę wy mknąć się na chwi lę z domu bez wie dzy Vin cen ta i resz ty. Chcę na pi sać wia do mość do przy ja -

ciół ki o tym, jak bar dzo wku rza mnie mój naj star szy brat, bez obaw, że on to prze czy ta. Chcę, nie wiem... Pójść na im pre zę i po tań czyć, po znać ludzi, kla skać w rytm mu zy ki i śpie wać na głos hity z radia... Chcę wol no ści –

wy mie nia łam, pa trząc cią gle na stopy, które co chwi lę za nu rza ły się przy -

jem nie w chłod ne wody oce anu.

Oj cieć mil czał przez chwi lę i sły chać było je dy nie szum fal.

– Ha ilie – za czał Cam i prze ło żył sobie buty z jed nej ręki do dru giej, jakby ta czyn ność miała mieć ja kieś zna cze nie. – Wiem, co czu jesz. I choć pew nie cię to zdzi wi, chłop cy też wie dzą. A już naj bar dziej Vince i Will. Ro zu mie li naj wię cej po śmier ci ich mamy. I naj bar dziej od czu li to, gdy roz ka za łem trzy mać ich wszyst kich pod klu czem. Sam po je cha łem na Flo ry dę, jak już ci opo wia da łem, a synów zo sta wi łem z opie kun ka mi i ochro nia rza mi, któ -

rzy nie od stę po wa li ich na krok i nie po zwa la li wy ściu bić nosa poza teren na szej po se sji. Mi nę ły ze dwa lata, zanim po zwo li łem im wró cić do nor mal -

ne go życia. Vince i Will się bun to wa li, zu peł nie jak ty, a ja ich nie słu cha -

łem, bo waż niej sze dla mnie było ich bez pie czeń stwo. Nie na wi dzi li mnie, a ja mia łem to gdzieś i nie da wa łem sobie smar ka czom wejść na głowę.

Po pa trzy łem na niego za dzi wio na.

– Ale... to nie to samo – za pro te sto wa łem. – To nie to samo. Bo ile oni mieli wtedy lat?

– Vince trzy na ście, Will dzie więć...

– No wła śnie. Co in ne go za mknąć przed świa tem dzie wię cio lat ka, a co in -

ne go szes na sto lat kę.

– Co in ne go, gdy ktoś mor du je matkę moich dzie ci, a co in ne go, gdy ktoś na praw dę pró bu je zabić jedno z nich – od parł oj cieć, a w jego gło sie, choć de li kat nym i do bro tli wym, po brzmie wa ła nuta twar do ści i zde cy do wa nia, która utwier dza ła mnie w prze ko na niu, że Cam pod jął już de cy zję i nie zmie ni jej, a je dy nie po zwa la mi się wy ga dać.

Wes tchnę łam cicho i po prostu obserwowałam czarującą co przez źródło czy stała woda. Ja kiedyś słyszałam ją za mamą czy w ogrodzie. Ktoś również przejechał -

dział się przede mną w chybę jeszcze wolniej szym templem niż my.

– Wolność, Ha ilie – zaczął nagle o ciebie, przez rywając za równo swoje, jak i moje ciche prześledzenie – jest przez reklamowana.

Aż ode rwałam wzrok od moich stóp i spojrzałam na niego z uniesionymi brwiami.

– Czy to nie wolność jest jedynym z podstawowych praw człowieka?

– Lu dzie lubią trąbić o niej na prawo i lewo. Gdyby się zamknęli na chwilę, żeby pośledzić, uświadomiłoby sobie, że nikt na tym świecie nie jest tak na -

prawdę wolny.

– Nie zgadzam się. Lu dzie, którzy mogą o sobie decydować, są wolni.

– O jakich do kładnie decydują? – za pytał o ciebie z uśmiechem na twarzy. Wyraźnie czerpał przyjemność z naszej małej dyskusji.

Znowu spojrzałam pod nogi. Między nami wlaśnie piękna biała muśka i gdy -

bym nie skupiła się tak na formułowaniu sensownej odpowiedzi, to na pewno bym się po nią schyliła.

– No na przykład... Wybór za twoje, wybór szkoły, wybór, chociażby, ubrań.

– Wybór ubrań? – zaśmiał się Cam, wiedząc, że nie wspomniałam o tym bez powodu. – No do brze, Ha ilie, nie zrozumiem źle. Wiem, o czym mówię -

wisz. Spróbuję teraz przedstawić ci ten problem z nieco bardziej abstrakcyjnie -

nie go punktu widzenia, do brzo? Postraj się, proszę, otworzyć umysł. Nie chcę zmieniać twoich poglądów, uważam tylko, że to cię każe rozmyśleć, i chciałbym poznać twoją opinię na temat tego, co postraj.

Pokładam głowę.

– Okej. Postraj, że Vince straj ci straj że straj krótkiej kiej ki. Zgodnie z twoją definicją wolności nie postraj nienależności, czego nie wolno ci nosić, tak?

– Tak.

– Dobra. Zakładam, że jednak Vince ma w nosie, co nastraj się straj.

I zakładam, że bardziej straj ci, żeby straj postraj nago. Chcesz tego, bo to straj zdrobie, bo straj fisia na punkcie straj, bo straj moda na straj -

kastraj wot nie go straj ja kiej inne gówno. Czy straj zesz straj na straj sto bez straj?

Zmarsz czy straj brwi na straj dziwne straj.

– No straj.

– A straj?

– Bo straj wolno. Ale straj straj.

Cam straj straj na straj.

– Prawo straj straj. A straj straj, który straj straj, że straj wolno straj -

straj nago straj, straj straj straj straj straj.

– Ale to co in ne go, to po pro stu prze kra cza gra ni ce do bre go smaku. To jak por no gra fia – za pro te sto wa łam.

– Dla jed ne go por no gra fia, dla in ne go na tu ra. A gra ni ce do bre go smaku každy ma po sta wio ne gdzie in dziej.

Po krę ci łam głową, bo oj ciec nie źle w niej na mą cił.

– Ale jako lu dzie go dzi my się prze strze gać prawa. A Vince pra wem nie jest.

To, że nie mogę nosić mi niów ki, to jego nie po par te sen sow ny mi ar gu men -

ta mi wi dzi mi się.

– Vince jest twoim praw nym opie ku nem. A prawo mówi, że praw ny opie -

kun lub ro dzic może wy cho wy wać we dług wła snych wie rzeń i zasad. Nie -

któ rzy we ge ta ria nie nie po da ją swoim dzie ciom mięsa. Czy robią do brze?

To kwe stia spor na. Nie któ rzy wy bie ra ją, żeby zaraz po uro dze niu ochrzcić dzie ko, za miast po zwo lić mu być wol nym i sa me mu zde cy do wać się na jakąś re li gię. Nie któ rzy wy bie ra ją język fran cu ski dla swo ich dzie ci, a inni wołą wło ski. Nie któ rzy po zwa la ją swoim dzie ciom zo sta wać na im pre zach do rana, a inni żą da ją po wro tu jesz cze przed jej roz po czę ciem – tłu ma czył

mi oj ciec.

Mi nę li śmy się wła śnie z tymi wę drow ca mi, któ rych wcze śniej wi dzie li śmy z da le ka. Jakaś młoda para, uśmie cha ją ca się od ucha do ucha. Roz ma wia -

ją ca w ję zy ku, któ re go nie zna łam.

– Są też tacy, którzy w ogóle nie pozwalają swoim dzieciom wyjść z domu
–

wtrą ci łam po nu ro.

– Są i tacy – zgo dził się. – I nie którzy mają całkiem dobre powody. –
Cam od chrząknął. – Choć dzi o to, że wolność to pojęcie względne. Do
rosli ludzie też wcale nie są wolni. Ograniczenia ich, chociażby, praca.
Muszą pracować, żeby zarabiać, a muszą zarabiać, żeby zjeść i zapłacić
rachunki. Życie i sport -

łęczność, w którym żyjemy, to więc nie dla nas wszystkich.

Wypuściłam powietrze, przygnęcioną cię za ramię po głowę ojca,
który tylko rzucił mi przez łokieć uśmiech i kontrybucję:

– Chcę powiedzieć, że każdy jest ograniczony w jakiś sposób. Tobie
może się wydawać, że ty jesteś bardziej niż inni. Ale zmieni się zdanie w
przyszłości -

ści – stwierdził. – Kiedyś zobaczysz, że decyduje, choćby te, o których

wspominałam, do tych rzeczy za wodu czy stąd, będziesz mogła po
mówić o wiele więcej niż chociażby twoi rodzice. A
to wszystko dzięki przyjaźni ności do naszej rodziny – opowiedział, a
ja teraz już nie od -

rywałam od niego wzrokiem, chłonąc jego słowa. – Będziesz, moja
Hilary, mogła studiować, co chcesz, gdzie chcesz, bez względu na
koszt -

sne go. Będziesz mogła mieszkać w luksusowym akademiku albo
małej willi i co dzień nie jeść obiadów w restauracjach, skupić się na
nauce i nie martwić o pracę.

Milczalam.

– Takimi przykłada mi mógłbym sypać jak z rękawa. Wiem, że nie
wszystko -

kie cię prze ko na ją, i wiem, że nie któ rzy lu dzie osią ga ją wiele nawet bez od -

po wied nie go star tu, co jest godne po dzi wu i czemu chylę czoła, ale i tak wnio sek jest ten sam. Wol ność to ilu zja. – Nagle oj ciec za trzy mał się i zła -

pał mnie de li kat nie za ramię, ob ra ca jąc się do tyłu. – Wra ca my? Już i tak długo cho dzi my, a jesz cze czeka nas ka wa łek do domu.

Po ki wa łam głową.

– Na praw dę – za czę łam i przy gry złam wargę, gło wiąc się, jak do brze ubrać w słowa to, co chcę po wie dzieć – my ślisz, że będę mogła stu dio wać, gdzie chcę?

Cam za śmiał się na widok mojej scep tycz nej miny.

– To bę dzie na pewno wy zwa nie dla chło pa ków, żeby wy pu ścić cię z domu do col le ge’u, ale nie chciał bym, żeby nasza na do pie kuń czość sta nę ła ci na dro dze do speł nie nia ma rzeń – mówił, po czym tro chę się chyba zre flek to -

wał, zwłasz cza gdy spo strzegł, jak moje oczy roz bły sły. – Zo ba czy my, oczy wi ście, jak się spra wy będą miały w przy szło ści...

– Cho dzi ci o to, czy nikt nie bę dzie chciał mnie zabić? – do my śli łam się.

– Na przy kład – wes tchnął Cam, pró bu jąc brzmieć swo bod nie, ale to chyba nie był dla niego naj lep szy temat do żar tów, bo tro chę się spiął i chyba dla -

te go zaraz skie ro wał roz mo wę na lżej sze te ma ty.

Śmia łam się wnie bo gło sy, gdy opo wia dał mi, jak dzie sięć lat temu na tej samej plaży Vince upił Willa do nie przy tom no ści trze ma bu tel ka mi wina, które wcze śniej za brał z za pa sów Blan che i Benny’ego.

Był też moment, gdy przez dłuższą chwilę szliśmy w ciszy. Chyba prawie całe dzie sięć minut. Do brzo nam się miło było w naszym towarzystwie.

Czułam się komfortowo i nie miałam powodu płakać bez sensu. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Robiło się chłodno, więc opatulłam się sweterem, wystawiając twarz do przeciwnego kierunku przez chmurę słońca.

– Co do tego, o czym mówiłam na początku – odezwał się znowu ojciec, a ja, nie otwierając oczu, wciąż poszłam u jego boku. Uśmiechnęła się -

łam się tylko na dźwięk jego głosu. Miło, że zaczęłam jakiś temat, a on tak do kłada nie chciał go ze mną przeobrazić. Do brzo było być słuchaną. – Mówi -

łam, że chciała być iść na spacer bez ochrony, co jest zbyt ryzykowne.

Wyknać się z naszej rodziny w Pensylwanii też ci się raczej nie uda.

Wiem o tym do brzo, bo mając pięciu nieusłuchanych synów, za dbałam, żeby było to niemożliwe. Ale postaram się spełnić przy najmniej częściowo choć jedno z twoich życzeń... – obiecałam.

I bardzo szybko do trzech małych słów.

36

COŚ SŁODKIEGO

Bliźniacy siedzieli na ganku. Popijały piwo i przykładały do wlewniemiem po wieki, co chwila coś do siebie mrużąc. Shane trzy mały nogi na stole, a wokół głowy Tony'ego unosił się lekki dym, który zdradzał, że pod sto -

łam chociaż pałosa. Rzadko byli do siebie aż tak podobni jak teraz.

Oj ciec i ja na chwi lę do nich do łą czy li śmy. On oparł się tyłem o ba lu
stra dę i za pa lił cy ga ro, a ja wci snę łąm się na ka na pę obok Tony'ego,
który łą ska -

wie prze su nął się o za le d wie kilka mi li me trów.

Wkrót ce Blan che za wo ła ła nas do kuch ni, a ja do znu dze nia byłam go
to wa po wta rzać to, jak wiel kie wra że nie ro bi ła na mnie swoją za rad
no ścią mimo nie peł no spraw no ści. Benny usma żył dla nas ryby, a ona
za ję ła się całą resz -

tą, po da jąc nam pysz ną i pro stą sa łąt kę z octem oraz pie czo ne ba ta ty.
Każdy do stał też po małej pu szecz ce piwa, łącz nie ze mną, ale oj ciec
niby od nie -

chce nia od su nął ją na bok.

Na deser je dli śmy ga ła ret kę z pest ka mi ze świe żo ze rwa nych gra na
tów, które Benny ho do wał w swoim sa dzie. Potem nad szedł czas na od
po czy nek i wszy scy ro ze szli się po domu w mgnie niu oka tak, że ja
kimś cudem nie -

for tun nie zo sta łąm w kuch ni sam na sam z Blan che. Gdy unio słam
głowę znad te le fo nu i sobie to uświa do mi łąm, prze szedł mnie dreszcz.

Przy zna ję, w pierw szej chwi li po my śla łąm, żeby wy mknąć się nie po
strze -

że nie, ale nie zro bi łąm tego. Blan che na pewno usły sza ła by mnie i wie
dzia -

ła by, że to ja. W końcu sta wia łąm naj lżej sze kroki ze wszyst kich do
mow ni -

ków.

Wes tchnę łąm w duchu i pa trzy łąm na jej plecy, gdy sta nę ła przy zle wie
i za -

czę ła zmy wać na czy nia. Dziś miała na sobie czer wo ną pod ko szul kę i białe, lnia ne spodnie. Gdy po raz pierw szy ją rano tak zo ba czy łam, sta nę łam jak wryta na widok jej chu de go ra mie nia, na któ rym wy ta tu owa ną miała prze -

ra za ją cą ko stu chę w czar nej pe le ry nie z kap tu rem, pu sty mi oczo do ła mi, po -

twor nym gry ma sem i długą, ostrą kosą. Pra wie się prze że gna łam i po raz ko lej ny za tę sk ni łam za bab cią Bon nie, która była jak dla mnie od po wied nio bab cio wa ta.

– Pomóc ci? – za py ta łam z grzecz no ści.

Blan che nawet nie drgnę ła, tak jakby wie dzia ła, że tu je stem, i tylko cze ka -

ła, aż się ode zwę.

– Mo żesz po zmy wać – od par ła i jak na roz kaz od su nę ła się od zlewu, zdzie ra jąc z rąk gu mo we rę ka wicz ki. Przy oka zji się od wró ci ła i zmro zi ła mnie tymi swo imi pu sty mi oczami. Nie są dzi łam, że spo tkam kogoś z bar -

dziej lo do wa tym wzro kiem niż Vin cent.

Po ki wa łam głową, a zaraz bez gło śnie się w nią pac nę łam i rzu ci łam „Okej”.

Za ję łam jej sta no wi sko i za ło ży łam po rzu co ne rę ka wi ce.

Gdy pu ści łam wodę, ude rzy ło we mnie, jak dużo czasu mi nę ło, odkąd ostat -

ni raz zmy wa łam. U Mo ne tów pra wie w ogóle tego nie ro bi łam. Czy ja tam kie dy kol wiek prze płu ka łam cho ciał szklan kę? Ja kie go ko lo ru mamy kran?

Blan che sobie nie po szła, tylko chwi lę na mnie pa trzy ła, a ra czej stała nade mną i czu wa ła, po czym za bra ła się do po rząd ków.

– Spo dzie wa łam się, że bę dziesz py ska tą, roz pusz czo ną ma ło la tą, która myśli sobie, że jest pę pkiem świa ta – ode zwa ła się nagle. – Muszę przy -

znać, że mi ło mnie za sko czy łaś.

– Ja też spo dzie wa łam się cze goś in ne go – wy pa li łam, zanim zdą ży łam po -

my śleć.

Jej słowa brzmia ły jak kom ple ment. Moje... nie ko niecz nie, jed nak Blan che wy da ła z sie bie jakiś skrze kli wy dźwięk i znowu od wró ci łam się, nie do -

wie rza jąc, bo naj wy raż niej zdo ła łam ją roz ba wić.

-Nie wąp ię – mruk nę ła, po czym do da ła gło śniej po chwi li: – Bab cię od stro ny mamy zna łaś pew nie od uro dze nia, co?

– Tak, miesz ka łam z nią i z mamą. Była naj lep sza – wy zna łam z uśmie chem na ustach, który wpełzł na nie na samą myśl o dro giej babci Bon nie.

– Niech zgad nę, no si ła si we go koka, świet nie go to wa ła, miała uspo so bie nie anio ła i pew nie ro bi ła na dru tach, co?

Za śmia łam się cicho.

– Pra wie. Nie ro bi ła na dru tach. Za to plo tła kosze.

– Kosze? – po wtó rzy ła Blan che.

– Kosze.

– Za je bi sta spra wa – mruk nę ła, a ja po raz ko lej ny się ob ró ci łam, by na nią spoj rzeć, za sko czo na prze kleń stwem, które w tak na tu ral ny spo sób opu ści ło jej usta. Ścią ga ła wła śnie obrus ze stołu i kie ro wa ła się z nim do wą skich drzwi, które wy cho dzi ły z kuch ni na ogród, tak by nie zgu bić po dro dze ani okru cha z na szej małej uczy. Wy trze pa ła go u progu domu, po czym sta ran -

nie zło ży ła w ko stecz kę. Wtedy też ja odło ży łam do su sze nia ostat ni pu cha -

rek na wy ło zo ny ręcz ni kiem ku chen nym blat, za krę ci łam kran i zdję łam ostroż nie rę ka wicz ki.

– Skoń czo ne – oznaj mi łam i ro zej rza łam się po po miesz cze niu, po szu ku jąc in nych czyn no ści, w któ rych Blan che mo gła by po trze bo wać po mo cy.

– No to czas na sje stę – za po wie dzia ła, ale na chwi lę jesz cze się za trzy ma ła.

– Dzię ki za pomoc. Wnucz ko. – Ostat nie słowo wy po wie dzia ła w taki spo -

sób, jakby było ono ja kimś eg zo tycz nym owo cem, który wła śnie po raz pierw szy w życiu po sma ko wa ła i jesz cze nie wy ro bi ła sobie o nim zda nia.

– Nie ma za co. Bab ciu – od po wie dzia łam tym samym.

Od wró ci ła się po wo li na pię cie i zbli ży ła się do mnie, wy cią ga jąc przed sie -

bie rękę. Tro chę się spię łam, co było naj zwy klej szym me cha ni zmem obron -

nym mo je go ciała, bo nie wie dzia łam, czego się po tej ko bie cie spo dzie wać.

Jej palce mu snęły moje ramię i po de szła do mnie jesz cze bli żej, błędząc dłoń w górę, do moich włosów. Do tknęła boku mojej głowy i po czułam twar dość jej pierścienka na skroni. A potem za skończyła mnie, gdy złożyła de likatny, pełen czułości pocałunek na moim czole. Następnie pogłaskała mnie po policzku.

– Do brzo mieć cię w końcu w rodzinie.

I poszła.

Zostałam sama, wpadając się w mój ścieg, w który zniknęła.

Była dziwna i nie do końca wiedziałam, jak się z nią obchodzić, ale chyba mnie nie nawidziła. Zdała się miła na swój własny sposób, a jej ostatni

nie słowa sprawiły, że się uśmiechnęłam.

Zdecydowałam się także wykończyć się i zamknąć się w przydzielonej mi sypialni, rozłożyć się na łóżku i przeczytać książkę albo nawet się zdrzemnąć.

Gdy szłam dłużej gimbolem, żeby wejść na schody, do tarłam do głownych drzwi, które były uchylone. Od razu usłyszałam głos ojca i jakiegoś zduńca weszła cież Tony'ego. Za chwilkę odezwał się też Shane i mi mówił nie przychodziłam, za intrygowana. Mu się li w trójkę się dzieć na ganku.

– ...bez sensu – ko men to wał Shane, a jego ton był wyraźnie sceptyczny.

– Jest smutna, czuje się osaczona, zresztą nie ma co się dziwić. Po prostu je trochę rozrywki – mówił ojciec i nie trudno było wywnioskować, że chodzi o

to mu o mnie, a więc nie było już szans, żebym tak prosto przestała pod

śluchiwać.

– Jest na pie przo nych Wy spach Ka na ryj skich, to nie wy star cza ją ca roz ryw -

ka? – rzu cił Tony ty po wym dla sie bie, mru kli wym gło sem.

– Po trze bu je no wych do świad czeń, ta kich zu peł nie bez stre so wych – kon ty -

nu ował oj cieć. – Chcę, żeby się wy lu zo wa ła i uśmiech nę ła. Dla te go za bie -

rze cie ją na ko la cję. Jeśli bę dzie miała ocho tę, to kup cie jej nawet kie li szek słod kie go wina albo jakąś, nie wiem, małą puszkę piwa cy try no we go. Ro -

zu mie cie, o co mi cho dzi?

– Vin cent gro ził nam, że jak któ ryś z nas po czę stu je ją al ko ho lem, to mu się obe rwie – wtrą cił Shane, z po brzmie wa ją cą nutą znu że nia.

– Ale teraz ja mówię, że tego jed ne go, dzi siej sze go wie czo ra może być ina -

czej – wark nął oj cieć i pew nie ob rzu cił moich braci ostrze gaw czym spoj -

rze niem, aby le piej zro zu mie li prze kaz jego słów. Tak sobie to wy obra ża -

łam, bo ich nie wi dzia łam. – Za bie rze cie ją póź niej do ja kie goś kul tu ral ne -

go baru, gdzie bę dzie sobie mogła po tu pać nóżką do pio se nek ja kiejs Sha ki -

ry. Żad nych pa tu siar skich melin ani zde gra do wa nych noc nych klu bów, jasne?

Nie do sły sza łąm z ust chło pa ków żad ne go po twier dze nia, ale mu sie li po ki -

wać gło wa mi, bo za chwi lę oj ciec mówił dalej.

– A teraz naj waż niej sze. Macie jej, kurwa, pil no wać, ro zu mie cie? Mówię po waż nie. Na każ dym kroku. Żad nych tań ców ani nawet roz mów z na pa -

leń ca mi, nie spuszczać jej z oczu, choć by ozna cza ło to, że macie ster czeć w dam skim kiblu pod ka bi ną. W końcu ona ma ledwo szes na ście lat.

I skup cie się na tym, żeby przede wszystkim to ona się do brze ba wi ła, jasne? Wy sobie mo że cie im pre zo wać po swo je mu każ dej innej nocy. Jasne czy nie ja sne?

Bliź nia cy mruk nę li pod no sa mi coś, co chyba ozna cza ło „jasne”. Przy kry -

łam usta dło nią, ro biąc wiel kie oczy z pod eks cy to wa nia. Chwi la, chwi la, wow. Co tu się wła śnie wy da rzy ło? Czy oj ciec zmu szał chło pa ków do za -

bra nia mnie na im pre zę? Do baru? Mia łam ocho tę par sk nąć w oszo ło mie -

niu. No nie może być.

Roz mo wa jesz cze się nie skoń czy ła, ale oj ciec się po ru szył i wy stra szy łam się, że wej dzie do domu, więc zwia łam z tego nie zbyt bez piecz ne go do pod słu chi wa nia miej sca. Po pę dzi łam na pię tro, ska cząc co drugi scho dek, ale tak ostroż nie, żeby żadna deska pod moim cię ża rem nie za trzesz cza ła zbyt gło śno. Za trzy ma łam się u szczy tu i ob ró ci łam się, z za wo dem od no to -

wu jąc, że nikt jed nak nie wszedł do środ ka, ale nie mia łam od wa gi wra cać na dół.

Przede wszystkim czuję, że nie wyświadczyłem ci tego, co ty dla mnie zrobiłaś, któryś z nich słuchał jak nikt inny. Wyświadczyłaś mi to, co dla mnie było najważniejsze, pełna żalów i skarg, by on po prostu był dla mnie uszczęśliwił. Miałaś ochotę wybiec na ten ganek i przytulić go z całej siły, tak bardzo wdzięczna mi byłam za twoją uwagę i troskę -

zamiennie, z jakimiś do mnie odwołaniami.

Camtrak to wał mnie jak czołowiek i stał się też w dzieciństwie we mnie żywą istotą z uczuciami, które muszą być pełne i z którymi mi obchodzi się trzebabylika nie, by ich nie zranić. Moi bracia byli w tym przypadku -

rowi, co za pewne wynikało z ich wieku i braku doświadczenia w kwe -

stach rodzicielstwa.

Nie mogłam zasnąć, bo byłam zbyt podniecona, myślałam o tym, jak się wyświadczy z braćmi, jak do skutku, a jeśli tak, to jak to będzie wyglądać z Tonym i Shane'em. I to jest ciekawe? Czy będzie fajnie? A może dziwnie? Czy może w ogóle ostatecznie ojców wycofa się z tego pomysłu, na zwał go idiotycznym i kazał chłopa -

kom za mnie, że taki temat został poruszony?

Barako się zmarnowała, gdy ostatecznie nie przyszło mi na myśl. Chciałam ze skończyć z łóżkiem i już teraz zejść na dół, by po kręcić się tam trochę i może niby to przypadkiem wpaść na kogoś z bliznami, a wtedy oni za -

proponowali mi wyjście, a ja udałabym się za skoczną i w końcu wzruszyła -

bym ramiem, mówiąc coś w stylu: „W sumie, czemu nie”.

Nic by to jed nak nie dało, bo wkrót ce na scho dach i na ko ry ta rzu usły
sza -

łam swo bod ne już głosy ojca i chło pa ków. Naj wy raż niej cała trój ka
uda wa -

ła się na drzem kę.

Gdy już my śła łam, że prę dzej ducha wy zio nę, niż zdo łam zmru żyć
choć by jedno oko, pro mie nie wcze sno gru dno we go słoń ca, które za
cho dzi ło o wiele za szyb ko, niżby wy pa da ło, utu li ły mnie do snu.

Spa łam czuj nie, bo nie chcia łam prze spać oka zji do wie czor ne go wyj
ścia, na które już za cie ra łam ręce, nie wie dząc nawet, czy doj dzie ono do
skut ku.

Tak czuj nie, że gdy tylko drzwi do sy pial ni się uchy li ły, moje po wie ki
na -

tych miast za trze po ta ły.

– Ha ilie, śpisz? – za py tał Shane pół szep tem, na co ja prze tar łam oczy,
gra -

jąc swoją rolę naj le piej, jak po tra fi łam.

– Już nie – od par łam z niby to lek kim po iry to wa niem.

– Chcia ła byś... chcesz iść z nami na mia sto? Na... na ko la cję? Ze mną i
z Tonym w sen sie.

Przy kry łam na chwi lę twarz kocem, żebym ukryć kil ku se kun do wy
uśmiech, który mi mo wol nie na nią wpełzł, po czym przy wo ła łam się do
po -

rząd ku. Od kry łam się i rzu ci łam bratu scep tycz ne spoj rze nie.

– Z tobą i Tonym?

– No. Tak wiesz, po szwen dać się po cen trum. Oj ciec nie chce się po ka zy -

wać w tu ry stycz nych miej scach. A babka jest aspo lecz na, nie na da je się na takie wy pa dy – za chi cho tał Shane.

Uda łam, że się na my ślam.

– Okej, jasne – od par łam po chwi li, a cała eks cy ta cja sprzed paru go dzin po now nie za czę ła się we mnie prze bu dzać.

– Okej – wes tchnął. Zga dy wa łam, że miał jesz cze na dzie ję, że będę wo la ła zo stać w domu. – Za re zer wu ję nam sto lik w ja kiejs re stau ra cji z tapas. To takie hisz pań skie prze ką ski. Mu sisz spró bo wać pa pry czek pa drón, są serio od je ba ne.

Shane rze czy wi ście zajął się re zer wa cją, a ja za czę łam się szy ko wać do wyj ścia. Per spek ty wa bycia na mie ście pra wie nocą mnie pod nie ca ła, no bo prze cież zwy kle nie mia łam do tego oka zji.

Było cie pło, o wiele cie plej niż wczó raj, bo wiatr nie był taki nie zno śny, a wła ści wie to teraz już zu peł nie za nik nął. Po kie ro wa łam się tym przy wy -

bo rze gar de ro by i padło na białą bluz kę z rę ka wem trzy czwar te i z płyt kim de kol tem w serek. Była przy krót ka wa, ale do bra łam do niej czar ną spód ni -

cę, któ rej wy so ki stan sty kał się z brze giem bluz ki, skry wa jąc moją nagą skórę, co miało bra ciom oszczę dzić ata ków serca. Spód ni ca się ga ła mi tuż przed kost ki, a jej wiel ką za le tą było dłu gie roz cię cie cią gną ce się aż do gór nej czę ści mo je go uda. Szcze rze mó wiąc, gdy ją za ma wia łam, na zdję -

ciach nie było ono w ogóle wi docz ne. Nie mia łam jej gdzie za ło żyć, ale z ja kie goś po wo du wrzu ci łam ją do wa liz ki, gdy się pa ko wa łam. Gdy sta -

łam nie ru cho mo albo trzy ma łam ma te riał w od po wied nim miej scu,
to moje nogi były cał ko wi cie za sło nię te.

Włosy umy łam, wy su szy łam i roz pu ści łam, a na uszy za ło ży łam te
wi szą ce kol czy ki z dia men ci ka mi, które do sta łam na wy da rze niu
cha ry ta tyw nym fun da cji, tym samym, na któ rym innym po da run kiem
oka za ły się śmier cio -

no śne per fu my. Na nogi na to miast wsu nę łam białe te ni sów ki i gdy
nad szedł

czas, ze szłam na dół, cią gle pil nu jąc, by roz cię cie w spód ni cy się nie
po sze -

rza ło. Nie było ono nie smacz ne, wręcz prze ciw nie, pre zen to wa ło się
świat -

nie, ale wo la łam nie ry zy ko wać. Pla no wa łam prze stać się kryć, do pie
ro gdy bę dzie my już w cen trum i bę dzie za późno, by wró cić i się prze
brać.

– Hej! Po patrz na sie bie, kró lew no – za wo łał oj ciec, gdy moja noga sta
nę ła w sa lo nie, a jego wzrok padł na mnie.

Przez chwi lę wy da wa ło mi się, że mówi to z wy rzu tem, ale tak na praw
dę był to szcze ry za chwył, taki, jaki tylko mógł po czuć ko cha ją cy oj
ciec na widok córki. Nie mo głam po wstrzy mać uśmie chu.

Przy cup nę łam obok niego na opar ciu ogrom ne go fo te la, a on jedną
ręką objął mnie w pasie. Oczy prze niósł z po wro tem na te le wi zor.
Razem z Ben -

nym coś tam oglą da li. Benny sie dział na na roż ni ku, od po czy wa jąc po
całym dniu cięż kiej, acz przy jem nej dla niego pracy w ogro dzie. Blan
che na to miast znaj do wa ła się w dru giej czę ści sa lo nu i krę ci ła się
wokół stołu bi lar do we go.

Za pa trzy łam się na nią, marsz cząc z za in te re so wa niem brwi. Ko bie ta na -

praw dę grała w bi lard. Nie wie dzia łam, na ja kich za sa dach, ale wy głą da ło to na praw dę pro fe sjo nal nie. Z fa scy na cją ob ser wo wa łam, jak de li kat nie maca bile, by bez po ru sze nia ich po znać ich lo ka li za cję. Za ko do wa łam sobie w gło wie, by za py tać ją albo kogoś, jak ona je roz róż nia...

Za po mnia łam o bi lar dzie, gdy do sa lo nu wszedł od pi co wa ny Tony.

Czar na ko szul ka zwi sa ła mu luźno, a jej rę ka wy były tak wor ko wa te, że rów nież mo gły by ucho dzić za takie o dłu go ści trzy czwar te. Od niej i rów -

nie czar nych spodni wy raż nie od zna cza ły się kre mo we buty spor to we z ja -

ki miś po ma rań czo wy mi znacz ka mi. Na szyi błysz czał łań cu szek, zgrab nie scho wa ny pod ko szul ką tak, że wi docz na była tylko nie wiel ka jego część.

Za uchem już w go to wo ści sie dział wci śnię ty pa pie ros, a w swo jej wy ta tu -

owa nej ręce Tony trzy mał za pal nicz kę. Ob rzu cił mnie spoj rze niem od góry do dołu, a ja za ci snę łam palce moc niej na roz cię ciu, tak na wszel ki wy pa -

dek.

– Chodź – mruk nął do mnie, a ja od razu wsta łam, od su wa jąc się od taty, który od chrząk nął i mach nął na Tony’ego, żeby do niego pod szedł.

– No rusz się – wark nął groź nie Cam, gdy zo ba czył, jak jego syn prze wra ca oca mi. Potem zer k nął na mnie i po wie dział o wiele ła god niej:

– Po cze kaj na nich na ze wnętrz, Ha ilie, do brze?

Ski nę łam grzecz nie głową, szczę śli wa, że to nie ja muszę wy słu chi wać ka -

za nia od ojca. Po słusz nie wy szłam na ganek i sta nę łam przy po rę czy, ga pięć się w gra na to we niebo roz ja śnio ne pięk nym księ ży cem, przy po mi na ją cym świe żo upie czo ną, ide al nie okrą głą, po żół kłą bu lecz kę.

Co kol wiek Cam miał do prze ka za nia, szyb ko się uwi nął, bo zaraz tuż przy mnie po ja wił się Tony, a po nie ca łej mi nu cie do łą czył też Shane.

Shane po czo chrał sobie włosy jesz cze bar dziej niż zwy kle. Wy psi kał się dobrą, mocną męską wodą ko loń ską, ale udało mu się nie prze kro czyć gra -

ni cy do bre go smaku. Miał na sobie ko szul kę w ko lo rze zgni łej zie le ni, z ja -

kimś małym znacz kiem po lewej stro nie, który chyba po win nam w końcu za cząć roz po zna wać. Miał też ciem no sza re, dłu gie spodnie i białe buty.

Uszczyp nął mnie w bok, na co ja ude rzy łam go nie dba le w pierś i skie ro wa -

li śmy się za Tonym do tak sów ki, która już na nas cze ka ła ka wa łek dalej na dro dze, tuż za autem Benny'ego. Nie zwró ci łam na nią wcze śniej uwagi, bo była scho wa na, z zu peł nie wy łą czo ny mi świa tła mi. Tony od razu wła do wał

się na miej sce obok kie row cy, a ja i Shane wci snę li śmy się do tyłu.

Wie dzia łam, że bliż nia cy mówią cał kiem nie źle po hisz pań sku, ale tej nocy mia łam praw dzi wy pokaz ich umie jęt no ści, bo ze wszyst ki mi po tra fi li się do ga dać. A to w tak sów ce, a to w re stau ra cji, w któ rej usie dli śmy.

Wy bra li ją moi bra cia i na praw dę po zy tyw nie mnie za sko czy ła. Nie był to jakiś wy mu ska ny bu dy nek z ko lum na mi, wy myśl ny mi ży ran

do la mi, nie ser wo wa no tu ho ma rów w mu śli no wym sosie czy in nych
dzi wactw, kel ne -

rzy nie cho dzi li pod musz ką, a klien ci nie byli na dą sa ny mi bo ga cza
mi.

Wręcz prze ciw nie – ma lut kie sto li ki stały jeden przy dru gim, na krze
seł -

kach zaś sie dzia ło się nie zbyt wy god nie, choć ni ko go nie mogło to
mniej ob cho dzić. Dania w menu nie były zbyt dro gie, a go ście to głów
nie lo kal si i stu den ci.

Tony i Shane usta la li mię dzy sobą, co za mó wić, a ślin ka aż cie kła im
na samą myśl o nad cho dzą cej uczcie. Wkrót ce pod szedł do nas kel ner.
Zer ka -

łam na bliż nia ków, cie ka wa, co mi za pro po nu ją. Nie cią gnę ło mnie
prze sad -

nie do al ko ho lu, ale nie mo głam się oprzeć moż li wo ści na pi cia się z
brać mi.

W końcu po czu ła bym smak rów no ści mię dzy nami, nawet jeśli uda wa
nej.

Shane po dra pał się po gło wie, Tony wes tchnął, po czym obaj spoj rze li
na mnie.

– Chcesz ja kieś wino? – za py tał ten pierw szy, ale za brzmiał, jakby ktoś
wmu sił w niego te słowa. Od razu pod niósł palec w moją stro nę. – Tylko
kie li szek.

Otwo rzy łam sze rzej oczy, niby to za sko czo na, i uśmiech nę łam się przy
mil -

nie, nie śmia ło wzru sza jąc ra mio na mi.

– Coś słod kie go.

Shane za ci snął wargi i za ga dał do kel ne ra o re ko men da cję, jed no cze śnie pa -

trząc w kartę. Wresz cie za mó wi li mi coś o na zwie san gria. Po dob no to wino zmie sza ne z... czymś tam. Jakiś ty po wo hisz pań ski napój. Świet nie się skła da ło.

Pięć minut póź niej na stole zna la zły się dwa kufle piwa dla bliż nia ków oraz pusty, pę ka ty kie li szek przede mną, obok któ re go zaraz do sta wio no wy so ki

dzba nek pełen czer wo ne go na po ju. Pły wa ło w nim mnó stwo ko stek lodu oraz po kro jo nych w pla ster ki owo ców ta kich jak po ma rań cza, li mon ka czy zie lo ne jabł ko. Do środ ka we tknię to drew nia ną ło pat kę.

Unio słam brwi na ten widok.

Oka za ło się, że gdy kel ner za py tał, czy podać tylko kie li szek san grii, czy może cały dzba nek, Shane przy pad ko wo zgo dził się na to dru gie. Hm, może jego hisz pań ski nie był aż tak dobry, jak mi się wy da wa ło.

– Nie waż ne, po pro stu wy pi jesz kie li szek, a resz tę się zo sta wi albo my się tym zaj mie my – za de cy do wał Shane zmę czo nym gło sem.

– Ja tego nie ruszę, prze cież to w chuj słod kie – za pro te sto wał Tony, pa trząc z nie chę cią na tru nek, który Shane wlał mi do kie lisz ka.

Tro chę mi go po za ło wał, a nawet bar dzo, bo ledwo na peł nił na czy nie do po ło wy. Od razu się na to po skar ży łam i Shane wresz cie obie cał mi dołać go odro bi nę wię cej, gdy już wy pi ję to, co mam.

No i jak już można się do my ślić, osta tecz nie wy żło pa łam cały dzban.

37

ŻY JĄ CA W ZŁO TEJ KLAT CE HA ILIE MONET

San gria ab so lut nie tra fi ła w moje gusta.

Smak miała słodki i piło się ją jak oranżadę. Jej chłód skutecznie nie gasił moje pragnienie, jedyną nadzieją podsycającą. Brałam małe łyki, ale bardzo często. Śmiałam się i rozmawiałam z chłopakami, którzy sami poili się piwem i którzy na stroje także się położyli. Opo wiadali mi o tym mniej -

scu, o tym, jak spędzali tutaj różne wakacje czy święta. Blanche zamieszki -

wła Wyspy już od bardzo dawna. Chłopcy mieli więc z tym miejscem wiele wspomnień. Dla tego też znali tę restaurację.

Moi bracia zamówili tak dużo jedzenia, że ta ledwo się mieściła. Mój dzbanek z sangrią został odstawiony na parapet. Na stole natomiast -

łyktaś brał, czyli ziemniaczki z czernym, pikantnym sosem, krążki z kalmarów w panierce, zielone papryczki smażyć na oliwie w soli, chleb -

ki z jajeczno-ziemniaczaną tortillą, mini grzanki z jakąś pomidorem pastą, małże w dziwnym, zielonym sosie, wielkie, czarne oliwki z pestkami o niezwykłym smaku, plasterki zalanymio do wymosiem, bardzo słone anchois, chrupiące sardynki oraz smażyć na maśle kremki.

Choć zwykłe zrezzerwować pod choździłam do no wych smażyć, tak teraz dałam ponieść się lenistwu, za co do zgonnie wdzięczne było moje podniebienie.

Dołałam sobie wina, gdy Shane poszedł do łazienki, a Tony zagapił się na telefon. Również, gdy Tony wyszedł za palenie, a Shane wołał kelnera, by do -

mówić więcej ziemniaków. Potem, kiedy obaj zaczęli gorączkowo dyskusję na jakiś temat, prawie się sprzecznając, i nie zwracali na mnie uwagi. Aż

wreszcie nie zostało w nim prawie nic oprócz zabawnej na różowowodę po stopniach kostkach lodu.

– Ej, co do... Co się stało z winem? – zapytał Shane i mrugając oczami, złąpał

zabawkę i przechylił go, by zająć do środka, mimo iż przez cień był przez -

źródło czy sty.

Za gry złam wargi, by nie wysknął mi się rądo sychać, który miałam ogromną ochotę wybuchnąć. Tony patrzył na mnie po dejrzeniu i nagle otworzył szerzej oczy i walczył się w czoło.

– Wychnęła wszystko – zrozumiął i pokręcił z niego rękami głową, za -

śmiało się krótko pod nosem, a potem pchnął Shane'a w ramię. – Miałaś jej pić no wódkę, zjebie.

– Na prawdę? – dopytywał się drugi bliźniak, skupiając się na mnie z powagą -

gą, choć mi może oddał też kupa Tony'emu.

– Nie – odpowiedziałam psotnie.

– Ona jest na walo – powiedział Tony, patrząc na moje drżące kciuki.

– Dołwaś sobie tego do kieszeni, gdy nie patrzyliśmy?

– Patrzyliście, ale nie wiedzieliście – oznajmiłam wyniosłe, nie czymś mówca na piedestale i już wiedziałam, a także bracia wiedzieli, że sangria uderzyła mi do głowy mocniej, niż przypuszczałam.

Shane ukrył twarz w dłoniach, a Tony gapił się na mnie z uniesionymi brwiami i lekko rozbażoną miną. W zamian wyszczerzyłam się do niego serdecznie.

Wy ciągnęłam rękę do dzbanka, by wyjąć sobie z niego plasterki jabłka.

Bar dokończyła mi te plawy jabłki tam owoce. Zdążyły pysznie na śniadanie całym na pojem i za ją dałam się nimi bez opamiętania. Nie ste ty, w polowie drogi moją dłoń pacnął Shane.

-Wy starczy ci już, co? – upomniął mnie, próbując chociaż brzmieć groźnie, po czym zerknął na Tony'ego. – Chyba lepiej wrócić do domu.

Słyszając te słowa, wygięłam usta w podkówkę, zmarszczyłam czoło i spoj-

rzałam na braci błądliwie.

– Nie! Obiecałyście mi tańce. To nie fair, nie chcę wracać. Czuję się wyśmiewanie.

Nieśmiało do mnie walnęłam pięścią w stół. Aż podskoczyły sztuczki i taletki, ale w restauracji było teraz już tak głośno, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

Tłumy były ogromne, a moje upojone alkohollem zmysły dookoła leignoro-

wały cały ten hałas.

– Ta, i co powiesz tacie? Że pozwoliła jej się na walić i mu się liśmy wrócić?

– za pytał po wzięciu ją co Tony.

– No a co? Przecież ona jest pijana. Gdzie mamy z nią iść w takim stanie?

– Dziś, Shane, nie jest pijana. Wyłuzuj – weszłam głośno.

– Za bierzmy ją gdzieś, gdzie wytańczą alkohol. Zmęczy się, pójdzie spać, a jutro rano obu dzi się i powie tacie, że było fajnie. Proste.

– Tak, Tony, chodź my po tań czyć! – za wo ła łam ocho czo.

On spoj rzał na mnie z po li to wa niem.

– Naj pierw pokaż, że po tra fisz ustać na no gach.

Na tych miast wsta łam i zer k nę łam na niego trium fal nie, tylko dys kret nie przy trzy mu jąć się stołu. Rany, chyba fak tycz nie tro chę mnie zła pa ło. Był to jed nak przy jem ny stan.

Nawet nie wiem, czemu tak bar dzo eks cy to wa łam się tym tań cem, prze cież nie wie dzia łam, jak to jest iść w tłum ludzi i oddać się mu zy ce. Nie po tra fi -

łam tego, nie mia łam do świad cze nia. Tań czy łam kie dyś ta niec to wa rzy ski, gdy byłam bar dzo mała, ale nie po do ba ło mi się, bo chło piec, któ re go przy -

dzie lo no mi jako part ne ra, dużo dłu bał w nosie. Tak bar dzo mnie to obrzy -

dza ło, że wkrót ce zre zy gno wa łam.

Shane za pła cił za nasze je dze nie, a w tym cza sie ja wy szłam z Tonym na ze wnątrz. Sta nę li śmy na dwo rze, gdzie chło nę łam wi do ki mia sta o tak póź -

nej porze. By li śmy na głów nej pro me na dzie, która cią gnę ła się wzdłuż plaży, za dnia pew nie zło tej, pięk nej i sze ro kiej, ale teraz wraz z oce anem two rzy ła tylko jedną, wiel ką, czar ną ot chłań.

Po chod ni ku prze my ka ły grup ki mło dych chło pa ków, ro ze śmia nych i z bu -

tel ka mi, w któ rych mie szał się za pew ne al ko hol. Były też wy stro jo ne dziew czy ny. Nie któ re pre zen to wa ły się tak jak ja, czyli w te ni sów kach i na luzie, ale zna la zły się też takie, które za ło ży ły wy so kie ob ca sy i ob ci słe, krót kie su kien ki, a ey eli ner na po wie kach cią gnął im się po same skro nie.

Bliźnia cy za bra li mnie, zgod nie z obiet ni cą, do baru. Mi nę li śmy po dro dze kilka cie ka wie wy głą da ją cych lo ka lów, ale w każ dym im coś nie od po wia -

da ło. Pod nie któ ry mi z nich usta wia ły się dłu gie ko lej ki. Wresz cie we szli -

śmy do jed ne go, w któ rym było już cał kiem sporo osób, a nie któ re z nich coraz śmie lej ki wa ły się w rytm mu zy ki. Tony twier dził, że to tylko kwe stia czasu, jak mały par kiet po środ ku bę dzie pełny.

Sta nę li śmy przy barze, za któ rym cią gnął się rząd po usta wia nych równo bu -

te lek al ko ho lu. Uwi ja li się tam trzej bar ma ni. Świa tła tu w środ ku były przy ciem nie, a kilka du żych gło śni ków, z któ rych le cia ła gło śna mu zy ka, po usta wia nych było po ką tach.

Sta ra łam się spra wiać wra że nie obe zna nej, nie tyle przed moimi brać mi, któ rzy prze cież wie dzie li, że nie byłam wcze śniej w takim miej scu, ile przed po zo sta ły mi obec ny mi tu ludź mi, z któ rych każdy spra wiał wra że nie, jakby przy cho dził tu co dzien nie. Mu sia łam znowu być naj młod sza w to wa -

rzy stwie. Cie szy łam się, że wy pi łam całą san grię, po nie waż ina czej na pewno cza ła bym się nie śmia ło pod ścia ną. A tak to co chwi lę coś świ ro wa -

łam ku iry ta cji, ale też roz ba wie niu bliź nia ków.

Nie było tu wielu miejsc do sie dze nia. Wszel kie nie licz ne sto li ki po usta wia -

ne w lo żach na prze ciw ko baru były za ję te, i to za pew ne już od dawna. Je -

dy nie wy so kie stoł ki przy barze zwa lia ły się co jakiś czas. W pew nym mo -

men cie Shane wy ha czył jeden z nich i mi go za pro po no wał, gdy po raz setny za ko ły sa łam się lekko.

Bra cia sta nę li po oby dwóch moich stro nach, ni czym ry ce rze w lśniących, mar ko wych zbro jach, a ja opar łam się ple ca mi o blat. Ma cha jąc no ga mi, ob ser wo wa łam, jak im pre zo wi cze po wo li za czy na ją wy pły wać na par kiet.

– Co nor mal nie ro bi cie na ta kich im pre zach? – za py ta łam braci, po wo li nu -

dząc się ich to wa rzy stwem.

– Nie pil nu je my ma łych dzie ci – od parł Tony i wziął łyk piwa.

– Aaa, za miast tego pusz cza cie się z lo so wy mi dziew czy na mi?

Za chi cho ta łam, gdy zo ba czy łam jego minę.

– Nie mów tak, Ha ilie – upo mniał mnie Shane.

Mocno za ci skał szczę kę i na stro szy ły mu się tro chę brwi, więc żeby go wy -

lu zo wać, unio słam rękę i za rzu ci łam ją na jego ramię.

– A jak mam mówić, hm? – za py ta łam, zer ka jąc z jed ne go brata na dru gie -

go. – Jak mówię ład nie, to się ze mnie śmie jesz, a jak brzyd ko, to się de ner -

wu jesz.

– W ogóle o tym nie mów.

Uda łam smut ną minę.

– Aw, co jest, Tony? Czu jesz się nie kom for to wo, jak wspo mi nam o sek sie?

Skrzy wił się. Ha!

– Nie, ale po co pa plać o czymś, o czym nie masz po ję cia, dziew czyn ko?

–

spy tał.

Wes tchnę łam gło śno i de mon stra cyj nie.

– A czyja to wina? To przez was będę wiecz ną dzie wi cą.

Obaj chłop cy za re ago wa li zło śli wy mi uśmie cha mi na te słowa. Jakiś facet stał obok Tony’ego i cze kał, aż zo sta nie ob słu żo ny przez bar ma na. Chyba

sły szał nasze prze ko ma rza nie, bo na ko niec rzu cił mi o wiele zbyt za in te re -

so wa ne spoj rze nie.

Za ru mie ni łam się, ale na szczę ście po pi ja ku uczu cie wsty du znik nę ło tak szyb ko, jak się po ja wi ło. Ob ró ci łam się zwin nie na sie dzie niu i upi łam tro -

chę piwa z bu tel ki Tony’ego, którą od sta wiał na bar.

Wark nął na mnie i mi ją wy rwał. Tro chę na po ju się wy la ło, a ja się za śmia -

łam, zli zu jąc pian kę z gór nej wargi.

Nagle mu zy ka uci chła. DJ, który kilka chwil temu po ja wił się na małej scen ce nie da le ko baru, roz ło żył się ze swoim sprzę tem i już zaraz roz -

brzmia ła mu zy ka o wiele gło śniej sza, ścią ga ją ca uwagę wszyst kich. Już pierw sze dźwię ki la ty no skich hitów za chę ci ły mnó stwo osób do

wkro cze -

nia na par kiet. Ja rów nież za czę łam się nie śmia ło kiwać w rytm mu zy ki.

Shane to do strzegł, bo ski nął głową na par kiet, rzu ca jąc mi ło bu zer ski uśmiech.

– Chcesz za tań czyć?

Po ki wa łam ocho czo głową i ze sko czy łam ze stoł ka. Shane wpro wa dził

mnie na sam środek par kie tu, mię dzy pi ja nych, ale szczę śli wych ludzi. Jako nie zbyt wy bit na tan cer ka kil ku krot nie na dep nę łam mu na but, raz pra wie wpa dłam na ja kie goś wy so kie go chło pa ka, ale Shane w porę mnie zła pał, a jesz cze potem obi łam się o jego klat kę pier sio wą, gdy ob ró cił mną zbyt szyb ko. Nie przej mo wa łam się tym, bo ba wi łam się świet nie. Poza tym może i w tłu mie ci lu dzie zda wa li się tań czyć cał kiem nie źle, ale jakby przyj rzeć się im z osob na, to nie mal każdy ru szał się po kracz nie.

I to było w tym wszyst kim pięk ne.

Ko lej na pio sen ka. I jesz cze jedna. Same reg gae tony. DJ wołał coś o ro bie -

niu ha ła su i ja kieś „olé”. A lu dzie krzy cze li razem z nim. Za czy na ło to za -

kra wać o istne sza leń stwo, ale w po zy tyw nym tego słowa zna cze niu. Wszy -

scy do brze się ba wi li, przy by wa ło coraz wię cej osób.

– Olé! – wy dar łam się nagle razem z in ny mi, wy cią ga jąc ręce do góry.

Za dzi wi łam nawet Shane’a, który sta nął na chwi lę jak wryty.

A gdy puści li utwór Ga so li na, my śla łam, że wy sko czę z sie bie. Krzy cza łam tak gło śno, że czu łam, jak moje gar dło się zdzie ra. Shane szcze rzył się do mnie sze ro ko. Cały par kiet bujał się w rytm mu zy ki, zro bi ło się go rą co, pra -

wie nie dało się od dy chać. Uno sił się za pach potu, zmie sza nych per fum i al ko ho lu.

Shane nie dawał mi odejść nawet na krok, a gdy ktoś zbyt na tręt nie się prze py chał, to wtedy od cią gał mnie na bok i sam szar pał tą osobą, by się uspo ko iła. Jed nak poza ta ki mi mo men ta mi za ba wa była na praw dę kul tu ral -

na.

– Hej! Pękła ci spód ni ca! – za wo łał do mnie brat w pew nym mo men cie, a ja mu sia łam nad sta wić ucha, by wy ła pać, co po wie dział.

Zer k nę łam w dół. Gdy tań czy łam, jedna z moich nóg była prak tycz nie naga i na wierz chu. Nie wspo mi na jąc o bluz ce, która się pod wi ja ła i po ka zy wa ła ka wa łe czek go łych ple ców.

Za śmia łam się gło śno i per li ście, za rzu ca jąc ręce na szyję Shane’a, który ob ser wo wał mnie z ogłu pia łą miłą.

– Nie ład nie, mała dziew czyn ko – burk nął do mo je go ucha, a ja wy szcze rzy -

łam się jesz cze sze rzej.

Już chcia łam mu coś od po wie dzieć, ale po czu łam szturch nię cie i się od wró -

ci łam. Ktoś na mnie wpadł, jakaś dziew czy na. Bar dzo wy so ka blon dyn ka, może nawet wyż sza od Shane’a. Trzy ma ła w ręku szklan kę z ja kimś po ma -

rań czo wych na po jem. To na pewno jakiś drink i na pewno z dużą ilo ścią al -

ko ho lu, są dząc po jej pi ja nych oczach i za czer wie nio nej twa rzy, z któ
rej pot zmył więk szość ma ki ja zu.

– Och, sorry! – za wo ła ła do mnie, a ja po czu łam, jak ramię Shane’a opie

-

kuń czo za ci ska się w moim pasie.

– Nie szko dzi!

– Na wa li łam się – wy zna ła dziew czy na, a ja za chi cho ta łam.

– Też nie szko dzi.

– Bar dzo mło- do wy głą dasz. Jesz teś stu dent ką z wy wy mia ny? – za
py ta ła, a ja do pie ro roz po zna łam, że mówi z ja kimś nie zna nym mi ak
cen tem. Pi jac -

ki spo sób, w jaki for mu ło wa ła słowa, też nie uła twiał spra wy.

Po ki wa łam głową, uni ka jąc spoj rze nia Shane’a. Prze cież nie po wiem
jej, że mam szes na ście lat i cho dzę do li ceum.

– Skąd je steś? – za py ta ła.

– Ze Sta nów.

– Wow, zaje- biście! Ja z Ho lan dii. Ej dobra, stara, muszę le cieć. Jesz cze
się na pewno zo ba czy my. Adiós! – po że gna ła się dziew czy na, któ rej
imie nia nie zdą ży łam po znać.

Fak tycz nie jesz cze się tej nocy zo ba czy ły śmy. Po czę sto wa ła mnie
jed nym z szo tów tequili, któ ry mi dzie li ła się razem z in ny mi stu den ta
mi.

Wła śnie scho dzi łam z par kie tu i wra ca łam w miej sce, gdzie zo sta wi li
śmy Tony’ego. Zaj mo wał mój sto łek i flir to wał z jakąś dziew czy ną, a
obok Ho -

len der ka ku po wa ła al ko hol i jak tylko mnie zo ba czy ła, wci snę ła mi w rękę ma leń ki kie li szek, któ rym się ze mną stuk nę ła.

-Ani mi się waż! – za wo łał Shane, gdy do strzegł, co się dzie je, a ja ze stra -

chu prze chy li ła m go i na tych miast po czu ła m ogień w gar dle. Jak bym po -

łknę ła pa lą cą się świe cę. Za czę ła m kasz leć, moja nowa ko le żan ka chi cho ta -

ła i biła mi brawo, a dłoń Shane’a za ci snę ła się na moim ra mie niu. Mocno.

– Co, do cho le ry? Ha ilie!

Prze tar ła m usta wierz chem dłoni i od wró ci ła m wzrok, by nie mu sieć pa -

trzeć mu w oczy. Za miast tego za czę ła m roz głą dać się za swoją oran ża dą.

– Co z nią? – za py tał Tony, od chy la jąc się na chwi lę od dziew czy ny, z którą roz ma wiał.

– Wy pi ła szota!

– Czego?

– Tequila, bejbi! – za wo ła ła Ho len der ka, mi nąw szy nas, by znik nąć znowu w tłu mie. Po dro dze zer k nę ła prze lot nie na moich braci. – O kurwa! Je ste -

ście klo na mi!

I już jej nie było.

– Ja pier do lę, no prze cież nie wy trzeź wie jesz, jak się bę dziesz poić al ko ho -

lem. Zwłasz cza szo ta mi. Zwłasz cza tequilą – po wie dział do mnie Tony.

– Ale to było tak ma lut ko – za pro te sto wa łam i po ka za łam pal cem wska zu -

ją cym i kciu kiem, ile do kład nie to było moim zda niem. Wtedy też zo rien to -

wa łam się, że tro chę za czął mi się plą tać język, więc ugry złam się w niego lekko.

– Chodź my stąd już le piej. Trud no ją upil no wać.

– Nie! – za wo ła łam i praw dzi wy strach za wład nął moim cia łem. Za czę łam krę cić głową i zro bi łam krok do tyłu.

– Tak, małe dziew czyn ki już dawno śpią – rzu cił Shane.

Chyba był mną po iry to wa ny.

Tym bar dziej nie mia łam nic do stra ce nia. Od wró ci łam się i dałam nura w gęsty tłum ludzi. Ledwo usły sza łam, jak bliż nia cy za mną wo ła ją, tak gło śno było. Na do da tek szu mia ło mi w gło wie. Reszt ki zdro we go roz sąd ku po wstrzy ma ły mnie przed opusz cze niem lo ka lu, a może po pro stu za do brze się tu ba wi łam, by to zro bić. La wi ru jąc wśród tań czą cych, ucie kłam pod samą scenę, gdzie stał DJ.

Kątem oka do strze głam Tony’ego, który stał w środ ku i roz głą dał się, więc po chy la jąc się, ru szy łam wzdłuż pod wyż sze nia z po wro tem w stro nę baru.

Sku pia jąc się na tej bar dzo waż nej dla mnie misji, ude rzy łam głową w udo ja kie goś stu den ta.

– Sorry! – wy szep ta łam, czego na pewno nie usły szał.

Przy barze się wyprosto wałam. Nie wiedziałam w pobliżu chłopaków, ale zobaczyłam za to dziewczynę, z którą rozmawiałem wcześniej Tony. Patrzyła na mnie dziwnie. Szepnęła coś na moje ucho. Pewnie mnie obgadała -

Ła. Już miałam jej coś powiedzieć, gdy ktoś znowu szturchnął mnie w ramię. Jakiś mężczyzna wstał na stolek barowym, żeby włą-

czyć się na blat. Stojący najbliżej ludzkiego się nim za intereso wali i za -

częli go do pingowania. Znikąd pojawiła się też pijana Holenderka. To mu siał

być jej znajomy, bo coś do niego krzyczała w swoim języku. Nagle na blat wskoczył jeszcze jeden chłopak, o wiele zwinniejszy niż ten poprzedni i przy -

bił sobie piątkę.

Bar ma chyba w ogóle nie przejmowali się, gdy chłopcy wciąż gnęli na bar Holenderkę. Ledwo potrafiła ustać już teraz na nogach, ale dla widowni, której było coraz więcej, zrobiła po wольny, seksowny przyśiad, po czym po -

derwała się do góry i puściła buziaka w eter.

Śmiałam się głownie, przez chwilę za pominięciem ości gałkach mnie braćciach.

Dziewczyna zerknęła w dół i mnie rozmówca. Zanim się zobaczyło, wraz z pomocniczo wazy się jej kolegi, dźwi gnęli mnie na górę.

Odwróciłam się oszłonięta. Głównie muzyka, śpiewy, kłaskanie. Za kręciło mi się w głowie. Nie przeszkadzała mi nawet lepki blat, do któ-

re go kleiły się moje te ni sów ki. Po ni żej znaj do wa ło się morze ludzi,
każdy ru szał się, coś mówił albo po pro stu błą dził we wła snym świecie.

– Ale wy so ko! – za wo ła łam, choć i tak nikt mnie nie zro zu miał. Po wo
li zni -

ka ła z mojej twa rzy za gu bio na mina i z po wro tem go ścił na niej
uśmiech.

Za czę łam wczu wać się w mu zy kę. Ho len der ka nagle wpa dła mi w ra
mio na, a ja z za sko cze nia za rzu ci łam na jej bio dro swoją od kry tą
nogę i od chy li łam głowę, za no sząc się śmie chem.

– Stara, ko cham cię! – za wo ła ła dziew czy na, a zanim ja zdą ży łam od
wza -

jem nić jej uczu cie, po czu łam szarp nię cie na wy so ko ści kolan i pi snę
łam gło śno, gdy Tony, pod pie ra jąc się stoł ka, ze zde ter mi no wa ną
miną ścią gał

mnie z baru.

Przez chwi lę spa ni ko wa łam, bo stra ci łam rów no wa gę i le cia łam, ale
wy lą -

do wa łam prze rzu co na przez ramię brata, naj pierw za ci ska jąc mocno
pię ści na jego ko szul ce, by się usta bi li zo wać, a potem sza mo cząc się,
by mnie pu -

ścił.

– To ny yy! Nie psuj za ba wy yy! – za wy łam, z żalem pa trząc, jak od da
la my się od baru, na który już wcią ga no ko lej ną osobę.

Aż za chły snę łam się świe żym po wie trzem, gdy zna leż li śmy się na ze
-

wnątrz. Cisza zda wa ła mi się wręcz nie na tu ral na. Za czę łam szar pać
się jesz cze bar dziej i tutaj moje krzy ki były już bar dzo do brze sły szal

ne, więc Tony wresz cie po sta wił mnie przed sobą.

Naj pierw od zy ska łam rów no wa gę i przy mknę łam po wie ki, by nie zwy mio -

to wać od tych gwał tow nych ru chów. Otwo rzy łam oczy z po wro tem do pie ro po chwi li, żeby wbić św i dru ją ce spoj rze nie w swo je go brata.

– Jaki masz pro blem? – za wo ła łam, pod pie ra jąc się dla efek tu pod boki.

Tony prychnął. Wi docz nie nie był w na stro ju na moje po pi sy.

– Ja mam pro blem? Może opo wiesz nam o swoim? – wark nął. – Co to miało być? Uciecz ka, tańce na barze? Coś ci się po my li ło, dziew czy necz ko, to nie jest, kurwa, plac zabaw.

– Je steś zły, bo ja się do brze ba wi łam, a ty nu dzi łoś – wy tknę łam mu i po ło -

zy łam palce w ką ci kach jego ust, żeby ścią gnąć je w dół i pod kre ślić, jak wiel kim jest smu ta sem.

Na tych miast od trą cił moje ręce.

– Mia łoś rację, trze ba było od razu wra cać do domu – burk nął do Shane’a.

Och, on też tutaj był. Stał obok i także nie wy głą dał na za do wo lo ne go.

Coś mnie tknę ło i ob rzu ci łam ich dwóch wście kłym spoj rze niem.

– Je ste ście okrop ni! Było tak faj nie, a wy oczy wi ście mu si cie wszyst ko znisz czyć!

Sta li śmy teraz na pro me na dzie – wy star cza ją co sze ro kiej, by po mie ścić nasz spek takl oraz prze cho dzą cych ludzi.

– Ha ilie, upi łaś się, a potem za czę łaś tylko coraz bar dziej prze gi nać –
po -

wie dział do mnie Shane pod nie sio nym gło sem. – Nie je steś jedną z
nich.

Nie je steś stu dent ką na wy mia nie. Dwa dni temu skoń czy łaś szes na
ście lat.

Mia łaś zjeść z nami ko la cję, po tań czyć i wró cić do domu, nie chlać
tequilę i od wa lać show na barze.

Za ci snę łam usta i po pa trzy łam w dół. Chcia łam na niego na wrzesz
czeń, ale za bra kło mi słów. Przy po mnia łam sobie, że je stem tylko ży ją
cą w zło tej klat ce Ha ilie Monet, któ rej gra ni ce są sta wia ne na każ dym
kroku.

Oczy mi się za szkli ły i tym bar dziej nie chcia łam ich uno sić, ale gdy
Shane znowu prze mó wił, brzmiał o wiele ła god niej.

– To jesz cze nie twój czas – mruk nął i chciał oto czyć mnie ra mie niem,
ale od niego od sko czy łam.

– I ty to mó wisz? Je steś nie wie le star szy ode mnie – wy tknę łam i zer k
nę łam też na Tony’ego. – I też nie je ste ście jesz cze stu den ta mi. A im
pre zu je cie cały czas! Cały czas!

Prze wró ci li oca mi w tym samym cza sie, co uzna ła bym za za baw ne,
gdy -

bym nie była tak wku rzo na.

– A wi dzia łaś, ilu typów śli ni ło się do cie bie? – wark nął Tony.

– I co, do was też śli ni ła się tam zde cy do wa na więk szość dziew czyn! –
od -

py sko wa łam, wska zu jąc dło nią na bar.

Tony zrobił krok w moją stronę.

– Myślisz, że jak byś wpadła na coś po niekto rych z tych koleś po pijaku, to okryli by cię kołosem i podłożyli poduszkę pod głowę, żeby ci się do brzo spało? Co ty, nie masz wyobrażeń?!

– To, że niekto rzyfa ce ci niepotrzebnie utrzymać fiuta w majtkach, to nie mój problem!!!

-Nie, ale do póki nie zrobisz, że istnieją przepisy, którzy nie pytają dziewczyn o zgodę, tylko biorą sobie od nich to, na co mają ochotę, w dupie mając ich potrzeby, to sam, kurwa, zrobisz wszystko, żeby cię więcej nie puszczono na żadną imprezę!

Walczłam z Tonyem na spacerze, trzęsąc się ze złości.

– Świetnie, tak, Tony! Zamknij mnie najdalej w lochu do końca życia, nie zrobi mi to żadnej różnicy!

On wznosił swoje jasne oczy do ciemnego nieba, jakby szukał tam wsparcia,

a Shane przejął palce.

– Ha ilie, wyluzuj, Tony chce przekazać ci, że imprezowa nie jest bardziej niebezpieczna dla dziewczyn niż dla chłopaków. My – tutaj wskazaliśmy na siebie -

brata – co najwyżej do stałoby się w mordę. Tobie może stać się coś o wiele gorszego. Nie lekceważ tego. Bądź świadoma za siebie.

Byłam świadoma i rozumiłam, o co chodziło moim braciom. Normalnie nie chciałabym tego te matu, ale alkohol był jak diabły, który się działo mi na ramieniu i szeptał do ucha.

Chłopcy patrzą na mnie uważnie, by poznać po mojej minie, czy zdali do mnie do trzeciej, a ja odważnie spojrzę i nagle czknęłam głośno.

Na tych miast przy kryłam usta dłońmi i się za ramię nie łam.

Shane zaczął się śmiać, a nawet Tony, mimo iż był bardziej wkurzony niż jego bliźniak, też się kpił z uśmiechniętej. Właśnie za to go pchnęłam.

– Spa daj – mruknęłam. – I jak byś chciał wiedzieć, to potrafię o siebie zadbać.

Uczę się samobrony, pa miętasz?

Nie zrobiłam na nim wrażenia, bo tylko pokręciłam głową, nie dowierając, że wciąż mam siłę i czelność na arganję.

– Tak? – za pytał zło wiesz czy. – A po kazać ci, jak bardziej potrafi się obronić w stałym takim, w jakim jesteś teraz?

Zrobiłam kilka kroków na przód, tak że prawie się ze sobą stykałyśmy. Odpar-

łam mój pierwszy oddech, żeby się przed nim cofnąć, i stałam dzielnie, za-

dzierałam tylko głowę coraz wyżej. Wiedziałam, że jakby spróbował zrobić cośkolwiek, tobym sobie z nim nie poradziła, bo mój refleks w tej chwili smacznie sobie drze małą.

Dlatego zrobiłam jedną rzecz, która mogła uratować mnie w tej sytuacji.

Wybuchnęłam szczerym, głęsnym śmiechem. Pokazałam w nim prawie wszystkie zęby, a moje ramiona doświadczyły tak bardzo, że najwyraźniej zdołały zmięknąć czyć karmienie serce Tony'ego, bo uśmiechnął się lekko, tym razem po błażliwiej, i pokręciłam głową, mówiąc:

– Wracamy do domu, bo nie wytrzymam z nią, przy sięgam.

38

NUDNA NA STOLATKA

Bliźnia cy na le ga li, żeby nie łapać od razu tak sów ki, tylko przejść się naj -

pierw ka wa łek pro me na dą. Ich zda niem świe że po wie trze miało do brze mi zro bić. Jed no cze śnie de ner wo wa li się na mnie, bo mój pi ja ny krok bar dzo spo wal niał nasz spa cer. Co chwi lę zba cza łam z toru. Mu sia łam się pil no -

wać, by nie plą ta ły mi się nogi, a kilka razy nawet nie świa do mie za trzy ma -

łam się, za pa trzo na na coś, co aku rat mi ja li śmy.

A mi ja li śmy mnó stwo cie ka wych scen. Pa trzy łam, jak pod ko lo ro wy mi klu -

ba mi, z któ rych do cie ra ły gło śne, wi bru ją ce basy, lu dzie usta wia li się w ko -

lej ki, pró bu jąc wy głą dać na trzeź wych, żeby tylko groź ni, na pa ko wa ni bram ka rze ła ska wie ich wpu ści li. Wiele osób wy cho dzi ło z cze lu ści tych lo -

ka li na ze wnątrz, by za pa lić pa pie ro sa albo po pro stu ochło nąć.

Mi ja li śmy przy ja ciół czy nie zna jo mych, któ rzy to czy li głę bo kie, za pi ja czo -

ne roz mo wy na róż ne fi lo zo ficz ne te ma ty. Była też dziew czy na, try ska ją ca łożami jak fon tan na, ogar nię ta naj głę b szą z roz pa czy, po cie sza na przez wia -

nu szek ko le za nek. Były pary, które się kłó ci ły, go dzi ły, i takie, które po że -

ra ły sobie na wza jem twa rze. Był facet, któ re mu nie po zwo lo no wnieść ma -

leń kiej bu te lecz ki wódki do lo ka lu, więc wypił ją na raz tuż przed wej -

ściem, by się nie zmar no wa ła, po czym wściekł się, bo i tak go nie wpusz

-

czo no.

Od czasu do czasu też zer ka ła m w lewo, a tam cią gnę ła się plaża. Jej widok fa scy no wał mnie i prze ra żał jed no cze śnie. Czar ny piach zle wał się z czar ną wodą, która ni czym nie od róż nia ła się od czar ne go nieba. Nie zwy kłam my -

śleć o plaży jak o mroku. W końcu na ogół to, co się z nią ko ja rzy, to słoń

-

ce, błę kit, złoto i raj skość.

Pa mię ta ła m plażę nocą w Taj lan dii, gdy parę razy za sie dzie li śmy się na niej do późna, ale jej czerń tam nie dzi wi ła mnie tak bar dzo, bo nie była skon -

tra sto wa na z pełną życia, tłu mów i ko lo ro wych świa teł pro me na dą tak jak tutaj.

Po grą żo na w roz my śla niach, nagle przy kry ła m usta dło nią i po czu ła m, jak się pocę. Unio sła m wzrok na braci, któ rzy wy prze dzi li mnie na kilka kro -

ków, zanim po ję li, że się za trzy ma ła m. Od wró ci li się i już wie dzie li, o co cho dzi.

– Chyba mi nie do brze – wy mam ro ta ła m przez palce.

Tony przy mknął po wie ki, a Shane cof nął się po mnie, zła pał pod ramię i po pro wa dził na bok, żebym usia dła na ni skim murku, który od dzie łał

chod nik od plaży. Po słu sz nie się na niego osu nę ła m i zgod nie z dal szy mi in struk cja mi wło ży ła m sobie głowę mię dzy nogi, bio rąc głę bo kie wde chy.

Chwilę to trwało i wreszcie po czułam, że prawie za czy nam od pływać, więc zmusiłam się, by otworzyć oczy i unieść wzrok. Tony stał obok mnie -

czym strażnik. Brał kołosa mu tylko włożyć na plecach. Jedną rękę trzymał

w kieszeni, a w drugiej trzymał niepałosa. Obserwowałem ze spokojem miłą i cichych nas ludzi i leżąc przełożył na mnie wzrok, gdy po czułem, jak cię -

gnę go za spodnie.

- Gdzie Shane? - zapytałam słabo.

- Zaraz wróci - odburknął. Patrzył na mnie z góry i nie wyglądał, jakby mi jakoś współczuł.

- Chcę do domu.

- Zaraz wróci - powiedział dobitnie.

Zażałowałam, że nie chciałam twarzyć się, jakby to było dla mnie coś ważnego, dla czego chwile temu jeszcze miałam ochotę wyjechać na barze, gdzie nie przeszkadzały mi ani wyśoki, ani ducho, a teraz nagle nie mogłam usiedzieć w miejscu bez uniesienia za wrotki głowy.

Minęły dwie albo trzy godziny, do mojej obecności umyślnie wdarły się dzwinki znajomych głosów bliźniaków. Właśnie wrócił Shane. Skarżył

się na długą kolejkę. Pytał, jak się czuję. Nie udało mi się znowu głowę tylko po to, by go powitać, ale zapach jeździeń sprawił, że ona sama wy-

strzeła do góry.

Shane trzy mał w rę kach trzy za wi nię te w sre ber ko tor til le. Jedną z nich przejmował właśnie Tony, a ja wyciągnęłam rękę po swoją. Po czymłam, że to jest to, czego mi teraz trzeba. Jak tylko cie pły na leśnik wyła do wał w moich dłoniach, odwinęłam folię i wgryzłam się w niego, nawet nie próbując uda -

wać, że jestem damą. Od razu umoruślam się czosnkowym sosem, którym poła nie było świeżo ścięte z rusztu mięso. To warty był mu bukietyso czy -

stychsu rówek. A wszystko to za winę te w cieple, elastyczne ciastortyli.

Mój żółty dek nie miał wył ze szczęścia, a ja byłam go towaru wórować.

– Nie ma to jak po imprezokębs – westchnął zadowolonymShane.

– Też mi impreza – prychnął cicho Tony, zlicząc swoje gościuka.

Nie chciało mi się brać udziału w tej wymianie zdań, więc siedziałam cicho. Miałam je gdzieś, więc byłam zadowolona. Co więcej, ono na prawdę zadziałało, bo nuda ustąpiła. Gdy wreszcie nie mogłam już wciśnąć w siebie ani grama, Shane do końca czytał moją porcję za mnie, w zamian -

stając mnie za kupioną za pewne prozdrowotną bułką wody. Przyssałam się do niej i zgodnie z poleceniami wypilałam prawie całą jej zawartość.

Na jedzonai na pojona, od razu poczułam się lepiej. Odzyskałam energię, za którą wciąż jednak odpowiadały procenty, mimo iż byłam świeżo przez ko -

na na, że tak właśnie wie to już za chwilęłam trzeźwieć. Błędny wniosek.

– Chodź, idzie my, po stój tak só wek jest tam, na końcu – po wie dział do mnie Shane, gdy stał nade mną i za krę cał bu tel kę wody, którą mu wla śnie od da -

łam.

Po słusz nie wsta łam, za ko ły sa łam się i wes tchnę łam cicho za wie dzio na bra -

kiem kon tro li nad wla snym cia łem. Z na peł nio nym brzu chem byłam jesz -

cze wol niej sza. Pró bo wa łam iść, ale albo zła pał mnie mały skurcz, albo po -

czu łam się tak strasz nie zmę czo na... Do szło do tego, że Tony po pro stu stra cił cier pli wość, pod szedł do mnie i jed nym szyb kim ru chem pod rzu cił

mnie sobie na plecy.

Mój zdez o rien to wa ny mózg po trze bo wał chwi li, żeby ogar nąć sy tu ację.

Przez se kun dę nie mo głam się zde cy do wać, czy po do ba ło mi się moje nowe po ło że nie, czy nie, ale szyb ko do strze głam jego nie pod wa żal ne plusy. Nie prze mę cza łam się i wię cej uwagi mo głam po świę cić przy głą da niu się wszyst kie mu wokół, gdy już nie mu sia łam kon tro lo wać sta wia nia kro ków.

Tony pod trzy my wał moje nogi, a ja oplo tłam ręce wokół jego szyi, oswa ja -

jąc się z jego tem pem. Cie szy łam się, że ubra łam na ten wie czór długą spód ni cę. Nie będę kła mać, nawet mi się spodo ba ło bycie nie sio ną. Do czasu, aż za czę łam się nu dzić. Co jakiś czas ci chut ko wzdy cha łam pod nosem. Sły sza łam, jak bliż nia cy o czymś roz ma wia ją, ale nie mia łam

siły ani ocho ty wy tę żać słu chu, więc nadal od pły wa łam we wła snych my ślach.

Ga pi łam się wciąż na prze my ka ją cych, pi ja nych stu den tów, któ rzy zda wa li się tej jed nej nocy bawić le piej niż ja przez całe życie. Sie dzie nie na ple cach Tony’ego miało jedną pod sta wo wą wadę. Czu łam się, jak bym zo sta ła za -

pro szo na na sytą ucztę, gdzie na stęp nie nie po zwo lo no mi tknąć żad nej z po traw.

Wes tchnę łam i rzu ci łam bez sen sow nie po iry to wa ne spoj rze nie ty ło wi głowy mo je go brata. Nikt go nie za uwa żył, ale ja do strze głam coś in ne go i za alar mo wa na prze chy li łam lekko głowę.

– Tony, Tony – za wo ła łam z prze ję ciem, kle piąc go w ramię i prze ry wa jąc jego roz mo wę z Shane’em. – Tony, słu chaj, to ważne.

– Co?

– Wie dzie łaś, że masz tutaj pie przyk?

Marsz czy łam z uwagą brwi i wpa try wa łam się w ma leń ką, ciem no brą zo wą krop kę na ze wnętrz nej stro nie płat ka jego ucha. Była ledwo wi docz na, ale to na pewno mu siał być pie przyk. Wy cią gnę łam rękę, by go dziab nąć tam pal cem i po ka zać do kład nie, o które miej sce mi cho dzi, ale on po trzą snął

głową, od ga nia jąc się ode mnie jak od muchy.

Za bra łam dłoń, nie za do wo lo na z jego dzie cin ne go za cho wa nia. Spoj rza łam na dru gie go brata, szcze rze za in te re so wa na.

– Shane, a czy ty też masz taki sam?

– No jasne – par sk nął i rzu cił mi pół u śmiech, pa trząc na mnie jak na wa riat -

kę. – Prze cież je ste śmy bliż nia ka mi.

Za my śło na, spoj rza łam przed sie bie. Jakaś spora grup ka osób szła z na prze -

ciw ka. Wszy scy zda wa li się mieć wy śmie ni te na stro je. Prze krzy ki wa li się, a nie któ rzy trzy ma li w rę kach róż ne go ro dza ju na po je al ko ho lo we. Kilka obec nych tam dziew czyn rzu ci ło bliż nia kom dłu gie, za in te re so wa ne spoj -

rze nia, a nie któ re nawet uśmie cha ły się za lot nie.

Chcia łam krzyk nąć, ostrzec je, żeby le piej w ogóle na nich nie pa trzy ły, bo to dia były i naj le piej, żeby ucie ka ły przed nimi gdzie po pad nie, ale kiedy nie za słu że nie obe rwa ło mi się od nich za wist nym spoj rze niem, od wró ci łam tylko głowę w drugą stro nę, po ło ży łam brodę na ra mie niu Tony’ego i unio -

słam ze znu dze niem brwi.

Bra cia znowu coś mó wi li. Tony po pra wił mnie sobie na ple cach, żeby wy -

god niej mu się szło. Ze znu że niem ga pi łam się na Shane’a. W rę kach trzy -

mał te le fon i pisał wła śnie wia do mość. Bu tel ka wody wy sta wa ła mu z tyl -

nej kie sze ni spodni. Mia łam ocho tę wra cać do domu i iść spać, a jed no cze -

śnie zo stać na mie ście i zro bić jesz cze coś faj ne go. Eks cy tu ją ce go.

– Ej, chło pa ki – za gad nę łam sen nym gło sem.

– Co chcesz? – za py tał Shane. Też brzmiał na zmę czo ne go.

Mną.

Zanim znowu otwo rzy łam usta, uśmiech nę łam się za czep nie i on chyba wie dział, że to, co zaraz na stą pi, mu się nie spodo ba, dla te go po słał mi ostrze gaw cze spoj rze nie, które z naj więk szą przy jem no ścia zi gno ro wa łam.

-Kurwa, kurwa, kur- fhfbmhhphm – prze rwa łam, gdy ręka Shane’a przy kry -

ła moje usta, a Tony za trzy mał się tak gwał tow nie, że stra ci łam rów no wa gę

i jesz cze moc niej za ci snę łam ręce na jego ra mio nach. – Auć!

Wiem, że z mojej stro ny to było dzie cin ne, ale skoro moi bra cia trak tu ją mnie jak dziec ko, to pro szę bar dzo, tak się będę za cho wy wać.

– Hej! Co jest z tobą? – wark nął Shane z nie skry wa ną iry ta cją.

– Sorki.

Me mor ki.

Za chi cho ta łam.

Mój brat pa trzył na mnie jak na idiot kę.

– Uspo kój się, nie żar tu ję. Nie wolno.

Z po wa gą unio słam palec i za ma cha łam nim.

– Nu, nu, nu – zgo dzi łam się.

Shane tylko wy wrócił oczami, a Tony westchnął i ruszył przed siebie, moc -

niej za ci skajac ręce na moich nogach, jakby miał wielką ochotę strącić mnie ze swoich pleców i ledwo się od tego powstrzymał.

Ja też się powstrzymałam. Od przyrównania go do konia i krzyknęła

„wio”. Nawet mój otu man używał mózgu, że to byłby błąd.

Gdy dotarliśmy do końca promienady, kolejka do tak sówek okazała się za -

skąką co długa, a bliżnicami nie lubili czekać. Byli niecierpliwi i przyzwyczajeni -

czaję do wygod. Dla tego obaj skrzyknęli się na samą myśl ustawię się po słyszaniu na końcu wężyka. Zamiast tego zaczęli komuś nować.

Weszliśmy w boczny uliczek, tam gdzie pałacyk więszyspokój. Wtedy Tony zrzucił mnie ze swoich pleców. No do brzo, może to trochę podkoło -

wałam. Nie zrzucił, tylko odstawił, czego się nie spodziewałam, więc się zakłosałam, ale udało mi się szybko złapać równowagę. Gdy przytrzymał -

wałam się szorstkiej do tyłku ścianypiaszkowe go budynku, Tony urucha -

miął w te lefo nieaplikację z tak sówkami, licząc, że szczęście się do niego uśmiechnie i dzięki niej znajdzie my podwozkiem szybciej.

Po paru próbach udało i połączył się z kierowcą, który za kilka minut miał za trzy mać się przed nami w tej ci chej ulicy, gdzie się teraz znajdowali -

śmy. Nie bez powodu wspo mi nam o jej od izo lo wa niu. Wa lę sa ły się tu je dy -

nie dzi kie koty i było względ nie spo koj nie, choć do cho dzi ły do nas im pre -

zo we ha ła sy z głów nej pro me na dy.

Shane od szedł do ja kie goś ca ło do bo we go skle pi ku, żeby kupić drugą butlę wody, skoro i tak mie li śmy jesz cze chwi lę, a Tony oparł się o ścia nę bu dyn -

ku, za pa lił pa pie ro sa i kli kał coś w te le fo nie, war cząc od czasu do czasu, że to jakiś żart z tymi tak sów ka mi i cze ka niem. Był w ty po wym dla sie bie ma -

rud nym na stro ju, więc wo la łam go nie za ga dy wać i tylko czła pa łam sobie wkoło, igno ru jąc jego ne ga tyw ną aurę.

Pró bo wa łam przy wo łać do sie bie ru de go ko cu ra, który uciekł, gdy tylko kuc nę łam i wy sta wi łam do niego rękę. Po szłam ka wa łem za nim, a tam, na rogu ulicy, zni kąd po ja wił się jakiś chło pak. My śła łam, że to przy pad ko wy prze cho dzień albo za gu bio ny im pre zo wicz, ale on sta nął i pu ścił do mnie oczko. Skry wał się za win klem, więc Tony go nie wi dział.

– Głupi ten kot, że ucie ka przed TAKĄ dziew czy ną – sko men to wał, olśnie -

wa jąc swoim uśmie chem.

Gdy przyj rza łam się do kład niej jego twa rzy, wy wnio sko wa łam, że był to mąż czy zna, któ re go uroda może albo fa scy no wać, albo od py chać. Miał

rzad ki za rost i roz czo chra ne, brą zo we włosy, a na ręce wy ta tu ował sobie gi -

ta rę i od razu po my śla łam, że to jakiś muzyk, pew nie gra ją cy w ni szo wym ze spo le, cze ka ją cy na sławę, która praw do po dob nie nigdy nie na dej dzie.

– Hej? – za gad nę łam uprzej mie, mi mo cho dem zer ka jąc kon tro l nie na Tony’ego, który, dla kon tra stu, nie zwra cał na mnie uwagi, od da lo ny o kil -

ka na ście me trów i za pa trzo ny w ekran.

– Wi dzie li śmy się w barze, pa mię tasz? – cią gnął nie zna jo my. – Teraz zo ba -

czy łem cię znowu, przy po sto ju tak só wek. Też nie chce mi się na nie cze -

kać. – Tro chę się śla niał na no gach, co po win no być dla mnie czer wo ną

flagą, ale za in try go wał mnie. Mu sia łam przy znać, że jego twarz wy głą da ła zna jo mo, dla te go zmarsz czy łam brwi. Męż czy zna za ma chał ręką, jakby chciał przy śpie szyć moje pro ce sy my ślo we. – Ochrza nia łaś tych dwóch pięk ni siów, co byli z tobą, za pil no wa nie two je go dzie wic twa, heh.

O Boże, to ten facet z baru, który gapił się na mnie po tym, jak usły szał

moją roz mo wę z bliż nia ka mi. Na tych miast się spe szy łam, ale nie dałam po sobie tego po znać.

Tak mi się wy da je.

– To były żarty – mruk nę łam wy mi ja ją co.

– Aha. – Facet po tarł bród kę i za ko ły sał się, cham sko ob ci na jąc mnie spoj -

rze niem. – Co to w ogóle za ob sta wa? Je steś kró lo wą Włoch czy co? – par -

sknął, jakby włąśnie po wie działa coś nie zwykłego za bawne go.

Unio słam brew i nie byłaby sobą, gdybym nie powiedział:

– Włochy są republiką parlamentarną.

– Co?

– Nie ma tam królowej – wyjaśniam, ale widząc jego minę, dałam sobie spokój. – Nie ważne. – Kiwnęłam głowę w stronę Tony'ego. – To moi bra-

cia.

Chłopak po kiwał głową.

– Kumam, kumam. Trochę przeobrazenie – oczywiście, po czym po cięgnął nosem, włożył sobie ręce do tylnych kieszeni spodni i wzruszył ramionami. – Seks jest fajny. Nie wiesz, co trać.

Skrzywiłam się.

– Mhm. Muszę iść.

Zrobiłam krok w tył, żeby od niego odejść i wrócić do Tony'ego, który mógłby jednak lepiej mnie pilnować.

Mężczyzna nie wiedział, że odchodzi, bo najwyraźniej już sobie wyobraził

nie wiedząc do czego. Wydarł prawą rękę z kieszeni i złączył mnie za łokieć.

– Czekaj, czekaj...

– Nie do tykaj mnie! – warknęłam i się wyszarpnęłam, a on uniósł ręce, jakby się poddał.

– Ej! Z kim ty go dasz?! – zawołał Tony, który na dźwięk mojego głosu pod-

niósł głowę i rozejrzał się, najpierw zdezerien towarzyszy, gdy nie zobaczył

nie gdzieś w pobliżu, tylko na końcu ulicy, znacznik od dał. Rzucał

parę rzeczy na ziemię i nie oglądając się, ruszył biegiem w moją stronę.

Mężczyzna czy stał przede mną dojrzał mojego brata, wystraszył się i próbował

bo chciał uciec, ale dla niego było to wane, zwykłe jednak tywność jego życzenia Tony'ego jakiś chwyt wyartyścił, który nie miał nawet do brzości wiazałych butów, nie był żadnym wyzwaniem. Tam ten nie zdążył jeszcze do brzości

starość, a mój brat już złapał go za kark.

– Co, do cholery? – ryknął Tony, przycisnął go do muru. Z furją gapił się na jego wykrzywioną twarz, jedno zwracał się do mnie: – Co on ci zrobił?

Wzruszyłam nie winno na mnie.

– Gadał do mnie coś o seksie...

Facet mnie zdezerienował, bo na ruszył moją prywatną przestrzeń i za chwył

wał się jak prostak, więc stwierdziłam, że nic mu się nie stało, jak Tony trochę nim poszarpię, ale po winno nam była się spodziewać, że w takich okolicznościach

licznościach na przepychanie się nie skończy.

Tony chyba chciał rzucić ja kimś okropnym przekleństwem, obelgami

wa ną do męż czy zny, ale z wście kło ści nie po tra fił do brać od po wied nich słów, więc po pro stu splu nął na niego, uniósł pięść i...

Nie wiem, bo za ci snę łam po wie ki i od wró ci łam głowę.

On za mach nął się kilka razy na mo je go brata, ale ewi dent nie prze gry wał to star cie. Bo Tony do stał od niego ze dwa razy, a on od Tony'ego z dwa na -

ście. Po le cia ła mu krew z nosa, która za bru dzi ła dolną część jego twa rzy, ko szul kę oraz pięść mo je go brata. Zo ba czy łam to, jak tylko od wa ży łam się pod głą dać. To nie pierw szy raz, gdy wi dzia łam Tony'ego w akcji, i wie -

dzia łam, do czego jest zdol ny. Jakaś część mnie chca ła go po wstrzy mać, ale po sta no wi łam sie dzieć cicho i dać mu robić swoje.

– Hej! – za wo łał ktoś nagle i byłam prze ko na na, że to Shane wra cał ze skle -

pu z wodą, do pó ki nie zo ba czy łam za trzy mu ją ce go się ra dio wo zu.

– Tony! – krzyk nę łam.

Chcia łam go ostrzec, ale było juź za późno, bo dwój ka po li cjan tów w aucie do sko na le wi dzia ła, co się dzia ło. Pro wa dzi ła ko bie ta, a to wa rzy szył jej mąż czy zna, który wy sko czył na tych miast z ciem no gra na to we go sa mo cho du z ko gu tem na dachu i na pi sem „Policía Na cio nal”.

Tony zro zu miał, że coś jest nie tak, do pie ro gdy gli niarz prze rwał jego trans.

Ar ty sta muzyk ję czał opar ty o ścia nę, a rąb kiem ko szul ki pró bo wał za ta mo -

wać krwa wie nie z nosa. Jed no cze śnie od chy łał głowę do tyłu. Głupi, przy krwo to ku z nosa trze ba po chy łać się do przo du. Nie za mie rza łam jed nak bieć do niego z po mo cą, bo bar dziej mar twi łam się o Tony'ego,

na kó re go po li cjant wrzesz czał coś po hisz pań sku. A potem były szał kaj dan ka mi.

Z auta wy sia dła po li cjant ka i zbli ży ła się do po szko do wa ne go, za da jąc mu py ta nia, kó rych tam ten nie ro zu miał, dla te go prze szła na an giel ski i wtedy nad sta wi łam ucha, by usły szeć jego od po wiedź.

– Za ata ko wał mnie. Nic mu nie zro bi łem. Nie znam go. Idio ta mnie za ata -

ko wał. Chcę od szko do wa nia. Wno szę oskar że nie. Wno szę. Aresz tuj cie go.

Jest nie bez piecz ny, psy chicz ny – bia do lił do sto ją cej przy nim mun du ro wej, która była niską ko biet ką o ciem nych wło sach ze bra nych w kucyk. Miała su ro wy wyraz twa rzy i wy głą da ła na twar dą babkę.

Tony wy wró cił oczami i nie wy da wał się po ru szo ny tym, że po li cjant wła -

śnie w ma ło de li kat ny spo sób sku wał mu ręce za ple ca mi.

Cóż, mnie ten widok po ru szył za nas dwoje.

– Tony? – za wo ła łam, pod cho dząc bli żej, żeby ła twiej mi było na wią zać z nim kon takt wzro ko wy. Wtedy do strze głam jego obo jęt ne spoj rze nie.

Po li cjant burk nął do mnie chyba, żeby się od su nę ła.

– Cze kaj tu na Shane’a – roz ka zał mi brat.

Aresz to wa li go i chyba chce li za brać na ko mi sa riat. To była moja wina, nie po win nam wda wać się w gadki z nie zna jo mym. Czu łam, że wzbie ra we mnie pa ni ka.

-Pro szę go zo sta wić, on mi po mógl! – oznaj mi łam po li cjan to wi, który spoj -

rzał na mnie spode łba. Chyba mnie nie rozu miał. Zwróciłam się do policyjantki, za kładając, że jej angielski był lepszy. – To mój brat. Ten w kajdanach -

to mój brat, pomógł mi. Ten mężczyzna czy zna mnie zaatakował. Mówił mi, że widział mnie wczynie w barze. Chyba mnie śledził. Dobiegłam się do mnie, rozprułam moją spódnice, proszę spojrzeć. – Zamacham te ramię i wystawiłam nogę. – Szarpał mnie, on chciał... chciał, ja nie wiem...

– przebrałam dra matczyne i wreszcie moja wrodo na płaczliwość mi się do czegoś przydała, bo w mig zalałam się łzami.

Tony zaparzył się na mnie z ledwo skrywanym zdziwieniem.

Sroga twarz policyjantki zła godniała, jej partner łypał to na nią, to na mnie po dejrzeniu, a muzyk gapił się zszokowany, na chwilę za pominięciem krwi, która wciąż sączyła się z jego nosa.

– Kłamał, nic jej nie zrobiłam!

– Mówił coś o fajnym seksie. Nie pozwolił mi odejść. Złapał mnie za kciuk o tu, mocno. Proszę spojrzeć, jest ślad. Bar do siebie wystraszona – ciągnę -

łam, chłapię ci chutko. Spuściłam głowę i głośko opuszczałam palców po moim ciele, na którym rzeźbiły ścieżki, które wczynie wczynie pałuch tego

franki. – Gdy zaczęłam krzyczeć, przybiegł do mnie brat. Ura to wałamnie przed tym zbożem.

Policyjantka przyglądała mi się uważnie, jakby sprawdziła moją wiarygodność -

ność. Ta historia, choć nieco podrażniona, bażowała jednak na prawdzie, więc twoje było mi ją do niej przekonanie. Kończąc zerkała na

swoje go partne ra, który stał za Tonym i go pilnował. Odwzajemnił jej spojrze nie, a gdy ona prze tłu ma czyła mu na hiszpański moje charakterystyczne znanie, zdecydowanie wywrócił na plecy moje go brata.

– Ona jest nieletnia – do rzucał luźno Tony.

– Proponował pan seks nieletniej? – obieczyła się policzantka, tym razem oskarżycielką państwa trzając na muzyka.

– To nie była propozycja, proszę pani – powiadłam ją uprzejmie, wierz -

chem dłoni ścierał ją z policzków.

Na stępnie wszystko po to czyło się już bardzo szybko. Policzantka wściekła się i z godną powściągliwością obrotowa oszło mionego rozwojem akcji nieznajomego, na stępnie przycisnęła go do ścian, o którą się wczepiła -

śniej opierał, i za kuła go w kajdanki, które nosiła przy piętach do pasa. Facet krzyczał coś, gdy policzantka prowaodziła go do radosu. Chyba nawet mnie obrażał, ale za bardzo plątał mu się język, żeby mogła rozróżnić ja -

kieszkonkretnie obelgi.

Tymczasem dołączył do nas zdecydowanie Shane. Nie wiedział oczywiście -

ście, co do kładnie się wyda rzyło, ale szybko podłapałam moją wersję i po nią -

gnął ją tak, że nawet jeśli policzantki mieli jeszcze jakieś opory przed puszczeniem -

czem Tony'ego, to po argumentach Shane'a dali sobie spokój. On objął

mnie opie kuń czo, a ja ro bi łam, co w mojej mocy, by dalej od gry wać rolę po krzyw dzo nej. By li śmy dość prze ko nu ją cy, bo osta tecz nie po li cjan ci po -

szep ta li mię dzy sobą, po czym mę ż czy zna roz kuł Tony'ego.

Wy le gi ty mo wa li nas. Py ta li o to, czy wnie sie my oskar że nie, czy zło ży my ze zna nia. Wy tknę li też, że byłam pod wpły wem al ko ho lu, a prze cież nie mam osiem na stu lat. Chyba nie wy trzeź wia łam tak bar dzo, jak mi się wy da -

wa ło. Mia łam wra że nie, że po li cja w Hisz pa nii była jed nak bar dziej wy lu -

zo wa na, bo w Sta nach chyba nie pu ści li by mnie do domu je dy nie po za -

pew nie niach moich braci, że na pewno zo sta nę za to uka ra na.

Po sta no wi li śmy już nie drą żyć te ma tu za czep ki przez nie zna jo me go. Nie chce li śmy tułać się nocą po ko mi sa ria tach ani w ogóle tłu ma czyć się z tej spra wy ojcu, dla te go po sta no wi li śmy mach nąć na nią ręką i po zwo lić po li -

cji za brać tego głup ka. Sami na to miast wpa ko wa li śmy się do wozu, który wcze śniej Tony za mó wił przez tę swoją apli ka cję w te le fo nie. Oka za ło się, że kie row ca za trzy mał się nie da le ko już jakiś czas temu i ob ser wo wał przez chwi lę całe zaj ście z po li cją. Na całe szczę ście nasz show na tyle go za in te -

re so wał, że nie od je chał.

Shane po dyk to wał mu adres i ten bez żad nych kom pli ka cji do wiózł nas pod dom Blan che i Benny'ego. Nocą nie wie le aut prze mie rza ło ulice wyspy, a już zwłasz cza poza mia stem i tu ry stycz nym te re nem. Było cicho i spo koj -

nie. Pod czas drogi oma wia łam z bliź nia ka mi całą sy tu ację. Wy ja śni
łam, że wi dzia łam fa ce ta wcze śniej w barze, po wtó rzy łam, co do kład
nie do mnie mówił, i sta nę ło na tym, że spra wa ma zo stać mię dzy nami.
Nie było sensu ni cze go roz trzą sać. Zwłasz cza przy ojcu.

– Tak w ogóle, to nie źle z tego wy brnę łaś, mała Ha ilie – do ce nił Shane,
rzu -

ca jąc mi uśmiech z przed nie go sie dze nia.

Trium fal nie po pa trzy łam na Tony’ego, który zer kał przez bocz ne okno.

– No. Gdyby nie ja, toby cię aresz to wa li – wy tknę łam mu i szturch nę
łam go lekko.

On prze niósł wzrok na mnie.

– Gdyby nie ty, to nie mu siał bym obi jać ni ko mu mordy.

Co racja, to racja.

W głębi ducha wie dzia łam jed nak, że tro chę Tony’emu za im po no wa
łam.

O dziwo, czu łam się le piej, ale ma rzy łam o łóżku. To było zbyt wiele wra
-

żeń jak na jedną noc dla tak nud nej na sto lat ki jak ja.

Dom babci Blan che ską pa ny w mroku robił dość spek ta ku lar ne wra że
nie.

W nocy wy głą dał jak jeden z tych opusz czo nych do mostw na od lu dziu,
które żyją wła snym ży ciem. Bra ko wa ło tu jesz cze hi sto rii rodem z hor
ro ru.

Może o ja kiejś szczę śli wej ro dzin ce, któ rej głowa, oj ciec na przy kład,
pew -

ne go dnia zo stał opę ta ny przez zmory ze stry chu, po czym za mor do
wał

swoje dzie ci, żonę i na ko niec po peł nił sa mo bój stwo. Tak, coś ta kie go
pa so -

wa ło by tu jak ulał.

Na po dwór ku co jakiś czas coś trzesz cza ło bądź świsz cza ło i gdy tylko
wy -

sie dli śmy z tak sów ki, z oczu mi wbi ty mi w zie mię po dą za łam za bliż
nia ka -

mi, by le by jak naj szyb ciejsza zna leźć się w środ ku. Tam mia łam się po
czuć bez piecz niej. Unio słam wzrok, do pie ro gdy usły sza łam rzu co ne
po cichu prze kleń stwo w wy ko na niu Shane'a, na któ re go wła złam, gdy
nagle się za -

trzy mał.

Obaj moi bra cia sta nę li jak wryci na widok ojca, który ubra ny w czar ne,
luźne ciu chy, gapił się na nas z ganku. Mu siał tu na nas cze kać, bo po pi
jał

sobie też whi skey i oprócz pu stej li te rat ki na stole stała cała butla trun
ku, tak jakby po trze bo wał za pa su na dłuż sze po sie dze nie. W ręku tra
dy cyj nie trzy mał grube cy ga ro, któ re go za rzę ca się koń ców ka była je
dy nym, co wy -

raż nie od zna cza ło się w ciem no ści.

Cie szy łam się, że mo głam cho wać się za ple ca mi wyż szych ode mnie
braci, bo na praw dę nie czu łam się na si łach, by stać teraz w pierw szej
linii.

Nie ste ty, tym razem nie ozna cza ło to dla mnie nie ty kal no ści.

CZAR JE DY NEJ CÓRKI

Wiecie, która jest go dzi na?

Zanim błyszczą ce nie bez piecz nie w pa nu ją cym mroku ciem ne oczy ojca zdą ży ły prze nieść się z braci na mnie, zer k nę łam z po wro tem na zie mię.

– Czwar ta? – Tony wzru szył ra mio na mi.

– To było py ta nie re to rycz ne, cwa nia ku – wark nął na niego na tych miast, jakby tylko cze kał na pro wo ka cję. Pa trzył na syna przez chwi lę, samym spoj rze niem do pro wa dza jąc go do po rząd ku, po czym zer k nął rów nież na Shane'a. – Co wam mó wi łem? – za py tał i wcale dłu go nie cze kał na od po -

wiedz. – Żad ne go szła ja nia się.

– Ale wcale się nie szła ja li śmy – za pro te sto wał Shane. – Poza tym pi sa łem ci, że bę dzie my tro chę póź niej.

– Ale je ste ście za późno. Ha ilie ma rano lek cje.

O, fak tycz nie. Za po mnia łem, że zgo dzi łem się prze ło żyć za ję cia z dal ne na so bo tę.

Nie do brze.

– No to już, aku rat, wró ci li śmy i idzie my spać. – Shane mach nął ręką, to tal -

nie ba ga te li zu jąc ar gu men ty ojca, który nie dał się jed nak tak łatwo zbyć i wy cią gnął szyję, by mnie do strzec.

– Ha ilie?

Mia łem ochotę wes tchnąć cięż ko i wal nąć się dło nią w czoło. Nie po tra fi -

łam w tej chwili wykrzesać z siebie ani krztynę tańca, tylko się go. Chciałam tylko iść już spać, tylko tyle.

– Hm? – za pytałam, zmuszając się do śmiechu, grymasu uśmiechu. Oczywiście mi się za mykały, słowo daję.

– W porządku? – upewnił się podejrzliwie Cam. – Shane, odsuń się.

Wtedy zrozumiałam, że bliźniacy celowo kryli mnie za sobą, żeby ojciec nie widział mnie zbyt do brzo.

– W porządku, tak. Tak – mówiłam i pokręcałam głową, robiąc, co w mojej mocy, by wyglądać i brzmieć przekonująco. – Jestem tylko zmęczona.

Może ziewnę dla efektu? Ziewnęłam. Chyba do brzo wyszło.

Na tą chwilę ciszy i nie spodobało mi się, że ojciec wykończył ją, by uważnie mi się przyjrzeć. Stałam się stać prosto i wyglądać na zdziwioną i zmęczoną, co nie było ogromnym wyzwaniem.

– To do łóżek, już – westchnął w końcu i odsunął się na bok, byśmy sobie nie mogli wspiąć się po schodkach i wreszcie wkroczyć do domu.

Był nie w ciebie bity i na pewno widział, że coś tu nie gra. Bez wątpienia nie mógł fakt, że wy rznęłam się na schodach w tej samej sekundzie, w której moja stopa na nich stanęła. Po leciałam jak długi, zanim

ktokolwiek zdążył mnie po deprecz.

Może inaczej: przede mną szedł Shane, więc lecąc, złałam się jego koleszki, którą rozciągnęłam do niewarygodnych rozmiarów tak, że on też by się wrócił, gdyby nie przytrzymał się balustrady. Ja o tym nie po myśla -

łam. Za miast tego upa dłam na ko la na. Aż przez całe moje ciało prze
szedł

nie przy jem ny dreszcz.

Za bo la ło. Za pew ne by ło by go rzej, gdy bym była zu peł nie trzeź wa,
ale nie zna czy to, że zo sta łam jakoś to tal nie znie czu lo na. Wszy scy
obec ni pa no wie oczy wi ście rzu ci li się czym prę dzej mi na pomoc.
Przez chwi lę nie po tra fi -

łam wstać, czu łam, jak bym nie mogła wy pro sto wać kolan. Syk nę łam z
ból u, nie na wi dząc się za wła sną ma go wa tość, i to jesz cze w tak istot
-

nym mo men cie.

Oj ciec oto czył mnie ra mie niem i po zwo lił mi uwie sić się na sobie. Prak
-

tycz nie do niósł mnie na ogro do wą ka na pę, którą przed chwi lą sam zaj
mo -

wał. Za pa lo no też lamp kę na ganku. Za ci ska łam mocno zęby, żeby nie
wy -

rwał mi się nawet jęk bólu ani żadna ła, jed nak na widok krwi sap nę łam
cicho.

Jedno ko la no obe rwa ło moc niej. To, które od sła nia ła spód nicz ka. Dru
gie ochro nił ma te riał, ale i tak po ja wi ło się na nim brzyd kie roz cię cie,
tylko tro -

chę mniej sze.

– Przy nie ście ap tecz kę – za żą dał Cam, klę ka jąc na prze ciw ko mnie.

– Nic mi się nie stało – mam ro ta łam, dys kret nie po ru sza jąc nogą, by
spraw -

dzić, czy jesz cze kie dy kol wiek będę w sta nie cho dzić.

– Tylko stłu kła sobie ko lan ko – po twier dził Tony, wy wra ca jąc oczą mi.

– Do brze, ale chyba trze ba to wy czy ścić, nie? – wark nął na niego oj ciec tak gło śno, że Tony nie od po wie dział, a Shane znik nął w domu w po szu ki wa -

niu ap tecz ki.

– Nie trze ba. Sama to zro bię – za opo no wa łam, prze ra żo na nad cho dzą cym bólem.

Oj ciec mnie zi gno ro wał, a ja, wi dząc jego po wa gę, nie śmia łam wda wać się z nim w dys ku sję. Mu sie li śmy prze nieść się do środ ka, bo świa tło na ganku było zbyt nędz ne, a ja za czy na łam mar z nąć. Na po cząt ku bałam się wstać, bo mój mózg wma wiał sobie, że nogi od mó wią mi po słu szeń stwa, ale wkrót ce, z po mo cą sil nej ręki ojca, prze ko na łam się, że wszyst ko ze mną w po rząd ku i moje ko la na, choć krwa wi ły i bo la ły, wciąż speł nia ły swoje funk cje.

Usia dłam w kuch ni, na dłu giej ławie i pod su nę łam się do tyłu, by oj ciec miał do stęp do moich ran. Shane przy niósł ap tecz kę, z któ rej wy cią gnię to

ban da że, gazy, jakąś maść. Na widok pę se ty za mknę łam oczy i od wró ci łam głowę. Nie chcia łam dra ma ty zo wać, ale myśl, że ktoś bę dzie nią zaraz gme -

rał w mojej ranie, nie na stra ja ła mnie po zy tyw nie.

– Spo koj nie – mruk nął pod nosem oj ciec. – Mam wpra wę.

– I to jaką – dodał żar to bli wie Shane.

Wraz z Tonym to wa rzy szy li nam w kuch ni. Jeden z nich do padł do szklan ki wody, a drugi za czął wsu wać coś chru pią ce go, nie wiem co, bo zaraz za ci -

snę łam po wie ki. Nie bo la ło, ale moje prze wraz li wie nie to żaden se kret.

Bliź nia cy tro chę się ze mnie pod śmie wa li. Oj ciec się nie od zy wał, za ję ty swoim za da niem, a ja wdzie ra łam się na wy ży ny wła snej od wa gi i pil no wa -

łam, by nie za cząć pa ni ko wać ni czym małe dziec ko.

Po sta ran nym oczysz cze niu rany, na ło że niu prze źro czy stej maści oraz za -

ban da żo wa niu Cam wstał, by wy rzu cić zu ży te gazy. Wtedy do pie ro ośmie -

li łam się spoj rzeć na swoje ko la na, które były teraz owi nię te schlud nie bia -

ły mi opa ska mi.

Uff, nie było tak źle.

– Dzię ku ję – mruk nę łam, a oj ciec zbli żył się do mnie znowu, po ło żył dłoń z tyłu mojej głowy i po ca ło wał mnie w jej czu bek, po czym po gła skał mnie czule. Za sko czył mnie ten gest, bo byłam pewna, że jest na mnie zły.

On jed nak od wró cił się, by w końcu spoj rzeć w stro nę bliź nia ków, któ rzy opie ra li się o kre dens i wy ja da li Blan che su char ki.

– Ze chce cie mi po wie dzieć, jakim cudem dwóm chło pom nie udało się upil no wać młod szej sio stry?

– Jak nie?

– Co upil no wać?

– To nie ich wina – wtrą ci łam się rów nież, ale oj ciec nawet na mnie nie spoj rzał.

– Jest pi ja na, widzę prze cież. Ile wy pi ła?

Tony i Shane za czę li się bro nić, uda jąc nie wzru szo nych.

– Nie wie le.

– Mało bar dzo.

– Ma słabą głowę.

– To przez te owoce na są czo ne winem.

– Za mało zja dła.

Cam wziął głę bo ki wdech, przy mknął po wie ki i za ci snął palce u na sa dy nosa.

– Słu chaj cie – wes tchnął, po czym spoj rzał na nich zna czą co. – Obaj da li -

ście ciała, ale zdaję sobie spra wę, że to ja byłem po my sło daw cą tego jakże ge nial ne go planu – po wie dział i prze lot nie zer k nął też na mnie.

– Uznaj my, że to się nie wy da rzy ło, jasne? Macie sie dzieć cicho. Zwłasz cza przy resz -

cie. Zwłasz cza przy Vin cen cie. I Dy la nie. Broń Lor dzie, żeby Dylan się do -

wie dział. Ro zu mie cie?

Chłop cy par sk nę li w tym samym cza sie, ale po ki wa li gło wa mi. Ja też po ki -

wa łam swoją. Za żadne pie nią dze świa ta nie chcia ła bym, żeby to, co się dzi siaj stało, do tar ło do uszu Dy la na. Ani Vin cen ta. Ani nawet Willa.

Oj ciec oka zał się jed nak o wiele bar dziej spo strze gaw czy, niż nam się wy -

da wa ło.

– Tony, co ci się stało w dłoń?

– Nic – mruk nął od razu brat, głu pio cho wa jąc ją do kie sze ni.

Przed wej ściem do tak sów ki opłu kał ręce wodą, którą przy niósł Shane, ale tym spo so bem zmył z niej tylko krew. Jego knykcie wciąż były za czer wie -

nio ne, a skóra na nich zdar ta.

Nigdy nie ro zu mia łam, jak można ude rzyć kogoś tak mocno, żeby aż sa me -

mu zro bić sobie krzyw dę.

– Masz mnie za idio tę? Co? – za war czał oj cieć, pod cho dząc do niego. –

Lałeś się?

– Nie – wes tchnął Tony, pa trząc w bok.

– To co ci się stało w dłoń, się pytam.

Mój brat przez chwi lę zuł wargę, po czym od po wie dział wolno:

– Wal ną łem pię ścia w ścia nę.

Przy mknę łam po wie ki. Tony... Spo dzie wa łam się po nim lep szej wy mów -

ki. Nie było szans, żeby oj cieć się na to na brał.

– Co?

Tony cmok nął z iry ta cją, że musi się tłu ma czyć.

– No wkur wi łem się i ude rzy łem pię ścia w ścia nę.

Cam odchylił nieco głowę, patrząc na syna ze złością i po chwili towarzyszył mu -

człowiek. Jego wzrok prześlizgnął się po Shane'a, ale ojciec, wiedząc, że bliżej -

nie mógł na bank być w stanie nie krzyknąć, ostatecznie nie chciał go na siebie.

- Ha ilie, jak było?

Wszyscy obecni wgapili się we mnie, a ja się zdejmowałam. Nie chciało -

mi się kłamać ojcu ani wszystkim innym braciom, więc w końcu zdecydowałam się na wyjawienie całej sprawy:

- Tony... jest głupi.

Tony wzruszył ramionami na mnie, Shane parsknął, a Cam westchnął ciężko.

- Wiesz co? Idź spać. W tej chwili. Zjedź mi z oczu - zaraz dzisiaj, kiedyś po prostu jąchaj za plecy, w stronę wyjścia z kuchni i na schody. - Ty

też, król lewno, jazda. Już.

Nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam mu mały uśmiech, który chyba odwrócił mnie, a przy tym najmniej za drżały mi lekko kąciki ust. Razem z chłodem -

patrzyłam mi opuszczyliśmy kuchnię. Szłam, opierając się o ścianę, bo moje kolana wciąż były zbyt obolałe, by je zgiąć. Po drodze Shane szturchnął mnie i po chwili mi się uniosł kciuk. To był znak, że do brzo się spisałam.

Ucieszyłam się, że moje wysiłki zostały dobrane.

Rano pierw sze co za ata ko wa ły mnie ból w ko la nach i okrop ne łu pa nie w czasz ce. Nie po tra fi łam kiw nąc choć pal cem. Wzdy cha łam gło śno i czu -

łam się jak ryba wy ję ta z wody. Długo tak le ża łam i zno si łam te tor tu ry, aż roz le gło się ciche stu ka nie do drzwi. A potem ich cichy skrzek, gdy się uchy li ły.

– Jak sa mo po czu cie? – To oj ciec po sta no wił spraw dzić, czy żyję.

Mruk nę łam coś sła bym gło sem.

Usły sza łam jego kroki. Wszedł do po ko ju. Za trzy mał się przy łóżku. Po ło -

żył coś na sto li ku noc nym. Chyba była to szklan ka. Moje wy su szo ne na wiór gar dło na tych miast za pra gnę ło zwil żyć się jej za war to ścią.

– Masz tu aspi ry nę. Po mo że – oznaj mił oj ciec.

– Nie po trze bu ję ta blet ki, czuję się do brze. Je stem tylko zmę czo na – skła -

ma łam, wzdy cha jąc cięż ko.

Guzik praw da, oczy wi ście, że nie czu łam się do brze. Nie chcia łam po pro -

stu przy zna wać przed Camem, że prze gię łam z al ko ho lem na tyle, że trze ba mnie dziś ra to wać.

– Te, dobra, dobra – mruk nął lek ce wa żą co i skie ro wał się do okna. Uchy lił

je i chłod ne świe że po wie trze od razu za czę ło na pły wać do środ ka. – Radzę ci wziąć ta blet kę, długi prysz nic i pić dużo wody przez cały dzień, to może uda ci się go jakoś prze trwać. Za go dzi nę za czy nasz za ję cia. Z na uczy cie -

lem po łą czysz się na pod da szu, tam masz przy go to wa ne sta no wi sko do nauki. Za pa mię tasz?

– Mhm, pod da sze – mruk nę łam bez sensu w po dusz kę.

Nagle otwo rzy łam oczy.

Ode rwa łam po li czek od po dusz ki i od wró ci łam się, by spoj rzeć na tatę, igno ru jąc mocny ból w gło wie. On już wy cho dził, ale na widok mo je go na -

głe go zrywu za trzy mał się i spoj rzał na mnie z unie sio ną brwią.

– Tak?

-Eee... – za wa ha łam się. Nie wie dzia łam, jak ubrać w słowa to, co chcia -

łam po wie dzieć. – Te za ję cia. Cho dzi o szko łę, tak?

Jego twarz po zo sta ła po waż na.

– Tak, cho dzi o twoje szkol ne za ję cia.

Nie mia łam teraz siły nawet my śleć o nauce.

– A czy... czy mo że my to może prze ło żyć? Na jutro? Albo mogę za cząć od po nie dzia ła ku? Tak już na po waż nie?

Oj ciec mil czał przez chwi łą.

– Na po waż nie mo żesz za cząć już dziś, Ha ilie.

Za gry złam wargę i zer k nę łam w dół, na po mię tą koł drę. Nie są dzi łam, że mi od mó wi.

– Go dzi na – oznaj mił nagle. – Mo żesz za cząć go dzi nę póź niej. Bę dziesz miała wię cej czasu, by do pro wa dzić się do po rząd ku. Okej?

Po ki wa łam z wdzięcz no ścia głową, a on przy pie czę to wał naszą umowę ski -

nię ciem swo jej. Nie spo dzie wa łam się, że tak su ro wo po dej dzie do spra wy z lek cja mi, ale cie szy łam się, że osta tecz nie wy wal czy łam dla sie bie cho -

ciaż go dzi nę wię cej. Dzie ki temu dłu żej mo głam po le żeć jesz cze w łóżku.

Kac był naj gor szym uczu ciem na świe cie. Nie mie ści ło mi się w gło wie, jak ci wszy scy lu dzie to wy trzy my wa li. A co naj waż niej sze, dla cze go oni potem upi ja li się znowu? To zde cy do wa nie nie war te ta kie go cier pie nia.

Upi łam łyk wody, która za bi ła pra gnienie do kład nie na kilka se kund, po czym znowu je po czu łam. Po łknę łam ta blet kę, ale mi nę ło z pół go dzi ny, zanim za czę ła dzia łać i mo głam zmu sić się do wy grze ba nia z po ście li.

Byłam brud na, włosy za mie ni ły mi się w jeden wiel ki koł tun, skóra się wy -

su szy ła, oczy zmę czy ły, ko la na pro te sto wa ły przy każ dym zgię ciu, brzyd ko pach nia ło mi z ust, a na do miar złego w takim sta nie zdą żył mnie już dziś zo ba czyć mój oj ciec. Gdy to sobie uświa do mi łam, aż mi się zro bi ło wstyd.

– Za chia ło mi się, kur czę, tequili – syk nę łam zło śli wie do samej sie bie i po krę ci łam głową, na tych miast tego za lu jąć, bo każdy nie po żą da ny ruch kosz to wał mnie zbyt wiele cier pie nia.

W Re zy den cji Mo ne tów ła zien ki znaj do wa ły się na każ dym kroku, oprócz tego, że wszy scy mieli też swoją w sy pial ni. U Blan che jed nak roz kład po -

miesz czeń nie zo stał za pla no wa ny tak wspa nia ło myśl nie, bo ła zie nek było sta now czo mniej, niż bym chia ła. Swoją mu sia łam dzie lić z

chło pa ka mi i ojcem. Była mała, za gra co na i ktoś mu siał już w niej dzi
siał urzę do wać.

Ten ktoś nie uchylił okna, więc woda z pryszni ca skropiła się na błękit
nych kafelkach, a lu stro po ma za ne pa lu cha mi za pa ro wa ło. In ten
syw nie pachniało też męskim żelam pod prysznic. Prawie za częłam się
dusić.

W końcu wzięłam długi, chłodny prysznic, który był pierwszym kro
kiem do mojego ozdrowienia. Rze czywiście po mógł. A może to ta blet
ka robiła swoje. Spędziłam kilka długich minut, oblewając sobie wodą
twarz. Nie wiedziałam na początek, co zrobić z banidżem i ostątecz
nie zdecydowałam się go nie zdejmować, tylko uważać, by go nie za
moczyć. Nie do końca mi się to udało. Potem zabrałam resztę po ran
nej toalety i na stępnie prze -

mknęłam do sypialni, by przebrać się w najwygodniejsze dresy, jakie
znałam -

złam.

Było kilka naście minut po dzie siętej, gdy zeszałam na dół, do kuchni.
Wtedy już czułam się dużo lepiej. Spotkałam tam Tony'ego. Popijał
kawę i skubał

szynkę i bearyską, za czym tując się w komiksie. Na mój widok nawet nie
prób -

bo wał ukryć wrednego uśmiechu.

– Spadaj – rzuciłam aucto matycznie i zabrałam do łóżki. Wyję
łam z niej napój migdałowy, a na stępnie wybrałam się na poszukiwa
nia płatków. Bar -

działam ochotę na coś zimnego, więc pomyślałam o takim śniadaniu
wydał

mi się ide al ny. Dość swo bod nie grze ba łam sobie po kuch ni Blan che,
pew -

nie dzie ki temu, że ona sama wcz e śniej za po wie dzia ła, że nie za mie rza
nad nami wiecz nie ska kać, więc mamy się czuć jak u sie bie.

Tony nie po zbył się tego swo je go iry tu ją ce go uśmiesz ku, nawet kiedy
już za sia da łam obok niego. Chcia łam po da ro wać mu za ból cze spoj rze
nie, ale jak tylko mu się uważ niej przyj rza łam, przy po mnia łam sobie, co
ja tak na -

praw dę wcz o raj wy pra wia łam, i za wsty dzi łam się tak, że po kor nie
spu ści -

łam wzrok na miskę płat ków.

Jakie ja im bzdu ry wcz o raj mó wi łam!

O co mi cho dzi ło z tym pie przy kiem?

– Głu pio ci, nie? – za cze pił mnie Tony, od ry wa jąc się od ko mik su. Wi
docz -

nie uznał, że ja za ba wię go bar dziej.

– Nie.

– A po win no.

– Bo ty się nigdy nie upi łoś.

– Je steś małym al ko ho li kiem.

– Widać to u nas ro dzin ne.

Chyba cał kiem traf nie to pod su mo wa łam, bo Tony na chwi lę za milkł.
Ja w tym cza sie chłep ta łam zimny napój ni czym wy gło dzo ne kocię. Na
szczę -

ście oboje do sko na le wie dzie li śmy, że nie ma co wra cać do sy tu acji z po li -

cją.

– Po wo dze nia na lek cjach – rzu cił zło śli wie, gdy wresz cie wstał.

Opu ści łam łyżkę i skrzy wi łam się, ale już znik nął. Zo sta wił po sobie pa pier po szyn ce oraz pusty kubek. Roz pusz czo ny gamoń. Kiedy myłam wła sne na czy nia, po sprzą ta łam rów nież po Tonym z myślą, by od cią żyć Blan che i Benny’ego.

Chwi lę przed je de na stą zja wił się w kuch ni oj ciec. Z za do wo le niem skwi to -

wał moją go to wość do zajęć. Zmie nił mi szyb ko opa trun ki na ko la nach i mu sia łam przy znać, że teraz, gdy przy głą da łam się jego po czy na niom na trzeź wo, na praw dę mo głam zgo dzić się z jego prze chwał ka mi. Miał nie by -

wa łą wpra wę. W końcu wy cho wał pięć ciu chłop ców. Li czy łam jesz cze nie -

śmia ło, że może mi od pu ści i po ra dzi, żebym po szła się po ło żyć, a lek cje będą mogły po cze kać do po nie dział ku, ale nie ste ty taka pro po zy cja nie padła z jego ust. Za miast tego tuż przed je de na stą, z ze ro wy mi chę cia mi wspię łam się na pod da sze.

Osta tecz nie prze trwa łam ten dzień, a po póź nym obie dzie na resz cie otrzy -

ma łam wy ma rzo ną drzem kę. Nie wie le wię cej się wy da rzy ło tej so bo ty.

Przy naj mniej nie z mojej per spek ty wy, bo gdy ja od sy pia łam, oj ciec i bliź -

nia cy spę dza li wspól nie czas. Moi bra cia przy le cie li tu tylko na nie ca ły ty -

dzień. Już na stępnego dnia mu się udało, czy zgadzam się
zostać na wyspach sama z ojcem, Blanche i Benjamine, czy wolę wrócić z
Shane'em i Tonym do domu. Wytrzymałam, że przywieziono mnie tutaj
za moją siostrę, abym została na dłużej, ale po prostu nie dano mi wyboru. Zda-
wało mi się, że ojcu bardzo zależy, bym pozostała tutaj za trzy
miesiące, ale nie próbowałam

usił nie wpłynąć na moją decyzję. Ja szybko rozważałam plusy i minusy.

W domu z braci czułam się zdecydowanie nieświeżo, ale z
drugimi -

nie było miło być z ojcem trochę więcej czasu, no i może
nawet nie przejdzie, bym Blanche? Nie załamam też, że w domu
czeka -

był na mnie areszt, do mojej, za bójkę czy hazard na moje życie oraz brzyd-
ka pogoda.

Tak więc zostałam na wyspach. Siegnęłam na ganku i pałałam, jak
Benjamin odpałał, żeby odwieźć Shane'a i Tony'ego na lotnisko.
Chłop -

czy mu się wrócić głowę nie było trudno. Ich Vincent nie wysłał
na zdalne uczenie. Gdy pałałam, jak odjeżdżałam, zrobiło mi się
przykro. Po raz pierwszy od ponad roku się z nimi rozstałam.

Zostałam braci, do których najpierw nie mogłam się przywiązać, a z
którymi -

mi teraz nie chciało się rozdzielać. Po cieszyłam się tym, że nasza roz-
łąka nie będzie długa.

Ojciec obserwował, co się dzieje z nami, do póki ten nie zniknął za
krę -

tem, wśród oliwnych krzewów. Wtedy wrócił wolnym krokiem w stronę domu, na ganek. Oparł się rękoma o balustradę, plecami do mnie. Rozległ

się odgłos zapalniczki i zanim jeszcze ponad jego głową pojawił się dym, ja już wiedziałam, że odpalił cygaro.

Kiedyś udało się miała je z Vincentem, bo wiedziałam kilka razy, jak je palił, ale teraz, gdy po raz drugi spotkałam ojca, wiedziałam już, kto tak naprawdę -

odchodził za plecami ten trend w naszym rodzinie.

Dyskretnie przyklepałam książkę, jako zakładki używając suszonej róży od Leo, i odłożyłam ją na stole. Podciągnęłam też kołnierz, które goiły się o wiele wolniej i wciąż mi do kurtki, pod brodę i szczelnie okryłam się kocem.

– Czuję się nieskomfortowo – oznajmił znikąd Cam. Jego głos był lekko zachrypiony -

nie ty.

– Bo chłopcy wyjeżdżają? – zgardłałam, przez krzyżując głowę.

Dłoń Cama powędrowała do jego nieujarzmionych, ciemnych włosów, jakby chciała je ułożyć, w rezultacie roztrzepując je jeszcze bardziej.

– Jasne, że wolalibyśmy, żeby tu byli, ale mają szkołę i obowiązki. Lepiej, że wyjeżdżają. Jeszcze się zobaczymy – tłumaczył mi i samemu sobie. Na stół -

nie wypuścił z płuc sporo dymu. – Bardziej do kurtki mi fakt, że zgodziłam się rozpałdzić sną córkę, tylko po to, żeby jej się przydołać.

Och, czyli będzie o tym rozmawiać. Myślałam, że za mnie cię tęsy tu -

ację pod dywan. Ode tchnęłam cicho.

– To nie jest ani twoja wina, ani chłopa ków. Sama się upiłam. Shane po -
zwoił mi tylko na kieliszek, a ja nie posuchałam. Nie wiedziałam, że
tak się zała twię. To smakowało jak soczek.

Cam odwrócił się, by po często wać mnie swoim spojrzaniem znad unie-
sio -

nej brwi. Było trochę bałwo, ale próbował być poważny, w taki
ty po -

wojcowski sposób. Wychoywała przez matkę i babcię, a potem
braci, nie byłam z nim obeznana, więc przy gryzłam wargę i zerknęłam
na Cama spod rzęs, próbując go urobić swoim czarem jej córki.

– Zgoda, król lewno, trochę przeięłaś, ale jak by nie było, dałem ci zie-
ne światło. – Pokręcił głową. – Muszę się uodporzyć na twój urok.

Uśmiechnęłam się.

– Hej, nie żartuj. Co innego mieć córkę, a co innego syna.

– Ale nie pozwól mi przejąć zajęć na polu dzieł.

Zaśmiał się.

– Aż taką cię płąkuchą nie jestem, żeby pa trzeć, jak za wasze swoje
obo -

wiązki przez kaca – po wie dział. – Po prostu to jako lek ode mnie.
Jesz -

czynie na widzieliśmy moje to dycho wawcze. Zapytaj chłopa ków,
coś o tym wiedzą.

Przez chwilę w ciszy oboje przyglądaliśmy się niezmiennemu widoku
kwiolowych drzew. Gdzieś w oddali, między nimi międzynami mięgliśmy

wet ka ja kie -

goś czło wie ka, ale zanim pod nios łam raban na całe go spo dar stwo, że jakiś obcy kręci się po po se sji, do strze głam białą czu pry nę męż czy zny i roz po -

zna łam w nim Benny'ego.

– Cie szę się, że cię po zna łam. Nie chcę o tym my śleć, ale tro chę mi przy -

kro, że mama przez te wszyst kie lata za bra nia ła nam kon tak tu – wy zna łam.

Czu łam po trze bę, by mu to po wie dzieć. Takie myśli krą ży ły mi po gło wie od dawna.

Cam rzu cił mi de li kat ny uśmiech, ale potem tro chę spo waż niał.

– Miło mi to sły szeć, choć muszę ci się do cze goś przy znać i może ci się to nie spodo bać. Tro chę ci na kła ma łem – przy znał. – No do brze, może nie na -

kła ma łem, ale za ta iłem kilka fak tów.

– O co cho dzi? – za py ta łam na tych miast, sta ra jąc się za cho wać spo kój.

– Opo wia da łem, jak za war łem z twoją mamą umowę, że nie będę in ge ro wał

w twoje wy cho wa nie dla wa sze go bez pie czeń stwa. Po wie dzia łem ci, że skon tak to wa ła się ze mną tylko raz, żebym wie dział, że uro dzi ła zdro wą có -

recz kę. Wy sła łem wtedy te kol czy ki, pa mię tasz?

– Tak. – Po ki wa łam głową. Po im pre zie za dba łam, by z po wro tem je za ło -

żyć i teraz błyszczą na moich uszach.

– Myślałem o tobie często. Bar dzo, bar dzo często. Ale życie to czyło się dalej. Miałem ręce pełne roboty... Ktoś raz o twoim istnieniu do wie-

dział się Monty. Przyznałem mu się przy okazji, że mam córkę. A on, mo-

zesz sobie wyobrazić, zbulwersował się, że w ogóle pozwoiliłem Gaby odejść. – Cam pokręcił głową. – Krety na kręcił mnie tak, że w końcu, pewnego dnia, nie wytrzymałem i wsiałem do samolotu... żeby cię odzy-

skać.

Zmroziło mi krew w żyłach na te słowa. Jednocześnie poczułem małe

pełko, gdzieś w środku, nie dało sercu. Od czasu, gdy do wieziałam się, że ojciec jedynak żyje, zastraszona wiała się nie śmiała, czy załżała kie

wiek, że mnie opuścił. Nic na to nie mogłam poradzić, że ucieczyłam się na wieść, że jedynak nie było mu łatwo. W końcu moje dzieciństwo bez taty też nie było usłane różami.

– Jak... jak to się skończyło? – drążyłam, widząc jego opory.

Cam zastrząsał się na mnie. Zastraszona wiała się, jak bar dzo mógł być ze mną szczyt. Zastrząsał się swoim cygańskim, uparcie miłym. Byłam cierpliwa.

Nie zastrząsałam mu odpuszczać, ale jeśli pozostawiał chwilę, by zabrać myśli, to niech mu będzie.

Opuściła się ciekawość.

RA SO WY KLAUN

Zaje cha łem pod wasz blok wy po ży czo nym autem. Póź nym po po łu dniem.

Mia łem ze sobą ka nap kę z gru bym ka wa łem wo ło wi ny. Cał kiem nie złą, pa -

mię tam. Żułem ją, gdy ga pi łem się na wasze okna. Dru gie pię tro, niski, strasz nie wąski dom, ty po wa an giel ska klita. Wasze osie dle to były rzędy ta kich wła śnie bu dyn ków. Pa mię tam tę po gar dę, z jaką roz głą da łem się po oko li cy. Po pi sa ny graf fi ti mur czy ławka, z któ rej nie mał gołym okiem widać było, jak wy sta ją drza zgi. My śła łem sobie wtedy: „Cho le ra jasna, czy moja córka na praw dę miesz ka w takim miej scu?”.

– Potem je od no wi li – wtrą ci łem, za wszel ką cenę sta ra jąc się wy bro nić swoje ro dzin ne stro ny. – Nasze osie dle w sen sie. Zmie ni li ławki, zbu do wa li też pięk ny plac zabaw.

Na praw dę nie było tak źle.

Oj ciec zer k nął na mnie scep tycz nie.

– Wiesz, co sobie wtedy my śła łem? Byłem wście kły. Wy obra za łem sobie, że Ga briel la za pew ni ci dom taki rodem z Go to wych na wszyst ko. Wiesz, z plot kar ski mi są sia da mi wkoło, gdzie dzie cia ki bawią się na ulicy, a na każ dym pod jeź dzie stoi je ba ne volvo. – Oj ciec po krę cił głową. – My śła łem sobie, że to prze cież moja córka, ona po win na miesz kać jak kró lo wa, po -

win ni roz wi jać czer wo ne dy wa ny wszę dzie, gdzie idzie. A nie, kurwa, jakaś śred nio bez piecz na, mała atrak cyj na dziel ni ca.

– Ja za pa mię ta łem ją jako atrak cyj ną.

Oj ciec uśmiech nął się lekko. Do strze gła m w nim to samo, co cza sem wi dy -

wa łam u braci. Ab so lut ne przy zwy cza je nie do luk su su i prze py chu.
Za ry zy -

ko wa ła bym nawet stwier dze nie, że Cam jest nie mniej roz puszczo ny
zy -

ciem w do stat ku niż chłop cy. Dla niego naj wy raź niej po se sja bez hek
ta rów ziemi, ga ra żu wiel ko ści han ga ru na sa mo lo ty oraz mi lio na
dwi stu sy piał ni nie za słu gu je na miano domu.

– Za trzy ma łem się na par kin gu i pa trzy łem, jak po wo li za peł nia się
sa mo -

cho da mi. Lu dzie wra ca li z pracy. To był dość po chmur ny dzień z do
dat ko -

wo do łu ją cą aurą. A ja się jesz cze na krę ca łem, że ży jesz w ja kimś,
kurwa, Smu ta so wie. Ocza mi wy obraż ni wi dzia łem już, jak wy ra stasz
na kogoś po -

zba wio ne go chęci i mo ty wa cji do życia. Kosz mar.

– Czy my mó wi my o tym samym miej scu? Tam, gdzie się wy cho wa
łam, są -

sie dzi byli dla mnie za wsze bar dzo mili i ser decz ni. Pan Nel son po zwa
łał

mi nawet zbie rać cze re śnie ze swo je go ogród ka.

Cam ski nął głową, jakby nie chciał się ze mną na ten temat kłó cić.

– Zgoda, kró lew no, może tro chę prze sa dzam i wy ol brzy miam. Jed nak
tak to za pa mię ta łem, mówię szcze rze. Zu peł nie się prze ra zi łem. – Oj
ciec wzru -

szyl ra mio na mi.

Mil cza łam, bo za do wo li ła mnie jego od po wiedź.

– W każ dym razie cze ka łem na wie czór, żeby oko li ca opu sto sza ła. Sie dzę, cze kam, pa trzę. Pod jeż dża ja kies auto, naj zwy klej szy ford, i za trzy mu je się nie da le ko bramy. Nie par ku je, tylko stoi. No i nie mija kilka minut, jak nagle z bloku wy cho dzi Ga briel ła. – Oj ciec prze wró cił ocza mi na wspo -

mnie nie, pod czas gdy moje się za świe ci ły, jak za wsze, kiedy mówił

o mamie. – Włosy miała ze bra ne do tyłu, ład nie tak, była uma lo wa na i miała na sobie długą su kien kę. Gra na to wą, z dzin so wą kurt ką za rzu co ną na ra mio na. Przez kilka se kund ga pi łem się na nią jak idio ta. Przy po mnia -

łem sobie, jak kie dyś mnie ocza ro wa ła i że jest nie tylko pięk ną ko bie tą, lecz także mądrą. Taki klej not. A jak jesz cze się uśmiech nę ła? Cho le ra, prze cież aż mi serce sta nę ło. – Cam za cią gnął się cy ga rem, pa trząc w dal, za pew ne w gło wie wi zu ali zu jąc sobie to, co lata temu zo ba czył na wła sne oczy.

Też przy po mnia łem sobie uśmiech mamy. Był pięk ny, za wsze szcze ry i sym pa tycz ny. To był taki uśmiech, dla któ re go warto było mieć zmarszcz -

ki.

– No. – Oj ciec po ki wał głową. – Potem zo ba czy łem, że uśmie cha ła się tak wła śnie do tego go ścia w aucie. A on to był taki, kurwa, wiesz, kla sycz ny figo- fago. – Zer k nął nagle na mnie i od chrząk nął. – Prze pra szam, Ha ilie, nie po wi nie nem się wy ra żać.

Mach nę łem lek ce wa żą co ręką. Wul ga ry zmy już dawno prze sta ły robić na mnie wra że nie. Żyjąc pod jed nym da chem z bliż nia ka mi i Dy ła nem, zdą ży -

łem się do nich przy zwy cza ić.

– Gaby wsia dła do tego sa mo cho du i za mie ni ła z typem parę słów. Nie było żad ne go ca ło wa nia, więc wy wnio sko wa łem, że do pie ro za czy

na li się spo ty -

kać. Zaraz od je cha li. A ja zo sta łem i jesz cze bar dziej się na chmu rzy łem, bo jak by nie było, moja męska duma ucier pia ła. To takie głu pie, moja Ha ilie, wiem, bo prze cież nie spo ty ka łem się już z twoją mamą, ale coś mnie tak ukłu ło. – Cam po ło żył sobie wolną dłoń na że brach. – No po pro stu wkur -

wi łem się, co tu dużo mówić.

Słu cha łem go w mil cze niu. To było dla mnie trud ne. Z jed nej stro ny chcia -

łem bro nić mamy, z dru giej wie dzia łem, że ona sama też nie była bez winy i szko da było mi ojca. No a prze cież byli do ro sły mi ludź mi, po win ni byli jakoś, bo ja wiem, roz pra co wać to razem.

– Ile ja wtedy mia łem lat? – za py ta łem, marsz cząc brwi.

– Pra wie czte ry.

Och. Pra wie czte ry. Nie wie le pa mię ta łem z tak wcze snych lat mo je go życia.

A już na pewno żad nych ojców.

– I co było dalej?

– Ściem ni ło się. W jed nym z wa szych okien wkrót ce za pa li ło się świa tło.

Ze dwa razy mi gnę ła mi po stać ko bie ty, więc do my śli łem się, że musi tam

z tobą być twoja bab cia albo może ewen tu al nie jakaś nia nia. Sta wia łem na bab cię. Wie dzia łem, że Ga briel la miesz ka ła ze swoją matką.

Cam przez chwi lę wpa try wał się w koń ców kę swo je go cy ga ra i zu peł nie nie po tra fi łem od gad nąć, o czym myśli.

– Ta wasza ulica zro bi ła się bar dzo po nu ra, gdy za padł mrok. Oświe tła ły ją tylko lampy, ale co druga nie dzia ła ła, więc efekt był upior ny. Ja jed nak nie na rze ka łem, bo pod przy kryw ką nocy za wsze czuję się swo bod niej. Jest jak dobra, lo jal na przy ja ciół ka, która do trzy ma każ dej ta jem ni cy. Dla te go cze -

ka łem, aż na dej dzie. Był paż dzier nik, więc na stą pi ło to cał kiem szyb ko.

Chod ni ki opu sto sza ły, bo to wasze osie dle za miesz ki wa li tacy naj zwy czaj -

niej si w świe cie lu dzie, któ rzy po po wro cie z nud nej pracy już na sta wia ją bu dzi ki, by rano znowu do niej wstać, a szczy tem ich wie czor nej atrak cji jest obej rze nie pro gra mu w te le wi zji. Nie licz ni tylko wy cho dzi li na ostat ni spa cer ze swo imi psami. Wtedy zde cy do wa łem, że czas za częć dzia łać.

Po czu łam, jak wzbie ra ją we mnie emo cje.

– Tro chę się de ner wo wa łem. Nie twoją babką czy są sia da mi, ale tym, że już zaraz zo ba czę na żywo swoją có recz kę. Że będę ją trzy mać. Mia łem do -

słów nie ciar ki na ple cach. Dla te go jesz cze sobie za pa li łem. W tam tym cza -

sie na praw dę duzo pa li łem. – Mó wiąc to, oj ciec wy ma chi wał swoim cy ga -

rem. – Naj wię cej za czę łem po śmier ci żony. Wiesz, mor der stwo, piąt ka dzie cia ków na gło wie, świa do mość, że mam córkę, któ rej nigdy nie po zna -

łem. Praca. Nie było se kun dy, żebym się nie stre so wał. Du si łem się z ner -

wów, każ de go dnia, o każ dej go dzi nie. Do tego stop nia, że pra wie się do nich przy zwy cza łem. Jesz cze tro chę i może byśmy się za kum plo wa li – za -

żar to wał oj ciec, za pew ne chcąc roz ła do wać at mos fe rę.

Słu cha łem go uważ nie, bo wo la łem, by nic mi nie umknę ło, i uśmiech nę -

łem się sztucz nie, bo wi dzia łem, jak ocze ku je mojej re ak cji.

Cam wes tchnął i może po za ło wał, że w ogóle za czął tę opo wieść, ale wie -

dział, że nie ele ganc ko by ło by się teraz wy co fać, dla te go kon ty nu ował.

– W końcu wy pa li łem pa pie ro sa. Wzru szy łem ra mio na mi, żeby je roz luź -

nić. A nawet strze li łem kny k cia mi, jak bym już szy ko wał się na bójkę.

W sumie wiesz, nigdy nic nie wia do mo. – Uniósł de li kat nie jeden kącik ust. Tak rów nież robił cza sem Vin cent. – A potem ru szy łem przed sie bie, w stro nę wa sze go domu. W dro dze po kle pa łem się po kie sze niach kurt ki, żeby upew nić się, że na pewno mam tam klu czy ki od auta i broń.

Za dłu go miesz ka łem z moimi brać mi, żeby miało mnie zszo ko wać słowo

„broń”, cho ciał świa do mość, że oj ciec, re ali zu jąc swój plan rze ko me go od -

zy ska nia mnie, uznał bycie uzbro jo nym za ko niecz ne, wzbu dza ła we mnie mie sza ne uczu cia.

– Wsze dłem do środ ka i za czą łem wspi nać się po scho dach. Za pa li ło się świa tło. Nie spodo ba ło mi się to, bo, jak mó wi łem, w ciem no ści czu łem się bez piecz niej. Przy naj mniej mo głem po roz głą dać się wkoło,

żeby nie umknął mi żaden szcze gół. Choć szcze rze, wszyst kie te ko ry ta rze były takie same. Dłu gie, puste i nie cie ka we. Cho ler nie cia sne.

Trud no mi było wy obra zić sobie Cama w bu dyn ku, w któ rym mie ści ło się nasze stare miesz ka nie. Jak wcho dzi po tych sa mych scho dach, po któ rych ja sama za su wa łam przez więk szość swo je go życia. On też tam był! Ha ilie z prze szło ści, gdyby to usły sza ła, do sta ła by za wa łu. Zresz tą Ha ilie z te raź -

niej szo ści też nie wie le do niego bra ko wa ło.

– Jak tam wsze dłeś bez klu cza?

Cam uniósł brew.

– Wej ście do wa sze go bu dyn ku to bułka z ma słem. Za dzwo ni łem do do mo -

fo nu pod lo so wy numer. Przed sta wi łem się jako są siad, który za po mniał

klu czy, i jakaś ko bit ka wpu ści ła mnie, zanim zdą ży łem nawet do koń czyć zda nie. Lu dzie po win ni być ostroż niej si.

Nagle kur ty na ko ra li ków w drzwiach po ru szy ła się i za grze cho ta ła, gdy z domu wy szła do nas Blan che. Jedną rękę miała jak zwy kle kon tro l nie wy -

cią gnię tą przed sie bie, ale w dru giej trzy ma ła ce ra micz ny pół mi sek, ró żo -

wy, ze zło ty mi brze ga mi. Znaj do wa ły się w nim mi ni cro is san ty z białą cze -

ko la dą, opró szo ne de li kat ną war stwą cukru pudru.

-Macie – burk nę ła, wy cią ga jąc przed sie bie pół mi sek, który prze jął od niej Cam. – Zo sta wi łam kilka spe cjal nie dla was.

Po dzie ko wa li śmy jej, bo był to dosyć spory wy czyn. Blan che upie kła te ro -

ga li ki na po że gnał ne śnia da nie dla bliż nia ków, któ rzy nie dość, że opy cha li się nimi przy stole jak nie nor mał ni, to jesz cze zwi nę li po zo sta ło ści do pu -

deł ka, żeby mieć prze ką skę na drogę. Dla te go po dwój nie do ce ni ła m sta ra -

nia Blan che i jej prze bie głość, że jed nak udało jej się co kol wiek przed nimi ukryć.

Bab cia nie za mie rza ła urzą dzać sobie z nami po ga du szek, bo od razu scho -

wa ła się z po wro tem w domu, a ja z ojcem po wró ci li śmy do roz mo wy. Całe szczę ście, że to on głów nie mówił, bo mo głam sobie bez wstyd nie za pchać usta słod ko ścia mi. Gdy już po bu dzi ła m kubki sma ko we, rzu ci ła m mu po na -

gła ją ce spoj rze nie.

Zanim po now nie pod jął temat, uśmiech nął się do mnie lekko.

– No to... wresz cie sta ną łem pod wa szy mi drzwia mi. Drzwi jak drzwi, łatwo by mi z nimi po szło, gdyby ktoś, nie wiem, na przy kład nie chciał ich otwo rzyć po do bro ci. – Na to stwier dze nie prze bie gły mnie ciar ki.
– Za pu -

ka łem. Ju dasz za kry łem pal cem, cho ciał twoja bab cia i tak miała go chyba dla ozdo by, bo otwo rzy ła mi w ciem no. Wku rzy łem się jesz cze bar dziej. Że moją córką zaj mu je się ktoś tak ła two wier ny i nie uważ ny. Nie od po wie -

dział ny.

– Twier dzi ła, że nigdy cię nie po zna ła – po wie dzia ła m, spe cjal nie prze żu -

wa jąc szyb cieją, żeby się wtrą cić, bo nie chcia łać wy słu chi wać tych
wszyst -

kich przy krych słów, któ ry mi Cam opi sy wał moją bab cię.

– No wiesz, to nie było tak, że tam sobie piłem z nią her bat kę i pier do li
łem o głu po tach. Nie wie dzia ła, kim je stem, ale szyb ciut ko się do my
śli ła.

Chcia ła za trza snąć mi drzwi przed nosem, ale jej nie po zwo li łem. W
końcu nie pierw szy raz nie pro szo ny wje ba łem się komuś do domu.
Wsze dłem.

Nie pierw szy raz. Chry ste, prze pra szam cię, Ha ilie, je stem zbyt wul gar
ny. –

Cam po tarł sobie czoło. – To przez emo cje. Za dużo prze kli nam. Tylko
po mnie nie po wta rzaj, kró lew no.

– Nie będę – obie ca łać.

Uśmiech nął się do mnie, ale zaraz szyb ko spo waż niał.

– Wie dzia łem na pewno, że to twoja bab cia, bo była bar dzo po dob na do
Ga -

briel li. Wpro si łem się do środ ka, nie miała szans. Bez słowa cho dzi łem
od po miesz cze nia do po miesz cze nia, kom plet nie ją igno ru jąć. A ona
wszędzie za mną. I cią gle coś tam szep ta ła go rącz ko wo, a to, żeby się
wy no sił, że to naj ście, że tak nie można i takie tam pi to le nie. Wiesz,
czemu się nie darła?

Po krę ci łać głową, gdy prze rwał na chwi lę.

– Bo ty spa łaś. Nie chcia ła, żebyś się obu dzi ła.

Serce za ci snę ło mi się moc niej.

– Tak, a ja miałem wszystko w dupie, bo jak już sobie coś wbiłem do głowy, to miało być po mojemu, za wszelką cenę. Byłem w salonie, gdzie świecił się wyścigowy telewizor, w kuchni, gdzie unoszył się zapach słodkich grzybów.

Naładowały się takie kolory, małe sygnały dla dzieciaków. W kształcie liści. Takie abstrakcyjne, wiesz. A na stepie drzwi, które otworzyłem, prosto -

dzieliła śnie do twojej sypialni. Do piekna wtedy się za trzy miałem.

Wiedziałam to. Wszystko wiedziałam w głowie. Przez ciebie wspomniała znałam rozkład tego mieszkania. Wyobrażałam sobie każdy krok, jaki stawiał o -

ciebie. I to, jak babcia połączyła za nim, biała dołącza półgłosem. A potem jak sta -

nał w progu mojej dziecięcej sypialni. Oj ciebie też włączyła przywoływała te wspomnienia, wiedziałam to w jego zapachach w dal oczach.

– Całe mieszkanie nie było za skałką co przytulne. A twój pokój przez uroczy.

Miałaś takie małe meble. Dużo za bawek. Wszystko schludnie poukładała -

nie. Po myślałem sobie, że mu się być po dobrej do Vince'a, on też od małego go był perfekcyjnie sta.

Oczy mi się za szkliły.

– A potem do strzeżenia miałem ką po stać na łóżku. W pokoju było ciemno, ale wpałało trochę światła z korytarza przez otwarte drzwi. Zobaczyłem cię. Po raz pierwszy. Leżałaś skulona pod kocem w takiej, nie wiem, kurwa, co to było, jakiejś złośliwej rzymskiej. Włosy miałaś rozsypane na poduszce.

Ciem ne. Moje, nie rude jak Ga briel li, tylko moje ciem ne włosy. Sta na łem jak wryty i my śla łem sobie tylko, że „Chry ste, to prze cież ona, to moja dziew czyn ka”.

Usta przy kry łem dło nią, bojąc się, że wy do sta nie się z nich jakiś nie po żą da -

ny dźwięk.

– Z transu wy rwa ła mnie twoja bab cia, która zła pa ła mnie za ramię, ale od razu się wy szarp na łem i ru szy łem w twoją stro nę. A ona za czę ła skom leć znowu, żebym cię zo sta wił w spo ko ju, że źle się czu jesz, że je steś chora i masz go rącz kę, że to grypa i że prze ze mnie do sta niesz za pa le nia płuc.

Zbli ży łem się do two je go łóżka, zu peł nie głu chy na jej słowa. Spoj rza łem na twoją twa rzycz kę, na drob ny nosek, pu co ło wa te po licz ki, wa chlarz rzęs.

Byłaś ide al na. I już wie dzia łem, że nie ma, kurwa, szan sy, żebym wy szedł

stam tąd bez cie bie. Dla te go wzią łem cię na ręce. De li kat nie. Po ru szy łaś się, ale opar łaś o moje ramię i wciąż spa łaś. Wtedy to już w ogóle twoja babka spa ni ko wa ła. Za czę ła mówić coraz gło śniej i chyba nawet ry czeć. Nie spe -

cjal nie ob cho dzi ło mnie jej wycie.

Nie po tra fi łem się ru szyć. Za po mnia łem już nawet o cro is san tach. Sie dzia -

łem i wga pia łem się w ojca, który z kolei już na mnie nie pa trzył. On du -

chem był teraz w prze szło ści, ja kieś dwa na ście lat temu. Ja na to miast słu -

cha łem, słu cha łem i nie wie rzy łem wła snym uszom. Pró bo wa łem sobie zwi zu ali zo wać pra wie czte ro let nią sie bie, za spa ną, w ra mio

nach wy so kie -

go, bro da te go fa ce ta odzia ne go w czar ną skó rza ną kurt kę i z pi sto le tem za pa zu chą.

– Kie ro wa łem się do wyj ścia, a twoja babka mnie wy prze dzi ła i krzy cza ła, że mnie nie puści. I znowu ta gadka o za pa le niu płuc. Ka za łem jej zejść mi z drogi. A ona swoje. A ja nie mia łem czasu do stra ce nia...
Wtedy wy ją łem broń.

Gło śno na bra łem po wie trza. Cam za ci snął palce na ba lu stra dzie.

-Gro zi łość mojej babci? – wy szep ta łem słabo.

– To za chwi lę. Naj pierw ty się roz bu dzi łaś. Ro zej rza łaś się nie przy tom nie.

Rze czy wi ście źle się czu łaś. Nie do końca ro zu mia łaś, co się dzie je. Twoja bab cia coś tam do cie bie świer go ta ła, żebyś się nie bała, nie wiem, na cho -

le rę, bo wcale nie byłaś wy stra szo na, tylko bar dziej zdez o rien to wa na. A ja po gła ska łem cię po tych roz trze pa nych wło skach, po czym przy ci sną łem twoją głów kę z po wro tem do swo jej pier si w na dziei, że wró cisz do snu. Tą samą ręką, w któ rej trzy ma łem broń. – Cam za śmiał się bez krzty hu mo ru.

– Tak, moja Ha ilie, żon gło wa łem sobie pi sto le tem przy głów ce mojej có -

recz ki ni czym ra so wy klaun.

Mil cza łem.

– Od pły nę łaś znowu. A ja wie dzia łem, że na praw dę muszę się już zbie rać.

Wtedy wy ce lo wa łem w twoją bab cię. Po wie dzia łem, że za bie ram cie bie, a ona zo sta je, żywa lub mar twa. Jej wybór. Ro zu mia ła, że mó wi

łem serio.

Dla te go gdy od bez pie czy łem broń, żeby po ka zać, że tracę cier pli wość, od -

su nę ła się. Nie cze ka łem na za pro sze nie, tylko ucie kłem z tego miesz ka nia jak naj szyb cie. Zbie głem po scho dach. Opa tu li łem cię szczel niej twoim kocem, bo bałem się, że na serio do sta niesz tego ca łe go za pa le nia.

Cią gle my śła łam o mojej bied nej babci. Ona była ła god na jak ba ra nek, nie za słu gi wa ła na tak szorst kie obej ście. Ależ ona mu sia ła być prze ra żo na.

– Auto wy po ży czy łem z fo te li kiem, więc od razu cię tam po sa dzi łem. Chry -

ste, jak mi drża ły ręce... nie mo głem tra fić w za pię cia. Przy kry łem cię kocem. Zsu nął się. Przy kry łem znowu. Prze kli na łem w my ślach jak szewc.

No, a potem usia dłem za kie row ni cą i od je cha łem, nie oglą da jąc się za sie -

bie. Wie dzia łem, że w oknie na pewno stała ta twoja babka, już z te le fo nem przy uchu.

Czyli na praw dę mnie za brał. Gdy za czął opo wia dać tę hi sto rię, nie są dzi -

łam, że po su nął się tak da le ko. Dla cze go nie pa mię ta łam tak istot ne go wy -

da rze nia ze swo je go życia?

– Po rwa nie cię w tak nie zrów no wa żo nym sta nie, w jakim wtedy byłem, to jedna z naj idio tycz nej szych rze czy, jaką w życiu zro bi łem. – Cam po krę cił

do sie bie głową. – Strasz ny był ze mnie po rą ba niec. Pla no wa łem przez część nocy być w tra sie. Za wsze lu bi łem pro wa dzić, gdy jest ciem no.

Oczysz cza to głowę. Wy my śli łem sobie, że ty bę dziesz spała, a ja się otrzą -

snę i tro chę wezmę w garść. Do ce lo wo mia łem łapać do domu sa mo lot, ale to póź niej i na pewno nie z po bli skie go lot ni ska. Jed nak po krzy żo wa ły mi się szyki, bo w trak cie jazdy się prze bu dzi łaś. A nawet nie wy je cha li śmy jesz cze z mia sta... Tro chę kasz la łaś. Mia łaś ru mień ce na po licz kach. Drża -

łaś. W końcu za czę łaś sobie mam ro tać coś pod nosem. Chcia łaś do mamy.

Ale byłaś zbyt wy czer pa na cho ro bą, żeby sta wiać więk szy opór. Pa trzy łem na cie bie cią gle w lu ster ku i z tego wszyst kie go pra wie wje ba łem się na rondo nie z tej stro ny co trze ba. Cho ler na An gliu.

Teraz też drża łam. Za gry złam wargę.

– Do sa me go końca biłem się z my śla mi, ale coś mnie tak tknę ło, że nie no, nie mogę być takim bucem. Nie chcia łem ci za szko dzić, na praw dę. Chcia -

łem, żeby było ci cie pło i wy god nie. Żebyś czuła się kom for to wo. Nie prze -

wi dzia łem tego, że bę dziesz chora. Jakoś tak cięż ko od dy cha łaś. Po win naś była być w łóżku i ja to wie dzia łem. Pa ni ko wa łem, Ha ilie, że prze ze mnie po czu jesz się jesz cze go rzej.

Oj ciec w końcu wy pa lił swoje cy ga ro. Na chy lił się, by zga sić jego koń ców -

kę w po piel nicz ce, i od chrzą knął, a potem do tknął kie sze ni swo ich spodni, jakby od razu chciał wy cią gnąć nowe. Jed nak po wstrzy mał się przed tym i za miast tego po gła dził swoją brodę.

Pa trzy łam na niego z nie moż li wą do ukry cia re zer wą, mimo że wie dzia łam, jak opo wieść się skoń czy. Prze cież nawet nie pa mię ta łam tego epi zo du.

Wy cho wy wa ła mnie mama. Chłop cy długo nie wie dzie li o moim ist nie niu.

A mimo wszyst ko bałam się fi na łu. Jak bym miała usły szyć, że oj ciec mnie wtedy po rwał i już nigdy nie zo ba czy łam mamy i babci.

– Za trzy ma łem się w końcu na obrze żach mia sta. Długo szu ka łem w na wi -

ga cji od po wied ni ka ty po we go ame ry kań skie go mo te lu, bo za le ża ło mi na pry wat nym wyj ściu z po ko ju. W końcu coś zna ła złem, stary i ob skur ny bu -

dy nek. Na dwo rze krę ci ło się kilku po dej rza nych typów. Całe szczę ście, że ja też byłem po dej rza ny, więc się mnie nie cze pia li. Wpa ro wa łem z tobą na ręk ach do re cep cji. Wzią łem jakiś pokój, byle jaki, żeby tylko był cie pły

i z wiel kim, wy god nym łóż kiem, tak sobie za ży czy łem. I taki był. Od razu tam cię po ło ży łem. Przy kry łem kocem, tym w ży ra fy. I koł drą. Kasz la łaś, więc dałem ci wody. Spu ści łem ro le ty. I cho dzi łem tam i z po wro tem.

Chcia łem za pa lić. Ale nie chcia łem cię zo sta wiać. Sie dzia łem i pa trzy łem na cie bie, gła ska łem cię po gło wie. Uczy łem się two jej twa rzy, byłaś naj -

pięk niej szą dziew czyn ką, jaką kie dy kol wiek wi dzia łem. My śla łem, że jak już będę cię miał przy sobie, to po czu ję się le piej, ale cię żar w środ ku nie ze lżał.

– Nie bałeś się, że po li cja od razu cię na mie rzy? – za py ta łam. Gar dło mia -

łam ści śnię te, więc zda wa ło mi się, że brzmie dziw nie.

– Ga briel ła wie dzie ła, że gdyby po szła na po li cję, to tylko po gor szy ła by spra wę. Znała moje moż li wo ści. Sam jej opo wia da łem, jakie prze krę ty ro -

bi li śmy. Wie dzie ła, jak szyb ko mogę spra wić, żeby prawo było po mojej stro nie. Nawet w innym kraju. A, jak mó wi łem, była in te li gent na. Wie dzie -

ła, że jeśli naśle na mnie po li cję, to ob ró ci się to prze ciw ko niej.

-W takim razie co... jak? Zna ła zła cię? Mu sia ła cię zna leźć. Jak? – py ta łam, sta ra jąc się wy my ślić coś sen sow ne go, co na jej miej scu można by ło by zro -

bić.

– Był śro dek nocy. Spa łaś, ale bar dzo płyt kim snem. Mę czył cię tro chę ka -

szel. Plu łem sobie w brodę, że nie ka za łem two jej babce oddać mi żad nych sy ro pów czy czym cię tam le czy li. Nie po my śla łem. Nie chcia łem też cię bu dzić, cię gnać do ap te ki. Ha ilie, za nic nie wie dzie łem, co robić. Sie dzie -

łem na chod ni ku przed po ko jem, pa li łem fajkę za fajką, a drzwi były uchy -

lo ne tak, żebym cię wi dział. Co chwi lę zer ka łem na łóżko, ale ga pi łem się też na par king. No i za któ rymś razem pod je cha ło auto, które na tych miast roz po zna łem. To był wóz tego fra jer ka, z któ rym wcze śniej spo tka ła się Gaby. Ledwo się za trzy mał, a z miej sca obok kie row cy już wy sko czy ła ona, ubra na tak samo jak przed tem, tylko już nie tak ład nie ucze sa na. No i nie uśmie cha ła się. Była blada, prze ję ta, prze ra zo na. Bie gła do re cep cji. Ta jej nie bie ska su kien ka plą ta ła jej się przy kost kach. Ob ser wo wa łem ją, wie -

dząc, że za se kun dę od wró ci głowę i mnie do strze że. Było ciem no, ale nie aż tak bar dzo. Cze ka łem, cze ka łem, aż mnie zo ba czy. Mógł bym ucie kać, ale w głębi ducha ucie szy łem się, że mnie zna la zła. Ro zu miesz, czu łem się tak bez rad ny, że nagle wy da ło mi się to naj lep szym roz wią za niem.

– Ale chwi la, skąd wie dzia ła, gdzie się za trzy ma łoś? – Zmarsz czy łam brwi.

Wzię łam też ko lej ne go cro is san ta, ale już bez za mia ru zje dze nia go. Byłam na to zbyt prze ję ta. Ob ra ca łam go po pro stu w rę kach, bru dząc palce pu dro -

wą po syp ką.

– No wła śnie. Oka za ło się, że ten frę dzel, z któ rym miała rand kę, to gli -

niarz. Żadna szy cha, ale wiesz, do stęp gdzie trze ba miał. A ja na pew nia ka za mel do wa łem się na swoje na zwi sko. Jak tylko cię za bra łem, twoja babka za dzwo ni ła do Ga briel li. Ona za czę ła pa ni ko wać i ten facet, z któ rym była, chciał pew nie jej się przy po do bać, więc po mógł jej usta lić, gdzie się za trzy -

ma łem. Przez kawał nocy wy dzwa nia li po ho te lach i za jaz dach w mie ście i oko li cach, by po wo łu jąc się na jego au to ry tet, wy py tać o go ścia o na zwi -

sku Monet. Ga briel la potem przy zna ła, że nie wie rzy ła, że uda jej się mnie tak zna leźć. Nie są dzi ła, że na iw nie wy naj mę pokój w mo te lu w oko li cy.

Naj pierw kon tak to wa li się z lot ni ska mi. Przy zna łem jej, że pier wot ny plan był inny.

– Roz ma wia li ście? Chcia ła z tobą roz ma wiać?

Odłó ży łam już cro is san ta na bok, nie zdol na w tej chwi li do prze zu wa nia.

Spu ści łam stopy na zie mię i znowu się skrzy wi łam z po wo du bólu kolan.

Szyb ko jed nak na chy li łam się też do przo du, bo czu łam się, jak bym oglą da -

ła wciąż ga ją cy film, z któ re go nie chcia łam prze ga pić ani se kun dy.

– Nie od razu. Fak tycz nie mnie zo ba czy ła. Zanim wpa dła na re cep cję. Za -

trzy ma ła się na chwi lę i zmru ży ła oczy. Wie dzia łem, że już za se kun dę mnie roz po zna. Ga si łem pa pie ro sa, gdy nagle bie giem rzu ci ła się w moją stro nę. Na twa rzy miała wy ma lo wa ną de ter mi na cję i wście kłość. Do tej pory pa mię tam jej oczy. Tę czów ki pra wie znik nę ły, gdy z tej całej zło ści źre ni ce jej się roz sze rzy ły.

Pa mię ta łam to. Gdy moja mama się zło ści ła, jej źre ni ce fak tycz nie się po -

więk sza ły. Dzia ło się to jed nak bar dzo rzad ko, bo zwy kle po tra fi ła pa no wać nad emo cja mi.

– Wy dar ła się do mnie: „Ty łajzo!”. – Cam po krę cił głową i za śmiał się krót ko, dosyć po nu ro. – Ale omi nę ła mnie na tych miast i wpa dła do po ko ju, przed któ rym się dzia łem. Wes tchną łem. Wsta łem. Tam ten jej fra je rek ru -

szyl w moją stro nę, ale go zła łem i wsze dłem do środ ka, za mkną łem za sobą drzwi. Ga briel la le za ła już na łóżku, tuż obok cie bie, przy tu la ła cię. Ty też ją przy tu li łaś. Mru cza łaś pod nosem takim cien kim gło si kiem „Mama, mama, mama...”. A ona cię uspo ka ja ła.

Moje oczy znów za czę ły błysz czeć od łez. Ża ło wa łam, że nie mam w za się -

gu ręki żadnej chusteczki. Przy po mnie były mi się kojącej uściśki mamy.

– Otu liła cię, dała ja kieślę karstwo, które wyjęła z torebki, a wcześniej za -

brała z domu. Wiedziała, jak się tobą zająć, nie to, co ja. Długo tak z tobą leżała, a ja opierałem się o ścianę i patrzyłem na was... Na dwie dziewczyny -

ny, które mogłyby być moje, ale nie były.

41

Z PRAWEM NIEPODRODZE

Chwilę to trwało, zanim zasnął znowu. Wtedy Gabriel się od ciebie od -

sunęła, wstała, po prawili twój koc i wreszcie odwróciła się do mnie.

Była nadal wściekła, ale potrafiła kontrolować swoją złość.

– Coś ty zrobił, co to miało być?! – zawołała do mnie półszepcetem.

Dłonie za ciśniecia w pięści. Żądała wyjaśnienia tu i teraz.

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem, co jej odpowie dzieć.

Wtedy do drzwi zapukał ten jej picuś.

– Gaby?! Gaby, jesteś tam? Wszystko okej?

Ona odpowiedziała mu, że tak i żeby chwilę poczekał. Mądra kobieta, do -

brze wiedziała, że jego obecność tylko by mnie rozdrażniła.

– Po rwałęś moją córkę! – wycedziła Gabriel przez zaciśnięte zęby.

Jej klatka pier sio wa uno si ła się i opa da ła. Je an so wa kurt ka pra wie ze śli zgi -

wa ła jej się z ra mion.

– To też moja córka – od par łem. Wciąż opie ra łem się o ścia nę, a ręce za ło -

zo ne mia łem na pier si.

– Któ rej wy cho wa nie zgo dzi łoś się po wie rzyć mnie!

– Wy mu si łaś na mnie obiet ni cę, któ rej wcale nie chcia łem skła dać. Za gra łaś mi na emo cjach.

– Och, jakiś ty bied ny, jaki zma ni pu lo wa ny! – za kpi ła Ga briel la. – Daruj sobie te tek sty. Ży jesz ży ciem, ja kie go żadne z nas nie chce dla Ha ilie. Wie -

dzia łoś to wtedy i wiesz to teraz.

– Je stem jej ojcem i mam prawo się nią zaj mo wać.

Gaby od rzu ci ła głowę i za śmia ła się iro nicz nie.

– Chłó pie, ty ją PO RWA ŁEŚ! – za wo ła ła. – Wpa dłoś do mo je go miesz ka -

nia, gro zi łoś mojej mamie BRO NIA i za bra łoś sobie śpią ce, na do da tek chore dziec ko! Co ty w ogóle sobie my śła łoś?

Wes tchną łem i ode pchną łem się od ścia ny, a także unios łem przed sie bie ręce.

– Okej, okej. Może mo głęś to le piej za ła twić...

– Le piej za ła twić? – Gaby znowu się za śmia ła i po krę ci ła głowę z jaw nym nie do wie rza niem. – Moja matka pra wie do sta ła przez cie bie za

wa łu! To star sza ko bie ta, mo głęś ją zabić! Bę dzie miała przez cie bie
trau mę...

– To po cho le rę otwie ra drzwi nie zna jo mym? – burk ną łem, bo aku rat
wie -

rzy łem, że na jej bez myśl ność na praw dę po win no zwró cić się uwagę.

Gaby wy ce lo wa ła we mnie pal cem wska zu ją cym.

– Nie. Od wra cają. Kota. Ogo nem.

– Gdy byś sobie nie rand ko wa ła z ja ki miś plat fu sa mi, tylko zaj mo wa
ła się córką, to nie po szło by mi tak łatwo.

– Jak śmiesz wy ty kać mi takie rze czy? Co ty wiesz o moim życiu pry wat
-

nym?

Teraz to ja uśmiech ną łem się zło śli wie.

-Wiem, że za miast zo stać z, jak sama to pod kre śli łaś, cho rym dziec
kiem, wo la łaś wa łą sać się z tam tym wałem.

Ga briel la zro bi ła krok do przo du, jakby roz wa za ła roz szar pa nie
mnie.

– Jeśli mu sisz wie dzieć, pierw szy raz wy szłam w tym roku na spo tka
nie, które ledwo można okre ślić mia nem rand ki. Pierw szy raz! Wy sko
czy łam na chwi lę po tym, jak Ha ilie za snę ła. Na ko la cję. Tylko i wy
łącz nie ko la cję.

A ty pew nie sobie pu kasz i stu kasz dziew czy ny na prawo i lewo, nie
mam racji? I ty masz czel ność wy ty kać mi wyj ścia?!

Nie mo głęś nie unieść na to ką ci ka ust. Nie je stem też dumny z tego, co
na stęp nie za su ge ro wa łem...

– Je steś za zdro sna?

– Chciał byś.

Na chwili lę za pa dla cisza, którą prze rwa ło ciche stu ka nie do drzwi.

– Gaby, wcho dzę – oznaj mił ten jej przy du pas.

Wy wró ci łem ocza mi, a Gaby zwró ci ła się w jego stro nę, gdy już po ja wił się w środ ku. Był chudy, chyba w życiu nie wi dział si łow ni na wła sne oczy, no i też dosyć wy so ki. Za ło żył kra cia stą ko szu lę i wy tar te dżin sy. Mu siał być koło trzy dziest ki. Nic spe cjal ne go.

– Wszyst ko w po rząd ku? – za py tał, pod cho dząc do Ga briel li. Po ło żył dłoń na jej ra mie niu, jakby chciał oka zać jej wspar cie. Zer k nął też na cie bie, śpią cą na łóżku obok.

– Tak, tylko wy ja śnia my sobie kilka rze czy – po wie dzia ła chłod no Gaby, brodą wska zu jąc na mnie, sto ją ce go na prze ciw ko.

– Słu chaj, po wi nie nem cię aresz to wać za taką akcję – zwró cił się do mnie, a ja nie mo głem się po wstrzy mać i znowu prze wró ci łem ocza mi.

– Ach, a więc to po li cjan cik. Teraz wszyst ko się zga dza. – Po ki wa łem ze zro zu mie niem głową, bo wtedy do my śli łem się, jakim cudem mnie zna leź li.

Rzu ci łem krzy we spoj rze nie Ga briel li. – Ależ sobie wy bra łaś.

Od razu wy obra zi łem go sobie w mun du rze, jak za pew ne mu siał cwa nia ko -

wać na słu ż bie. Miał taki aro ganc ki wyraz twa rzy. Ale ja też po tra fię być aro ganc ki.

– Już sły sza łem, że tobie z pra wem nie po dro dze – wy tknął mi po li cjant.

– Zdradziłaś przy padko we mu psu, kim je stem? – Zwróciłem się do Ga briel -

li, udając obu rze nie. Udając, bo tak na prawdę w dupie miałem, co on o mnie wie.

– Jakoś mu się udało mu wyjaśnić, dla czego nie chcę ofiar nie za wia do mić po li cji o porwana niu córki.

– Mogę wypisać ci mandat za obrażenie funkcjonariusza – dodał po li cjan, a jego brwi się na strożyły.

Mówię ci, król lewno, cym bał.

– Nie ośmieszaj się – mruknąłem.

Chciał mi coś odszukać. Już na dzień dobry powiedziałem, że nie darzy mnie sympatią, zresztą zważę na słońce. Twoja mama jednak go po wstrzymała, na wiazała z nim kontakt wzrokowy, po czym odwróciła się do mnie. Wyraziła jej się zmienił. Nie był już taki wrogi.

– Cam – powiedziałła i brzmiała też inaczej. – Cam, proszę. Nie zabieraj mi jej.

Na zewnątrz była twarzą, ale w duchu trzęsła się na myśl, że miałbym po ja -

wić się w waszym życiu. Skąd to powiedziałem? Na Florydzie, jak ci opowiada -

dałem, utkaliśmy sobie wspólnie porozumienia, dzięki której tamtego dnia tak łatwo mi się Ga briel udało. Po prostu ją znałem. Nieporówny -

wal nie lepiej niż ten na dętych, z którym przyjechała.

Spojrzałem wtedy na ciebie. Spasłaś nie spokojnie, ale trudno się dziwić, skoro tuż obok ciebie kłóciła się trójka do roszłych.

– Bo co, już jej za ła twiasz no we go ta tu sia? – prych ną łem bez roz ba wie nia.

Pajac, który zro zu miał, że mó wi łem o nim, się uśmiech nął. Uśmiech nął.

– Nie – od po wie dzia ła mi Ga briel ła, siląc się na spo kój.

– Na pewno był bym dla małej lep szym ojcem niż prze stęp ca. – Po li cjan cik mru gnął do mnie, a ja się wście kłem. Nikt do mnie nie mówi w ten spo sób, Ha ilie, nikt abso lut nie.

– Prze stań – fuk nę ła na niego twoja mama, ale to na nic, bo ja już się na niego rzu ci łem.

W biegu do strze głem, jak sięga za pas. Ruch ty po wy dla po sia da czy broni.

Zro zu mia łem, że ją wy cią ga, więc ja wy ją łem swoją. I nagle wszyst ko się za trzy ma ło. Sta li śmy na prze ciw ko sie bie w mo te lo wym po ko ju, ce lu jąc do sie bie z broni.

Znie ru cho mia ła Gaby pa trzy ła na naszą dwój kę, po czym za czę ła się cofać, przy oka zji pró bu jąc za kryć cię swoim cia łem.

– Strze lisz do mun du ro we go? – syk nął po li cjant z nie do wie rza niem.

– Mun du ro wi też cza sem zni ka ją. – Wzru szy łem ra mio na mi, a on wy ce lo -

wał jesz cze pre cy zyj niej.

– My ślisz sobie, że je steś kimś waż nym, ale w rze czy wi sto ści zwy kła z cie -

bie ka na lia. Brzy dzę się zbrod nia rza mi jak ty.

– A ja brzy dzę się ma ły mi pie ska mi, które gło śno szcze ka ją, bo przy gnia ta -

ją je kom plek sy wiel kie jak Azja. Leć le piej z po wro tem lizać dupę swo je -

mu prze ło żo ne mu, mała płot ko, i po zwól do ro słym po roz ma wiać.

-Cam... – jęk nę ła bła gal nie Gaby.

– Wy świad czył bym świa tu przy słu gę, gdy bym cię załat wił. Nikt by za tobą nawet nie za pła kał – od py sko wał.

– Alec... – Tym razem zwró ci ła się do niego, tym samym tonem.

– Ty sam byś za pła kał, gdyby moi współ ni cy do bra li ci się do dupy.

Plat fus otwie rał usta, żeby za rzu cić ko lej ną ri po stą, gdy Gaby nie wy trzy -

ma ła.

– Wy star czy! – wrza snę ła tak gło śno, że aż się po ru szy łaś, ale tylko za kasz -

ła łaś i nie otwo rzy łaś oczu. Rzu ci ła się, by po głas kać cię po gło wie, uca ło -

wać w czoło, a potem, gdy upew ni ła się, że wciąż je steś po grą żo na we śnie, z po wro tem od wró ci ła się do nas. Pra wie drża ła ze zło ści. – Co wy od wa ła -

cie? Za cho wu je cie się jak dzie ci, które ob rzu ca ją się wy zwi ska mi i tylko przy pad ko wo do rwa ły się do broni. Ty! – Po pa trzy ła na mnie. – Twoja córka znaj du je się w tym samym po miesz cze niu, a co ty ro bisz? Ciesz się, że jest chora, słaba, śpi i nie ro zu mie, co się dzie je, bo ja na praw dę nie wiem, jak bym miała jej to wy tłu ma czyć!

Za wa ha łem się na te słowa. Ga briel ła, oczy wi ście, miała rację. I nie skoń -

czy ła.

– A ty! – Tym razem zwróciła się do psa. – Wcale nie za cho wu jesz się jak obrońca pra wo rząd no ści, na ja kie go się kreu jesz. Nie tak po stę pu ją po li -

cjan ci z po wo ła nia.

– On po rwał twoją córkę! – za wo łał i wy rzu cił rękę w po wie trze. – Nawet nie zdą żył mru gnać, nim ci ją od bie rze!

– Weź spierdaj – warknął.

Ha ilie, mówię ci, to, co tam się działo, to był istny cyrk na kółkach. Ja wkurwiony, Gaby wkurwiona, platuszek wkurwiony. No, ta kiejko me dlijesz -

czemu nie grali.

– Prze stańcie do siebie celować! – zapisała w końcu Gabriella i gdyby miała osiem lat, to pewnie by za częła ze złości tupać, chociaż głową i bić po wie trze pięściami. Nie wiele bra kowało, na prawdę. – Odłóżcie te cholery -

stwa!

Nie należą do osób, które odpuszczają jako pierwsze. Normalnie nie ma szansy, żebyśmy opuścili broń, gdy ktoś inny do mnie celuje. Za wzięty jest stem,

co tu dużo mówić. Ale tym razem było inaczej. Bo usłyszałem twój głosik.

– Mama?

Spojrzałem na ciebie na tych miast. Tym razem oczy miały otwarte. Za spa -

ne, ale otwarte. Lekko się podniosłaś i rozglądałaś po mieszkaniu. Tro -

chę się od kry łaś i widać było twoją ró żo wą pi żam kę. Włosy się ga ły ci tutaj, tro chę za oboj czy ki. Jedną rącz ką po cie ra łaś sobie nos, a drugą od gar nia łaś je z twa rzy. Twoje ruchy były śmiesz ne, takie uro cze, dzie cin ne, nie zdar ne.

W mo men cie, w któ rym prze no si łaś spoj rze nie na mnie, ja szyb ko scho wa -

łem broń za plecy, żebyś jej nie zo ba czy ła. Gaby na tych miast do cie bie do -

sko czy ła.

– Hej, mysz ko, wszyst ko do brze? Nic się nie dzie je. Wró cisz do spa nia?

Hm? – szep ta ła do cie bie.

– Pić – za chry pia łaś, ukrad kiem da ru jąc mi wię cej cie kaw skich, acz nie -

śmia łych spoj rzeń. Ga briel la rzu ci ła się po swoją to reb kę, by wyjąć z niej małą bu tel kę wody. Mach nę ła gwał tow nie na tego swo je go po li cjan ta, żeby scho wał broń, bo cym bał dalej trzy mał ją wy cią gnię tą.

Pa trzy łem na cie bie, zro bi łem krok w twoją stro nę, ale się za trzy ma łem.

Nie chcia łem cię spło szyć. Nie na wi dzi łem tego, że je stem dla cie bie obcy.

Sta łem tam jak dureń i słu cha łem jak roz ma wiasz z Gaby.

– Mami, gdzie je ste śmy?

– Nie przej muj się, ko cha nie, pój dziesz spać? Jest noc, na dwo rze jest już bar dzo ciem no, wiesz?

– A czemu nie je stem w po ko iku?

– Mama ma coś do za ła twie nia i chcia ła wziąć cię ze sobą. – Gaby do tknę ła two je go noska, gdy po da wa ła ci wodę. Po do ba ło mi się, jak na tu ral nie się z tobą ob cho dzi ła. Wtedy po czu łem się głu pio, że oskar ży łem ją o bycie złą matką. Wy tknię cie jej wie czor ne go wyj ścia było nie na miej scu.

– Je dzie my na wy ciecz kę? – za py ta łaś.

Boże, byłaś taka nie win na.

– Nie, to nie wy ciecz ka, skar bie. Ale mo że my coś za pla no wać, hm? Jak wsta niesz rano, co? Zga dzasz się?

Coś tam jesz cze sobie po mru cza ły ście mię dzy sobą. Nad sta wia łem ucha, żeby wy ła pać każde jedno słowo, które padło z two ich ust. Chcia łem do cie bie po dejsć i po wie dzieć ci, że tak, kurwa, je dzie my na wy ciecz kę, że za bio rę cię, gdzie tylko sobie wy ma rzysz, do każ de go Di sney lan du, do kra -

iny Świę te go Mi ko ła ja, gdzie kol wiek, w ko smos nawet. Ale sta łem i pa -

trzy łem, jak na po wrót ukła dasz się do snu w ra mio nach Gaby. Po wie dzia -

łaś jej coś na ucho, za py ta łaś o tych panów, co tu stoją, a ona szep nę ła ci jakąś od po wiedź, po czym za ma cha ła na nas dło nią, byśmy wy szli.

Zro bi li śmy to. Naj pierw ten pajac, a ja, z cięż kim ser cem ru szy łem za nim.

Za trzy ma li śmy się pod po ko jem. Ja opar łem się o ba rier kę, o tak jak i teraz, i sobie za pa li łem, a on ster czał pro sto z za ło żo ny mi na pier si rę ka mi, całą swoją po sta wą wy ra ża jąc po gar dę. Nie ru sza ły mnie jego fochy, nawet nie my śla łem, żeby brać typa na po waż nie. Waż niej sze spra wy za wra ca ły mi w tam tej chwi li głowę. Sło wem się do sie bie nie ode zwa li śmy, cze ka jąc na Ga briel ę.

Aż w końcu do nas wy szła. Od razu zwróciła się do mnie.

– Cam, chcę zabrać ją do domu.

– Za wiozę was – za ofe rował się plat fus, jesz cze zanim zdążyłem choćby otworzyć usta.

Gaby za ci snęła wargi, ale wpa trywała się ciągle we mnie. Czekając na ją kieś po twierdzenie z mojej strony, na akceptację. Pa tryłem prosto w jej piękne oczy. Wiedziałem, co muszę zrobić.

-Wy pierdaj – rzuciłem do polichjan tak prawie autonomicznie, po czym od -

po wiedziałem jej: – Ja was od wiozę.

Plat fus prychnął.

– Gaby, chyba nie wsiądziesz z tym ban dziorem do auta?

– Wsiądziesz, gdzie jej się po do ba.

– Gaby, jesteś z dzieckiem. A on jest nie zrównoważony. Nie możesz mu ufać – przekonywał ją.

Już myślałem, że odstrzeżę, ale Gaby mnie powstrzymała, bo zbliżyła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy. Jej zielone tęcza błyszczała, trochę skruszył jej się pod oczami tusz z rzęs. Była zmęczona. Wszyscy byliśmy.

– Cam, na pewno odwieziesz nas do domu? Do mieszkania, z którego goza -

brałeś Ha ilie? Odwieziesz tam mnie i ją? – do pytywała.

Przeszło mi przez myśl, by skłamać, że tak, a potem wywieźć je obie. Ale za bardzo się nie ważyłem Ga brielę, by tak zrobić. Miałem do niej sentyment, za to było mi na niej. Nie chciałem jej oszukiwać. Nie chciałem was krzywić -

dzić.

– Obie cu ję.

Po ki wa ła wolno głową. Uwie rzy ła mi. Zo ba czy łem ulgę na jej ślicznej twa -

rzy.

– Okej – szepnę ła.

Ha ilie, mię dzy nami była taka che mia, takie na pię cie, że nie zdi wił bym się, gdyby za czę ły strze łać iskry. Pierw szy i ostat ni raz mia łem coś ta kie go z twoją wła śnie mamą.

– Gaby. – Plat fus roz ło żył ręce, pa trząc na nią wy cze ku ją co. – Co jest?

– Gównno – od par łem.

Wiem, że to dzie ci na da, kró lew no, ale nie mo głę m się po wstrzy mać.

Ga briel ła od wró ci ła się do niego z prze pra sza ją cą mi ną.

– Alec, po ja dę z nim – po wie dzia ła. – Mu si my wy ja śnić sobie kilka rze czy.

Dla te go to robię. Dzię ku ję za twoją pomoc, je stem ci na praw dę bar dzo, bar -

dzo wdzięcz na.

Po li cjant się na bur mu szył, chyba nawet nic nie po wie dział. Miał za ci śnię tą szczę kę. Po ki wał głową, ką ci ki ust za drza ły mu, jakby po wstrzy my wał się przed cierp kim uśmie chem i po wo li za czął się wy co fy wać. Bez słowa po że -

gna nia od wró cił się i od szedł. Za chwi lę usły sze li śmy dźwięk sil ni ka, gdy od pa lił swoje auto. I od je chał.

Za pa dła cisza jak ma kiem za siał. Wpa try wa li śmy się w sie bie na wza jem z twoją mamą z żalem i tę sk no tą. To było takie smut ne. Mówię ci szcze rze, że gdyby to ode mnie za le ża ło, to by li by śmy razem... Hej, hej, ale cze kaj, nie płacz. Nie o to mi cho dzi ło. Kró lew no. Hej. To nie takie pro ste, ja tak sobie gadam, z mo je go punk tu wi dze nia, ale mo ty wy two jej mamy były jasne i sen sow ne. Bała się, nie chcia ła żyć moim ży ciem. A ja nie byłem gotów, by je po rzu cić. A Ha ilie, mu sisz wie dzieć, że to, czym za rzą dza Vin -

cent teraz, to pikuś w po rów na niu z tym, z czym ja sam się uże ra łem. Po tę -

ga na szej ro dzi ny nie wzię ła się zni kąd. Różne rze czy robił twój dzia dek, różne rze czy ro bi łem ja. Dla te go też póź niej zde cy do wa łem się wy pro wa -

dzić nasze biz ne sy na wła ści wą drogę. Było zbyt nie bez piecz nie. Mówię ci o tym, żebyś wie dzia ła, że obawy two jej mamy wcale nie były nie uza sad -

nio ne. Weź głę bo ki wdech. Już do brze? Już ci le piej? No. Nie masz co się smu cić, szko da two ich łez, na praw dę...

Otar łem wil got ne po licz ki raz jesz cze, nie na wi dząc się za to, że nie po tra fi -

łam kon tro lo wać wraź li wo ści, i to na oczach taty. Nic nie po ra dzę jed nak, że ta hi sto ria tak mnie po ru szy ła.

– My śla łem, że ro dzi na jest naj waż niej sza – wy mam ro ta łem.

Cam usiadł obok mnie, ota cza jąc moje plecy ra mie niem.

– Dla Gaby ro dzi ną byłaś przede wszyst kim ty. O cie bie dbała. Ty ją naj bar -

dziej ob cho dzi łaś.

Prych nę łem prze śmiew czo, choć tego nie pla no wa łem.

– Ale moją ro dzi ną je steś rów niez ty i chłop cy. O tym już nie my śła ła? Nie my śła ła, że chcia ła bym was znać i się z wami wy cho wy wać? Sta ra ła m się ją zro zu mieć, ale teraz, gdy do wia du ję się, że po ja wi ła się w na szym życiu raz jesz cze, kilka lat póź niej... Nie wiem, jakoś nie po tra fię być tak wy ro -

zu mia ła. – Czu ła m złość do mamy. Bar dzo podłe uczu cie, bo prze cież ko -

cha ła m ją nad życie, ale do praw dy nie któ rych jej wy bo rów zro zu mieć nie po tra fi ła m. – Za cho wa ła się ego istycz nie – do da ła m, a moje brwi się na stro -

szy ły.

Cam od razu za czął krę cić głową, bar dzo też spo waż niał.

– Miej na uwa dze, Ha ilie, że łatwo ci bę dzie ją teraz oce niać. Nie ma jej tu z nami, ona już nigdy nie bę dzie mogła się wy bro nić ani uza sad nić przed tobą swo ich de cy zji. Je stem pe wien, że gdy by ście mogły po roz ma wiać, to prze ko na ła by cię do swo ich racji. A przy naj mniej uspra wie dli wi ła by swoje wy bo ry.

– Gdyby mnie nie okła my wa ła, mo gła by mi je wy ja śnić, jesz cze zanim umar ła.

– To było dla niej ważne, by utrzy mać przed tobą w ta jem ni cy ist nie nie ro -

dzi ny Monet. Chcia ła, żebyś miała nor mal ne, bez piecz ne dzie ciń stwo.

Żeby nie mu siał za my kać cię w domu ze stra chu przed mor der ca mi, tak jak miało się to w przy pad ku two ich braci. I jak muszę to robić teraz.

–

Prze rwał na chwi lę. – Nie chcia ła też, żebyś wy cho wy wa ła się w obrzy dli -

wym luk su sie. Gdy sie dzie li śmy pod po ko jem mo te lo wym, roz ma wia li śmy o tym wszystkim. O pie nią dzach, o two ich stu diach. Po wiedz my, że ro zu -

mia łem, że miała opory, by ku po wać ci mar ko we su kien ki, ale co w takim razie ze spra wa mi waż ny mi, jak twoja edu ka cja? Wy sy ła łem wam rocz nie kupę kasy, ale ona jej nie ru sza ła. Ani, kurwa, do ła ra. Za ło ży ła ci fun dusz po wier ni czy, na który prze le wa ła wszyst kie te pie nią dze. Po wie dzia ła, że kiedy już wy ro śniesz na do ro sła, in te li gent ną dziew czy nę, wtedy ci je prze -

ka że, a także zdra dzi praw dę i za aran żu je spo tka nie. Wtedy wresz cie po -

zwo li mi cię roz pusz czać.

Za kry łam usta dło nią, a na ple cach znowu po czu łam dresz cze.

– Chcia ła nas za po znać, kiedy będę star sza? – wy szep ta łam.

– Umow ną datą miało być twoje ukoń cze nie szko ły śred niej.

Zro bi ło mi się nie do brze, moje ciało było jak wiel ki ko cioł, w któ rym ni -

czym zupa go to wa ły się wszyst kie skraj ne emo cje.

– Długo roz ma wia li śmy. Pra wie do rana. Nie mo gli śmy prze stać. Gaby tylko na chwil kę wsta ła, żeby za dzwo nić do two jej babci i ją uspo ko ić. No i co jakiś czas spraw dza ła, czy śpisz spo koj nie. Mie li śmy sobie mnó stwo do po wie dze nia. Ulży ło mi, gdy zgo dzi ła się, żebym cię po znał. Nie waż ne, że za jakiś czas, ale mia łem czego się ucze pić, tej na dziei, to się dla mnie li -

czy ło. Za pew nia ła mnie też, że nie po zna ła za do brze po li cjan ta. Spo ty ka ła się z nim, bo był po rząd nym fa ce tem, ale nie miała za mia ru kon ty nu ować tej zna jo mo ści. Potem opo wia da ła mi tro chę o tobie. O twoim cha rak te rze, osią gnię ciach w twoim pra wie czte ro let nim życiu.

Mó wi ła, że za wsze wszyst ko mu sisz mieć po ukła da ne, że uwiel biasz wróż ki i księż nicz ki, no i ko chasz lody.

Uśmiech nę ła m się de li kat nie. Tak, to się zga dza ło.

– Po że gna li śmy się nad ranem. Około szó stej was od wioz łem. Obu dzi łaś się, gdy do jeź dza li śmy pod wasz blok. Gaby rzu ci ła do mnie na ko niec „do zo ba cze nia”, uśmiech nę ła się lekko i wzię ła cię na ręce. Gdy od cho dzi ła do bramy, wi dzia łem jej plecy i cie bie, jak twoja bród ka spo czy wa ła na jej ra -

mie niu. Pa trzy łaś na mnie. Po ma cha łem do cie bie. Ty mi nie od ma cha łaś, ale pa trzy łaś. Byłaś jesz cze za spa na. Prze uro cza... Po trze bo wa łem jesz cze chwi li. W lu ster ku zer ka łem na pusty fo te lik. Nie mo głem od je chać. Nie po tra fi łem. Ależ to było trud ne. – Cam krę cił do sie bie głową. – A potem za dzwo nił mój te le fon. Jedna z niań chło pa ków. Była prze stra szo na. Po in -

for mo wa ła mnie, że Tony jest w szpi ta lu.

Mimo iż wie dzia łem, że z Tonym wszyst ko w po rząd ku, to aż sama się zmar twi ła m.

– Co się stało?

Oj ciec zer k nął na mnie, krzy wiąc się.

– Dylan rzu cił w niego cegłą.

– Chry ste.

– Ta. I wtedy zro zu mia łem, że i tak mam ręce pełne ro bo ty. Że czas wra cać do domu. Do pie ro po tym te le fo nie mia łem siłę uru cho mić z po wro tem sil -

nik i od razu za wi nąć na lot ni sko, skąd zła pa łem pierw szy lep szy sa mo lot do Sta nów. I tak się skoń czył ten epi zod.

-Czy z Tonym było wszyst ko w po rząd ku?

– Nic po waż ne go mu się nie stało. Choć bli znę ma chyba do dzi siaj.
Scho -

wa ną gdzieś pod tą swoją czu pry ną.

Sie dzie li śmy chwi lę w ciszy. Te krót kie prze rwy były nam po trzeb ne,
zwłasz cza mi, by prze tra wić tę hi sto rię.

– Czyli gdyby mama nie umar ła, i tak byśmy się po zna li?

Spró bo wa łam wy lu zo wać się jesz cze bar dziej. Nawet się gnę łam po
zma sa -

kro wa ne go już prze ze mnie wcz e śniej cro is san ta.

– Na bank. Żył e m nor mał nie, ale cią gle my śła łem o tym, że pew ne go
dnia wresz cie po znam córkę. Mię dzy in ny mi to wpły nę ło na chęć za le
ga li zo wa -

nia więk szo ści biz ne sów. My śła łem, że jak to zro bię, to przy po do bam
się Ga briel li i ogra ni czę ry zy ko, któ re go tak bar dzo się oba wia ła. Nie
była to oczy wi ście pro sta spra wa. Wy ma ga ła lat po świę ceń i oka za ło
się, że fi nal -

nie i tak mu siał bym od po wie dzieć za prze szłość. Pójść do wię zie nia. A
nie spie szy mi się tam. Dla te go sfa bry ko wa łem śmierć, jak już wiesz. Z
cięż -

kim ser cem, ale było już za późno, by się wy co fać. A wtedy do wie dzia
łem się, że Ga briel la umar ła. To był dla mnie nie sły cha ny cios, na praw
dę. Ry -

cza łem jak dziec ko. Świa do mość, że z Ziemi znik nę ła nagle tak wspa
nia ła dusza, była dru zgo cą ca. Resz tę już znasz. Na stą pi ła zmia na pla
nów, ad op to -

wał cię Vin cent...

Co za za wi ła hi sto ria, można by na pi sać o tym książ kę. Byłam nią tro chę przy tło czo na, ale też czu łam dziw ny spo kój. Tak jak bym zna ła zła bra ku ją ce puz zle do ukła dan ki swo je go życia.

To była naj po waż niej sza roz mo wa, jaką w trak cie po by tu na Ka na rach z nim prze pro wa dzi łam. Poza tym czas mijał mi dość szyb ko. Każde moje na stęp ne za ję cia szkol ne były lep sze niż te po czą ko we, głów nie dla te go, że nie tknę łam już wię cej al ko ho lu i nie za sia da łam do nich na kacu.

Cho dzi łam na plażę z ojcem albo w to wa rzy stwie Sonny'ego. Lu bi łam tam czy tać, gdy nie było zbyt wietrz nie. Któ re goś dnia po de szłam też do Blan -

che, gdy grała w bi lard, a ona za ofe ro wa ła, że na uczy mnie kilku tri ków.

Przy oka zji do wie dzia łam się, że biała bila miała kilka cha rak te ry stycz nych rys, dzie ki któ rym bab cia mogła z ła two ścią od róż nić ją od resz ty kul.

Moją sym pa tię zdo był nawet Benny, który mimo swo je go in tro wer ty zmu i chmu ry mil cze nia, która wi sia ła nad nim dwa dzie ścia czte ry go dzi ny na do bę, sie dem dni w ty go dniu, oka zał się bar dzo miłym star szym panem. Za -

wsze dawał mi dys kret nie znać, gdy przy no sił nowe skar by ze swo je go sadu. Ostat nio przy włókł całe wia dro mig da łów ze rwa nych pro sto z drze -

wa. Za ja da łam się nimi jak sza lo na.

Czę sto też pi sa łam z Leo. On mi opo wia dał o swoim dniu, a ja jemu o tym, co u mnie. Wie dział, że wy je cha łam do babci. Do sta łam po zwo le nie na zdra dze nie tych szcze gó łów. Śmiał się ze mnie, że jed ne go dnia smuce się, że będę mu sia ła sie dzieć w domu, a na stęp ne go po zdra wiam go z ba jecz nej wyspy.

Mona też o mnie nie za po mnie ła. Eks cy to wa ła się jakąś swią tecz ną im pre zą i ubo le wa ła, że nie mo że my pójść razem. Ja też za ło wa łam, choć w duchu my śla łam sobie, że Vin cent za pew ne prę dziej udu sił by mnie go ły mi rę ko ma, niż zgo dził się, bym po szła na do mów kę or ga ni zo wa ną przez ja kie goś sred -

nio roz gar nię te go li ce ali stę.

Co wię cej, od zy wa li się też do mnie chłop cy. Było to ab so lut nie prze słod kie i roz anie li łam się, gdy pew ne go wie czo ra Dylan za dzwo nił do mnie na ka -

mer ce. Sie dział roz wa lo ny na ka na pie w na szym sa lo nie i na po wi ta nie we -

pchnął sobie garść czip sów do buzi.

– Co tam, mała dziew czyn ko? – za py tał z peł ny mi usta mi.

– Stę sk ni łoś się? – za chi cho ta łam.

– Spraw dzam, czy aby na pewno się uczysz, za miast oglą dać bajki.

– Uczę się le piej od cie bie, chcia ła bym przy po mnieć.

– Nie py skuj.

Uśmiech nę łam się.

– Co tam?

– E, znowu ga dasz z jakąś dupą? – za py tał Shane. Za se kun dę po ja wił się w za się gu ka me ry. Zer k nął na te le fon, który Dylan trzy mał przed twa rzą pod dziw nym i ma ło atrak cyj nym dla sie bie kątem. – O chuj, to Ha ilie, mo -

głoś mówić, mło cie. Siema, Ha ilie! – za wo łał Shane i za ma chał to mnie.

– Cześć, Shane! – Od ma cha łam, szcze rząc zęby.

– Kto to? – spytał Tony, również znikąd po jej wiając się obok chłopaków.

Zajrzał w ekran i powiedział: – A, ona. Ale ma pryszczka pod nosem. –

I zajął miejsce w fotelu.

Jak mówiłam, prześlodko.

– To nie pryszcz. Ugryzł mnie komar.

– No ale ta dioda na czole to już na pewno pryszcz – stwierdził Dylan, mrucząc -

ząc oczy, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Odwal się – jęknęłam i za słoniłam twarz dłonią.

– Wy ci skakał go?

– Nie wolno wy ci skakać.

– Właśnie, bo jej się roznie się po całej twarzy.

– Już się trochę roznie słowo.

-Czyli wy ci skakała.

Wes tchnęłam głębszo.

– Przepraszam, czy może my prześtać roznie ma wiać o moich problemach skórnymach?

nych?

Nie mogliśmy. Chłopcy jeszcze chwilię się ze mną po nią byli. Do niej na nią, a ja starałam się nie poźstać im dłużną, choć nie było łatwo.

Cóż, pewnie nie sprawa miałyby się inaczej, gdyby moja mama nie zabierała mnie od Cima i mogła bym wychować się z pięćką braci od mamy go.

42

NOŻE LA TA JĄ CE PO DOMU

Chłopcy nie przyjadą na święta, krowo, przykro mi.

Nie spodziewałam się, że te słowa tak mnie zaboleją. Zła miała mi serce i zro-

snęłam w środku przez te dni i zdużenie od krywałam w łóżku, jak bar-

dziożka leżenie od swoich braci i jak bardzio ich potrzebowałam.

Po śmierci mamy i babci wbiłam sobie do głowy, że żadna gwiazdka nie rozjaśni już nigdy moją drogę. Bo że go na drodze. Nawet wydało mi się, że się z tym pogodziłam. A potem, do kładnie rok temu, odczułam tę nieopisaną-

naprawdę, gdy towarzysstwo moich braci zdołało znieczulić ból, który nie-

uchronić miał na dejsć. Dla tego teraz czułam niepokój. To uczucie za-
kieł-

ko wało na początek grudnia i z każdym dniem stawało się silniejsze.
Cie-

szłam się towarzysstwem ojca, a nawet babci i Benny'ego, ale martwiłam się, że nie dość, że będę tęsknić za mamą, to jeszcze zrobi mi się przykro, że chłopcy będą dać ko. Bałam się tego smutnego otępienia, w które za nic nie chciałam wpaść.

A dzisiaj, gdy wreszcie przyjechałam do taty z pytaniami, jak będą wyglądały nasze tegoroczne święta, on powiedział mi się ze mną tą smutną informacją.

– Vince musi pra co wać, Will go nie zo sta wi, a resz ta nie chce, żeby spę
dza -

li świę ta sa mot nie, tylko we dwóch. Ro zu miesz, kró lew no?

Po ki wa łam głową, że niby tak, ale nie po tra fi łam wy do być z sie bie
ani słowa. Gar dło mia łam za ci śnię te i sku pia łam się na tym, żeby przy
ojcu być twar da.

Przez ko lej ne dni sta ra łam się prze ko nać samą sie bie, że jest spoko, że
świę ta z tatą, bab cią i przy szy wa nym dziad kiem też będą eks tra. Muszę
przy znać, że nie było łatwo uda wać. Byłam przy bi ta i mar kot na, a do
dat ko -

wo do ło wał mnie fakt, że bra cia nie od zy wa li się do mnie już od kilku
do -

brych dni. Oj ciec mówił, że na pewno zro bi my sobie wspól ną wi de okon
fe -

ren cję, ale w ogóle mnie to nie po cie sza ło. Było mi przy kro, że tylko ja
za nimi tę sk nię, a w drugą stro nę już nie ko niecz nie.

Czę sto cho dzi łam na plażę. Szum ne fale po ma ga ły mi zmyć wszel kie
lęki.

Od dy cha łam rześ kim, sło nym po wie trzem, które stu dzi ło mój prze
grza ny od nad mia ru prze my śleń mózg. Tego wła śnie po trze bo wa łam,
dla te go dzień przed świę ta mi już z sa me go ranka zde cy do wa łam się
tam wy brać.

Oczy wi ście, moja mi ni wy ciecz ka nie mogła się odbyć bez Sonny'ego,
który prze jął od ojca zwy czaj ase ku ro wa nia mnie na śli skich scho dach,
pro -

wa dzą cych z ogro du Blan che do samej za tocz ki. Mój ochro niarz szedł
więc przede mną, a ja wpa try wa łam się w jego sze ro kie plecy odzia ne w
gra na to -

wą wia trów kę i tak za pa trzo na pra wie po tknę łam się, gdy za miast na ko lej -

nym stop niu moja stopa sta nę ła na pia chu.

Po go da, jak na gru dzień, była cu dow na. Jasne, bryza nad cho dzą ca od wody nie miała li to ści, ale słoń ce, świe cą ce dziś nad wyraz ostro, zde cy do wa nie to wy na gra dza ło. Plaża była jak zwy kle pusta. Na cią gnę łam kap tur cien kiej, fio le to wej kurt ki na włosy, żebym póź niej nie wy głą da ła jak cza row ni ca, gdy wiatr już je wy tar mo si, i ru szy łam w kie run ku swo je go ulu bio ne go miej sca. Znaj do wa ło się ono tuż przy pia sko wej skale, o którą lu bi łam się opie rać.

Wpa try wa łam się w bez kre sny ocean. Tak wiel kie, otwar te wody zda wa ły mi się okrut nie groź ne, choć mia łam wra że nie, że pod czas mo je go po by tu uda ło mi się z nimi za przy jaź nić. Nie ste ty, nie po tra fi ły po cie szyc mnie sło -

wem, a chyba tego wła śnie po trze bo wa łam, dla te go po raz ko lej ny do ce ni -

łam obec ność Sonny'ego.

Mój ochro niarz za wsze trzy mał się na dy stans tak, żebym miała tę na miast -

kę pry wat no ści, jed no cze śnie w każ dej chwi li był go to wy wkro czyć do akcji. Na szczę ście, na tej wy spie szan se na taką akcję były zni ko me

i gdyby moje życie było fil mem, to wi dzo wie pew nie już dawno by go wy -

lą czy li.

Zwy kle przy cho dzi łam na plażę czy tać, uczyć się lub pisać re cen zje. Tym razem jed nak ga pi łam się przed sie bie wi docz nie stra pio na i to chyba dla te -

go Sonny zde cy do wał się do mnie za ga dać.

– Wszyst ko w po rząd ku, panno Monet? – za py tał, a ja na tych miast ob rzu ci -

łam go za sko czo nym spoj rze niem. Zwy kle robił, co mógł, byle za cho wać pro fe sjo na lizm, i nie spo ufa łał się ze mną bez po trze by.

Stał obok mnie, bli żej niż za zwy czaj, ręce miał sple cio ne przed sobą, a wyraz twa rzy jak za wsze sku pio ny i po waż ny. Mu sia łam spra wiać na -

praw dę de pre syj ne wra że nie, skoro się do mnie ode zwał.

– Mhm. – Ski nę łam uprzej mie głową, z po cząt ku nie za mie rza jąc wy cho -

dzić z mojej roli ide al nej panny Monet, ale zaraz zro zu mia łam, że wła śnie mam szan sę na wy ga da nie się. Sonny rów nież ski nął głową i nie chcąc cią -

gnąć mnie za język, po ru szył się, by odejść i zo sta wić mnie w spo ko ju, gdy do da łam me lan cho lij nie: – Lu bisz świę ta?

Przez chwi lę wy głą dał, jakby wolał uciec, niż od po wia dać na to py ta nie, ale szyb ko wziął się w garść i wzru szył ra mio na mi.

– Nie ob cho dzę.

Prze krzy wi łam z za in te re so wa niem głowę.

– Nigdy?

– Nie ko ja rzą mi się do brze.

– Och. Przy kro mi. – Ski nę łam ze zro zu mie niem, choć w ogóle tego nie ro -

zu mia łam.

Sonny chyba wie dział, ale do ce nił mój takt, bo uśmiech nął się do mnie lekko.

– Czyli nie masz wol ne go? Nie od pocz niesz ode mnie? – do py ty wa
łam, sta -

ra jąc się za żar to wać.

Sonny rzu cił mi roz ba wio ne spoj rze nie.

– Chyba to ty chcia ła byś od po czać ode mnie, co, panno Monet?

Otwo rzy łam sze ro ko oczy.

– Nie, nie o to cho dzi – za pro te sto wa łam prę d ko. – Na praw dę bar
dziej my -

śla łam o tobie. Miło jest mieć wolne w świę ta.

Ochro niarz po ki wał głową, wciąż nieco kpiar sko, ale zaraz spo waż niał.

– Nie po trze bu ję teraz wol ne go czasu, bo i tak nie mam ni ko go, z kim
mógł bym go spę dzić. Le piej już za ro bić do dat ko wy grosz. A pre mią
świę a -

tecz ną nie po gar dzę.

Znowu zro bi ło mi się przy kro.

– Chwi la, nie masz ni ko go? Żad nej ro dzi ny, przy ja ciół?

Sonny za ci snął usta i zer k nął na ocean, ale zanim zdą ży łam prze pro sić
za wścib skość, mach nąc ręką i wy co fać się, on mi od po wie dział.

– Mam córkę.

Moja głowa wy strze li ła w górę, a oczy za wie si ły się na twa rzy mąż czy
zny, która przy bra ła teraz ka mien ny i na pię ty wyraz. Jego oczy zdra dza

ły, że temu te ma to wi to wa rzy szy chma ra emo cji za każ dym razem,
gdy jest po ru -

sza ny.

– Nie wie dzia łam – wy mam ro ta łam, sama nie wiem, dla cze go taka za
dzi -

wio na, skoro jakby się za sta no wić, nie mia łam bla de go po ję cia o ży
cio ry sie swo je go ochro nia rza. Zna łam je dy nie jego wiek. No wła śnie.
– Chwi la, ona musi być bar dzo młoda, praw da?

– Trzy lata ma jakoś. Na imię jej Lea.

Dla od mia ny wciąż wpa try wał się w wodę. Jej widok po tra fił zdzia łać
cuda.

Ukoić naj bar dziej zszar ga ne nerwy.

– Ślicz ne imię – sko men to wa łam, uśmie cha jąc się do sie bie na samo
wy -

obra że nie trzy let niej blon d wło sej Lei, dam skiej mi nia tur ki
Sonny’ego.

– Imię jak imię. – On wzru szył ra mio na mi, a z mojej twa rzy speł za
chwi lo -

wa ra dość. – Nie ja je wy bra łem.

– Nie je steś z nią bli sko.

– Miesz ka ze swoją matką w Chi ca go. Ja pra cu ję u was. Nie mam czasu
na po dró że – wy ja śnił.

– Chi ca go nie jest znowu tak da le ko od na sze go domu. A czy gdy byś
po -

pro sił Vince’a od czasu do czasu o wolne, toby się nie zgo dził?

Sonny znowu wzruszył się ty mi ra mio na mi. Widać po nim było, że po trze -

bo wał się wyga dać. Nie byłam tylko pewna, czy aku rat mnie.

– Mam umowę z twoim bra tem. Jednym z warunków jej zawarcia była moja nieograniczona dyspozycyjność – uciął, a po chwili dodał nieco ci -

szej: – Zresztą nie chodzi tylko o to. Nie do gaduję się z jej matką. Le piej, jak mnie tam nie ma.

– Ale nie... nie tęsknisz za nią? – za pytałam, opuszczając ręce.

Sonny wziął głębo ki wdech i uniósł dłoń, żeby po trzeci czoło i przy okazji po dra pać się po głowie. Jakby deprecjacyjnie wałby jakie gesty ma -

jące opóźnić jego odpowiedź.

– Nie... wiem. Nie znam jej za dobrze. Wyślałam im pieczę. Panno Monet, chyba le piej, że się nie miesza...

Przejechałam dłoń po gładkim piachu, zostawiając na nim ślad. Zanim się odezwałam, do kładnie prześlałam, co powie dzieć.

– Nie wiem, jak to wygląda w oczach rodzica, ale znam perspektywę dziec -

ka. Ja dużo bym oddała, żeby mój tato był obecny w moim dzieciństwie.

Nawet jeśli miało to być wbrew mojej mamie. Sądzę, że Lea kiedyś będzie -

dzie ślała po dobie.

Oczy Sonny'ego wbiły się we mnie po raz pierwszy od początku rozmowy na dłuższą chwilę. Zdziwiła mnie jego reakcja, przebiegła tylko po wieźlałam prawdę.

Nagle zrobiło mi się głupio. Za kogo ja się miałam, żeby go pouczać?
Nie znam jego historii, może zbyt nie się pospieszyłam z radami?

Z drugiej strony je dy nie przedstawiłam mu innego punktu widzenia.
Punkt widzenia -

widzenia jego córki. Chciałabym, żeby ktoś w przeszłości to samo szepnęła
mojemu ojcu. Albo mamie. Jestem prawie pewna, że Lea byłaby mi za
to wdzięczna.

– Chcę wracać – mruknęłam na głos, żeby Sonny wiedział, że zbieram się
do domu. Po prostu nagle za miastem pojawiła się ochota zobaczyć
tata.

Planowałam spróbować wykrzesać z siebie trochę świętego na
stronę.

Może zaofiaruję, że zrobię ciasto.

Słońce zaczęło już po południu za chodzić, więc i tak po win nam się
zbierać.

Miałam nie piś ani zakazawać się po ciemku. Nawet z ochroniarzem.

Tak, tak, zgadzam się, kołejny zakaz. Człowiek na prawo może się do
tego przyzwyczaić.

Sonny już się więcej nie odzywał. Miałam nadzieję, że nie był na mnie
zły i nie uważał mnie za przełamującą małą latkę. A nawet jeśli tak
było, to w żaden sposób tego nie okazał. Po prostu grzecznie wspiął się
po schodach -

dach tuż za mną, najprawdopodobniej po grzązki w wlasnych rozmyśleniach -

niach.

Szłam w stronę domu babci i uśmiechnęłam się de li kat nie na widok
świecą -

cyh już z dala łam pe czek. Mie ni ły się na różne ko lo ry. Mru ga ły i od
sa me -

go pa trze nia na nie do moich uszu do cie ra ły nuty wszyst kim zna nych
me lo -

dy jek świętecznych. Kilka dni temu ojciec z Ben nym ob wie si li nimi
front domu, nieco na odwal, bez kon kret ne go planu. Nie mieli sza le nie
roz wi nię -

te go po czu cia es te ty ki, przy naj mniej jeśli cho dzi o de ko ra cje, a Blan
che

była w tym te ma cie już w ogóle zu peł nie bez u ży tecz na. Ja, co praw da,
sta -

ra łam się udzie lić im kilku do brych rad, ob ser wu jąc ich pracę swoim
młó -

dym ko bie cym okiem, ale nie do wszyst kich wzo ro wo się za sto so wa
li.

Moja dusza per fek cjo nist ki cier pła na widok re zul ta tu ich pracy, ale sta
ra -

łam się wy lu zo wać i nie wy ty kać im nie do cią gnięć. Poza tym uwa ża
łam też, że było coś uro cze go w tej na pierw szy rzut oka roz pa da ją cej
się po sia -

dło ści Blan che i Benny'ego.

Bab cia już kilka razy po go ni ła mnie z kuch ni, gdy tam za głą da łam, by
za -

ofe ro wać jej pomoc. Nie mo głam zdzier żyć faktu, że nie wi do ma ko bie
ta wzię ła na swoje barki przy go to wa nie świętecz ne go obia du, nawet

jeśli miał

on być tylko dla czterech osób. Zakładam, że mimo obydwu jej kuchni wiele czynności przy sprzążeniu jej nie było trudnych, bo się działo w niej już od dwóch kilku dni, non stop za pomocą mi tylko prze -

rwa mi. Wpuszczała tam jedynie Benny'ego.

– Ona ma swoje chimery i wszystko lubi mieć po swojemu – uspokajał mnie ojciec, opierając głowę na mojej plecach, gdy ona sama się skarżyła.

– Nie przejmuj się.

Nie lubiła za to sprzątać i chętnie zaganiała mnie do tego, choć regularnie odwiedzała nas pani sprzątająca. Nie była za trudną na pełny etat go spo -

sią, jak Eugene, ale to ona utrzymywała ten dom we względnym porządku.

W rezultacie jedynie świętą czynności było ubranie chloinki. Któregoś dnia Benny przytarła wiele drzewko iglaste, które na ścieżkę razem z ojcem rozstawiła w salonie, obok telewizora. Do stałam się, kilka razy -

nów wypchnęła mi i pełną swoją wdzięku. W życiu nie widziałam aż tylu różnych kolorów, obspianych brokami i nie, szklanymi, plastikowymi, materiałowymi. Dobiegałam do siebie cały dzień i na koniec miałam szczyt ochoć za wisząc na chloince razem z bombkami, tak wykończona byłam.

Ojciec chwalił mnie za efekt końcowy chyba ze sto razy. Benny stwierdził, że nigdy jeszcze nie mieli tak pięknej chloinki, a Blanche przeobraziła -

mi i sobie poszła, wywołując porozumiewawczy uśmiech na naszych twarzach -

rzach, które z jakiegoś powodu wszyscy staraliśmy się ukryć.

Nie jesteś ty, wielka, piękna, złota gwiazda na białej tarczy, która lśniła cię płym, ja -

światłem na cały pokój i która po wino sterować na czubku choinki, miała uszko dźwięczne jak i już ze dwa razy spała na podłogę.

Trzy razy spała w dniu Bożego Narodzenia, kiedy rano, jeszcze w piżamce -

mie, ze szłam na dół. Normalnie uwielbiałam świąteczne poranki, bo jako dziecko zawsze rzucałam się po prezenty. Mama zwykła robić herbatę, a śniadanie podawała mi na podłogę, gdy zbyt podniecy to ważna, by zająć miejsce przy stole, siedziałam pośród rozdartego papieru po darunkach, ciesząc się no wymi zabawkami. Rok temu moi bracia pokazali, że święta pod ich obecność się nieco inaczej, czyli na przykład w ogóle nie przywiązywało się tam wagi do prezentów, co w tym roku mój ojciec bar -

działanie to wał, gdy zapytałam, czy mogłabym je chociaż kupić jakiegoś drobiazgu dla wszystkich.

Wracając do gwiazdy – znalazłam ją na dywanie, leżącą tuż przy choince.

Musiela spać w nocy. A może Blanche, przechodząc obok, szturchnęła drzewko. Podeszłam i schyliłam się po nią, naśluchując ją kichaniem od -

głosów. Cisza. Benny jako je dźwięki w tym domu lubił wczesnie wstać, ale od rana się działo w ogrodzie. Zaskadałam, że nie zmienił przyzwyczajenia ze względu na święta.

Ojca też nie widziałam w pobliżu, więc tylko wstąpiłam cicho i pa-
try -

łam na tę gwiazdkę, która teraz błyszczała w moich dłoniach. Do tyka-
łam jej opuszkami palców i zaczęłam zastanawiać się, co by tu zrobić,
żeby -

mała się stała nie na czubku.

Ten poranek nie był tak cudownie ciepło-rodzinny, jak bym tego sobie
ży -

czyła, ale próbowałam wbić sobie do głowy, że każdy obchodzi święta
ina -

czej i nie warto się niepotrzebnie smucić.

Wtedy podniosłam głowę, by zmierzyć spojrzaniem choinkę. Trzeba z
po -

wrotem wsunąć na górę tę gwiazdkę. Byłam za niska, by do sięgnąć, więc
po -

trzeba było stać. Rozeszłam się za nim. Gdzieś tu musiał być.

– Ale z ciebie karzeł.

W pierwszej chwili po myślałam, że to ojciec się ze mnie nabija, ale
było to do niego niepodobne, więc odwróciłam się zszokowana, by zo-
ba czyć przed sobą Dyana.

Stał w wejściu do salonu i szczyrzył się do mnie złośliwie.

Chwila, Dylan?

– Dylan! – zawołałam o wiele zbyt radośnie, niż późniejsza trafność
przy -

znać.

Wciąż ze złotą gwiazdką w dłoni, rzu ci łam się w jego stronę. Za wie si
łam mu ręce na szyi. To był na prawdę on, tutaj! Wielki jak za wsze, w
ciemno -

ziewaj bluzki na jej mięśnie i podkreślaj jej kolor jego brzo-
wych oczu.

– No już, dziewczynko. Przecież wiem, że mnie uwielbiasz – za kpię,
obej -

mując mnie i chowając mi włosy.

Byłam tak rozczulona, że mnie to nie wkurzyło.

– A reszta? Też przyjechała? – za pytałam. Wpadła się w niego
wyście -

ku jej, nawet nie próbując ukryć na dziei.

– Czy to ważne? – Dylan wzruszył lekceważąco ramionami i wskazał
na siebie. – Ważne, że jest tutaj twój ulubiony brat.

– Przyjechała Will?! – zawołałam z niedowierzaniem.

Wtedy usłyszałam więcej głosów z wnętrza. Wyminęłam brata i po-
gnęłam na ganek, przedarłam się przez ścianę wiszących w drzwiach
frontowych kół.

Bliźniacy włącznie przywitali się z ojcem i robił mi miejsce dla Willa.
Szedł

w naszą stronę z auta i włosy zwiłował mu na lewo, na nosie miał czar-
ny okulary przeciwsłoneczne. Uśmiechał się szeroko w tym swoim znie-
ważającym -

stylu.

– Hej, dziewczynko. – Shane mruknął we mnie i po chwili gwałtownie od-
szedł. Skrzywiłam się tylko, ale nie zareagowałam na jego cze-
p

kę, bo za pa -

trzy łam się na uroczą scenę roze grają przed moimi oczami.

Cam otworzył sze roko ramiona, przyciągając Willa do siebie. Mój brat jed -

nym płynnym ruchem zdjął okulary, odśladając swoje błękitne jak niebo tęcza. Aura ojcowskiej miłości, która towarzyszyła spotkaniu ich dwojga -

ki, była tak silna, że nie miał bliźniakiem oślepią ją cym wszystkim wokół.

Trwała tak chwila w mocnym uścisku, a potem ojciec położył jego plecy i przeszedł do Vincenta.

Vincent! On też tu był! Wezwała swoją osobę!

Z auta wysiadł jako ostatni. Jego ciemne włosy nie rozchyliły się tak bar -

dzo, jak po winy po długiej drodze. Może to zaśluga do brego żelu, a może nawet jego własna fryzura nie śmiała okazać mu nieposzeństwa.

Gładko ogolony, blady, wzrok miał bystry, szczęknęła za ciśnień, a brwi lekko zmarszczone, co sygnałowało, że mimo względu nie luznego jak na jego standardy stroju, czyli czarnej bluzy i ciemnych spodni, wciąż miał się na baczności.

Oczywiście z Willem wiatałam się najdłużej, rozkoszując się obecnością mo -

jego ulubieńca, który na mój widok uciekł się wcale nie mniej niż ja na jego. Trwając w jego objęciach, zerkałam znad ramienia na najstarszego brata, który po chwili zbliżył się do ojca.

Cam wy pro sto wał się, a gdy jego syn sta nął wresz cie przed nim, wy cią gnął

ręce i naj pierw po ło żył je na jego ra mio nach, uważ nie przy głą da jąc się jego twa rzy. Potem splótł palce na jego karku, kciu ki kła dąc mu na po licz kach i zaj rzał mu głę bo ko w oczy. Na stęp nie przy cią gnął go do sie bie. Aż za kłu -

ło mnie w klat ce pier sio wej na widok tak wy mow ne go po wi ta nia.

Za rów no Vin cent, jak i oj cieć du żo mówią o zna cze niu ro dzi ny i jej wię -

zów. To, jak ci mąż czyż ni za re ago wa li na swój widok po dłu giej, za pew ne, roz łą ce, do sko na le pie czę to wa ło ich słowa. W po sta wie ojca wi dzia ła m sza -

cu nek do swo je go pier wo rod ne go syna, który po jego odej ściu prze jął obo -

wiąz ki i świet nie sobie po ra dził. W Vin cen cie zaś do strze głam głę bo ko

skry tą ulgę, która mu sia ła go zalać przy spo tka niu je dy nej osoby, która na -

praw dę ro zu mie, z czym on się na co dzień bo ry ka.

– Idź cie do środ ka, dzie ci. – Cam kla szał w ręce, a kiedy jego wzrok padł

na moją roz ja śnio ną nie udol nie skry wa nym szczę ściem twarz, pu ścił mi oczko.

Na na zwa nie braci Monet, któ rzy byli już mąż czy zna mi, dzieć mi po zwo lić mogli sobie na praw dę je dy nie nie licz ni do ro śli.

Vin cent uśmiech nął się do mnie swoim fir mo wym uśmie chem, a ja w za -

mian wy szcze rzy łąm się do niego ser decz nie.

Dom Blanche na tych miast ożył, jakby ktoś machnął ma giczną różdżką i tym samym tchnął w niego nieco ciepła. Nagle wystrzeliła na chodnik w stronę -

lo nie nie zda wała się tak sama motna, a ja oczami wyobraźni obwią -

załam swoje rozdzienie wstąpiła mi i wrzuciła pod drzewko, bo ich przy -

jazd na prawą stronę był dla mnie najlepszym prezentem.

Moim talentem nie zrobiło się głośno i wesoło. Shane kołował, że chodnik jest na prawą stronę ładnie ubrana, nie to co zwykle. Tony przychylił się, że na czubku nie ma gwiazdki, którą cały czas ja miałam przez ciebie w dłoniach.

Dylan wyjął sobie za chodnik w stronę pewnie przez Blanche kierując się -

mo dy, o których istnienie nie miałam pojęcia, i na tych miast zaczęły się leśnicze paki. Will wyjął mi z dłoni gwiazdkę, żeby pomóc mi z powrotem ją znaleźć, a Vince wyciągnął wlaśnie z kieszeni te fon, który ojciec dyskretnie -

nie mu wyrywał, zaraz potem warcząc mu coś do ucha. Nigdy nie wiedziałam, by ktoś na tyle poważnie sobie przywodził, i stwierdziłam, że przygląda -

nie się ich relacje będą dzieła prawdy ciekawej.

Śniadanie nie każdy zjadł wedle własnych upodobań, bo i tak wszyscy szykują -

waży się na świętą nocny obiad, który był przez ciebie najważniejszym posiłkiem tego dnia.

Dzio ba łam sobie ka wa łek cia sta i po pi ja łam je her ba tą w to wa rzy stwie Cama i Dy la na, który wy grał z Shane'em bitwę o ła zien kę i wy ką pał się pierw szy.

– Dla cze go po wie dzia łoś mi wcze śniej, że oni nie przy ja dą na świę ta?
– za -

py ta łam ojca z małym wy rzu tem.

– Bo przez mo ment była taka moż li wość i chcia łem cię na nią przy go to wać.

Wła ści wie w ostat niej chwi li oka za ło się, że jed nak wszyst ko się uda – od -

parł.

– Na świę ta za wsze wy ska ku je dużo ro bo ty – wtrą cił Will, który czy sty, świe ży i pach ną cy po ką pie li wła śnie po ja wił się w kuch ni, ła piąc za ta le -

rzyk dla sie bie.

– Wła śnie tak – przy tak nął mu oj ciec.

– I to ta kiej, która wy ma ga nad zo ru kogoś za ufa ne go. Dla te go Vince i ja w pierw szej chwi li mie li śmy zo stać.

– No ale co, nie macie ja kichś za stęp ców czy coś? – spy ta łam, uno sząc brew.

– Mają, ale nie raz... – za czął oj ciec, ale do koń czył Vince, który rów nież do nas do łą czył:

– Jak chcesz mieć coś zro bio ne do brze, to mu sisz zro bić to sam.

Rzu cił mi też zna czą ce spoj rze nie, bo kie dyś już mi to zda nie wy re cy to wał.

Po ki wa łam głową, ak cep tu jąc tę od po wiedź. I tak lep szej nie do sta nę, tego byłam pewna.

– Faj nie, że jed nak udało wam się przy je chać – po wie dzia łam szcze rze.

– To za słu ga Monty’ego. Są teraz z Mayą u nas w domu. Ona i tak musi od -

po czy wać, więc wujek ma dużo wol ne go czasu i za ofe ro wał swoją pomoc –

oznaj mił mi Will.

Ucie szy łam się na wzmian kę o Mai. Tro chę nawet po za ło wa łam, że nie mogę się z nią zo ba czyć. Po czu łam też wdzięcz ność do wujka Monty’ego za to, że od cią żył tro chę Vince’a.

– Liczę tylko, że bę dzie nad sobą pa no wał, bo oba wiam się, że jeśli Char les nie wy pro wa dzi go z rów no wa gi, to zrobi to Ad rien – wes tchnął Vin cent, po prze dza jąc swoją wy po wiedź ły kiem czar nej jak noc kawy.

Oj ciec od chrzą k nął.

– Monty da sobie radę. Jest dobry w te kloc ki. Wbrew po zo rom.

– Chciał za aran zo wać moje mał żeń stwo – przy po mnia łam mu ze zgor sze -

niem, nie mogąc się po wstrzy mać.

Oj ciec uspo ka ja ją co po gła skał mnie po ra mie niu.

– Wiem, kró lew no, ostro z tym po le ciał, ale nie masz się czym przej mo wać.

Nikt nie wyda cię za mąż wbrew two jej woli. To nie te czasy.

Roz le gło się ko lej ne prych nię cie, tym razem na le żą ce do Blan che, która w blu zie i roz trze pa nych po śnie, dłu gich, si wych wło sach wy głą da ła jak na sto lat ka prze bra na za wiedź mę na Hal lo we en.

– A szkoda. Można tym było roz wią zać masę kon flik tów.

Ża ło wa łam, że nie mogła zo ba czyć mo je go obu rzo ne go spoj rze nia, które wła śnie jej po sła łam.

– To nie etycz ne – syk nę łam, by cho ciał usły sza ła mój sprze ciw.

– A tam. – Babka mach nę ła lek ce wa żą co ręką, wci ska jąc się na miej sce przy stole obok Shane’a, który le ni wie się po su nął. – Moje mał żeń stwo za -

aran zo wa no i żyję. Świet nie się z wa szym dzie dem ba wi łam. Za su wa li śmy na mo to cy klach aż miło – po wie dzia ła i szturch nę ła Shane’a w ramię swoim pu stym kub kiem, żeby nalał jej kawy.

Oj ciec prze wró cił oczami.

– Non stop się z nim żar łaś. Noże ła ta ły po całym domu.

– Sły szysz, mała dziew czyn ko? – Mru gnął do mnie Dylan. – A więc to ro -

dzin ne.

Shane za re cho tał pod nosem, a za wtó ro wał mu Tony, który jako ostat ni z na sze go ro dzień stwa po ja wił się w kuch ni. Włosy miał wciąż mokre i gdy sia dał do stołu, po trzą szał głową i ochla pał nas dro bin ka mi wody. Nie po fa -

ty go wał się też, żeby za ło żyć ko szul kę.

– Kłót nie to nie od łącz ny ele ment każ de go mał żeń stwa. Pokaż mi zgod nych ko chan ków, to ja ci po ka żę seks bez pasji. O- hy-da. – Blan che się skrzy wi -

ła.

Wszyscy, łącz nie ze mną, wy da li zgor szo ne jęki. To nie były rze czy, kto -

rych chce li śmy wy słu chi wać od wła snej babci.

– Och, co z wami, my śli cie, że lu dzie gzą się po ką tach tylko, gdy są mło dzi i pięk ni? Do ro śnij cie.

– Dla te go wy lą do wa łaś teraz z Ben nym, który jest naj spo koj niej szym czło -

wie kiem, ja kie go znam? – za py tał drwią co oj cieć.

– Benny jest spo koj ny, to praw da, ale ma swo ją mroc z ną stro nę, mo żesz mi wie rzyć – od par ła bab cia, uśmie cha jąc się upior nie.

Ich wy mia na zdań nie zwy kle mnie ba wi ła.

– A poza tym – cią gnę ła – ty z Lissy ni by nie ska ka li ście so bie do gar deł? –

Ostrze gaw czo unio sła palec wska zu ją cy. – Tylko nie ściem niaj, Willy i Vin cey pa mię ta ją, jak było.

Willy i Vin cey, słod ko.

Oj cieć opu ścił głowę i się za śmiał.

– Okej, może cza sem, ale przy zna ję, mia łem swoje za usza mi.

– Och, to wiemy do sko na le.

– Lissy nie była lep sza.

– To też wiemy.

Bra ko wa ło mi tak ży wych roz mów przy śnia da niu, cie szy łam się
każdą ich se kun dą, choć nie któ re przy pra wia ły mnie o nie smak. Było
na tu ral nie i ro -

dzin nie, tak jak lu bi łam naj bar dziej. Nadal po rów ny wa łam też w gło
wie ro -

dzi nę od stro ny taty oraz mamy, a im dłu żej tak ro bi łam, tym wię cej róż
nic do strze ga łam. Miały one jed nak jedno ol brzy mie po do bień stwo.

Oby dwie były ko cha ją ce.

43

HAKI

Świą tecz ny obiad zje dli śmy w po dob nej at mos fe rze, tylko nieco bar
dziej for mal nej. Po pierw sze, wszy scy się ład nie ubra li śmy. Oj ciec, bra
cia oraz Benny mieli ko szu le, nie któ rzy nawet z kra wa ta mi, Blan che
za ło ży ła na sie bie go tyc ką, ko ron ko wą su kien kę godną Mor ti cii Ad
dams, a ja pudrowo-różową ko szul kę ze wstaż ką pod szyją i błę kit ną pli
so wa ną spód nicz kę.

Je dli śmy w sa lo nie, po nie waż był o wiele ład niej ozdo bio ny niż kuch
nia.

Tam rów nież znaj do wał się nie po zor ny stół, który po roz ło że niu po
mie ścił

nas wszyst kich. Jako głów ną po tra wę za ser wo wa no in dy ka, ale już
wiem, czemu Blan che tyle czasu spę dzi ła w kuch ni. Oprócz niego po da
ła też kilka róż ne go ro dza ju pie czo nych szy nek, la sa gne oraz setki
przy sta wek ta kich jak purée ziem nia cza ne, go to wa ne i pie czo ne wa
rzy wa, były też ryż z chru -

pią cy mi orze cha mi, zie lo na fa sol ka z be ko nem, pa prycz ki pa drón,
które za -

chwała Shane, ostrygi oraz kilka innych rodzajów owoców morza, którzy nawet nie potrafiłam na zwać. Blanche za ją dała się krać, z którą od -

noży z wielkim smakiem wyszła mięso. Choć spróbowałam mnóstwa po -

traw, to były tutaj równie takie, którzy tknąć się nie odważałam.

Wspaniałe było to, jak sobie nie czułam się w towarzystwie swojej rodziny -

ny. Nie przejmowałam się zrzędnieniem babci, nie bałam się odpychać Tony'emu, szturchać Dylana, wyśtawić język do Shane'a ani przytulić się do ramienia ojca, obok którego miałam za siebie dzieci. On sam zajął

miejsce u szczytu stołu, a po jego prawej znalazł się Vincent, czyli też na przeciwko mnie. Dziś jednak było między nami zdecydowanie inna cześć niż zwykle. Bo na ogół Vincent odgrywał rolę przede wszystkim jego opiekuna, a teraz widocznie się wycofał, ustępując w tym miejscu na jego ojcu. Wreszcie był wyłącznym moim bratem.

Na pierwszy rzut oka zwątpiłam, czy zdołamy zjeść choć łyżkę z wyśta -

wionego jeździeciami, ale nie doceńmy braci, którzy zładki przy pomocy czarnej dziury.

Uczta trwała praktycznie do końca, więc nawet nie do końca zdążyliśmy wstać od stołu, a już do niego wróciliśmy. Zamiło nam się tak się działo.

Mielismy się biec oraz masę jeździeciami pod nosem, a czego więcej potrzeba w święta? No i przecież w tej rodzinie wyjątkowo trudno było o czyste spo -

tka nia w tak roz bu do wa nym gro nie. W końcu po ja wił się nawet Vincent!

Mu sie li śmy na le ży cie to uczcić.

– E, Dy la nek, jak tam, spo tkasz się ze swoją lasią? – za ga dał Shane, ciam -

ka jąc swoje ulu bio ne pa prycz ki.

Na tych miast za in te re so wa łam się od po wie dzią na to py ta nie i wy tę ży łam słuch, bo tuż nad moim uchem oj ciec to czył jakąś nu dzą cą mnie dys ku sję z Ben nym.

Dylan uniósł brew.

– Lasia?

– No, jak jej tam było... – Shane nie cier pli wie stu kał dło nią w blat, by przy spie szyć swoje pro ce sy my śło we.

– Ka ri na – za su ge ro wał Tony, je dząc ka wa łek pie czo nej szyn ki w sosie wi -

śnio wym pro sto z pół mi ska.

– Nie Irina? – wtrą cił się Will, wy cie ra jąc usta ka wa łkiem ser wet ki w re ni -

fe ry.

– Pa tri na – wtrą cił Vince, od kła da jąc na śro dek stołu miskę z sa łat ką.

– Mar ti na, de bi le – wark nął w końcu Dylan.

Wszy scy bra cia po ki wa li gło wa mi. Tony pstryk nął pal ca mi.

– Wła śnie tak, Mar ti na...

-Kto to Mar ti na? – za in te re so wa łam się.

– Nikt, wra cają do je dze nia – burk nął na mnie Dylan. O ile Vince od pu ścił

z roz ka zy wa niem mi, o tyle Dylan nie za mie rzał od bie rać sobie tej przy -

jem no ści.

– Jem przez cały dzień. – Prze wró ci łam oca mi. – Chcę wie dzieć, kim jest Mar ti na.

– Pierw sza mi łość Dy la na – od po wie dział mi Will, który wła śnie skub nął

sobie ka wa łek pysz ne go ser ni ka Blan che.

Wy ba łu szy łam oczy.

– Że jak?

– Żadna mi łość, od wal cie się – wark nął Dylan, świ dru jąc Willa wro gim spoj rze niem.

– Wy ra żaj się przy stole.

– Ko chasz się w dziew czy nie? – cią gnę łam i szturch nę łam Dy la na w bok, co było błę dem, bo gdy mnie ode pchnął, pra wie spa dłam na pod ło gę. Zła -

pa łam i pod trzy ma łam się krań ca stołu.

– Ej! – upo mnie li go Will i oj ciec w tym samym cza sie.

Wy pro sto wa łam się i nie zgrab nie na chy li łam w jego stro nę.

– Dy- lan za ko chał się w Marti- nie! – za śpie wa łam mu do ucha.

– I bzy kał się z nią w ki- nie – za wtó ro wał mi Shane.

Śmia ła m się, gdy po raz drugi zo sta ła m ode pchnię ta. Tym razem zsu nę ła -

bym się na pod ło gę, gdyby oj ciec nie pod trzy mał mnie za ramię. Jed no cze -

śnie wark nął:

– Shane, opa nuj się. Dylan, do cho le ry, zro bisz jej krzyw dę.

Babka na to miast obie ma rę ka mi obej mo wa ła kubek, w któ rym chyba miała coś moc niej sze go niż her ba tę, i się za du ma ła.

– Ach, Mar ti na Gu er ra. Cał kiem ni cze go sobie dzie wu cha. Już tu nie prze -

by wa tyle co daw niej, wy je cha ła na stu dia do Ma dry tu.

– Kie dyś przed każ dy mi świę ta mi i wa ka cja mi wy py ty wa ła, czy wnuki Blan che tu przy ja dą – dodał od sie bie Benny, uśmie cha jąc się sym pa tycz -

nie.

– Ta, ale w rze czy wi sto ści chcia ła wie dzieć tylko, czy Dylan bę dzie – za -

śmiał się Will.

– Miesz ka ła na tej wy spie? – za py ta ła m, po waż nie za cie ka wio na te ma tem pierw szej mi ło ści Dy la na, który nie wy da wał się zdol ny do ob da ro wa na ja -

kiej kol wiek dziew czy ny uczu cia mi.

– Nie in te re suj się – fuk nął Dylan, ale przy tak wiel kim stole od razu zna -

laź się ktoś, kto mi od po wie dział na py ta nie.

– To córka są sia dów z za wzgó rza. W po rząd ku lu dzie, choć tro chę na mol ni

– wy ja śni ła Blan che.

– Po zna li się za ma ło la ta – do rzu cił oj ciec, na chy la jąc się lekko ku mnie. –

Cał kiem ro man tycz na hi sto ria, jej pies pra wie urznął Dy la no wi nogę.

Skrzy wi łam się z prze ra że niem. Nawet zer k nę łam pod stół, tak jakoś, żeby się upew nić, że Dylan ma obie nogi na miej scu.

– Bo się pchał gdzie nie trze ba. – Vin cent po krę cił głową.

Dylan się na je żył.

– Ni gdzie nie było na pi sa ne, że to teren pry wat ny!

– No nie wiem, może trze ba było po znać, że to czy jaś po sia dłość po tym, że była oto czo na pło tem? A wy ście go sobie bez myśl nie prze sko czy li jak ja -

kieś pie przo ne sa ren ki – prych nął oj ciec, a jego po iry to wa ne spoj rze nie

padło rów nież na Shane’a i Tony’ego, więc do my śli łam się, że oni także mieli z tym coś wspól ne go.

– Ugryzł cię? Ten pies? – za py ta łam.

– Cap nął go zaraz nad kost ką. I potem się, kurwa, za czę ło, ko czo wa nie po szpi ta lach – od parł mi oj ciec, wy wra ca jąc oczu mi, bo Dylan sie dział cicho.

– A Mar ti na przy la ty wa ła póź niej do nas każ de go dnia, a to z do mo wej ro -

bo ty cia stecz ka mi, a to z bom bo nie rą. Ska ka ła nad nim, a ten leżał, ni czym wiel ce scho ro wa ne pa ni sko. Jak tylko dziew czy na wy cho dzi ła, to nagle wsta wał z łożka jak nowo na ro dzo ny. – Blan che krę ci ła swoją siwą głową, chi chra jąc się pod nosem.

– Stare dzie je – skwi to wał Dylan przez za ci śnię te zęby.

– Dylan, to uro cze – za świer go ta łam.

Ale on naj wy raż niej nie był w na stro ju do żar tów. Po win nam wie dzieć, że nie na le ży go w ta kich sy tu acjach draż nić, bo on bez za sta no wie nia gotów był odbić pi łącz kę.

– A chwa li łaś się tacie, że ostat nio pod twoim bal ko nem ster czał jakiś Romeo z kwia ta mi?

Oj ciec się za krztu sił.

Mój uśmie szek na tych miast znik nął.

-To było z oka zji moich uro dzin – wy tłu ma czy łam szyb ko.

– Kto to? – za py tał Cam, ale gdy się do niego od wró ci łam, by coś mu od po -

wie dzieć, zo ba czy łam, że tym peł nym wy rzu tów gło sem zwra ca się do Vince'a.

– Jakiś dzie ciak.

– I co on robił u nas w domu, mo żesz mi po wie dzieć?

– Małą nie spo dzian kę dla two jej córki.

– Aha, już ja znam te nie spo dzian ki. Po zwo li łeś mu wejść do środ ka?

– Nie.

– Ale cze ko lad ki przy niósł pierw sza klasa – wtrą cił Shane, pró bu jąc roz luź -

nić at mos fe rę.

– Cze ko lad ki też przy tar gał? – prych nął oj ciec. – Ro man tyk jak z ko ziej dupy trąba.

– Ale z was ma ru dy, daj cie jej spo kój – obro ni ła mnie Blan che. – Ha ilie, w tej ro dzi nie mu sisz po roz sta wiać tych chło pów po ką tach, bo ina czej wleżą ci na głowę. Wiem, co mówię, uwierz mi.

Za ci snę łam usta w pro stą linię. Bab cia miała rację.

– Wiesz – za czął Dylan, tym razem mó wiąc do ojca – już raz wpa ko wał ją w kło po ty. A ona się nie słu cha i cho le ra wie, o czym sobie z nim tam ro -

man su je w wia do mo ściach.

Gołym okiem widać było, jak łatwo Dy la no wi było pro wo ko wać ojca. To mu siał być dla niego draż li wy temat. Po sta no wi łam się uspo ko ić, wziąć głę bo ki wdech i nie re ago wać emo cjo nal nie. Dylan to Dylan, z nim trze ba było ra dzić sobie spry tem, nie krzy kiem.

– Nie masz się czym mar twić, Dylan – za czę łam uprzej mie. – Nawet jeśli trosz kę sobie ro man su je my, to nie za mie rzam robić z nim tego, co ro bi łeś ty z tą taj landz ką po ko jów ką.

Od da ła bym ma łe go palca, by le by mieć ka me rę, która za re je stro wa ła by re -

ak cję Dy la na na moje słowa. Jak jego kpiar ski wyraz twa rzy zmie niał się w szok i nie do wie rza nie. Ogrom ny szok i ogrom ne nie do wie rza nie. Jakby za po mniał, że byłam świad kiem tej sceny! No nie ste ty, wy pa li ła się w moim mózgu chyba już na wieki.

Na twa rzach wszyst kich ze bra nych z kolei wy ma lo wa ło się za in te re so wa -

nie. Tylko oj cieć łypał na niego po dejrz li wie, wie dżąc, że o czym kolwiek

mó wi łam, nie mogło to być nic do bre go.

– Co znowu za po ko jów ka?

– Dylan stał, a ta dziew czy na klę... – prze rwa łam, bo Dylan za tkał mi usta ręką. Nie pro te sto wa łam jed nak. Na praw dę wo la łam nie koń czyć tego zda -

nia.

– Czy ty je steś po waż ny? Czy do resz ty cię po rą ba ło?! – huk nął na niego oj cieć, za ci ska jąc pię ści.

– Jezus – szep nął do sie bie Will, za kry wa jąc oczy.

Vince przy mknął swoje.

Shane i Tony wy buch nę li grom kim śmie chem.

Blan che się prze że gna ła. Benny utkwiał wzrok w swoim ta le rzu.

Ja wpa try wa łam się w dół, pró bu jąc po ha mo wać śmiech.

– Dobra no, nie róbm y wiel kie go halo – burk nął Dylan. – Nic nie wi dzia ła.

– Wi dzia łam – mruk nę łam pod nosem, a on znowu za krył mi usta.

Bliź nia cy nie mogli się uspo ko ić do nocy, tak ba wi ła ich wtopa Dy la na.

Will i Vince nie wie dzie li chyba, jak to sko men to wać, i cie szy li się, że nie mu sie li ochrza niać brata za taki nie takt, bo wszyst kim zajął się oj cieć, który był ab so lut nie wście kły. Za pa no wał nad sobą na tyle, że jego złość nie ze -

psu ła nam świąt, ale wi docz nie kosz to wa ło go to wiele wy sił ku. A o mnie i Leo nikt już wię cej nie wspo mniał.

Dzień zwień czy ła wy gra na Blan che w bi lar da. Wszy scy wy pi li też sporo wina, cydru i ja kichś in nych po waż niej szych trun ków, któ rych nazw nawet nie zna łam. Nie to, że mnie in te re so wa ły, i tak nie skap nę ła mi ani kro pla.

A gdy wszy scy roz cho dzi li śmy się do sy pial ni, upo je ni świą tecz ną at mos fe -

ra, Dylan zła pał mnie na scho dach i szep nął mi do ucha:

– Za pa mię tam to sobie, mała dziew czyn ko.

Jak po wie dział, tak zro bił.

Do go ścin nej sy pial ni, którą zaj mo wa łam, za pu kał, a na stęp nie wszedł

Shane. Od razu rzu cił się na wą skie łożko, na któ rym sie dzia łam na wpół

przy kry ta weł nia nym kocem, nie umie jęt nie wy dzier ga nym przez Blan che.

-Auć – mruk nę łam, opusz cza jąc książ kę na ko la na i zer ka jąc na brata zna -

czą co.

Przy gniótł mi nogę.

– Dylan szuka na cie bie haka – po in for mo wał mnie, jak gdyby nigdy nic.

Na stęp nie jego wzrok spo czął na pacz ce mi ni cia ste czek z cze ko la dą, które przy wła sz czy łam sobie z kuch ni, by umi lić sobie czy ta nie. Dwie se kun dy póź niej już chru pał je ze sma kiem.

Wes tchnę łam.

– Co znowu?

– Nie krzyw się, bo ci tak zo sta nie. Haka szuka Dylan.

– Bo co, bo po wie dzia łam wszyst kim o po ko jów ce?

– Oj ciec wczó raj pruł się o to do niego cały dzień.

We tknę łam mię dzy stro ny książ ki usu szo ną różę od Leo, któ rej wciąż upar -

cie uży wa łam jako za kład ki, po czym za mknę łam lek tu rę.

– Sam za czął.

Shane wy cią gnął się jesz cze bar dziej, tak że jego biała ko szul ka pod wi nę ła mu się i uka za ła nieco umię śnio ne go brzu cha, na który upa da ły okru chy cia stek. Flej tuch. Już wie dzia łam, że będę mu sia ła po nim sprzą tać. Gdy -

bym tylko miała pew ność, że uj dzie mi to na sucho, to z przy jem no ścia sko -

pa ła bym go z tego łóżka na pod ło gę.

– Ta, ale wiesz... Jak już de cy du jesz się zrzu cić taką bombę, to mu sisz li -

czyć się z tym, że Dylan ci tak łatwo nie od pu ści. – Shane wzru szył ra mio -

na mi. Zła pał za ja siek, który leżał obok, i pod ło żył go sobie pod głowę.

– Nie in te re su je mnie, co Dylan sobie roi w tej swo jej pu stej gło wie – oznaj mi łam twar do.

Shane rzu cił mi po błaż li we spoj rze nie.

– Aha, to dla te go wła śnie spoj rza łaś na drzwi, żeby się upew nić, że są za -

mknę te i że on cza sem nie usły szy, jak to mó wisz?

Za ci snę łam usta. Wcale nie dla te go zer k nę łam na drzwi.

– Ja cię tylko ostrze głę, Ha ilie. Co z tym zro bisz, to twoja spra wa.

Zmarsz czy łam brwi, zi ry to wa na, że muszę przej mo wać się ta ki mi głu po ta -

mi.

– Skąd w ogóle wiesz, że cze goś na mnie szuka?

– Bo przy lażł do mnie i chciał, żeby m oddał mu swo je go haka, któ re go mam na cie bie.

– Ty masz na mnie haka? – zdi wi łam się.

– Nawet ze dwa.

– Cze kaj, co?

– Jed ne go dzie lę z Tonym, no a Dylan ma haka na Tony’ego, więc Tony mu pew nie zdra dzi na sze go haka na cie bie. Dylan ma też haka na mnie, ale ja mam jed ne go na niego, o czym nie wie dział, jak do mnie przy szedł. A gdy się do wie dział, to po szedł do Tony’ego. Bo Tony w tej chwi li nie ma na niego nic.

Za mru ga łam.

– Ja kie go haka niby macie z Tonym na mnie?

– Halo, na wa li łaś się w barze. – Wy wró cił oczu mi, jakby jego od po wiedź

była najoczywistsza na świecie.

Usta same mi się rozchyliły z obu stron.

– Tony nie może powiedzieć o tym Dyla no wi!

– Ale powie. – Shane wzruszył ramionami i wrzucił do buzi kolejną ciasteczkę -

– Takie prawo dzurki.

– Sami obrwiecie, jak wyjdzie, że się upiłam.

– Może trochę, ale ostatnie nie najbardziej przez rąbki i tak będą dziesięć miała ty.

– No to po prostu maj go!

– Wolę się nie wtrącać. I tak nic nie mógłbym zrobić. Wiesz, bo Tony z kolei ma hak na mnie.

– Co jest z wami nie tak?

Shane przez krzywą głowę z drzwiami wyraża swoją troskę.

– Kumam, że przez większość życia wychoywałyście się jako jeńcy naczynek, ale to nie są takie trudne do ogarnięcia sprawy.

Pokręciłam z niego rękami głową, jakbym już teraz próbowała pozbierać się z niej wspomnienia tej idiotycznej rozmowy, którą właśnie prowaǳi -

łam.

– Wiesz co? W nosie to mam. Nie ważne. Nie obchodzi mnie to. Nie dam się wciąż gnąć w wasze dziecinne gierki – za dęcy do łam i za częlam wy -

grze by wać się spod koca. I tak mia łam za miar roz ru szuć kości. Książkę odło ży łam na bok.

– Ale ty już się dałaś w nie wciąż gnać.

– To co niby mogę zro bić?

-No... jeśli nie masz już haka na Dylana ani nic na Tony'ego, to nie wie le. –

Mówiąc to, Shane machał nad głowami ciastkiem, niczym ekspert tuma -

czyli ja kiedyś za widziałem zjawisko.

– Jesteś to taki nie bez użyteczny – skwitowała z uniesioną brwią.

Shane po raz kolejny wzruszył ramionami. Łaska wie się podniósł z łóżka, dopiero gdy sama wstałam. Tak jak przed tym, kiedy okruszył z jego brzucha -

chciał się prosto na moją postać. Wzdychając, powieki mi za drżała, ale za chwilę tylko szczęknęła z jeszcze większą siłą i wyszłam z pokoju.

44

ŻYCIEM RZĄDZĄ

NA GRANI

Słyszając dobiegający z kuchni głos Vincenta, zwołałam krokiem. Nadal cie -

szłam się z niedzianki, jaką było nieoczekiwane pojawienie się moich braci na wysepach, ale dom Blanchy był zdecydowanie za mały, by nas wszystkich tu pomieścić. Co chwila na kogoś wpa dałam.

– ...wi dzisz, jak ukry wa twarz? Przy go to wał się. Wie dział do brze, gdzie są ka me ry.

– Nie szkodzi – burknął ojciec. – Nie jest w sta nie zamas kować wszystkie -

go. Za trzy maj. Cofnij. Dwie klatki. Jesz cze.

Przy sta nęłam w holu do słów nie na se kładę, bo wie działam, że pod słu chi -

wa nie ojca i Vincenta jest po pierwsze sa mo bój stwem (z uwagi na wy czu lo -

ny szósty, siódmy i ósmy zmysł mo je go naj starsze go brata), po drugie bez -

sen sowne, bo naj wy raż niej ko men to wa li coś, o czym nie miałam po ję cia, a po trze cie nudne. Po prostu nie miałam ochoty sterować w ko ry tarzu.

Wkroczyłam więc do kuchni, gdzie Vincent się działał przy stole ze swoim lap to pem, a ojciec stał, opierając się o kredens i spo glądał mu przez ramię na ekran.

Cam prze niósł od razu wzrok na mnie, a jego zmarszczone brwi i ściągnięte w dół kąci ust na tych miast się rozluźniły.

– Witaj, król lew no. Czego po trze bu jesz?

– Przy szłam po herbatę – odparłam, z zaintereso waniem zując na lap to pa, ale zanim po de szłam na tyle blisko, by cokolwiek do strzec, Vincent zdążył

całkowi cie nie pozor nym ruchem zmi nić ma liżnąć okienko, tak że zo ba czy -

łam tylko pulpit i kilka schludnie ułożonych na nim iko nek.

Oj ciec jak na roz kaz ru szyl się i wy rę czył mnie, na le wa jąc wody do czaj ni -

ka elek trycz ne go.

Wy czu wa jąc, że obaj pa no wie nie za mie rza ją kon ty nu ować roz mo wy ze wzglę du na moją obec ność, sama ją po cią gnę łam. Ręce splo tłam z tyłu i ob -

ser wo wa łam, jak oj ciec sięga dla mnie po kubek.

– Co oglą da li ście, zanim we szłam?

– To nic, słoń ce. Praca. – Zbył mnie i mach nął ręką, zanim roz su nął szu fla -

dę. – Na jaką her ba tę masz ocho tę?

– Wła ści wie to uwa żam, że na le ży po ka zać jej to na gra nie – wtrą cił się Vin -

cent.

Za sko czył tym za rów no mnie, jak i ojca, któ re go brwi na tych miast z po -

wro tem się na stro szy ły.

– Ale o czym ty mó wisz, Vin cent? – wark nął w nie na tu ral ny spo sób, jasno ak cen tu jąc swoje nie za do wo le nie i złość. Nie za bra kło rów nież bar dzo zna -

czą ce go spoj rze nia, które wbił w swo je go syna.

Vin cent zniósł je ze sto ic kim spo ko jem.

– O tym, że mogła coś wi dzieć. Jest szan sa, że coś sko ja rzy. Na le ży po ka -

zać jej na gra nie.

– Ra czej chyba na le ży to prze dys ku to wać, tak czy nie? – Prze krzy wił głowę. – Vin cent, do cho le ry.

Wpa try wa li się w sie bie. Ciem ne oczy gro mi ły te błę kit ne, spo koj ne i chłod ne.

– Na pi ła bym się ru mian ku – mruk nę łam.

-Robi się. – Oj ciec na tych miast ob da ro wał mnie ko lej nym, ser decz nym uśmie chem, jak tylko od cią gnął su ro wy wzrok od syna.

– Mo żesz tu, pro szę, na chwi lę usiąść, Ha ilie? – zwró cił się do mnie Vince, wska zu jąc na wolne krze sło obok.

– Nie – syk nął oj ciec, pro stu jąc się i od wra ca jąc w naszą stro nę.

Ale ja już za ję łam miej sce i tylko rzu ci łam mu zdez o rien to wa ne spoj rze nie.

– Pa mię tasz przy ję cie cha ry ta tyw ne na rzecz na szej fun da cji, w któ rym wzię łaś udział mie siąc temu? – za py tał Vin cent, uważ nie mnie ob ser wu jąc.

Po wstrzy ma łam się od prze wró ce nia ocza mi. To prze cież nie tak, że muszę teraz się gać pa mię cią do całej listy przy jęć, na któ rych ostat nio byłam.

– Niech po my ślę... – Uda łam, że się za sta na wiam. – To tam do sta łam per -

fu my z kwa sem?

– Vin cent – upo mniał go oj ciec, jesz cze bar dziej zde cy do wa nie, a potem zer k nął w dół, na mnie. – Nie mu si my o tym roz ma wiać. To nie jest coś, czym po win naś za przą tać sobie głowę, kró lew no.

– Ale ja chcę o tym roz ma wiać – za pro te sto wa łam. – Chcę wie dzieć, co macie.

Byłam twar da i zde cy do wa na, co po zy tyw nie wpły nę ło na obraz sta now -

czej i doj rza lej osoby, za jaką chcia łam ucho dzić w swo jej ro dzi nie. Oj ciec pa trzył na mnie z za ci śnię ty mi usta mi, a Vince z do brze skry wa nym za do -

wo le niem.

– Po ka żę ci na gra nia z kamer, a ty po wiedz mi, pro szę, czy mę ż czy zna, któ -

re go ci wska żę, wy da je ci się jak kol wiek zna jo my, do brze? – Vin cent znów włą czył film.

Po ki wa łam głową, wy god niej usa da wia jąc się na krze śle. Byłam pra wie pewna, że wcze śniej za sły sza ne prze ze mnie ko men ta rze od no si ły się wła -

śnie do na gra nia z ho te lu i, jak widać, nie my li łam się.

Przy po mnia łam sobie, jak Vince po ka zy wał mi na gra nie z cu kier ni pani Hardy. Wtedy bałam się, że wpad nę w kło po ty. Teraz byłam nie win na, a mimo to także czu łam się nie swo jo. Jakby zaraz miało wyjść na jaw, że sama sobie pod ło ży łam te per fu my.

Ja kość na gra nia była duzo lep sza niż tego z cu kier ni, ale tym razem chyba na praw dę bra ko wa ło gło su. Nic dziw ne go, bo w tak wiel kiej prze strze ni jak ho te lo we lobby i tak za pew ne ścia gnał by się on w po sta ci iry tu ją ce go szumu, nie udol nie pró bu ją ce go od dać pa nu ją cy tam gwar.

Ogła da li śmy akcję z rogu, gdzie znaj do wa ła się szat nia. Przy gar bio ny pan od bie rał płasz cze bo ga czy, któ rzy przy szli po gra tu lo wać mi an ga żu w spra -

wy fun da cji, z kó re go osta tecz nie wy szło tyle co nic.

Przy szat ni krę ci ły się osoby, które potem skła da ły mi gra tu la cje, pra wi ły kom ple men ty i za chwy ca ły moją urodą. W od da li do strze głam nawet swoje plecy. Sta łam obok Willa, który roz ma wiał z ja kimś męż czy zną. Ba wi łam się bran so let ką. Ze stre su.

– To on – po wie dział Vin cent, swoim smu kłym pal cem wska zu jąc na po -

stać, która we szła wła śnie na plan.

Osob nik pa trzył w dół, a na gło wie miał sta ro świec ki ka pe lusz, kó re go rondo sku tecz nie chro ni ło jego toż sa mość. Na ra mio na za rzu cił sobie spo ra -

wy płaszcz. W nie kó rych uję ciach uka zy wał część jego przy du żej ma ry nar -

ki. Męż czy zna był chudy i cał kiem wy so ki.

– Nie ko ja rzysz go skądś? – do py ty wał Vin cent.

Zmru ży łam oczy.

– Nie wie le tu widać.

– Widać cał kiem sporo – za opo no wał i za trzy mał na gra nie. – Sta wia my na to, że jest młody. Nie oby ty w obec nym tam to wa rzy stwie i nie za moż ny.

Coś mu sia ło go wią zać z tym ho te lem w prze szło ści.

Rzu ci łam mu spoj rze nie znad unie sio nych brwi.

– Chwi la, serio? Skąd to wiesz?

Oj ciec po sta wił na stole tuż przede mną pa ru ją cy kubek ru mian ku, od -

chrząk nął i po chy lił się nade mną i Vin cen tem, przy trzy mu jąc się opar
cia krze sła, na któ rym sie dzia łam.

– Spójrz na jego ubra nie. Ten wie śniac ki ka pe lusz. Płaszcz wisi na nim
jak na ma ne ki nie. Spodnie też są za duże. Wi dzisz te no gaw ki? Za sze
ro kie. –

Oj ciec wska zy wał na wi docz ne na na gra niu po szcze gól ne czę ści gar
de ro by ły żecz ką.

– Może po pro stu nie po tra fi się do brze ubrać? – za su ge ro wa łam.

Oj ciec po krę cił głową.

– To nie są ciu chy naj lep szej ja ko ści, ale wciąż cał kiem do brej. Wy głą
da ją na szyte na miarę. Choć na pewno nie na miarę tego pa ja ca. Skąd kol
wiek je wy trza snał, nie mogą na le żeć do niego.

– Wie dział, że to ele ganc kie przy ję cie i trze ba się od po wied nio ubrać,
żeby zbyt nio się nie wy róż niać, ale nie do ro bił się jesz cze swo je go gar
ni tu ru, więc po ży czył go od kogoś. Na pierw szy rzut oka wy głą da to
tak, jakby zna lażł w sza fie ma ry nar kę i spodnie po dziad ku – wy ja śnił
Vin cent.

– Dla te go za kła da my, że jest młody. Do ro śli, star si fa ce ci ra czej mają
w sza fie przy naj mniej jeden w miarę przy zwo ity gajer na spe cjal ne oka
zje –

dodał oj ciec.

Dłoń mi ob ję łam go rą cy kubek. Przy jem nie pa rzył mi palce.

– No a co, jeśli ce lo wo tak się ubrał, żeby wy pro wa dzić was w pole? –
za -

py ta łam scep tycz nie.

Vince z ojcem spoj rze li po sobie.

– Wtedy nasza teo ria leży – wes tchnął Cam.

– Nie wy da je mi się, że chciał nas w ten spo sób zdez o rien to wać –
stwier -

dził sta now czo Vince. – Bycie tak ubra nym, bez ja kie go kol wiek
smaku,

w tym kon kret nym to wa rzy stwie, już samo w sobie jest ry zy kow ne. Są
tam snoby, które lubią ko men to wać stro je in nych. Myślę, że gdyby miał
moż li -

wość ubra nia do pa so wa ne go gar ni tu ru, żeby zu peł nie nie rzu cać się
w oczy, to chęć nie by z niej sko rzy stał.

– Dla te go też zga du je my, że nie ma fun du szy, nawet po to, żeby kupić
po -

ząd ne prze bra nie do wy ko na nia swo je go planu. Tutaj ama torsz czy
zna aż tań czy i śpie wa – uzu peł nił oj cieć.

– Zde cy do wa nie nie ob ra ca się też w na szych krę gach to wa rzy skich.
Nie mar twił się, że ktoś go roz po zna. Wy raż nie ukry wał się przed ka me
ra mi, ale żadna z obec nych tam osób nie zwra ca ła na niego szcze gól nej
uwagi.

Musi mieć nie rzu ca ją cą się w oczy twarz.

Po dmu cha łam wciąż go rą cy napar i upi łam ma leń ki łyk. Mu sia łam
jakoś po bu dzić mózg do dzia ła nia. Byłam pod nie ma łym wra że niem
ana li zy, jaką Vince i oj cieć prze pro wa dzi li.

– A dla cze go wa szym zda niem wią za ło go coś z tym ho te lem? Przez
to, że wie dział, jak uni kać kamer?

– Też. Tutaj, na tym na gra niu, znika na chwi lę w ła zien ce. Nie szuka jej,
tylko śmia ło po ru sza się w jej stro nę.

– Czyli co, w prze szło ści mógł za trzy mać się tam jako gość? – za py ta
łam, marsz cząc brwi.

Oj ciec prze krzy wił głowę z małym uśmie chem, błą dzą cym mu na
ustach, jakby za chę cał mnie do głów ko wa nia. A ja nie po trze bo wa łam
dużo czasu, żeby zro zu mieć, o co mu cho dzi.

– Och – mruk nę łam.

– Tak, kró lew no, bar dzo do brze. Idąc na szym to kiem ro zu mo wa nia,
na sze -

go po dej rza ne go ra czej nie stać, by go ścić się w takim ho te lu. Ale
mógł tam pra co wać. Ewen tu al nie ba brać się w ja kichś brud nych in te
re sach. Ten hotel sły nie nie tylko z bycia miej scem ide al nym do or ga ni
za cji ban kie tów. Cza -

sem dzie ją się w nim różne sza chraj stwa. Wiesz, ide al ny jest do tańca i
ró -

zań ca.

Na stęp nie Vin cent prze wi nął mo ment, w któ rym mąż czy zna znik nął
za drzwia mi ła zien ki. Tam nie było kamer, więc mo gli śmy go ob ser wo
wać, do pie ro gdy wszedł z po wro tem do lobby, w któ rym licz ba gości
znacznie się już zmniejsz yła. Wię k szość z nich prze szła na sa lę, w któ
rej od by wa ły się prze mo wy i po czę stu nek. To tam po dej rza ny się
skie ro wał, a gdy tylko znik nął z pola wi dze nia ka me ry, Vince prze łą
czył się na ko lej ną, która już znaj do wa ła się na wspo mnia nej sali.

Znowu od na la złam sie bie. Roz ma wia łam z ży wio ło wo ge sty ku lu ją
cą Ruby.

Uśmie cha łam się, ale byłam też wi docz nie ze stre so wa na. W ogóle nie
zwra -

ca ły śmy uwagi na sto ją cy w kącie obok sto li czek, okry ty żół ta wym ob
ru -

sem, na kó rym w krysz ta ło wym wa zo nie był bu kiet ko lo ro wych kwia tów.

Tuż przy nim stała pięk nie wy eks po no wa na, zło ci sta taca, na kó rej znaj do -

wa ło się kilka ma łych pa czu szek. Moje po da run ki. Pa trzy łam na nie, gdy nagle ob ser wo wa ny przez nas mąż czy zna zbli żył się do nich. Ro zej rzał się nie po strze że nie, naj pierw pod rzu cił tam swoją, wy ję tą z za pa zu chy sze ro -

kie go płasz cza pacz kę, a potem ob ró cił się dys kret nie i za brał jeden ze znaj -

du ją cych się tam pre zen tów. Dzia łał bar dzo szyb ko i spraw nie. Na tych miast się od da lił. Per fek cyj nie krył się przed ka me ra mi. Poza tym to nie było duże przy ję cie, ale zbyt wielu gości zwra ca ło tu uwagę je dy nie na czu bek wła sne go nosa.

Ga pi łam się na pacz kę, którą zo sta wił po śród moich in nych po dar ków, i aż prze szedł mnie dreszcz. Kilka go dzin póź niej mia łam ją otwo rzyć i o włos unik nąć śmier ci.

Kim był ten czło wiek?

– Potem widać, jak spada stam tąd jak naj szyb ciejszy. Wciąż do brze za ka mu -

flo wa ny. Auto mu siał zo sta wić gdzieś poza te re nem ho te lu – po wie dział oj -

ciec, wzdy cha jąc.

– Nie wy da je mi się, żeby to był ktoś, kogo mia łam oka zję po znać – oce ni -

łam, za gry za jąc wargę. Chyba nie ste ty okażę się bez u ży tecz na. – Trud no stwier dzić.

– Zwróć uwagę na jego chód, na to, jak się obraża. Na jego posturę. Na to, w jaki sposób chwycił ją za rękę. Vince, cofnij to, niech obejrzy jeszcze raz.

Na prawą stronę stała się skądś. Może i ktoś mi te jego ruchy przypomniał -

ły, a może wcale nie. Marsz czy łam brwi, mrużyłam oczy, na chyłko łam się w stronę ekranu. I nic, nic nie byłam w stanie powiedzieć. Tak w ogóle to ja przecież nie znałam zbyt wielu osób...

– Nie wiem – westchnęłam na krótko. – Przypomnij mi, ale nie mam pojęcia.

Oj ciesz się, że ścisnął swoje palce na moim ramieniu.

– Nie szkodzi, król lew. To i tak prawdopodobnie nie był ktoś, kogo nie znasz.

– po prostu działa do mnie, po czym syknął do syna: – Jak mówiłem, nie trzeba za nią walczyć tym głową.

– Nie mniej jednak warto było spróbować. Każda informacja jest na wagę złota – odparł Vincent rzeczowo.

– HA, HA – huknął Dylan, wkroczył do kuchni. Wpadł się prosto w moją twarz, po chwili zbliżył się do nas o wiele zbyt blisko siebie, żeby nie było to podejrzane. Gdy dzieliła nas już tylko centymetry od siebie -

głos, na chyłko się do mnie nadstawił i dodał: – HA.

Wpadł się w niego z zaciśniętymi ustami i nie powiedział nic -

kiem. W sercu poczułam niepokój. Choć nie powiedziałam się, że będę -

działał tak szybko.

– In for ma cję na wagę złota mam ja – po chwa lił się, a at mos fe ra na tych -

miast się roz rze dzi ła.

Vin cent z ojcem zer k nę li na niego bez spe cjal ne go za in te re so wa nia.

– Co kol wiek Tony ci po wie dział, to nie praw da – rze kłam na tych miast.

– No już, mała Ha ilie – za śmiał się wred nie Dylan – nie pa ni kuj. Mo że my dojść do po ro zu mie nia.

Uni ka łam spoj rze nia za rów no ojca, jak i Vin cen ta. Pró bo wa łam za de cy do -

wać wła śnie, czy po win nam iść w za par te, czy się przy znać i udo bru chać Dy la na.

– Zo staw ją w spo ko ju – wes tchnął oj ciec i od szedł od nas, a ły żecz kę, którą trzy mał w ręku, wrzu cił do zlewu. Vince za mknął lap top.

Dylan ob ser wo wał mnie z iry tu ją co trium fal nym uśmie sz kiem, dla te go osta tecz nie ode tchnę łam, przy mknę łam po wie ki i, do pi ja jąc ziół ka, wsta -

łam.

– Dobra już! – syk nę łam.

Całe szczę ście ani oj ciec, ani Vince nie byli wy star cza ją co wścib scy, by do -

py ty wać, o co cho dzi. Dylan z nie skry wa ną przy jem no ścią po dą żył za mną na ganek. Gdy już trza snę ły za nami drzwi fron to we, od wró ci łam się, by na niego spoj rzeć. Za sko czy ła mnie zmia na, jaka za go ści ła w jego wy ra zie twa rzy.

Psot ne za do wo le nie z sie bie zo sta ło za stą pio ne iry ta cją.

– Co?

– Pstro – od parł od razu, trącając mnie swoim paluchem w nos. Cmoknęłam nie za do wołania i odchyliłam głowę.

– Chciałeś gadać, to gadaj.

Tym samym palcem wskażałam na mnie.

– Uważaj sobie. – Chwiliłam mnie obserwować, a ja stwierdziłam, że rozsądnie będzie znieść to w milczeniu. Musiałam go wybać. Co wiedział

i w ogóle. Wreszcie odsunął się ode mnie, zerknął w dal, na oliwny gaj i rozważył się na karną piecogrodową.

Ja na to miałam się ramiona mi i oparłam o drewnianą barierkę, tak żeby w razie czego wać odstęp od krwi żerowego brata.

– Tony sprządał mi smaczka – za czął w końcu, a brzmiał o wiele poważniej niż wczesniej. Spodziewałam się, że celowo chciał wzbudzić we mnie dys-

komfort, więc z całych sił starałam się za wać spokój.

– Cokolwiek Tony ci powiedział, na pewno jest to nieprawda. Zrobił to dla świętego spokoju, żebyś się od niego odciął – oznajmiłam twarde. –

Wiem, że masz na niego haka. Bał się prosto, że go wydasz.

Dylan patrzył na mnie przez chwili i w końcu parsknął.

– Nie źle kombi nujesz, mała dziewczynko – przyznał. – Tylko że masz pecha. Chcesz wiedzieć dla czego?

Śmiało uniosłam podbródek do góry.

– No dla czego?

Dłoń Dy la na nie dba le po wę dro wa ła do kie sze ni jego spodni, z któ rej wy ło -

nił się te le fon ko mór ko wy. Wiel ki, czar ny, pła ski i po zba wio ny wszel kie go etui chro nią ce go (co za pew ne było po wo dem ma leń kiej rysy tuż obok apa -

ra tu).

– Bo stu dia to pięk ny w życiu czas. – Dylan uśmiech nął się za czep nie, gdy unio słam brew. – Zwłasz cza stu dia za gra ni cą. Póź niej wspo mi na się ten okres już za wsze.

– No i?

– No i dla te go stu den cia ki mają kota na punk cie trza ska nia zdjęć gdzie po -

pad nie. Jak i na gry wa nia fil mi ków...

Mil cza łam, a Dylan le ni wie się wy cią gnął, ma cha jąc te le fo nem w ręce.

– W sumie na każ dej chyba im pre zie or ga ni zo wa nej dla stu den tów z wy -

mia ny jest jakiś typ z ka me rą.

Mi mo wol nie prze łknę łam ślinę. Dło nie za ci snę łam moc niej na ba lu stra dzie, o którą się opie ra łam.

– No po dejdź tu. – Dylan za czął grze bać w te le fo nie, a ja, na ze sztyw nia -

łych no gach zbli ży łam się po słu sz nie, acz nie uf nie.

Mój brat zna lażł już to, co chciał mi po ka zać. Jakiś fil mik.

Świet nie, ko lej ny.

Moim ży ciem rzą dzą na gra nia.

Prze wi nął go do mo men tu, w któ rym za pa mię tał, że po ja wia się to,
co in te -

re su ją ce. A do kład nie mo men tu, w któ rym dziew czy na w bia łą bluz
ce i czar nej, dłu giej spód ni cy wła śnie wy cią ga ła ręce do góry, a dwie
osoby wcią ga ły ją za nie na bar.

Drgnęłam z żałości, a mój żołądek za ci snął się w ciasnym supeł. Odwróciłam szybko wzrok od teledysku, jakbym bała się, że filmik wyplami oczy.

To byłam ja.

Narabiana, uciekająca przed bliźniakami, wdrapując się na blat baru, ja.

45

KILKA PYTAŃ

Skąd to masz?...

– Dobry pytanie – pochwalił mnie Dylan, brzmiąc niczym prezydentem tego show. – Ten dumny filmik wisi sobie na oficjalnych strojach baru i prosi je kolejni prezydenci.

– Co ty mówisz?

– Tak – po twierdził, krzywiąc się na mnie. – Ja kiedyś wideo z moją małżonką -

przetęto się, kurwa, na rzędnym markecinowym.

Najpierw pałałam w bok, za gryzącą wargę, ale potem zerknęłam wresz -

cie na brata.

– Przez ciebie to... nic takiego. Głupi filmik, jeden z wielu na strojach baru, jed -

ne go z wielu. Nawet do końca nie widać, że to ja.

Moja twarz mi gnęła tylko w paru momentach. Oświetlenie nie pozostawiało wiele do życzenia. A sam filmik na kręcił się dość chaotycznie

spo sób. Nie robił ze mnie głównej atrakcji, tylko jedną z wielu po bocznych. Ko lej nie ujęcia przez skończyły na barmanów, przyprawiła ją cichspe cjał nie szoty ogniem. Alkoholiści do wiśko wo za pło nął żywym pło mie niem, po czym kilku śmiałków wychyliło małe kiekie liszki, robiąc kwaśne miny i krzy-

cząc do kamery. To tyle. Nie ma szans, żeby ktoś kiedykolwiek wy-

grzebał ten materiał z odmetowaniem interentu.

Poza Dyłanem, najwyraźniej.

– Jak o ciebie dowie... – zaczął brat zło wrogą, ale mu prze rwałam. Takie pogroźki mógł sobie wsadzić w cztery litry.

– Tak się składa, że o ciebie wie.

– O ciebie wie, że się upiła, ale nie wie, że odważyłaś takie cuda, które na doświadczenie komuś udało się nagrać. Nie masz pojęcie, mała dziewczynko, jak prze wrócił wioń jest na punkcie takich pierdół – po wie działa Dylan i zjed-

nej stro nie zda wał się czerpać radość z kłopotów, w jakich się znalazłam, a z drugiej strony był nimi rozdrażniony. – A poza tym, istnieją takie osoby, które wciąż nie wiedzą o twoim wyśko ku, a która ma jeszcze więcej szego fisia na punkcie prywatności i tego, co krąży na temat naszej rodziny w sieci.

Miałam ochotę ukryć twarz w dłońmi. Nie zrobiłam tego wyłączenie dla te-

go, że starałam się być twarzą przed Dyłanem. Jednak mimo starań nie pa-

no wałam nad swoim spojrzeniem jasno wyraziła ją cym obawy, jakie za kiel-

ko wały w mojej duszy.

Dylan skwi to wał je cierp kim uśmiesz kiem.

– Vin cent po rząd nie się wściek nie, jak od kry je, że po pierw sze, do pro wa -

dzi łaś się do ta kie go stanu, a po dru gie, że jest na to dowód w in ter ne cie.

Jak w zwol nio nym tem pie unio słam dłoń i za ci snę łam palce na ko szul ce Dy la na, mniej wię cej na wy so ko ści jego oboj czy ków.

– W takim razie całe szczę ście, że żad nej z tych rze czy nie od kry je, praw -

da? – wy ce dzi łam przez za ci śnię te zęby.

Dylan wzru szył ra mio na mi.

– No nie wiem, trze ba usu nąć to gównno z in ter ne tu. Jak wła ści ciel baru nie bę dzie chciał współ pra co wać, to bę dzie my mu sie li za an ga żo wać na sze go praw ni ka. Wtedy Vince na bank się o wszyst kim dowie.

Po lu zo wa łam uścisk.

– Dylan – ję k nę łam za ło śnie. – To chyba lekka prze sa da! To tylko głupi frag ment fil mi ku, na któ rym nawet nie widać do brze, że to ja. Przy znaj się,

że mścisz się za po ko jów kę i tyle.

– Dobra, msz czę się za po ko jów kę – przy znał bez za że no wa nia. – Ale też myślę, że prze gię łaś, upi ja jąc się, że oj ciec prze giął, dając na to ciche przy -

zwo le nie, i że Shane i Tony prze gię li swoim nie ogar nię ciem sy tu acji.
–

Dylan znowu uniósł palec wska zu ją cy. – Gdy bym był z wami, w życiu by do tego nie do szło.

– Kiedy tak na prawdę do niego nie do szło! Poza tym wko piesz nie tylko mnie, ale i bliźnia ków. Jak sam za uważyłeś, oni też są częścią wo od po wie -

działni za tę całą sytuację.

– Będziesz to tłumaczyć Vincentowi, jak już wezwie cię na dywanik. Shane i Tony spadną na cztery łapy – za drzwi. – A co do ciebie... Strzeż się, że Vince załatwi cię na stępnego ochroniarza. Jeden będzie pilnował twoje go bezpieczeństwa, a drugi broń cię przed twoimi własnymi, głupiemi pomysła mi -

sła mi.

Pa trzyłam na niego niepościeszona.

– Nie mów mu – wyszeptajam, co brzmiało bardziej jak rozkaz, nie prosba i na pewno nie zachęciłoby Dylana do współpracy.

– Spoko, mała Hailie – uspokoił mnie. – Nie po wiem. Nie teraz. Nie jestem głupi. We dług moich obliczeń najbardziej opłaca mi się wko pać cię, jak już będzie my w domu. Vince czuje się wtedy za ciebie o wiele bardziej od po -

wie działni, niż gdy jesteśmy razem z ojcem.

Krzywiłam się na jego kpiarski wyraz twarzy. Na koniec podniósł się i po -

pa trzymał na mnie z góry. Był wielki jak wieżowiec i za darłam głowę, bo wal -

czyli jesteśmy własnimi na niewistne spójrzania i bardziej chciałam wygrać.

Dylan zrobił krok, by mnie wyminąć, czym wymsił na mnie odsunięcie się w bok. Wtedy nachylił się nade mną jeszcze na chwilę i szepnął:

– A do pó ki nikt się o tym nie dowie, to ja będę pil no wać, żebyś wię cej nie pa ko wa ła się w żadne kło po ty. Zro bię sobie z tego, kurwa, misję życia, mała Ha ilie.

Po czym swoją wiel ką łapą po kle pał mnie po gło wie i znik nął z po wro tem w domu, zo sta wia jąc mnie na ganku, wście kłą i zmar no wa ną.

Je dy ne, na co mia łam teraz ocho tę, to wy ży cie się na kimś. Nie przez przy -

pa dek padło na Tony’ego. To on do niósł na mnie Dy la no wi. Tamta noc miała być ta jem ni cą, a on wy pa plał wszyst ko na sze mu naj bar dziej cze piał -

skie mu bratu.

Zna ła złam go na stry chu. Sie dział wy cią gnię ty na wor ko wa tym fo te lu i grał

na prze no śnej kon so li. Wdra pa łam się tam po scho dach dud nią cy mi kro ka -

mi, któ rych echo z da le ka nio sło ozna ki mojej zło ści.

– Za do wo lo ny?! – krzyk nę łam pi skli wie, jak tylko go do strze głam.

Tony rzu cił mi prze lot ne spoj rze nie, po czym z po wro tem wle pił gały w swoją za baw kę.

– Nie wy wra caj na mnie oczą mi! – cią gnę łam z roz ju sze niem god nym bo gi -

ni gnie wu.

No dobra, bez prze sa dy. Chyba nie ro bi łam na nim aż ta kie go wra że nia.

Przy naj mniej do czasu, aż po de szłam na tyle bli sko, by wy rwać mu kon so lę z dłoni.

Wtedy zyskałam jego uwagę. Przechrząknął na głos i popatrzył na mnie z rozdrażnieniem.

– Oddaj to.

Coferem się o kilka kroków, a kontrolem się za plecy.

– Jak mogłeś na skarżyć na mnie? Dlaczego no wi?

– No oddaj! – Tony rzucił pod nośnię głos, a gdy to robił, to brzmiał jak teraz, czyli jak krzyżówka rozszerzonego niedźwiedzia i rozpuszczonego chłopa, który dekurwuje się, bo coś poszło nie po jego myśli.

– To miał być se kret. A ty się wygadałeś!

On cmoknął z niezadowolaniem, że musiał go wać się, by odebrać swój gadżet. Podniósł się sprawnie z fotela i zaczął iść w moją stronę.

– Oddaj to.

Wciąż się cofałam, obserwując jego ruchy z wrogoszczą, ale i ostrożnością, by w razie czego wy czuć dobry moment do ucieczki, co okazało się pułapem -

nie bezcelowe. Po mimochodnej sylwetki i sprytu, który powinien iść z nią w parze, Tony okazał się w tej sytuacji zwinniejszy i gdy nagle przy -

spieszyl, a ja spróbowałam czmychnąć w bok, znalazłam się w pułapce.

Zdało mi się, jak byśmy szarpali się z kilka minut, mimo iż w rzeczywistości -

stości trwało to o wiele krócej. On złapał mnie za ramię i odwrócił, by do -

się gnąć kon so li, więc ja przy tu li łam ją do pier si, za ci ska jąc na niej palce ze wszystkich sił. W co kol wiek Tony wczesniej grał, na pewno już prze grał, bo nie liczyne gu zi ki znaj du ją ce się na pa ne lu udało mi się wci snąć nie chcą cy już po kilka razy w trak cie tej sza mo ta ni ny. Ostatecz nie zgię łam się w pól, bro niąc się, jak po tra fi łam, a Tony roz łup ał moją sko ru pę obron ą. Za bra ło mu to tro chę czasu, bo – jak się do my śla łam – nie był przy zwy cza jo ny do walki z dzieć czy na mi. Na po czątku zda wał się nie wie dzieć, jak po ko nać mnie, jed no cze śnie nie uży wa jąc prze mo cy. Było to dość nie po ko ją ce, ale przy naj mniej sku tecz nie ha mo wał się przed zro bie niem mi krzyw dy, a za -

wsze to już coś.

A ja, gdy w pew nym mo men cie pró bo wał wy szarp nąć kon so lę z moich dłoni, a jego nad garstek zna lażł się za chę ca ją co bli sko moich ust, po pro stu mu sia łam go cap nąć. Za ci snę łam zęby na jego skó rze, na po czątku lekko, a potem do da jąc mocy do uści sku szczę ki.

Tony syk nął i pró bo wał wy rwać rękę, a gdy mu się to nie udało, wolną dło -

nią za tkał mi nos. Szyb ko skoń czy ło mi się po wie trze, więc otwo rzy łam usta, a wtedy on wy tarł swój ośli nio ny nad garstek o ko szul kę i z coraz więk szym roz draż nie niem spró bo wał po ko nać mnie w inny spo sób.

Kre tyn za czął mnie ła sko tać.

Nie było w tym nic za baw ne go, mimo iż za no si łam się śmie chem. Na le za ło go okre ślić jako ozna kę bez sil no ści. Szyb ko wy lą do wa łam na pod ło dze

i ostat ka mi ener gii bro ni łam łupu, jed nak fi nal nie nie wy trzy ma łam. Wśród moich pi sków i krzy ków wresz cie roz brzmia ło pełne za ła ma nia „Okej!

Okej! Już! Już!”. Wy pu ści łam kon so lę z dłoni, a Tony sprzą t nął ją mi sprzed nosa, koń cząc moje tor tu ry.

Le za łam bez ruchu, uspo ka ja jąc od dech i tylko usły sza łam sze lest fo te la, gdy z po wro tem na niego opadł. A potem me lo dyj kę tej jego głu piej gier ki.

Przy mknę łam po wie ki.

Nie wy trzy mam z tymi brać mi.

Po wo li pod nio słam się – naj pierw do po zy cji sie dzą cej, a na stęp nie, po chwi li, sta nę łam na równe nogi. Mię śnie brzu cha i po licz ki bo la ły mnie od śmie chu. Po ta kiej jego dawce czu łam się nieco oszo ło mio na, dla te go mu -

sia łam ochło nąć, zanim znowu zwró ci łam się do Tony'ego.

– Do wiem się – za czę łam gło śno, zde ter mi no wa nym tonem – do wiem się, co Dylan na cie bie ma. Do wiem się i załat wię cię tak, jak ty mnie.

Na dźwięk mojej groź by Tony uniósł głowę i nasze spoj rze nia spo tka ły się na uła mek se kun dy.

Wtedy za bra łam się z tego stry chu i po gna łam scho da mi w dół. Nogi same za nio sły mnie do sa lo nu. Wciąż błysz cza ła w nim cho in ka, w tle le cia ła cicha mu zy ka, któ rej raz po raz to wa rzy szy ły ude rze nia kija bi lar do we go.

Blan che grała par tyj kę z Wil lem. Na jego widok moja broda za drża ła jak ga la ret ka. Chyba lu bi łam uża lać się nad sobą w jego obec no ści.

– Co tam, ma lut ka? – za gad nął, gdy tylko mnie do strzegł. W jed nej ręce trzy mał pio no wo kij bi lar do wy, a drugą wy cią gnął, by przy tu lić mnie do swo je go boku. Chęć nie sko rzy sta łam z tego za pro sze nia. Przy ci snę łam po li -

czek do jego mięk kiej, ba weł nia nej bluz ki. Byłam jak ko mór ka na wy czer -

pa niu, dla któ rej Will robił za naj lep szą ła do war kę.

– Nie lubię Tony’ego. Ani Dy la na. I Shane też mnie de ner wu je.

Po czu łam, jak jego klat ka pier sio wa drży, gdy za re ago wał śmie chem.

– Nie tylko cie bie – wtrą ci ła Blan che, zaraz po popi sowym ruchu, w któ
-

rym wbiła na raz trzy bile do dwóch róż nych łuz.

Will gwizd nął z uzna niem.

– Ale to mnie do ku cza ją – po skar ży łam się.

– No i co? Mnie draż nią tym, że od dy cha ją. – Blan che mach nę ła ręką,
zanim przy bra ła ko lej ną po zy cję, opie ra jąc się o stół.

– Ale z cie bie zrę da – sko men to wał Will z roz ba wie niem.

– Ano – przy tak nę ła babka, tak jakby to była naj oczy wist sza rzecz, i
zgar -

nę ła ko lej ny punkt.

– Co ci zro bi li? – za py tał mnie brat, ze zmarsz czo ny mi brwia mi przy
glą da -

jąc się grze Blan che.

– Cho dzi o te ich haki – wes tchnę łam. Do sko na le zda wa łam sobie spra
wę z tego, jak nie czy tel na moja od po wiedź była, ale Will mnie za sko
czył, bo po ki wał ze zro zu mie niem głową.

– Mają coś na cie bie?

Zer k nę łam na niego po dejrz li wie.

– Wiesz o tych bez na dziej nych gier kach?

– Oczy wi ście. – Uśmiech nął się do mnie. – Ak tu al nie nie mam nic na Tony’ego, ale jak bę dziesz po trze bo wa ła cze goś drob ne go na Shane’a, to służę po mo cą.

Krę cąc z nie do wie rza niem głową, wy mknę łam się z objęć Willa, ale on zła -

pał mnie za ło kieć.

– Cze kaj, no po wiedz mi. Co się dzie je?

– Szan ta zu ją mnie! – wy da łam z sie bie zi ry to wa ne wes tchnię cie.

– O co? – Will prze stał zwr acać uwagę na roz gryw kę.

– O nic, nie waż ne.

– Ha ilie? – za wo łał za mną, ale zdo ła łam wy wi nąć się z jego uści sku i czmych nąć z sa lo nu.

– To serio nic, idę po czy tać – rzu ci łam przez ramię.

Nie po win nam była nic mu mówić, Will prze cież sły nął z wy jął ko wej na do -

pie kuń czo ści wobec mnie. Tym bar dziej za le za ło mi na ukry ciu przed nim mo je go pi ja ne go tańca na barze.

Prze ję łam się roz gryw ka mi świę tej trój cy na tyle, że nie po tra fi łam sku pić się na czy ta niu, po mi mo iż ka na pa ogro do wa na ganku Blanche za pew nia ła ide al ne wa run ki na po łu dnia z książ ką. Po pro stu stre so wa łam się, że gdzieś tam w cze lu ściach in ter ne tu znaj du je się fil mik, który może kosz to -

wać mnie po ga dan kę u Vin cen ta, Willa i ojca razem wzię tych.

Pró bo wa łam go zna leźć. Długo się cza ıłam, bo nie wie dzia łam, czy tryb in -

co gni to wy star czy, by za trzeć za sobą ślady, ale nie mia łam wy bo ru i w końcu za ry zy ko wa łam. Szu ka łam go i nie zna la z łam, ni gdzie. Nawet nie by łam pewna, czy spraw dza łam stro nę wła ści we go baru, dla te go prze -

cze sa łam kilka z tych, któ rych lo ka li za cja na mapie mniej wię cej się zga -

dza ła i które na zdję ciach były po dob ne do lo ka lu z moich nie ja snych wspo mnień.

Po de rwa łam głowę znad ekra nu, do pie ro gdy ktoś wy szedł z domu.

Shane, Tony i Dylan mi nę li mnie bez słowa. Pa trzy łam po dejrz li wie, jak idą w stro nę sa mo cho du, po zo sta wia jąc po sobie cią gną cy się za pach moc nej wody ko loń skiej.

– Hej! – za wo ła łam, tknię ta nie za wod nym prze czu ciem, że coś było nie tak.

Od rzu ci łam książ kę na bok i ze rwa łam się na równe nogi. – Hej, dokąd wy je dzie cie?

Oni nigdy nie byli skłon ni do tłu ma cze nia mi się, więc nie zdi wi łam się, gdy obe rwa łam od nich tylko zo bo ję t nia ły mi spoj rze nia mi. To Tony’ego na do da tek było po dłu ż ne, jakby wiel ce kró le wicz cho wał urazę po na szej sza -

mo ta ni nie na stry chu. Shane ra czej mnie igno ro wał, na to miast naj bar dziej zi ry to wał mnie tra dy cyj nie Dylan, któ re mu w tę czów kach prze bły ski wa ła drwi na.

To wtedy, sta wia jąc twar de kroki, ru szy łam w ich stro nę.

– Dokąd je dzie cie? – po wtó rzy łam naj ostrzej, jak po tra fi łam.

Dylan uniósł brwi i za trzy mał się z dło nią na kłam ce drzwi od stro ny kie -

row cy.

– Je dzie my, dziew czyn ko, po sprzą tać twój ba ła gan.

Zer k nę łam prze lot nie na bliż nia ków, któ rzy zni ka li wła śnie w aucie.

– Do baru? – upew ni łam się.

– Po roz ma wiać sobie z wła ści cie lem.

– Jadę z wami – oznaj mi łam na tych miast.

– W swo ich snach.

– Jadę z wami, odsuń się.

– Nie ma mowy, mała dziew czyn ko. Wra caj robić babki z pia sku i po zwól do ro słym zająć się po waż ny mi spra wa mi.

– Jeśli to wszyst ko roz cho dzi się o ten idio tycz ny fil mik, to jest to moja spra wa i ja po win nam ją za ła twić.

Je stem pewna, że z wnę trza auta do sły sza łam ciche prych nie cie Tony’ego.

Dylan też pa trzył na mnie z nie skry wa nym dłu żej roz ba wie niem.

– Ty chcesz ją za ła twić? Jak? Za dra piesz wła ści cie la swo imi ma ły mi pa -

znok cia mi?

– Wiem, że w two jej gło wie to może być trud ne do po ję cia, ale ist nie ją bar -

dziej cy wi li zo wa ne spo so by na ko mu ni ka cję z dru gim czło wie kiem niż prze moc fi zycz na.

– Jak będiesz wy mą drzała się w tak dłu gich zda niach, to nikt nie będzie słu chał cię do końca, dziew czyn ko.

– Jadę z wami. – Pod par łam się o boki.

Dylan na chy lił się.

– Słu chaj, może nawet i bym cię za brał, żeby zo ba czyć, jak się kom promi -

tu jesz, ale to nie misja dla ma łych dzie ci. Zo sta jesz w domu. A teraz odsuń się, bo za wo łam Sonny’ego, żeby za brał cię siłą.

Zmru ży łam po wie ki.

– Okej – po wie dzia łam, ale zanim Dylan zdą żył trium fal nie unieść kącik ust, do da łam: – W takim razie ja przejdę się teraz do taty i za pytam go, co do kład nie po ko jów ka ro bi ła z tobą w Taj lan dii.

– Co? – Dylan skrzy wił się.

– Sły szysz. Mó wi łam, że nic nie wi dzia łam, ale może jed nak coś za pa mię -

ta łam? Może mam kilka pytań? – Unio słam pod bró dek. – Zadam je tacie, Dylan, choć bym miała za paść się pod zie mię z za że no wa nia, zadam je też Vin cen to wi, a na ko niec pójdę z nimi do Willa i...

– Dobra już – syk nął Dylan, czer wie nie jąc na twa rzy. Mil czał przez mo -

ment, świ dru jąc mnie wzro kiem. – Wsia daj.

Uśmiech nę łam się cierp ko, wy mi nę łam go i do łą czy łam do Shane’a na ty -

łach sa mo cho du.

– Co jest? – zdzi wi li się bliż nia cy.

– Zmia na pla nów. Za ła twi my tę spra wę cy wi li zo wa nym spo so bem
Ha ilie –

od po wie dział Dylan, za sia da jąc za kie row ni cą.

Za do wo le nie szyb ko znik nę ło z mojej twa rzy, gdy w lu ster ku na po
tkał moje spoj rze nie i dodał:

– Chyba że nie za dzia ła. Wtedy wej dzie my my.

46

CY WI LI ZO WA NY SPO SÓB KO MU NI KA CJI

Za dnia pro me na da ro bi ła o wiele ra do śniej sze i nie win niej sze wra
że nie niż nocą. Kluby cze ka ły w uspie niu na mrok, a w ich miej sce tęt ni
ły ży ciem re -

stau ra cje i skle py z pa miąt ka mi.

Bar, w któ rym prze ży łam swoją pierw szą im pre zę, o tej porze wy głą
dał nie -

po zor nie i nie roz po zna ła bym go, gdyby nie bliż nia cy.

– Usią dą sobie przy la dzie, za mó wią coś, a potem wej dziesz ty. Są tam
tylko po to, żeby cię pil no wać. Będą uda wać, że się nie zna cie – tłu ma
czył

mi Dylan, gdy pa trzy li śmy, jak nasi bra cia zni ka ją we wną trzu lo ka lu.

– Nikt nas nie sko ja rzy z im pre zy?

– Nie sądzę. A już na pewno nie wła ści ciel.

– Wej dziesz ze mną do środ ka?

– Po cze kam przy drzwiach. Będę sobie zer kał, jak sku tecz ny jest ten
twój cy wi li zo wa ny spo sób ko mu ni ka cji.

Ignorowałam do cinki za równo Dyłana, jak i bliźniaków. Miałam prostę za -

da nie i za mnie rzałam je wykończyć. Niecałe dziesięć minut później nie
mo -

głam już słuchać gdzie rania brata, więc za powiedziałam, że czas na moje
wejście.

Zadziwiły mnie nie wielkie rozmiary wnętrza baru, bo ledwo za parę
tałam to po mieszczyźnie jakoby olbrzymią, za to czoną przez straż bez
światła dzień -

niego. Oprócz bliźniaków, którzy siedzieli sobie kulturalnie przy
barze, było tu jeszcze z kilkanaście osób. Póki co żadna z nich nie zwracała na
mnie uwagi.

– Przepraszam, czy jest pan właścicielem? – zapytałam barmana, ce-
lowo nawet nie zerknąwszy w stronę Shane’a i Tony’ego.

– Nie – mruknął, chyba niechętnie poodejmując rozmoowę po angielsku.

– A czy mógłby pan zawołać właściciela? Mam do niego prośbę – cią-
gnę -

łam, miło się uśmiechając. Założyłam też włosy za uszy.

Barman przez chwilę ignorował mnie, skupiony na krojeniu cytryn w
plac -

sterki, ale gdy moje wycokanie spojrzeń założyło mu ciężyć, ode-
tchnął, odłożył nóż i zniknął za pleczem.

Celowo, z wymuszonym uśmiechem, nie odwracałam wzroku od ścia-
ny al -

ko ho li, nawet gdy usłyszałam parsknięcie bliźniaków. Wiedziałam,
że w tym momencie byłam dla nich wsparciem i rozrywką. Nie chciałam

dawać im się tysiąc faktów. Ucieszyłam się, gdy z tyłów baru wyłonił się mąż czy zna. Po jego wyjściu się głębiej nie zastanawiałam, że po prostu nie być wyściga ją co do rozumu, by przeprawić z nim dojrzale rozmowę.

To mój pierwszy wniosek, ale, nie jesteś ty, zaraz obrzuciłam od niego nieprzyjaciela -

ja znowu spojrzę na niego i zwrócę się do niego. Znowu po prostu włosy.

– Dzień dobry panu – przywitaj się. Stała się nuda swojemu głosu -

wiśnięcie brzmi nie, żeby trochę zmiękczyć serce męża czy zny. Na moich braci i ojca za wszystko fanatycznie to działało.

Właściwie cię baru jednak nie był żadnym z nich, dla tego wciąż straszliwie brwi.

Oparł się o ladę i uniósł wyśoko pod bródek.

– Tak?

– Będę mówić po angielsku, do brzo? – Za chwilę będę bawić się dłońmi. – Dzięki -

ku jej, że znałaż pan dla mnie chwilę. Widzi pan, od kiedy znam ten bar jakiś czas temu. Jeszcze przed świętami. Pierwszy raz byłam w takim miejscu.

Bar dokoła się po prostu, na prawdę. Gra tu luźno i gładko w taki sposób -

tych im prez...

Mąż czy znałby siłę brwi coraz wyżej.

– Problem w tym, że ktoś na grał tę noc, zmontował z niej film, który jest udość nienajbardziej na stroenie pańskiego baru. – Pilnowałam się, by nie zerkać na bliźniaków. – Tak się złożyło, że po prostu się na nim. Tań

czy łam. Na barze, o wła śnie tu, gdzie trzy ma pan ręce. Wiem, że od tańca jest par kiet, ale ro zu mie pan, tak wy szło. W każ dym razie przy szłam po pro sić o usu nię -

cie tego filmu. Lub wy cię cie z niego frag men tu, w któ rym się po ja wiam.

Za mil kłam, a po licz ki za czy na ły mnie boleć od tego szcze rze nia się.

– Skoń czy łaś? – za py tał wła ści ciel.

Ski nę łam nie pew nie głową, a on ob li zał wargi i po tarł pod bró dek.

– Słu chaj – za czął ła ma nym an giel skim. – Nic nie usu wam.

– Ale... – za wie si łam głos. – Pro szę, to na praw dę bar dzo ważne.

– Muszę czymś pro mo wać knaj pę, za zmon to wa nie każ de go ta kie go filmu płacę kupę kasy. Gdy bym miał usu wać każdy ma te riał tylko dla te go, że ja -

kiejs pa niu si nie po do ba się, jak wy szła, to mógł bym rów nie do brze za -

mknąć ten bar na dobre.

– Ale tu nie o to cho dzi. – Zmarsz czy łam brwi. – Nie mam pro ble mu z tym, jak wy szłam. Wy szłam cał kiem do brze. Cho dzi o to, co ja tam robię. O ten ta niec. I pi jań stwo. Widzi pan, ja je stem nie peł no let nia.

– I co, boisz się ro dzi ców?

Braci.

Mil cza łam, a męz czy zna po krę cił głową.

– Na przy szłość siedź w domu, oszczę dzisz sobie kło po tu.

– Czyli usu nie pan ten fil mik?

– Już po wie dzia łem, że tego nie zro bię.

Serce za bi ło mi prze cią gle i prze łknę łem ślinę.

– Ale... ja pana pro szę...

– Wyjdź z mo je go baru i do niego nie wra caj.

– Ale...

Po krę cił głową i mach nął nie dba le dło nią.

– Już, do wi dze nia, dzie cia ku.

Nie ru szy łem się. Oczy mę ż czy zny były nie ugię te. Tro chę jakby rzu cał mi wy zwa nie, bym go dalej te sto wa ła. Wa ha łem się, co zro bić. Wresz cie wes -

tchnę łem i jego kącik ust drgnął zwy cię sko, ale i z kpina, a ja wtedy wznio -

sła m oczy do su fi tu i po wie dzia łem gło śno:

– No dobra, wy gra li ście.

Wła ści ciel uniósł brew.

– Zrób my to po wa sze mu – do da łem.

Jak na roz kaz bliż nia cy pod nie śli się, a przy moim boku mo men tal nie po ja -

wił się Dylan.

Sto łem za szu rał i upadł, kiedy Tony pod parł się o niego, żeby wsko czyć na ladę. Ku ca jąc na niej, wpa try wał się wy zu tym z emo cji spoj rze niem w wła -

ści cie la, który wy ba łu szył na niego oczy.

– Ej, co jest? – warknął. – Złaż stamtąd!

Shane, by ściana gnąc uwagę ze swojej bliżniaka, wszedł za bar od drugiej strony i na ciśnień na jeden z kilku umiejscowionych akurów pod jego ręką krańców. Na podłogę za częścią się piwo.

– Co ty wyprawiasz?! – ryknął mężczyzna.

Ruszył w stronę Shane'a, a wtedy Tony sprytnie jak kot ze skoczył z lady.

Znalazł się przy ścianie z alkooholami i machnąłszy lewą ręką, zrzucił

dwie butelki. Rozbiły się o podłogę z głośnym brzdękiem.

Przymknęłam powieki.

– Po rabu was? Wy noście się!

Dylan odchrząknął.

– Ten filmik, o którym mówiła moja siostra...

Zadrżałam, gdy właściciel znowu na mnie spojrział. Na chylił się jeszcze bardziej, obie dłonie mi podparłając się o ladę.

– Za kogo ty się uważasz? – syknął do Dylana.

Rozległ się trzask, gdy Tony rozbił kołbę butelkę.

Jak zdołałam dostrzec kątem oka, w barze nie było osoby, która by na nas nie patrzyła.

– Widzę to tak – powiedział Dylan, przechylając głowę – że przychodzi do ciebie na sto latka i kulturnie prosi cię o usunięcie cię jakiegoś gościa -

grania, a ty robisz jej problem. Dla czego?

– Już po wie dzia łem. Za pła ci łem...

Dylan się za śmiał.

– Prze cież my zaraz wy ge ne ru je my ci tutaj o wiele więk sze stra ty.

Jak na po twier dze nie Tony zbił ko lej ną bu tel kę.

– Prze stań, do cho le ry – za wo łał wła ści ciel, za ci ska jąc ręce w pię ści.

I jesz cze jedną. Tym razem Tony nawet prze kłał i od sko czył, bo pra wie zrzucił ją sobie na stopę.

Shane za re cho tał.

– Wy no ście się – po wtó rzył wła ści ciel, ale nie brzmiał już tak sta now czo.

– Fil mik, głą bie, już – wark nął Dylan i się gnął do kie sze ni bluzy. Jakby chciał z niej coś wy cią gnąć, ale nie zro bił tego, a tylko rzu cał męź czyż nie wy zy wa ją ce spoj rze nia.

Bałam się pytać, co tam trzy mał.

Choć do my śla łam się.

Wła ści ciel też się do my ślał, bo z se kun dy na se kun dę tra cił pew ność sie bie.

Shane trą cił kilka uło żo nych obok kranu szkła nek. Nie któ re tylko się prze -

wró ci ły, inne po tłu kły. Mruk nął „Oj” to tal nie nie prze ję ty.

Męź czy zna przy mknął oczy i nawet na chwi lę wy głą dał, jakby pró bo wał się nie roz pła kać. Mru ga łam, nie mogąc uwie rzyć w prze paść po mię dzy jego aro gan cją sprzed chwi li a ak tu al nym za cho wa niem.

– Okej, dobra – po wie dział cicho. – Usunę to, jasne?

– Zrób to teraz – na ci skał Dylan.

Bliź nia cy znowu coś po tłu kli.

– Prze cież mówię, że usunę! – zde ner wo wał się wła ści ciel.

– Długo zwle ka łeś. – Dylan wzru szył ra mio na mi.

– Usu wam już, do cho le ry! – Męż czy zna gwał tow ny mi ru cha mi po ma cał

kie sze nie i wyjął z nich te le fon.

Brzdęk tłu czo ne go szkła.

– Prze stań cie!

Cała czwór ka spoj rza ła na mnie. Bo tym razem to mnie wy rwał się krzyk.

Za mil kłam na chwi lę, za lu jąc, że się ode zwa łam, ale w końcu, nie śmia ło przy gry za jąc wargę, mruk nę łam:

– Prze cież po wie dział, że usu nie.

Tony, który trzy mał nową bu tel kę, go to wy, by przy pad ko wo ją upu ścić, znie ru cho miał.

– Usu nie pan go teraz? – za py ta łam.

Męż czy zna po ki wał głową i za czął kli kać w te le fo nie.

Uni ka łam spoj rzeń braci, choć mu sia łam przy znać, że mnie po słu cha li i po -

wstrzy ma li się od dal sze go roz ra bia nia. Grzecz nie cze ka li śmy, aż wła ści ciel unie sie wzrok znad ko mór ki i za ko mu ni ku je, że za da nie usu nię cia na gra nia ze stro ny jego baru za koń czy ło się suk ce sem. Gdy

to zro bił, od wró ci łam się na pię cie, go to wa do wyj ścia i rzu ci łam po
na gla ją ce spoj rze nie Dy la no wi.

On łypał na wła ści cie la spode łba, jakby jego ło bu zer ski duch nie zo stał
za -

spo ko jo ny.

– Wiedz – za czął zło wro go – że masz nas z głowy tylko i wy łącz nie dzie
ki na szej sio strze. Gdyby nie ona, to nie był byś w sta nie otwo rzyć tej
knaj py przez na stęp ny mie siąc, tak byśmy ci ją zruj no wa li.

Wła ści ciel spoj rzał na mnie, mru ga jąc w zdez o rien to wa niu. Żeby go
już wię cej nie oglą dać, od wró ci łam od niego wzrok.

– Chodź my już – mruk nę łam.

Shane i Tony wy szli zza baru. Ten ostat ni nawet zwi nął sobie jedną z bu
te -

lek, które przed chwi lą tak chę t nie tłukł.

Dylan na chy lił się do mnie, gdy kie ro wa li śmy się wszy scy do wyj ścia.

– Wi dzisz, dziew czyn ko, twój spo sób może i jest cy wi li zo wa ny, ale
nasz za to sku tecz ny.

Jak to moż li we, że oni wszy scy byli tak cu dow ni, a w tym samym cza
sie tak prze ra za ją cy? Bo mimo tych wszyst kich nie rzad kich prze py cha
nek spę -

dzi łam z nimi też naj lep sze mo men ty. Na przy kład dzień póź niej wy na
ję li -

śmy quady i wszy scy ru szy li śmy po sza leć po pu sty ni i na plaży. Coś
nie sa -

mo wi te go. Sama nie pro wa dzi łam, ale na prze mian to wa rzy szy łam
Wil lo wi, Dy la no wi oraz tacie i obiek tyw nie mo głam oce nić, że styl

jazdy całej trójki jest równie nieodpowiedzialny, przez co najadłam się strachu, adrenałiny, ostrej, mnóstwa rozrywki.

Innego równie nieprzyjemnego dnia, wybraliśmy się na plażę. Tę obok chatki Blanche. Było to na tyle wyjątkowe, że biwakowali tam przez długie godziny i wszyscy razem. Za chwilę byliśmy w porze lunchu i skończyliśmy trochę po zachodzie słońca. Plaża, tradycyjnie, była praktycznie pusta, poza nielicznymi spacerowiczami, którzy tylko czaśkami przeżytkami brzegiem oceanu. Myśladaliśmy się trochę dalej, tak żeby za bar nam nie wiało. Blanche przegołowało mnóstwo smakołyków, chłopcy wzięli ze sobą zapas piwa i rozłożyliśmy się na kilku obręczach.

Prowadziliśmy też wiele ciekawych rozmów, które chłonęłam jak gąbka, zwłaszcza że wiele z nich opierało się na wspomnieniach, które pozostawiały mi zajęcie w przeszłość mojej rodziny. Towarzyszyło nam równie mnóstwo -

stwo za bawę i tym razem Tony nie musiał mnie łaskotać, żeby umierała ze śmiechu.

– Ale chwila, chwila – zawołała Blanche, krztusiąc się swoim skrzykiem śmiechem. Siedziała na swoich podwiniętych nogach, długi, nieposłuszny warokczochwila za rzucała za plecy, a w ręce ścisnęła butelkę piwa. –

Oczywiście, że każdy ma swoich ulubieńców. Cam, nie próbuj mi wmó -

wić, że jest inaczej.

Oj ciec leżał wyłożony na jednym z koców, równie po piął piwo i podtrzy -

mywał się na łokciu.

– To w takim razie kto jest twoim ulubieńcem? Ja czy Monty?

– Ty – od po wie dzia ła babka bez za sta no wie nia. – Ko cham Monty’ego, to mój syn, ale cza sa mi mam wra że nie, że z niego trąba nie sa mo wi ta.

Cam par sk nął.

– No nie jest tak by stry jak ja, to się zga dza.

– Ina czej nie wy trzy mał by z Mayą – wtrą cił się Dylan.

– O to, to! – pod ła pa ła babka.

– Maya jest w po rząd ku – za pro te sto wa łam, po czym przy po mnia łam sobie o pro po zy cji aran ża cji mo je go mał żeń stwa i do da łam: – Z re gu ły.

– To roz piesz czo na gów nia ra. Grała mi na ner wach za wo do wo, gdy tu przy -

je cha ła – oznaj mi ła babka. – Ale nie ma złego cha rak te ru, to jej przy znam.

Jak na moje gusta jest po pro stu zbyt ha ła śli wa i taka jakaś... świer go tli wa.

Jak taki... taki – Blan che użyła do po mo cy ge sty ku la cji, by le piej oddać opis za cho wa nia przy szłej sy no wej – mały, ob sy pa ny bro ka tem dzwo ne -

czek, który wku rza tym, że co chwi la ta ra ba ni, nawet przy naj mniej szym po ru sze niu.

Roz ba wi ła nas tym po rów na niem.

– No dobra, to kto jest twoim ulu bień cem? – Blan che po no wi ła py ta nie, które wcze śniej skie ro wa ła do na sze go ojca i które roz po czę ło całą tę dys -

ku sję.

– Ha ilie – od parł, a ja, mimo iż wie dzia łam, że pew nie mówi tak, żeby jak zwy kle mi się przy po do bać, uśmiech nę łam się. Nic na to nie po ra dzę, że bar dzo to było dla mnie miłe.

Blan che prze wró ci ła ocza mi.

– Nie. Ha ilie się nie liczy. Dmu cha cie i chu cha cie na nią tak, że wia do mo, że jest oczkiem w gło wie was wszyst kich.

Chyba się za czer wie ni łam, a nie któ rzy z moich braci pod ję li próbę nie udol -

ne go za prze cze nia sło wom babki, która ko niec koń ców za koń czy ła się

ciszą.

– Dobra – mruk nął oj ciec, wzno sząc oczy do nieba. – W takim razie Vince.

Na twa rzy mo je go naj star sze go brata po ja wił się uśmie szek. Leżał w po -

dob nej po zy cji co oj ciec i wciąż dzi wi łał się za każ dym razem, gdy wi -

dzia łał go bio rą ce go udział w tak nie ofi cjal nych mo men tach jak pik nik z ro dzi ną.

Roz le gły się ko lej ne obu rzo ne pro te sty resz ty mo je go ro dzeń stwa.

– Wy wie cie, dzie cia ki, że ja sobie żar tu ję – za śmiał się Cam. – Wszyst kich ko cham jed na ko wo, bo wszy scy mnie tak samo wku rza cie. I nie myśl, Vince, że masz fory.

– Ale jed nak to syn pier wo rod ny – za uwa ży ła Blan che ze zło śli wym uśmie -

chem.

- Czyli naj lepszy – mruk nął Vince.
- Chyba naj bardziej wkurwiający – po prostu go Dylan.
- I arogancki – dodał Shane.
- I na puśzony – wtrącił Tony.
- I deprecjacyjny – do rzucił Will.
- I za boryczy – mruknęłam.

Vince z rozbrajaniem rzucał spojrzenia nam wszystkim po kolei, na końcu dłużej wpał na siebie, komplement nie uraził go. Wręcz przeciwnie, zdał się zadowolony z listy swoich wad.

- Mhm, za panie tam to sobie, gdy następnym razem ktoś z was przyjdzie do mnie z jakąś sprawą do załatwienia.

Ups.

- Vince ma w sobie dużo z Lissy – oceniła Blanche.

Cam pokręcił głową.

- Trochę, ale nie do końca. Lissy najbardziej przyjdzie mi na Will.
- Jaka ona była? – zapytałam z ciekawości, szybko tego załóż. Nie po my -

ślałam, że drą że nie charakteru matki chłopaków mogło być nie tak towarne, zwłaszcza w ich obecności.

Na szczęście moje pytanie nie nikogo uraziło. Nikt nie popatrzył na mnie z niechęcią ani nie uniósł brwi, nikt nie wymienił z nikim zgorznych spojrzeń. Ucieszyłam się, że jestem pełnoprawnym członkiem tej rodziny, który może interesować się takimi rzeczami. Pościła matka chłopaków od dawna mnie zastawiała.

– Cześć sto wzdychała. Tak głośno – za czuła Will. – Jak ktoś na rozrabię, to nie miała siły non stop nas upominać, więc tylko tak chęć te rzeczy styczeń nie wzdycha -

chęć, pa mięta cie?

Vince parsknął pod nosem i pokręcił głową.

– Ja pa miętam, że lubiła świeczki. W całym domu było ich pełno.

Dylan wybuchnął nagle śmiechem.

– Pa miętam, jak kiedyś Shane zżarł taką jedną o za pa chu ja kiedyś gość, nie wiem, pierdaka, czy coś.

– Ej, nie wiem, po co w ogóle robią świeczki o za pa chu żarcia – broń się Shane, podczas gdy cała reszta, ze mną na czele, rżała ze śmiechu. –

A w ogóle to takie rzeczy po winno się chować przed dziećmi.

– Przed wami wszystkim mi to trzeba było schować cały do bytek – burknął

ojciec, kręcąc głową, po czym zwrócił się do mnie: – A odpowiadać na twoje pytania nie, to wierz lub nie, ale poznałem się z Lissy w kościele.

Uniosłam brew.

– Ty w kościele?

– Też się dziwiłam – mruknęła Blanche.

– Miałam tam coś do powiedzenia. Zwróciłam na Lissy uwagę, bo śpiewała w chórze, na samym przodzie. Była bardzo poukładana. Od razu widać było, że jest z dobrego domu. I sobie pomyślałam, że chciałabym ją poznać.

Zaśmiała się – odpowiedział ojciec.

– Za ba wić? – po wtó rzy łam.

– Byłem bar dzo młody i głupi. Jesz cze wtedy nie my śla łem o mał żeń stwie.

My śla łem je dy nie o zdo by ciu dziew czy ny z po wszech nie sza no wa nej ro -

dzi ny. Prze pra szam, jeśli cię to gor szy, kró lew no.

Sły sza łam, jak bliż nia cy się śmie ją. Prze wró ci łam ocza mi.

– Bo wiesz, w prze szło ści nasza ro dzi na miała złą sławę. Za to ro dzi na Lissy była jedną z bar dziej sza no wa nych. Jej oj ciec pa prał się w po li ty ce i był jed nym z naj więk szych sno bów o mocno kon ser wa tyw nych po głą -

dach. Strasz nie po rą ba ny czło wiek.

– Obrzy dli wy – zgo dzi ła się Blan che.

– Nigdy go nie po zna li śmy – dodał Will.

– Nie był za in te re so wa ny wnu ka mi z ta kie go związ ku. – Cam wzru szył ra -

mio na mi. – Wy rzekł się Lissy. Uznał, że sple mi ła honor ro dzi ny, wią żąc się z jed nym z Mo ne tów.

– Na praw dę? Nie chciał po znać swo ich wnu ków? – dzi wi łam się.

– Wnu ków ma pod do stat kiem. Lissy miała jesz cze trzy sio stry. Naj star sza z nich ma chyba z szóst kę dzie cia ków.

– To w sumie tak jak i ty – za uwa żył Shane.

– Tak jak i ja – przy tak nał Cam, a gdy po chwi li mil cze nia na tra fił na moje za in te re so wa ne spoj rze nie, pod jął na nowo: – Lissy była ty po wą damą. Tań -

czy ła balet, śpie wa ła w chó rze, grała na pia ni nie i czy ta ła po ezję. Jed no cze -

śnie silna i ko bie ca. To mi się w niej spodo ba ło. I tak osta tecz nie z na sze go ro man su na ro dzi ła się mi łość.

– Była też roz ka pry szo na – oce ni ła Blan che.

Cam po krę cił głową.

– Była przede wszystkim zra nio na. Tę sk ni ła za ro dzi ną, za sio stra mi.

– Tylko jedna z nich utrzy my wa ła z nią kon takt po wa szym ślu bie, praw da?

– po wie dział Will.

– Zga dza się – przy tak nął Cam. – Cla ris sa była jej naj młod szą sio strą. Spo -

ty ka ły się w ta jem ni cy przed swoim ojcem. Uwiel bia ły się. Cla ris sa bar dzo prze ży ła śmierć Lissy.

– Dalej macie kon takt? – za py ta łam.

Will po krę cił głową.

– Cla ris sa uwiel bia ła naszą mamę, ale nie na wi dzi ła każ de go, kto przy czy nił

się do wy dzie dzi cze nia jej z ich ro dzi ny.

– Nie wi dzia łem jej od lat. – Cam wzru szył ra mio na mi. – Po kie ro wa na przez swo je go ojca, wy szła za bo ga te go po li ty ka o de ka dy star sze go. Jej za -

da niem było uro dze nie mu dziec ka, ale z tego, co wiem, miała pro blem z zaj ściem w ciążę. Za wsze była dzi wacz ką, ale to od bi ło się na jej zdro wiu psy chicz nym jesz cze bar dziej.

– Wia do mo, co z nią teraz? – za py ta łam współ czu ją co.

-Od czasu, gdy mu sia łem wy je chać, prze sta łem śle dzić jej po czy na nia. Tak jest le piej, w końcu zro zu mia łem, że po śmier ci Lissy nic już nas nie łączy.

Niech żyje swoim ży ciem, ja się nie będę in te re so wał. Zresz tą... – Oj ciec uniósł z roz ba wie niem brew – ... mam wła sną ro dzi nę do za dba nia.

I przy tu lił mnie do boku, a ja się uśmiech nę łam.

47

OBRZY DLI WY

Mój pobyt na Ka na rach do bie gał końca i mniej wię cej wtedy padły pierw -

sze usta le nia co do po wro tu, które za kła da ły, że nowy rok przy wi tam jesz -

cze w to wa rzy stwie ojca, a nie dłu go potem wrócę sama do domu. Moi bra -

cia na to miast szy ko wa li się do opusz cze nia wyspy jesz cze przed syl we -

strem. Każdy z nich miał już ja kieś plany na ten dzień. Nie któ rzy roz ryw -

ko we, inni za wo do we. Łatwo zgad nąć, kto miał jakie.

Ja nie mia łam żad nych, bo do brze wie dzia łam, że wy mknię cie się na im pre -

zę, na którą wy bie rał się chyba cały mój rocz nik, było w mojej sy tu acji zwy czaj nie nie moż li we. Prze ko na nie Vin cen ta, by mnie na nią pu ścił, rów -

niez od pa da ło. Mo gła bym, oczy wi ście, po ję czeć mu o tym nad uchem, ale za koń czy ło by się to z mar nym skut kiem i ja to wie dzia łam bar dzo, bar dzo do brze.

A po nie waż przez całe życie do ra sta łam bez ojca, to teraz po świę ce nie mu choć jed nej syl we stro wej nocy nie wy da wa ło mi się wiel kim wy czy nem.

Ten nie ca ły ty dzień, który dzie li świę ta od No we go Roku, spę dzi li śmy w moż li wie naj bar dziej ro dzin ny spo sób. Oj ciec był szczę śli wy, bo po raz pierw szy w życiu udało mu się ze brać wszyst kie swoje dzie ci pod jed nym da chem. Bab cia też była szczę śli wa, co od czasu do czasu da ło się do strzec przez za wsze ota cza ją cą ją, nie wi dział ną, gęstą mgłę utwo rzo ną z jej wiecz -

nych fo chów.

Ja także byłam szczę śli wa i tylko nie kie dy po wstrzy my wa łam się przed wy -

rwa niem sobie z głowy wszyst kich wło sów razem z ce bul ka mi.

Jeśli cho dzi o spra wę z na gra niem, to wciąż nade mną wi sia ła i nie da wa ła spo ko ju. Dylan miał być teraz mniej chę tny do szan ta żo wa nia mnie, bo sam za brał mnie do baru, żeby po roz ma wiać z wła ści cie lem. To po ten cjal nie mogło wró żyć dla niego kło po ty, gdyby Vince i oj ciec się do wie dzie li. Nie wie dzia łam tylko, jak wiel kie.

To spra wia ło też, że re la cja mię dzy mną a Dy la nem stała się lekko burz li -

wa. On zja wiał się czę sto zni kąd i tor tu ro wał mnie swoim uciąż li wym spo -

so bem bycia. Cią głe się mnie o coś cze piał i dość czę sto się z nim ście ra -

łam. Sta ra łam się za cho wać ostroż ność i pa mię tać o ha kach. Wciąż nie roz -

pra co wa łam tego, jak się za cho wać, by w razie co spaść na czte ry łapy.

Tego dnia Dylan jed nak mnie za sko czył, bo gdy idąc na plażę, wpa dłam na niego pod domem, za re ago wał na mój widok nad zwy czaj po zy tyw nie. Aku -

rat prze py chał się z Tonym, ale gdy mnie zo ba czył, wy pro sto wał się i za mną za wo łał.

Pla no wa łam roz siąść się nad mo rzem i po ga dać z kimś z ze wnętrz, naj pew -

niej z Leo, bo Mona nie była w sta nie po pro wa dzić dłuż szej roz mo wy.

Szwan ko wał jej gło śnik od kiedy te le fon wpadł jej do gara z masą cze ko la -

do wą, gdy pie kła cia sto na świę ta.

Zi gno ro wa łam Dy la na, no i nie dłu go mu sia łam cze kać, aż po czu łam na ra -

mie niu jego palce.

– Ej, py ta łem, dokąd idziesz? – po wtó rzył, a ja od wró ci łam się, żeby po czę -

sto wać go zi ry to wa nym spoj rze niem, bo próba wy rwa nia się nie miała sensu.

– Na plażę.

– Sama?

Wy wró ci łam oczami.

– Z Son nym. – Mach nę łam ręką za sie bie, do brze wie dząc, że na pewno musi gdzieś tam być. Byłam coraz lep sza w igno ro wa niu go. A kie dyś my -

śla łam, że nigdy nie przy zwy cza ję się do ochro nia rza.

Dylan zer k nął ponad moją głowę. Wy głą dał, jakby coś roz wa żał, ale co kol -

wiek to było, nie ob cho dzi ło mnie.

– Puść mnie – za żą da łam, szar piąc ręką.

– Cze kaj – mruk nął, ale usłu chał i za brał dłoń. – Ja jadę na plażę. Dużo lep -

szą niż ta tutaj. Pro po no wa łem Tony’emu, żeby do łą czył, ale mu się nie chce ru szyć tej le ni wej dupy. Dla te go za szczyt to wa rzy sze nia mi przy pa da teraz tobie. Faj nie, nie?

– Nie, dzie ki.

– Cze kaj. To na praw dę ładna plaża. Woda jest prze źro czy sta. Nie chcesz zo ba czyć no we go miej sca?

– I je chać tam tylko z tobą? Nie bar dzo. – Za ło ży łam ręce na pier si. Wciąż byłam na niego zła.

On uśmiech nął się zło śli wie.

– No już, prze cież cię nie zjem.

No i oczy wi ście po je cha łam. Tak, wiem, je stem książ ko wym przy kła dem młod szej sio stry, która przez swój mięk ki cha rak ter daje się fra je rzyć swoim bra ciom na każ dym kroku. Bo Dylan oczy wi ście miał in te res w za -

bra niu mnie na pięk ną, ustron ną plażę, z którą wią zał wiele ma gicz nych wspo mnień.

Przy znać muszę, że przy wi tał mnie tam jeden z cu dow niej szych wi do ków, jaki kie dy kol wiek mia łam przy jem ność oglą dać. Po je cha li śmy te re nów ką Benny'ego i za trzy ma li śmy się na pięk nej i opu sto sza łej pla życz ce. Dylan to ro wał mi drogę, gdy prze dzie ra li śmy się przez kłu ją ce krza ki. Potem prze ci snę li śmy się mię dzy spo ry mi ska ła mi. Sama w życiu nie we pchnę ła -

bym się w te la bi ryn ty. Ma ru dzi ła m na głos na to, ale brat kazał mi prze stać jeść i obie cał, że nie po za łu ję.

Rzad ko kiedy takie słowa prze szły by mi przez gar dło, ale tym razem mo -

gła bym wy po wie dzieć je bez bólu: „Dylan miał rację”. Nie wiel ka plaża wy -

gła da ła jak wy drą żo na w po tęż nej skale. Nie było tu pia chu, bo skła da ły się na nią ciem ne ka mycz ki. Dylan się jed nak przy go to wał i miał ze sobą ka ri -

ma ty. Błę kit na woda mi go ta ła w słoń cu, a fale dziś to czy ły się po oce anie wy jął ko wo ła god nie. Do oko ła chro ni ły nas wy so kie ścia ny, a atrak cyj no ści temu miej scu do da wał fakt, że by li śmy tu kom plet nie sami.

– Nie źle, co? – za gad nął Dylan i uśmiech nął się kpiar sko na widok mojej miny.

Zbli żył się do brze gu, by roz ło żyć ka ri ma ty jak naj bli żej wody. Ru szy ła m za nim, do pie ro gdy za ple ca mi usły sza ła m po na gla ją cy mnie szmer, który ozna czał, że Sonny bez słowa po dą żał za nami.

Za ska ku ją co mi ło spę dzi li śmy kilka dłu gich chwil, sie dząc w tym nie zwy -

kle uro kli wym miej scu i roz ma wia jąc na luźne te ma ty. Dylan na praw dę oka zy wał się w po rząd ku, gdy robił sobie prze rwę od bycia idio tą.

Poza tym po go da była fan ta stycz na i nie mo głam uwie rzyć, że wciąż mamy gru -

dzień! Sie dzia łam w samej ko szul ce i szor tach. Mimo że mia łam ze sobą bluzę, ani my śla łam jej za kła dać. Nie mó wiąc juź o Dy la nie, który szyb ko po zbył się nawet ko szul ki.

Oczy wi ście, nie mó gł by być sobą, gdyby wkrót ce nie wy my ślił cze goś głu -

pie go.

– Co ty ro bisz? – za py ta łam, prze no sząc wzrok z ho ry zon tu na niego, kiedy nagle się pod niósł z ka ri ma ty.

– Wi dzisz tamtą wy sep kę? – Wska zał na nie wiel ki zbi tek bla dych skał wy -

nu rza ją cych się spod wody spory ka wa łek stąd. – Po pły nę tam.

Zmru ży łam oczy, bo przy się gam, że słoń ce świe ci ło dziś jak w lecie. Może to ono zmo ty wo wa ło Dy la na do ką pie li.

– Prze cież to da le ko.

Ale on juź zru cił z sie bie wszyst kie po zo sta łe zbę d ne ciu chy i sta nął

w czar nych bok ser kach, mu sku lar ny jak za wsze. Z oczu od gar nął ciem ne ko smy ki i za czął roz cią gać ra mio na.

– Tak się wy da je – od parł.

Znowu tam spoj rza łam, nie zbyt prze ko na na.

– Nie no, Dylan, zo stań tu.

– Wy lu zuj, mała dziew czyn ko.

– Bo pójdę za tobą – za groziłam, z coraz większy mi obawia mi się przyglą -

dając się temu, co wyprawia. Woda była dziś wyjątkowo spokojna, ale wie -

działam, że w przypadku oceanów to może okazać się zdradliwie.

– Ani mi się waz. Zostaniesz na brzegu. Pobaw się kąpielką albo coś.

Podniosłam się, gdy zaczął iść w stronę brzegu.

– Nie żartuj, wejdę za tobą – powiedziałam, a on odwrócił się i wskazał za moje plecy.

– Spróbuj tylko, to Sonny zobaczy cię wychodzącą z powrotem na brzeg.

Tak naprawdę ostatnie, na co miałam ochotę, to rozbiec się do białiny (zwłaszcza na oczach mojej ochroniarza) czy włączyć do zimnej wody.

– Wy myślasz no – westchnęłam, gapiąc się, jak dziarsko wchodzi do wody.

Tak jakby jej temperatura nie różniła od tej powietrza. I nagle

repe w kształt strzały, po czym zniknął w środku nadchodzącej fali.

Mając Mo'ne'go za braci, żyłam w ciągłym strachu nie tylko o własne życie, lecz także ich. Zwłaszcza że ci najmlodszy, wiecznie znużony -

kiwając eksperymentalnych przeżyć, miawali na prawdę durne pomysły. Całe szczęście w większość z nich mnie nie wtałem, bo chyba bym osi -

wia ła przed osiem nast ką, ale by wa ły takie mo men ty jak ten, kiedy to mu -

sia łam za ci snąć zęby i mo dlić się o to, żeby mój głupi brat się nie uto pił.

Wes tchnę łam i usia dłam na ka ri ma cie okry tej ręcz ni kiem ką pie lo wym. Je -

dy na wada tych ka mycz ków była taka, że plaża tra ci ła na wy go dzie. Pod -

cią gnę łam ko ła na pod brodę i ob ję łam je rę ko ma, cią gle mru żąc oczy i nie

od cią ga jąc wzro ku od po sta ci Dy ła na, która raz po raz wy nu rza ła się z wody i coraz bar dziej się od da ła ła.

Roz wa ża łam wła śnie, czyby nie zro bić mu zdję cia i potem nie na skar żyć ojcu, że Dylan zo sta wił mnie na brze gu i sam po pły nął hen da le ko, ale to chyba było za mało, by wpa ko wać go w kło po ty. Oj ciec sam lubił pły wać, zwłasz cza bar dzo wcze śnie rano, gdy jesz cze wszy scy spali, i na pewno by Dy ła na ro zu miał. A ze mną zo stał prze cież Sonny.

Cóż, po chwi li i tak zde cy do wa łam się zro bić to zdję cie. Tak na wszel ki wy pa dek.

Cho wa łam wła śnie te le fon do ma te ria ło wej torby w różowo- zielone kwiat -

ki, gdy usły sza łam szu ra nie prze bi ja ją ce się wy raż nie przez de li kat ny, mia -

ro wy szum fal. Pod nio słam głowę, by zer knąć z po wro tem za Dy ła nem. Był

już bar dzo, bar dzo da le ko. Wie dzia łam, że do pły nię cie do tej wy sep ki wcale nie bę dzie takie pro ste.

Ob ró ci łam głowę, spo dzie wa jąc się, że to może Sonny z ja kie goś po wo du po sta no wił po spa ce ro wać sobie za moimi ple ca mi. Aż pod sko czy łam, gdy zo ba czy łam, że zbli ża ła się do mnie jakaś dziew czy na.

Za trzy ma ła się kilka me trów dalej i świ dro wa ła mnie in ten syw nym spoj rze -

niem czar nych oczu. Nie zbyt mi się to spodo ba ło. Nie tak pa trzy się na nie -

zna jo mych.

– Eee... cześć? – za gad nę łam nie pew nie.

Ro zej rza łam się, nie zbyt dys kret nie, w po szu ki wa niu Sonny’ego, tak na wszel ki wy pa dek.

– Cześć – od par ła twar do i wy raż nie z moc nym, hisz pań skim ak cen tem, który nada wał jej gło so wi uro czej sło dy czy nawet po mi mo nie zbyt przy ja -

zne go tonu.

Jesz cze raz zer k nę łam za Dy ła nem, a gdy wró ci łam wzro kiem do niej, ona też pa trzy ła w tamtą stro nę.

– Po trze bu jesz po mo cy? – za py ta łam, sta ra jąc się ukryć pierw sze ozna ki ner wo wo ści.

Czar ne tę czów ki nie zna jo mej wbiły się z po wro tem we mnie. Mil cza ła, a jej klat ka pier sio wa fa lo wa ła o wiele bar dziej wzbu rzo na niż ocean roz po -

ście ra ją cy się przed nami. Kiedy mój mózg za czął do sta wać już pierw sze za wia do mie nia o ogar nia ją cej mnie pa ni ce, ona nagle przy mknę ła po wie ki i wzię ła głę bo ki wdech. Kątem oka do strze głam, że dło nie za ci snę ła w pię -

ści.

Była niska, nie bar dzo, ale na pewno niż sza ode mnie. I krą glej sza.
Mogła się po chwa lić ład nym, ko bie cym biu stem. Miała też sze ro kie
bio dra i – są -

dząc po jej lekko za ry so wa nych mię śniach na ra mio nach – lu bi ła ćwi
czyć.

Przy pa try wa łam jej się, gdy wzię ła jesz cze ze dwa od de chy, cały czas
z za -

mknię ty mi oczami. Kiedy je otwo rzy ła, wy głą da ła już na dużo bar
dziej opa no wa ną.

Szep nę ła do sie bie coś, czego nie zro zu mia łam.

– Prze pra szam, ale nie sły szę. I nie mówię za bar dzo po hisz pań sku –
oznaj -

mi łam, prze krę ca jąc nieco głowę, skora do wy słu cha nia jej teraz, gdy
już w więk szo ści wy zby ła się swo jej nie wy tłu ma czo nej zło ści.

Dziew czy na wes tchnę ła i prze cze sa ła pal ca mi gęstą kitkę, z któ rej wy
do sta -

wa ły jej się po je dyn cze, upar te ko smy ki.

– Ja prze pra szam. Na cho dzę cię, a ty prze cież nawet mnie nie znasz. –

Dziew czy na uśmiech nę ła się krzy wo, zde cy do wa nie bez we so ło ści.

– Wcale nie na cho dzisz – skła ma łam, sta ra jąc się brzmieć sym pa tycz
nie. –

Szu kasz kogoś? Cze goś? Może mogę pomóc... – za pro po no wa łam
ostroż -

nie.

– Ra czej nie – ucię ła kwa śno, po czym ob ję ła się rę ka mi, jakby zro bi ło jej się zimno, choć po go da do pi sy wa ła. Po chwi li do da ła nieco zmie nio nym tonem: – Je steś tu z nim, praw da?

Zmarsz czy łam brwi.

– Z kim?

– No z Dy ła nem.

Och, a więc dziew czy na zna Dy ła na.

Świet nie.

– Wi dzia łam was – do da ła.

– A, no tak – po twier dzi łam – je stem tu z nim.

Dziew czy na par sk nę ła po nu ro.

– Co za ca brón. – Nie mal splu nę ła, więc za ło ży łam, że mu sia ła to być jakaś hisz pań ska obe lga. – Bę dzie mi tu się krę cił z ja ki miś zdzi ra mi.

Unio słam brwi.

– Słu cham?

Wska za ła na ka wa łek plaży za moimi ple ca mi, a oczy po now nie były snę ły jej zło ścią.

– To moje miej sce! – za wo ła ła do mnie, a tym samym pal cem zaraz po ka za -

ła na sie bie. – To ja mu je po ka za łam. Nikt tu nie przy cho dzi, tu ry ści nie znają drogi. Nie wie dzą, że to trze ba iść przez skały. Nie tra fia ją tu. Po ka za -

łam tę plażę Dy ła no wi dawno bar dzo temu – kon ty nu owa ła i znowu za ci -

snę ła dło nie w pię ści. – A on tu sobie teraz przy no si swoje dziew czy
ny!

Otwo rzy łam buzię ze zdzi wie nia. Tego się nie spo dzie wa łam.

– Ty je steś Mar ti na? – za py ta łam i choć nie mo głam być pewna na sto
pro -

cent, to tak pod po wia da ła mi in tu icja. Wszyst ko się zga dza ło, Hisz
pan ka, z oko lic, zna Dy ła na...

Ona na chwi lę wy trzesz czy ła na mnie te swoje duże, czar ne jak kawa,
którą zwy kle pija Vin cent, oczy.

– Co on ci o mnie na ga dał?

Od wró ci łam się tu ło wiem w jej stro nę, bo do tej pory tylko wy krę ca
łam szyję, która za czy na ła mnie już po bo le wać. Unios łam też dło nie w
obron -

nym ge ście, pró bu jąć ujarz mić jej na grza ny tem pe ra ment.

– Nic ta kie go, słowo. Po dob no kie dyś ugryzł go twój pies, to praw da? –
za -

gad nę łam ła god nie.

Mar ti na pa trzy ła na mnie nie uf nie i w mil cze niu. W końcu ski nę ła
głową.

– Praw da.

– No więc to wszyst ko, co o tobie wiem.

Ona w od po wie dzi wes tchnę ła i po ło ży ła sobie dło nie na gło wie,
jakby pró -

bo wa ła nie osza leć.

– I nie je stem żadną zdi rą – do da łam ura zo na.

Mar ti na opu ści ła ręce i spoj rza ła na mnie umę czo nym wzro kiem.

– Nie je steś, wy nio sło mnie. Prze nio sło. Zna czy po nio sło, do cho le ry ja -

snej! – krzyk nę ła, po czym znowu wzię ła ko lej ny głę bo ki wdech, a ja za -

czę łam się za sta na wiać, czy wszyst ko z nią w po rząd ku. – Mie sza mi się an giel ski tro chę, za mało uży wam – wy ja śni ła, a ja ski nę łam wy ro zu mia le głową.

– Mó wisz bar dzo do brze.

Po pa trzy ła na mnie, a ten ma leń ki uśmiech, jaki mi rzu ci ła, był naj szczy -

szy, jaki do tej pory mia łam oka zję u niej za ob ser wo wać.

– Prze pra szam, żadna z cie bie zdi ra. Nie po win nam ci tak mówić, nie znam cię. Zła je stem na Dy ła na, to dla te go. Ale to nie twoja wina. – Mar ti -

na za ma cha ła dło nią, jakby pró bo wa ła się od cze goś od pę dzić.

– Co Dylan ci zro bił? – za py ta łam, kon tro l nie spraw dza jąc, czy ten idio ta się aby cza sem na praw dę nie uto pił. Przez chwi lę go nie wi dzia łam, ale potem do strze głam go, jak był już bar dzo bli sko wy sep ki.

Mar ti na schy li ła się i usia dła na pod ku lo nych no gach nie da le ko mnie. Też za nim pa trzy ła.

– Nic ta kie go – mruk nę ła – tylko my śła łam, że to miej sce jed nak zna czy dla niego wię cej. – Spoj rza ła na mnie. – Bez urazy. Po ka za łam mu je w ta jem -

ni cy i dużo tu wspo mnień. Nie my śła łam, że przy pro wa dzi tu ot tak swoją nową dziew czy nę. Nie cho dzi mi, żeby mu na tobie nie za le za ło, ale my śła -

łam, że prze szłość też jest dla niego ważna, tak wiesz, no cho ciał tro chę...

– Stop, stop, stop... – wy re cy to wa łam, jesz cze grubo przed tym, jak ona skoń czy ła. – Ja, dziew czy ną Dy ła na? Ja? Dy ła na? – Skrzy wi łam się.

–

Ohyda. Fúj. Ohyda. – Mia łam ocho tę splu nąć. – Dylan jest obrzy dli wy!

Wiel ki i... ma pa skud ny cha rak ter prze cież. Wred ne to takie... – Mla snę -

łam ję zy kiem. – I jest brzyd ki. Ob le śny. Fújka.

Nawet się za te le pa łam. Mar ti na pa trzy ła na mnie, jakby mi wy ro sły dwie głowy. Zu peł nie nie spo dzie wa ła się ta kiej re ak cji, to na pewno. Chcia ła coś po wie dzieć, ale tylko ga pi ła się na mnie, cze ka jąc na ja kieś wy ja śnie nie.

Do sta ła je, do pie ro gdy się otrzą snę łam.

– Poza tym to mój brat.

Pa trzy ła i pa trzy ła, aż nagle jej twarz za czę ła tężeć. Prze łknę ła ślinę, za ci -

snę ła usta i unio sła pod bró dek, a wyraz jej oczu znowu zro bił się nie przy -

jem ny.

– Kła miesz.

Unio słam brwi.

– Nie kła mię.

– Kła miesz – po wtó rzy ła i zmru ży ła po wie ki. – Znam Mo ne tów długo. To same chło pa ki, Dylan nie ma sio stry.

Za wa ha łam się.

– To... długa hi sto ria... Ale cho dzi o to, że to nie mój chło pak. Nigdy nim nie był i nigdy nie bę dzie. Za pew niam cię.

Mar ti na spo głą da ła na mnie chwi lę, po czym za pa trzy ła się w ocean. Tym razem osło ni ła dło nią oczy od słoń ca i wy da ła zdu szo ny okrzyk.

– Wraca – pi snę ła i ze rwa ła się na równe nogi.

Zer k nę łam w tamtą stro nę. Rze czy wi ście, mój brat pły nął już z po wro tem.

Wciąż był da le ko, ale prze ga pi ły śmy mo ment, w któ rym wy szedł na łąd.

Cie ka we, czy wi dział z da le ka, że mam to wa rzy stwo.

– No wraca, wresz cie – mruk nę łam i obej rza łam się za Mar ti ną, gdy kątem oka doj rza łam tylko, jak jej kucyk pod sko czył od gwał tow ne go zrywu. –

Hej, a ty gdzie? Mar ti na!

– Nie za mie rzam z nim roz ma wiać – rzu ci ła w po śpie chu.

– Po cze kaj! Mar ti na! No prze cież przy szłaś tu już, więc nie ucie kaj, no co ty! – wo ła łam za nią, ale ona nawet się nie od wró ci ła. Nie mal bie giem skie -

ro wa ła się do prze smy ku w ska łach.

Pod nio słam się do po zy cji klę czą cej i ka mycz ki wbi ja ły mi się teraz w ko -

la na. Nie było sensu wsta wać, le cieć za nią ani nawet wię cej krzy czeć.

Dziew czy na ucie kła jak spło szo na mysz i nic nie mo głam z tym zro bić.

Wes tchnę łam i z po wro tem usia dłam, roz my śla jąc o tym krót kim, nie spo -

dzie wa nym spo tka niu. Nie dłu go potem Dylan wresz cie wy szedł z oce anu, roz bry zgu jąc wodę na boki. Wciąż uspo ka jał od dech, gdy zbli żył się do mnie. Nie byłby też sobą, gdyby do pie ro wtedy się nie wy trze pał, szczo drze mnie ochla pu jąc.

Cmok nę łam z iry ta cją, ale cią gle ob ser wo wa łam jego po czy na nia i to, jak sięga po ręcz nik, by ze trzeć z sie bie kro ple wody błysz czą ce na jego skó rze.

Nawet ta kie go chło pa jak Dylan rund ka, którą sobie zro bił, kosz to wa ła wiele wy sił ku. Wargi zdą ży ły mu po si nieć.

– Po zna łaś Mar ti nę? – za py tał nagle zni kąd, nie pa trząc na mnie i po cie ra -

jąc ręcz ni kiem włosy.

– Wy da je się sym pa tycz na – od par łam, wzru sza jąc ra mio na mi.

Dylan par sk nął, rzu ca jąc mokry już ręcz nik na zie mię.

– O tak, już z da le ka wi dzia łem, jak wy ma chi wa ła rę ka mi.

– Bo my śla ła, że je stem twoją dziew czy ną – wy ja śni łam, wcale nie po -

wstrzy mu jąc od ru chu wy miot ne go, na co Dylan rzu cił mi roz ba wio ny uśmiech.

– No przy kro mi, mała dziew czyn ko, ale je stem dla cie bie nie osią gal ny –

za śmiał się i po klepał mnie nie dbając o czoło, włosy i kał walek skrośni.

– Mówiłam, obrzydliwy – mruknęłam do siebie, a głośniej do siebie:

– Na -

zwała mnie zdrętwiałą.

– Na pewno? – Dylan się zaśmiał i pokręcił głową, po czym mruknął do siebie: – A jednak.

– Do czego bym, gdybyś nie próbował wzburzać mnie za zdrośni w swoich dziewczynach. Na przyszłość informuję, że jestem twoją sióstrą. Żeby uniknąć nieporozumień.

Dylan usiadł obok mnie i potarł sobie brodę, widocznie załzawił się -

bie.

– Okej, okej, przepraszam za Martynę – powiedział – wiedziałem, że mogę ją tu spotkać. Zwłaszcza w taki ładny dzień. Pojechałam mi to miejsce. Sama prześledziła tu prawie cały czas, kiedy jest w domu. Tu albo tam... – Dylan podniósł głowę i wskazał wyśoko na skałę, która tworzyła za toczkę. – Cza -

sa mi tam chodzi, żeby popaść na ocean z góry. Spodziewałam się jej tu dzisiaj. I się nie pomyliłam. Dla tego poszedłem się przepłynąć. Pojedź -

wałam, że jak zniknę, to wyjdzie z ukrycia. Ostrzegłem też Sonny'ego.

Na chwilę ukryłam twarz w dłoniach.

– Nie mogę po prostu napić się jej esemesa?

– Nie odpisała. Ale przyszła tu. – Wywrócił oczami. – To skomplikowane na dziewczynę. Ale nie ważne, mała Hailie. Najważniejsze jest to, że teraz już mam dowód.

– Dowód na co?

Dylan puścił mi oczko.

– Dalej jej za leży.

48

STARA MIŁOŚĆ

NIE RDZE WIE JE

Wróci liśmy na lunch. Z Dyła nam za trzy ma liśmy się pod domem, a wszyscy siedzieli przy stole na ganku. Po wi ta li nas, już coś przeżuwa jąc. Ja wci snę -

łam się na krzesło między ojcem a Willem, a Dylan szturchnął Shane'a, by się trochę przesunął.

Na stole gościły dziś główki nie steki. Benny chwycił się, że mięso pochodzi od za przyjaźniaka. Była też tradycyjnie sałata z octem i sosem -

czarokowy, a także krążki cebulowe w panierce. Benny po prostu wał Dyła na małą puszkę piwa, które do obiadu popijałi wszyscy. Wyciągnął je z przelożonej dołówki, która stała obok jego krzesła. Ja po prostu łąm o mroźno -

na herbatę. Na początek po bytu Blanche i jej partnera po nowa mi alko -

hol tak jak wszystkim, ale z czasem się nauczyli, żeby tego nie robić. Dylan nie mógł się jednak powstrzymać, żeby przy pomocy głośno, że mi alko ho -

lu nie wolno. Na prawdę nie mu się tego robić. Tylko mnie tym zde nerwo -

wał.

– Dylan wykończył mi do jakichś podrywów – po skrzyżowaniu się w od-

we cie.

– O, podryw na młodszą stronę? – za interesował się Shane. – To działa?

Weschnęłam zrywów.

– Martwiła się za zdrośnią i wyszła z ukrycia, żeby trochę po krzywić, więc powiedziałbym, że działało idealnie. – Dylan wzruszył ramionami

i upił łyk piwa.

– Jesteście bez nadziei – oświadczył.

– Dylan, weź się z tym walnij w głowę – upomniawszy go o ciebie, rzucając mu nad miską salatkę spojrzeć nie spodoba.

– Przez ciebie jej się nie stało.

– Nie, ale nie życzę sobie, żebyś mnie wykończył – mruknęłam.

– Dobra, wyłuzuj.

– I jeszcze na zwał mnie zdrę!

Fakt, że Dylan lekceważył tę historię, sprawiał, że sama miałam ochotę drę -

żyć ją w nieskończoność.

Oj ciebie uniósł brwi i znowu spojrzawszy z wyrzutami na moje go wredne go brata, jakby to on w zupełności za to odpowiadał.

– Przez stać być wkurzającą – powiedział do mnie Dylan, świdrując mnie wzrokiem, który tęczał przez moją nieustępliwość.

– Ty je steś wku rza ją cy – burk nę łam.

– Dylan, nikt nie ma prawa ob ra żać two jej sio stry, nawet jeśli to twoja dziew czy na, którą sam bez sensu pro wo ku jesz, jasne? – Oj ciec z cał ko wi tą po wa gą nawet po gro ził mu pal cem.

– Wiem prze cież. I to nie jest moja dziew czy na. – Prze wró cił oczą mi, po czym zer k nął na mnie: – Poza tym prze cież cię za nią prze pro si łem.

Wzru szy łam ra mio na mi i sku pi łam się na na ło że niu sobie do kład ki krąż -

ków ce bu lo wych. Był też do nich sos aioli. Pysz ny. Od czu wa łam złość na Dy la na, ale też ra dość na widok je dze nia, więc na chwi lę za mil kłam.

Wszy scy za mil kli. Tony się gał po ko lej ny stek, Shane do pra wiał swój, Vin -

cent od sta wiał piwo, w pra wej ręce trzy ma jąc nóż, a Will za pro po no wał mi

do kład kę sa ła ty, bo wła śnie sam sobie jej na ło żył i trzy mał miszkę w po wie -

trzu, wska zu jąc na nią głową.

Dylan prze zu wał za my ślo ny, aż w końcu prze rwał ciszę:

– Chyba zo sta nę na syl we stra tutaj. Wrócę do domu po nowym roku, z Ha -

ilie.

Przy mknę łam po wie ki, a z moich ust od razu wy darł się cichy, lecz za ło sny jęk.

– Chcesz spę dzić tu syl we stra? – zdzi wił się Shane. – Prze cież to strasz nie nudne.

Unio słam brew, bo sama mia łam przy wi tać nowy rok na Ka na rach, ale chyba nie za ła pał, o co mi cho dzi ło. Za to Tony wy chwy cił faux pas, jakie po peł nił jego bliź niak, bo nie od ry wał oczu od ta le rza, a z jego gar dła wy -

rwał się krót ki, zło śli wy chi chot.

– Le piej spę dzić go tutaj niż na po spo li tej, za kra pia nej im pre zie, po kto rej bę dziesz do cho dzić do sie bie przez ty dzień – wy tknął mu Will, krę cąc głową.

– I od kiedy Dylan tak myśli?

– Od kiedy usły szał, że Mar ti na zo sta je w domu do końca ferii – od po wie -

dział mu Vin cent, wy wra ca jąc oca mi nad de spe ra cją swo je go młod sze go brata.

– My śła łem, że już tak za nią nie ła tasz – za chi cho tał Shane, rzu ca jąc w Dy la na zwi nię tą w kulkę chu s tecz ką.

– Nie latam, odwal się.

– Jasne, że lata – za kpił Will. – Stara mi łość nie rdze wie je.

– Skoro Dylan zo sta je tu na syl we stra, to ja jed nak wra cam do domu jutro, z wami – po sta no wi łam.

Tak, ewi dent nie byłam dziś nie w sosie, a sama myśl, że Mar ti na może od -

rzu cić Dy la na, a wtedy on na bur mu szo ny spę dzi za ba wę syl we stro wą u mo -

je go boku, sku tecz nie mi ją uprzy krza jąc, nie zbyt mi się po do ba ła.

Mina ojca wska zy wa ła na to, że na praw dę za le ża ło mu, bym jesz cze te kilka ostat nich dni spę dzi ła w jego to wa rzy stwie na wy spach, tak jak

pla no -

wa li śmy.

– Jak chcesz – za czął Vin cent, wzru sza jąc ra mio na mi – ale żebyś się nie roz cza ro wa ła, bo dla bez pie czeń stwa spę dzisz go w domu.

– Dla bez pie czeń stwa pro po nu ję za mknąć mnie w piw ni cy – wark nę łam z iry ta cją.

– Roz wa żę to – od parł Vin cent, pa trząc mi pro sto w oczy z ostrze gaw czym błę skiem.

– Tato... – jęk nę łam błę gal nie i sko rzy sta łam z tego, że sie dział obok mnie, by zła pać go za ramię. On de li kat nie uwol nił je z mo je go uści sku i objął

mnie nim, przy ci ska jąc moją syl wet kę do swo je go boku, w wol nej ręce wciąż trzy ma jąc wi de lec. Udało mi się zer knąć prze lot nie na jego twarz, zanim przy tu li łam po li czek do jego pier si, i do strzeg łam, jak rzuca swo je -

mu naj star sze mu sy no wi upo mi na ją ce spoj rze nie.

Wi docz nie tak jak więk szość moich braci iry to wa ła mnie, tak i ja cza sem iry to wa łam ich.

– Weź nie rób z sie bie sie ro ty, mała dziew czyn ko.

– Nie, to ty mu sisz się ogar nąć – wy tknął mu Will, dziel nie sta jąc w mojej obro nie. – Nie wszy scy są tak gru bo skór ni jak ty.

Dylan prych nął po gar dli wie.

– Ona ma wię cej za usza mi, niż my ślisz.

Przy ci snę łam po li czek do bluzy ojca jesz cze moc niej.

– No co ta kie go? – za py tał ostro Will. – Co ona ta kie go mogła zro bić, po -

wiedz mi?

Przy gry złam wargę. On mnie nawet nie po dej rze wał.

Dylan par sk nał i po krę cił głową, jakby nie do wie rza jąc.

– Nie no, masz rację. Nic ta kie go. Prze cież to mały anio łe czek. Praw da, Ha -

ilie? – Mru gnał do mnie.

Tony zda wał się jesz cze bar dziej za in te re so wa ny reszt ką swo je go steka niż wcze śniej, Shane za czął prze głą dać się w swoim nożu, jakby pró bo wał zło -

ka li zo wać na nim jakąś smugę, a Will i Vin cent jako je dy ni nie wie dzie li do końca, o co cho dzi, i wi docz nie ostat ka mi sił pró bo wa li nie wy cią gać żad -

nich po chop nych wnio sków.

Dylan zo sta wił by pew nie ten temat, aby wy cią gnać go z rę ka wa w naj mniej do god nej dla mnie chwi li, ale ja po sta no wi łam za dzia łać pierw sza. Ab so lut -

nie nie mia łam ocho ty przy zna wać się do żad nych win, zwłasz cza teraz, gdy był tu z nami Will, który da rzył mnie tak bez gra nicz nym za ufa niem, ale już się na uczy łam, że w tej ro dzi nie wszyst ko prę dzej czy póź niej wy cho dzi na świa tło dzien ne.

Dla te go za ci snę łam palce na blu zie ojca, ścią ga jąc na sie bie jego uwagę i mruk nę łam ci chut ko:

– On wie o tym moim wyj ściu z bliż nia ka mi.

– Który się wy ga dał? – wark nał gło śno oj ciec.

Mo głam tylko zga dy wać, że wpa try wał się w bliź nia ków takim spoj rze
-

niem, jakby chciał ich po du sić na miej scu. Wnio sko wa łam to po gwał
tow -

nych unie sie niach jego klat ki pier sio wej.

– Tony – mruk nął bez ogró dek Shane.

W ro dzi nie Monet bra ter ska so li dar ność miała się do brze, gdyby ktoś
pytał.

– O co cho dzi? – za py tał Will i albo mi się zda wa ło, albo moc niej za ci
snał

palce na sztuć cach, co było pierw szą ozna ką na pię cia. Co gor sza, Vince
rów niez prze stał sku piał się na je dze niu.

Wy obra zi łam sobie, jak to wszyst ko dzie je się póź niej. Za kilka ty go
dni, może za mie siąc. Dylan wsy pu je mnie przed na szym naj star szym
bra tem, a on wtedy pa trzy na mnie tymi swo imi sku ty mi lodem tę czów
ka mi. Jak ob ry wa mi się w sa mot no ści, wtedy gdy nie ma komu mnie
bro nić...

– Byłam w barze z Shane'em i Tonym.

Wy mam ro ta łam to, z jed nej stro ny zer ka jąc nie śmia ło na Willa, a z
dru giej jesz cze moc niej przy tu la jąc się do ojca.

Usta mo je go ulu bio ne go brata roz chy li ły się w zdu mie niu, a brwi po
wę dro -

wa ły do góry. Tony nie wziął ko lej ne go gryza, tylko gło śno cmok nął i
od -

chy lił głowę do tyłu, jakby wła śnie prze grał w tę swoją grę na kon so li.

Dylan pa trzył na mnie bez słowa, za pew ne głów ku jąc na prędcę, jak naj le -

piej po pro wa dzić nad cho dzą cą roz mo wę, by mi się nie upie kło.

– W barze? – Głos Vin cen ta był po zor nie spo koj ny, ale ja za drża łam.

Zwłasz cza gdy spoj rzał na bliż nia ków z nie do wie rza niem. – Za bra li ście ją do baru?

– Po zwo li łem im – wtrą cił się oj ciec.

Vince i Will po pa trzy li na niego, jakby prze mó wił w ję zy ku elfów.

– Po zwo li łeś im za brać Ha ilie do baru? – zdu miał się mój ulu bio ny brat.

– Po zwo li łem i co z tego? Ko niec te ma tu.

Jakie to musi być świet ne, mieć taki au to ry tet, by móc jed nym wark nie ciem za koń czyć dys ku sję z moimi brać mi.

No chyba że ktoś, jak Dylan, doda od sie bie coś jesz cze.

– Za la ła się z nimi w trupa.

– Wcale nie w trupa – za pro te sto wa łam szyb ko, zanim kto kol wiek zdą żył

za re ago wać. W trupa to chyba zna czy, że do nie przy tom no ści, nie? Ja byłam prze cież przy tom na przez cały czas.

Ob ser wo wa łam z za in te re so wa niem swoje te ni sów ki, za nic nie kwa piąc się do na wią za nia kon tak tu wzro ko we go z żad nym z braci, zwłasz cza teraz, gdy czu łam, że wszy scy oni pa trzą na mnie.

– I... i co, na praw dę się na to zgo dzi łeś? – za py tał Will, a nie do wie rza nie w jego gło sie prze bi ja ło się tak wy raź nie, jak słoń ce przez chmu ry na ka na -

ryj skich pla żach.

– Zgo dzi łem się tylko na wyj ście. I może na łyk wina. Tamci jej nie upił
no -

wa li i wy szło, jak wy szło, nie ma co drą żyć te ma tu – od parł Cam nie
chęł -

nie.

– Prze pra szam, co to zna czy, że jej nie upił no wa li? – za py tał Vin cent.

– Czy nasza droga sio stra nie ma wła sne go ro zu mu?

– No wła śnie – mruk nął ledwo sły szal nie Tony.

– No wła śnie – po wtó rzył gło śniej Dylan.

– Dobra, dobra, ona już wie, że źle zro bi ła. Nie ma po wo du wra cać do
tej spra wy.

Cie szy ła m się, że oj cieć twar do stoi za mną, choć oba wia ła m się, że mój
wred ny brat nie od pu ści, i mia ła m rację.

– No jasne, co było, mi nę ło. – Z drań skim uśmie chem mach nął ręką. –
Naj -

waż niej sze, że nie było pro ble mu z usu nię ciem tam te go fil mi ku z
sieci, nie?

Co ja bym dała, żeby wy ro sły mi teraz na ple cach wiel kie skrzy dła,
takie, na któ rych mo gła bym od le cieć w siłą dal. Po czu ła m, jak obej mu
ją ce mnie ramię ojca sztyw nie je.

– Ja kie go fil mi ku?

– A nie – wes tchnął Dylan i te atral nie pac nął się w czoło. – Trze ba była
po -

je chać do wła ści cie la baru i tro chę go po stra szyć, żeby dwa razy za sta no wił

się, czym pro mu je swój gów nia ny lokal.

– O czym ty ga dasz? – syk nął oj ciec. Wciąż się do niego przy tu la łam, choć było to coraz mniej przy jem ne.

Dylan wy cią gnął swój te le fon.

– Ale ty je steś wred ny, wiesz? – rzu ci łam do niego ja do wi cie.

– Macie tu waszą małą, nie win ną Ha ilie.

Pu ścił to idio tycz ne na gra nie na ko mór ce i po ło żył ją na samym środ ku stołu. Za dbał, żeby wszy scy do brze go wi dzie li. Oj ciec i Will na chy li li się, a Vince zmru żył oczy. Tylko ja i bliź nia cy nie czu li śmy po trze by zer ka nia na ekran.

Ramię ojca na pię ło się jesz cze bar dziej i czu łam się, jakby obej mo wa ła mnie teraz ka mien na rzeź ba. Gdy nie śmia ło zer k nę łam na jego twarz, nie wy da wał się za do wo lo ny. Nie, to za mało po wie dzia ne. Wy glą dał, jakby był

bombą i sa pe rem w jed nym. Ze wszy st kich sił pró bo wał nie wy buch nąć.

Co gor sza, wkrót ce na wią zał kon takt wzro ko wy z Vin cen tem. Ko mu ni ko -

wa li się bez słow nie i jakby de cy do wa li, czy wy star czy za ło żyć mi kłód kę w drzwiach do sy pial ni, czy le piej na wszel ki wy pa dek do rzu cić rów nież kraty w oknach.

Roz pacz li wie szu ka łam wspar cia u Willa, ale i na nim nie ro bi łam wra że -

nia.

W końcu oj ciec się po ru szył.

– Gdzie to wi sia ło? – za py tał, przy bie ra jąc maskę pro fe sjo na li sty.

– W me diach spo łącz no ścio wych i na stro nie baru – od parł Dylan, a te le fon wrzu cił sobie zwin nie z po wro tem do kie sze ni.

– Dużo osób to udo stęp ni ło? Po bra ło?

– Kilka udo stęp nień i ze dwa po bra nia, żadne sza lo ne licz by.

– I już to usu nię to?

– Tak. – Dylan ski nął głową. – Mie li śmy roz mo wę z wła ści cie lem.

– Kto miał roz mo wę z wła ści cie lem? – syk nął oj ciec.

– No ja z chło pa ka mi. – Dylan wska zał ru chem głowy na Shane’a i Tony’ego, a potem dodał ci szej: – I Ha ilie.

– Co? – Oj ciec uniósł brwi. – Za bra li ście ze sobą Ha ilie?!

– Chcia ła sama na pra wić swój błąd.

– To żart? – obu rzył się Will.

– To prze ra za ją cy brak od po wie dział no ści. – Vince przy mknął po wie ki.

– Ha ilie chcia ła wziąć od po wie dział ność za swoje czyny – bro nił mnie Dylan.

A ra czej bro nił sa me go sie bie. Ja się nie od zy wa łam. Nie mia łam od wa gi, gdy spoj rze nia moich dwóch naj star szych braci i ojca ci ska ły gro ma mi.

Cam wresz cie po ki wał głową, jakby do sie bie i zmru żył oczy, ce lu jąc pal -

cem w Dy la na.

– Na przy szłość za pa mię taj sobie, że nie za bie rasz Ha ilie do za ła twia nia ta -

kich spraw, na li tość boską. W ogóle sam ich nie za ła twiasz. Przy cho dzisz do mnie albo do Vin cen ta. Ka pu jesz?

– To tylko jakiś ran do mo wy go stek, który pro wa dzi bar, nie trze ba było robić ra ba nu. – Dylan wy wró cił oczy ma.

– Ja ci zaraz zro bię raban, jak chcesz. Mówię ci, że masz in for mo wać o ta -

kich rze czach kogo? – Oj ciec nie bez piecz nie zni żył głos i za czę łam za ło -

wać, że znaj du ję się tak bli sko niego. – Mnie albo Vin cen ta. Ewen tu al nie Willa. A nie, kurwa, ja kieś sa mo wol ki. Zro zu mia no?

Dylan po ki wał głową, pa trząc gdzieś w bok, ewi dent nie nie za do wo lo ny z bury, jaką zbie rał.

– To samo się tyczy was – kon ty nu ował Cam, tym razem zwra ca jąc się do swo ich dwóch naj młod szych synów. – Co jest z wami nie tak? Dla cze go od razu nie po wie dzie li ście mi o tym wideo? Kry je cie swoje tyłki kosz tem wi -

ze run ku wa szej sio stry? Tak mam to ro zu mieć?

– Nie – burk nął Tony i mimo iż nie skoń czył jesz cze jeść, to się gnął po pacz kę pa pie ro sów, która le za ła na pa ra pe cie obok niego.

– Nie wie dzie li śmy o tym fil mi ku wcze śniej. To Dylan do pie ro go wy grze -

bał – dodał Shane.

– Wy to o ni czym nie wie dzie li ście! – huk nął oj ciec. – W ogóle tam z nią by li ście? Bo na fil mie tań cu je na barze sama. A wy w tym cza sie to co?

Wy bra li ście się na spa ce rek?! Nie wy ra zi łem się jasno, jak ka za łem wam jej nie spuszczać z oczu?

– No prze cież by li śmy tam z nią... – Shane spoj nie wznosił oczy do nieba. – Zwia ła nam na chwi lę po pro stu...

Usły sza łam tuż nad uchem iro nicz ne par sk nie cie.

– Shane, za sta nów się, co ty do mnie mó wisz, co? Za sta nów się, do brze ci radzę. Je steś od niej dwa razy więk szy. I ty mi mó wisz, że nie po tra fi łaś jej upił no wać? Nie rób z sie bie pier do ły, co?

– No wła śnie, jest mała... – Shane wska zał na mnie, żeby wszy scy jesz cze raz mi się przyjr ze li, tak jakby nie wi dzie li wcze śniej mojej syl wet ki. – Dla -

te go ła twiej jej znik nąć w tłu mie.

Oj ciec od wró cił się w stro nę Vin cen ta, który w ciszy przy słu chi wał się dys -

ku sji.

– Sły szysz? Od teraz za każ dym razem, jak Ha ilie wy cho dzi z Shane'em albo Tonym, ma być z nimi Sonny. Choć by się wa li ło i pa li ło. Bo jak widać, sami nie po tra fią za pew nić jej na le ży tej ochro ny.

Bliż nia cy mil cze li, a nasz naj star szy brat ski nął głową. Ja uni ka łam spoj -

rzeń swo jej ro dzi ny, ale trud no było mi igno ro wać ojca, gdy zwró cił się wresz cie do mnie:

– A ty, Ha ilie, wiem, że chcia łaś wziąć od po wie dział ność za swoje czyny i je stem z cie bie bar dzo dumny, na to miast na przy szłość za ła

twia nie ta kich spraw zo staw, pro szę, bra ciom. Do brze, kró lew no?

Po ki wa łam prę d ko głową i już my śła łam, że wcale mi się nie obe rwie, gdy Vin cent się ode zwał, jak zwy kle wy pra nym z emo cji gło sem:

– Ja chciał bym wie dzieć... – za czął i od chy lił się nieco, a jego spoj rze nie wy lą do wa ło na ostat niej oso bie w to wa rzy stwie, która miała chęć i od wa gę je zno sić – jak w ogóle do szło do tego, że Ha ilie skoń czy ła w takim sta nie?

Na stą pi ła cisza i do pie ro po chwi li zo rien to wa łam się, że nad szedł czas, bym głoś za bra ła wła śnie ja.

– No... to nie moja wina – od chrzą k nę łam, szu ka jąc w gło wie sen sow nych ar gu men tów. Pod czas roz mów z nim te zwy kle mnie zgod nie opu sz cza ły.

– Nie twoja? – Vince uniósł brwi, a na stęp nie je zmarsz czył. – Czyż by ktoś siłą wlał ci al ko hol do gar dła?

-Nie – wes tchnę łam – ale to było nie chęą cy.

– Szła, po tknę ła się, upa dła na bu tel kę wódki i stało się. Czego tu nie ro zu -

mieć? – za kpił Dylan.

– Nie? – wark nę łam na niego, bo już dawno nie de ner wo wał mnie tak, jak dziś. – Nie piłam żad nej wódki. Shane za mó wił dla mnie san grię, ale za -

miast kie lisz ka przy nie śli cały dzba nek i... jakoś tak wy szło.

– To w dal szym ciągu idio tycz na wy mów ka – oce nił Vin cent. – Abs tra hu jąc już w ogóle od ab sur dal ne go, jak dla mnie, faktu, że do sta łaś po zwo le nie na na pi cie się, nie po słu cha łaś się i spo ży łaś wię cej al ko ho lu, niż po win naś.

Mo głaś za cho wać się doj rza le albo dzie cin nie. Wy bra łaś drugą opcję, jak dosyć czę sto ci się zda rza.

– Nie da się ukryć – za chi cho tał pod nosem Tony i aku rat miał pecha, bo go usły sza łam.

– Aha, no ale chyba nie było ze mną aż tak źle, co Tony? Ina czej plą tał by mi się język i nie wy bro ni ła bym cię przed po li cją – wark nę łam, a palce ledwo świa do mie za ci ska łam na blu zie ojca. Wciąż znaj do wa łam się bli sko jego boku, ale nie mo głam się dłu żej do niego przy tu lać.

Wtedy obe rwa ło mi się wro gim spoj rze niem od naj młod sze go z moich braci.

– Co, pro szę? – wtrą cił się Will i spoj rzał na niego, jak chyba wszy scy po -

zo sta li.

– O czym ona mówi? – sap nął oj ciec, a jeśli choć tro chę zdą żył się uspo ko -

ić przez ostat nią mi nu tę, to teraz znowu mu sia ło sko czyć mu ci śnie nie.

Shane po cie rał czoło ni czym mę drzec udrę czo ny ży ciem i nawet Vin cent wy głą dał, jakby miał już dość.

– No jakiś przy chlast za czął ją za cze piąć, to do stał – wy tłu ma czył Tony.

Oczy wi ście oj ciec po cią gnął go za język jesz cze bar dziej, tak że mój brat fi -

nal nie dość szcze gó ło wo na kre ślił sy tu ację. Cam zde ner wo wał się fak tem, że komuś w ogóle udało się po dejsć do mnie na tyle bli sko, żeby zła pać mnie za rękę, oraz na tyle dłu go ze mną roz ma wiać, żeby zdą żyć po wie -

dzieć mi coś nie sto sow ne go, ale w żad nym razie nie wy da wał się choć w po ło wie tak prze ję ty tym, że pra wie aresz to wa no jego syna, jak się spo -

dzie wa łam, że bę dzie.

– To jakaś gro te ska – skwi to wał Vin cent, wsta jąc od stołu, wcze śniej prze -

cie ra jąc usta ser wet ką. Od szedł na bok, jakby nie chciał nas oglą dać, ale za -

trzy mał się nie opo dal z za ło zo ny mi na pier si rę ko ma. Krew bu zo wa ła mu w ży łach, choć sta rał się uda wać nie wzru szo ne go.

– No. Pi ja na Ha ilie to gro te ska – mruk nął Dylan.

Już otwie ra łam usta, by coś od szczek nąć, ale za mil kłam, ro biąc miej sce do po pi su dla ojca, który uniósł pio no wo dłoń, jak nas ha mu jąc.

– Dobra, dobra, dobra – po wie dział zmie nio nym gło sem. – Chwi la. Spo kój.

– Za milkł, po czym zaraz kon ty nu ował: – Zejdź cie z niej. Na wa li ła się. Nie po win na była. To był błąd. Taki błąd, który, jak by nie pa trzeć, po peł nił

w prze szło ści każdy z nas.

Will po krę cił głową z jawną dez apro ba tą.

– Tato, ro zu miem, co pró bu jesz po wie dzieć, ale spo sób, w jaki ba ga te li zu -

jesz ten pro blem, spra wi, że przy ko lej nej pierw szej lep szej oka zji Ha ilie znowu wy chy li przez przy pa dek cały dzban. Tym razem może nawet nie san grii, a cze goś moc niej sze go.

– No i najpierw pozwól jej się napić, a potem rozbierz nam jazdę, bo na chwilę stracił śmiałość nad nią kontrolem – po skarczeniu się Shane. – Sam spróbuj przez chociaż pięć minut natrzeć wołnę z nią, kiedy ona jest pod wpływem. Robi się z niej mała diabli cię, o cię miał być.

– Jak się za ciebie zaraz wezmę, to sam o cię pieję. Uwaga, jak do mnie mówisz, słyszysz? – warknął cię od razu, po czym dodał spokojnie:
–

Przyznałem już wcześniej, że to była moja wina. Mój głupi pomysł. Dla te -

go też odpuściłem wam wszystkim. Z Ha ilie włącz nie. Ale skoro koniecznie -

nie chce cię, żebym przejął się hamować, to proszę bardzo. – Wziął głęboki wdech. – Zastanawiał się ktoś kiedyś z was, dla czego Ha ilie prześladowała z alko -

holer? Dla czego stwierdziła, że wydukała niecałą winę będnym światem pomysłem?

Słuchałam w napięciu, zastanawiając się, co o cię za mierzał po wiedzieć.

Vincent odwrócił się z powrotem w naszą stronę. Reszta moich braci rów -

nież zastępką w milczeniu.

-Bo za każdym razem owoc smakuję najłatwiej, a obecnie całe życie tej dziewczyny składa się z walki z nią. Wyobraź sobie, jak od światełka jące musi być zła ma niechcący jedne go z nich – powiedział Cam, a ja wciąż nie byłam pewna, czy powiedział mi się, że tak o mnie mówi w obecności i przy chłopa kach.

– To nie tłumaczy ta kie go zachowanie... – zaczął Vincent lekceważąco, ale o cię mu przebrał, unosząc palec wskazujący.

– Tłu ma czy. Nie uspra wie dli wia ta kie go za cho wa nia, tak, zga dzam się, ale na pewno je tłu ma czy.

– Dla nas jakoś nie byłeś taki wy ro zu mia ły – wy tknął mu Dylan.

– Bo was wy cho wy wa łem od ma łe go. Ina czej, niż mama Ha ilie wy cho wy -

wa ła ją. Dla te go nie wszyst ko jest dla niej tak oczy wi ste jak dla was. Na -

stępnym razem, jak ktoś ryś chce jej cze goś za ka zać dla jej wła sne go dobra, to jej to wy ja śnij cie, do cho le ry, a nie mów cie, że ma być tak, jak chce cie, bo tak chce cie. Ta dziew czy na ma uszy, wy ko rzy staj cie to. Roz ma wiaj cie.

A nie tylko gro zi cie jej pal cem. Nic dziw ne go, że przy pierw szej lep szej oka zji się zbun to wa ła.

Chłop cy mil cze li, a on zaraz kon ty nu ował, zwra ca jąc się, ku mo je mu prze -

ra że niu, do mnie.

– Żeby było jasne. To... – Tutaj oj ciec wska zał na miej sce, w któ rym wcze -

śniej leżał te le fon Dy la na. – To było prze gię cie. Cał ko wi cie nie ak cep to wał -

ne. Nie po pie ram ta kich rze czy, nie bro nię ich. Masz chro nić swoją pry wat -

ność, Ha ilie, bo są lu dzie, któ rzy za wo do wo zaj mu ją się prze cze sy wa niem in ter ne tu, by zna leźć takie wła śnie ma te ria ły. Do róż nych celów, na praw dę.

Dla te go mu sisz być ostroż na.

Po ki wa łam głową, którą spu ści łam nie śmia ło, bo oj ciec po raz pierw szy tak ostro wy ra żał dez apro ba tę, ko men tu jąc moje czyny. I to jesz cze przy wszyst kich! Gdy jed nak po czu łam, jak przy tu la mnie do sie bie moc niej i jak ca łu je mnie w czu bek głowy, to mi nieco ulży ło. A więc był zły, ale nie aż tak bar dzo, jak się spo dzie wa łam.

– Je stem z was dumny, na praw dę. Vin cent, cza sem iry tu jesz mnie nie sa mo -

wi cie, ale ro bisz na praw dę dobrą ro bo tę. I od waż nie zgo dzi łoś się wziąć od -

po wie dział ność za waszą młod szą sio strę. Przy kro mi, że nie mogę być z wami, by cię od cią żyć. To ja po wi nie nem z wami miesz kać i po dej mo wać de cy zje, które teraz spo czy wa ją w wa szych rę kach. Wiem to, ale życie uło -

ży ło się tak, a nie ina czej i mu si my sobie z tym ra dzić. A wy macie sie bie i to jest w tym wszyst kim naj waż niej sze.

49

DŹEN TEL MEN TONY

Wró ci łoś, wresz cie!

Mona spoj rza ła mi prze lot nie w oczy i znowu mnie przy tu li ła.

Do domu wró ci łam na szym od rzu tow cem razem z Dy la nem. Nie było tak źle, bo mój syl we ster w to wa rzy stwie ojca minął uda nie, a i naj wy raż niej Mar ti na uli to wa ła się nad moim wred nym bra tem, bo ten wró cił do chat ki Blan che do pie ro po Nowym Roku w przed nim na stro ju. Dzię ki temu w dro -

dze po wrot nej mi nie do ku czał.

Lot od rzu tow cem to był bez sens nie sa mo wi ty, bo sa mo lot naj pierw za wiózł

na szych braci do domu, a potem wrócił kilka dni później na Ka na ry pusty, by za brać nas. Uważałam, że to bardzo nie ekonomiczne oraz nie ekologiczne -

nie, ale ojc ciebie uparł się, że nie potrafił kupić samolotu, by ten się teraz ku rzył w hangu rze.

Mój powrót do domu wiązał się przede wszystkim z tym, że tym razem, jako że w Pensylwanii zima była na całość. Od razu wskoczyłam w wir nauki, bo w polowie miały się odbyć egzaminy semestralne, do których musiałam pójść. Wciąż uwięzioną w rezydencji Monette, nie mając nawet nic lepszego do roboty, prostując się na książkach i gdy przeszedł czas załóż, czułam się bardziej niż goła.

Jeśli przyzna nie, że byłam pod koniec tygodnia do egzaminów, brzmi to trochę jakby, że prostując się wrotem do szkoły, choć by na chwilę. Znowu miałam zobaczyć przyjaźni, wreszcie coś miało się dziać. Pierwszy krok w stronę normalności. Prostując się, by tego

dnia wcześniej odwieźć mnie do szkoły. Musiałam odwieźć sekwencję historii jakiegoś świętego związaną z uczeniem indywidualnym oraz chciałam wy-

korzystać ten zapas czasu także na pogadanki z Moną.

Jak do brzo było wreszcie ją widzieć! Wydała się, jak byśmy ostatnio spo-

tykały się lata temu. Za chwilę kręciła sobie włosy swoje brzo we włosy i coraz lepiej opowiadała sztukę malowania się.

– Znałaś sobie już nowe kolczyki? – zapytałam ze śmiechem, choć tak zupełnie nie szczere, to na prawdę się obawiałam, że przez moje nieobecności stracimy z Moną tę więź, którą udało nam się stworzyć. Ona była otwartą osobą, która łatwo na nią wchodziła. Chyba

ła twiej niż ja. Poza tym za czę ła cho dzić na im pre zy. Była już na przed
świętą teczną do mów ce oraz na syl we strze. Oba wia ła mi się, że bę dzie
teraz w nie skoń czo ność wspo mi nać naj lep sze mo men ty z ludź mi, któ
rych tam po zna ła, a ze mną wspól ne te ma -

ty się po pro stu wy czer pią.

– Tak, ale żadne nie są takie fajne jak ty – za chi cho ta ła.

Uśmiech nę ła mi się. Do brze było wró cić.

Gdy prze sta ły śmy się po raz drugi obej mo wać, zo rien to wa ła mi się, że
Mona upar cie ucie ka od na wią za nia ze mną kon tak tu wzro ko we go.

– Co jest? – za py ta ła mi. – Wszyst ko w po rząd ku?

– Tak. Tak – za pew ni ła mi szyb ko, rzu ca jąc mi sztucz ny uśmiech,
który mo men tal nie znikł. – Nie.

– Cho dzi o eg za min?

Mona po krę ci ła prze czą co głową.

– Nie, zu peł nie nie. Cho dzi... cho dzi o coś in ne go.

Cze ka ła mi nie cier pli wie. Z każdą se kun dą serce wa li ło mi coraz moc
niej.

Ba ła mi się usły szeć nie przy jem nych wia do mo ści.

– No? Po wiedz mi, pro szę, nie strasz mnie.

-Nie chcę cię de ner wo wać. My śla ła mi, że po wiem ci po eg za mi nach
albo w ogóle póź niej. Ale teraz widzę, że nie mogę ci nawet w oczy spoj
rzeć.

Pa trzy ła mi na nią prze ję ta i w końcu ro zej rza ła mi się raz jesz cze. Wtedy
zła -

pałam ją za nadgarstek i po ciągnęłam na bok.

– Po wiedz mi teraz.

Mona wzięła głęboki wdech i uderzyła na błągałam mnie spojrzaniem, sama nie wiem o co.

– Całowałam się z twoim bratem.

Za krztusiałam się po wie trzem. Nie wiedziałam nawet, że to może być, a tu proszę. Stałam i myślałam, że się uduśnię. Na dościsnę wewnątrz nościsnę skurczy -

ły mi się, jakby nie wiadomo jak na rękę próbowała wyć z nich ostatnie soki.

Myślałam, że ze mdleję.

– Z kóym?!

– No przebież z Tonym, a z kóym innym – odparła Mona i złożyła ręce jak do modlitwy. – Nie złość się na mnie, Ha ilie, proszę.

Kręciąc głową, zrobiłam krok do tyłu, tak jakby przyjął cię wyciągnęła nóż i włączyła mi nim dźgnęła. Mój wyraz twarzy mu się wyraził więcej niż tyścisnę słów, bo Mona zaczęła pałkować.

– Ha ilie, to nie tak. To się stało na świętej do mówce. Jedno razowo.

– Dla tego nie chciałaś się ze mną zdzwaniać? Mówiłaś, że nie działo cięgło -

śnik w te le fo nie! Tymczasem tyścisnę bałaś się ze mną gadać!

– Nie wiedziałam, co ci po wie dzieć. Ha ilie, na prawdę. Sama nie spodzie -

wałam się tego, co się wyda rzyło. Wiesz, że Tony mi się po do bał. Nie wie -

działam, jak na to za reago wać. W końcu stwierdziłam, że chcę po ga dać z tobą na żywo. A teraz jak cię zobaczę, to wiem, że nie mogę czekać – tłu ma czyła się Mona, cha otycz nie ma cha jąć ręko ma.

Za ciśniełam usta i opuszczyłam spojrzenie.

Go to wałam się z wściekłości.

– Opo wiedz mi – zażądam.

Mona po kiwała energicznie głową, chyba szczęśliwa, że daje jej szansę na wyjaśnienie.

– No to tak, poszłam na tę do mówkę. Strasznie długo się szykowałam. Sam ma ki jaż zajął mi z dwiegoziny, ale wyszedł super. Wszystkim się bardzo po do bał. Po ka że ci później zdjęcie. – Mona za ma chała ręko ma, jakby sama się upominała, by nie zbaczać z tematu. – I byłam podjara na, bo to w sumie moja pierwsza taka impreza, ale też się stresowałam, bo nie znałam za wielu osób. Wiesz, bo okazało się, że przyszły też starsze roczniki. Ja się trzymałam z La vi nią – mówiła, a ja po ki wałam głową. La vi nia była dość imprezową dziewczyną. Znała moc z nią była pasportem do profesjonalnego doradcy. A że od czasu do czasu ja so na La vi nia bardzo prze pa da -

ła i za mną, i za Moną, to owoych profesjonalistów do sta wać coraz więcej -

cej. Oczywiście, w moim przypadku samo na zwiasko Monet au to matycz nie wpisane było na każdą listę gości, ale wtedy jeszcze o tym nie myślałam. –

No i La vi nia mnie wzięła od razu do kuchni, żeby się czegoś napić. Tam był taki Clay. Znasz Claya? On jest mega śmieszny. I robi najmocniejszą drinki. Jezu, serio, ma sa kra to była. Nalał mi chyba tyle wódki i tylko tyle soku. Nie, jakoś inaczej. Gdzieś z tyle wódki. – Mona próbowała po ka

zać mi wi zu al nie, ile to mogło być, aż w końcu opu ści ła ręce. – Nie waż ne, w każ dym razie ja nie chcia łam za bar dzo pić. Zna czy chcia łam, ale nie aż takie mocne drin ki. Moja sio stra za wsze mi mó wi ła, żeby uwa żać, bo są, wiesz, zdra dziec kie.

Z unie sio ny mi brwia mi i rę ko ma na bio drach cze ka łam na naj bar dziej in te -

re su ją cy mnie wątek.

– No i sta łam w tej kuch ni, a tu nagle wcho dzi jak do sie bie grup ka chło pa -

ków. Roz po zna łam Ty le ra i tego blon dy na... A nagle po ja wia się wśród nich Tony. Kur czę, Ha ilie, aż mi nogi zmię kły, przy rze kam ci. I w jed nej chwi li spo ci łam się jak pro się. Jezu. Okrop ne to było.

– Tony cię po znał? – syk nę łam przez za ci śnię te zęby.

– W ogóle na mnie nie pa trzył na po cząt ku. Oni tam za czę li się dzie lić al ko -

ho lem, a ja sta łam jak tru sia i w gło wie mia łam tylko „Nie gap się na niego, nie gap się, idiot ko”. I naj gor sze jest to, że jak tak sta łam, to z ner wów cią -

gle piłam. Skoń czy łam drin ka w ja kieś pięć minut. Pięć minut, Ha ilie! To strasz nie krót ko. Od razu za czę ło mi się krę cić w gło wie.

Mona ba wi ła się dłoń mi, prze ję ta, a ja pa trzy łam na nią nie wzru szo na, w na pię ciu cze ka jąc na pu en tę.

– I oczy wi ście, było widać, że się gapię. Tam ten blon dyn w końcu to do strzegł. Po wie dział coś na głos. Coś w stylu, że się za pa trzy łam jak w ob ra -

zek. Szturch nął Tony’ego, a wtedy my śla łam, że za pad nę się pod zie mię.

Ha ilie, jaka ja mu sia lam być czer wo na! Tony do pie ro wtedy na mnie spoj -

rzał, ale tylko tak prze lot nie. I się uśmiech nął. A ja zwia lam do dziewczyn, do sa lo nu. One się ze mnie śmia ły, że chyba ducha zo ba czy lam. Ro bi lam się już na praw dę pi ja na. Potem, gdy z nimi sie dzia lam, ktoś mi przy niósł

jesz cze jed ne go drin ka. Tego też jakoś tak szyb ko wy pi lam. Nie ba wi lam się za do brze, bo nie mo głam się po zbie rać, tak za że no wa na byłam!

– Boże, Mona...

Wy obra zi lam to sobie i jedno mu sia lam przy znać – moi bra cia jak nikt inny po tra fi li za wsty dzać ludzi wokół.

– Moją je dy ną roz ryw ką na tej im pre zie było picie, bo tylko ono sprawa ło, że po wo li za po mi na lam o tym, co się stało. W końcu tak się za pra wi lam, że nie wie dzia lam, co się dzie je. Byłam w sa lo nie, chyba się wy wró ci lam. Na pewno po dar lam raj sto py, to pa mię tam. Clay coś tam do mnie żar to wał.

Ogól nie było śmiesz nie. Póź niej ktoś mnie wziął na ze wnątrz, na świe że po wie trze. Ty wiesz, ja chyba nawet nie pa mię tam kto... – Mona zmarsz -

czy ła brwi, ale szyb ko prze sta ła się nad tym za sta na wiać. – No w każ dym razie na dwo rze dużo osób pa li ło fajki i...

-I Tony też tam był – do koń czy lam za nią, ce dząc te słowa przez za ci śnię te zęby.

Mona ski nę ła nie śmia ło głową.

– No. I wiesz, wtedy w kuch ni był trzeź wy, a potem to już tak śred nio. Ja, oczy wi ście, jak głu pia ga pi lam się na niego znowu, ale tym razem już

nie czułam wstydu, nic a nic. A on od wza jem miał co chwila moje spojrzenie nie.

Ha ilie, on mi się tak po do bał, ja myślałam, że oszaleję. Miał taką megalomanię -

skrawka bluzy i za rzuco na nią kurtkę, czarną, i widać było kawałek tego jego ta tu ażu i te jego oczy, Jezu...

– Dobra, łapię, co dalej?

– Zimno było, to wszyscy ci palali cze zaraz się pocho wali do domu. Ja zostawa -

łam, bo miałam trzeźwieć, to trzeźwiałam. Zresztą i tak nie wiedziałam, co się dzieje. A tu nagle Tony stoi przede mną. Serce to mi zaczęło walić jak nie normalnie. Coś do mnie mówił.

– Co mówił? – za pytałam ostro.

– Nie wiem, pytał chyba, czy nie idę do środka. Odpowiedziałam, że chcia -

łam pobyć na dworze. Poprosiłam go o papierosa.

– Co?

– Nie wiem czemu, przebiegała nie palę. Powiedział, że nie ma.

– Na pewno miał.

– Nie wiem, ale do brzo, że mi go nie dał. Załatwiłabym się nim na amen...

– Mów mi le piej, co z tym po całym kiem?

– Ha ilie, ja nie palę tam szczytów, słowo. On stał blisko mnie, a ja niby palę w bok, ale potem zobaczyłam jego usta i poczułam tę wodę ko -

łoń ską... Ja- nie-mogę, co za wodę ko łoń ską on ma! Do teraz śni mi się po no cach. Taki mocny za pach... Nawet te pa pie ro sy mi tak nie śmierdzia ły.

Jak by nie było, wiesz do brze, że byłam też w niego wkrę co na. No więc jak już stał taki ide al ny tuż na prze ciw ko mnie, to nagle wy szło tak, że za czę li -

śmy się ca ło wać.

Przy mknę łam po wie ki, sta ra jąc się wy rzu cić obraz mojej przy ja ciół ki i brata ob ści sku ją cych się razem pod domem ja kie goś ko le sia.

– Mona, to obrzy dli we.

– Mnie tam się po do ba ło. – Wzru szy ła ra mio na mi i szyb ko się zre flek to wa -

ła. – Ale nie po win nam była tego robić, wiem. Wiem.

– Mhm, i co było dalej?

Mona przy gry zła wargę i zer k nę ła w dół.

– Co było dalej? – na ci ska łam.

– Do tknął mo je go po licz ka i za py tał... Nie, za pro po no wał jakby... Cho ciał w sumie za py tał, tak nie zo bo wią zu ją co wiesz, czy...

– Czy co?!

– Czy za py tał, czy chcia ła bym z nim tam iść do sy pial ni.

Pa trzy łam na za kło po ta ną twarz przy ja ciół ki i czu łam, jak zbie ra się we mnie fala ogrom nej, pie ką cej zło ści.

– Co od po wie dzia łaś?

Brzmia ła m spo koj nie i pierw szy raz po czu ła m się jak Vin cent. Też się tak za cho wy wał, gdy był wście kły, ale tłu mił to w sobie, żeby wy cią gnąć od roz mów cy po trzeb ne in for ma cje.

– Że nie – wy mam ro ta ła od razu Mona. – Prze szło mi przez myśl, by się zgo dzić, nie będę kła mać. Ale nie wiem, bałam się... Po wie dzia ła m, że chyba nie i że prze pra szam...

– Po co go prze pro si łaś? – pry ch nę ła m.

– Nie chcia ła m, żeby był zły... Byłam pi ja na, a Tony to, wiesz, mój crush.

Skrzy wi ła m się na to że nu ją ce słowo.

– Co on na to?

– Pa trzył na mnie tak przez chwi lę i potem za czął krę cić głową. Po tarł sobie twarz i spoj rzał na mnie znowu. W końcu po wie dział, że nie po win nam przy cho dzić na takie im pre zy. Nie po win nam też tak się upi jać. Że to nie miej sce dla mnie...

Mil cza ła m, a Mona ga pi ła się w pod ło gę.

– Za mó wił mi tak só w kę i po cze kał ze mną, aż przy je dzie. No i wyjął sobie pa pie ro sa wtedy, czyli fak tycz nie miał ich wię cej... A potem wsa dził mnie do sa mo cho du i tyle. Moi ro dzi ce mnie przy ła pa li, jak wra ca ła m, bo w domu pra wie sto czy ła m się ze scho dów. Na ro bi ła m ha ła su. Do sta ła m me -

ga opieprz. Ledwo pu ści li mnie na syl we stra.

Pa trzy ła m na nią i czu ła m, jak moja głowa aż pul su je od nad mia ru in for ma -

cji. Było mi wręcz nie do brze. Wście ka ła m się na Monę, że ze wszyst kich chło pa ków mu sia ła upa trzyć sobie aku rat mo je go brata. Zło ści ła m się na Tony'ego za to, że jako star szy i bar dziej do świad czo ny po pro stu nie zi -

gno ro wał nie umie jęć nych za lo tów mojej przy ja ciół ki. No i za pro po
no wał

jej pój ście do sy piał ni! Co, gdyby po wie dzia ła „tak”? Co, gdyby była
tak pi ja na, że nie wie dzia ła by, co robi?

– Po wiedz coś, Ha ilie – po pro si ła mnie Mona.

– Co mam ci po wie dzieć? Ca ło wa łaś się z moim bra tem. Co ja mam na
to po wie dzieć? – Po tar łaś sobie czoło. Na praw dę nie wie dzia łaś, co
robić.

– Wiem, wiem, prze pra szam. Chcę być w po rząd ku wobec cie bie. Przy
kro mi, tak strasz nie mi przy kro, że to aku rat Tony. Ale to był tylko po ca
łu nek.

Na do mów ce. Nic nie zna czył. Wiesz, lu dzie cią gle to robią na im pre
zach.

– Nie gnie wam się, Mona – po wie dzia łaś wresz cie. – Muszę się z tym
oswo ić, bo mnie za sko czy łaś, ale nie gnie wam się. Nie na cie bie.

– Wiesz, Tony też nie za cho wał się źle. Nie był na chal ny ani nic z tych
rze -

czy. No i nawet za pła cił za tak sów kę.

– Co za dzeń tel men – burk nę łaś pod nosem.

Przez chwi lę sta ły śmy na prze ciw ko sie bie w ciszy, a na ko ry ta rzu za
moimi ple ca mi ro bi ło się coraz tłocz niej.

– Muszę po dejść do se kre ta ria tu przed eg za mi na mi. Mam coś do za ła
twie -

nia – oznaj mi łaś. – Zo ba czy my się póź niej.

– Okej... Dzię ki, Ha ilie. – Mona przy gry za ła wargę i sta ra ła się chyba
wy -

czy tać z mojej twa rzy, czy je stem ob ra żo na.

Nie chcia łam się przy niej dąsać, ale też trud no było mi try skać ra do ścia, więc ode szłam czym prę dzej, de cy du jąc się naj pierw prze tra wić tę in for ma -

cję w sa mot no ści.

Idąc szkol nym ko ry ta rzem, co chwi lę od wza jem nia łam czy jeś uśmie chy lub od ma chi wa łam zna jo mym, któ rzy po raz pierw szy od ja kichś dwóch mie -

się cy wi dzie li mnie w szko le.

Nie mo głam prze stać my śleć o Monie. Z ca łych sił ją uspra wie dli wia łam i szło mi to cał kiem nie źle. Sama wie dzia łam, jak to jest, kiedy wy pi je się za duzo i stra ci się nad sobą pa no wa nie. Gdy ja prze gię łam z al ko ho lem, byli ze mną bliż nia cy, by zabić moje głu pie po my śły w za łącz ku. Mona na to -

miast po zo sta wio na była samej sobie.

Za to uspra wie dli wia nie Tony'ego nie szło mi naj le piej. Dłó nie za ci ska ły mi się mi mo wol nie w pię ści na samą myśl o nim.

Moi bra cia są jak mgła, która opada na wszyst ko i wszyst kich wokół.

Każdy jest pod ich wpły wem, nawet moja je dy na przy ja ciół ka.

Bra cia. Monet. Są. Wszę dzie.

50

JA ŚNIE

KSIĘŻ NICZ KA

Kory tarz przy se kre ta ria cie o tej porze, i to jesz cze w dniu eg za mi nów, świe cił pust ka mi. Nie wie le osób, poza mną, miało tam coś do za ła

twie nia aku rat teraz.

Jakby moje życie było nie dość skompliowane, to wiecz nie miałam tonę do ku men tów, które mu się łam drować, dawać Vincentowi do podpiasu, a potem roznoś po różnych gabinetach.

W ogóle to Vince miał bardzo zabawne podejście do tych wszystkich pa-

rzyśk, które podstawiłam mu pod nos. On, wiecz nie załatwił co ho-

lika, mu -
siało odrywać się od zgłębiania poważnych kontraktów na grube miliony, żeby czytać ja kieś szkolne bzdury. Śmiać mi się z niego chciało, gdy wy -

wra cała oczami nad tymi bzdurami.

Z rozmyślań wyrwał mnie odgłos stukania. Odwróciłam się aku rat, za-

uwa -
jąc, jak zza winiała wychodzi chłopak. Jedno spojrzenie w jego stronę i pewna byłam, że go nigdy wcześniej nie widziałam. Jednocześnie do strze -

głam w nim coś znajomego, więc pierwsze, co przyszło mi na myśl, to, że mu się łamko ją rzyć go stąd. Ze szkoły, może mi ja liśmy się na stolówce. Był

starszy, bez dwóch zdań, więc dopatrzyłam się w nim kogoś ze zna-

jo -
mych bliźniaków.

Zbliżał się wolno, a za towarzyszący mu cichy odgłos stukania odpowiadała kula inwalidzka, o którą się podparł. Jego wzrok wbił się we mnie jak szpilki. Chłopak nie wyrażał wrości ani przyjaźni, ale taką dziwną nastrę -

ność, jakby wi dział mnie po raz pierw szy i prze pro wa dzał w gło wie
pewną ana li zę.

Lu dzie w szko le czę sto się na mnie gapią. Myślą, że robią to dys kret nie,
ale ja to widzę i tylko wzdy cham w duchu. Sta ram się to igno ro wać, choć
w tym wy pad ku nie zna jo my nie sta rał się być dys kret ny.

Po win nam była od razu po znać, że coś jest nie tak, cho ciał by po tym,
jak fa tal nie leżał na nim mun du rek. No gaw ki spodni zda wa ły się za
dłu gie, a wraz z ma ry nar ką dziw nie na nim wi sia ły. Było to po dej rza
ne, jako że nie któ rzy uczenio wie tej pry wat nej pla ców ki może i no si li
się nie chluj nie, ale z całą pew no ścią szko ła pil no wa ła, by za ku pio ne
przez nich ubra nia miały od po wied ni roz miar. W końcu uczenio wie to wi
zy tów ka na szej Aka -

de mii, jak czę sto dum nie gło si ła dy rek tor ka.

Po głę b szej ana li zie wy wnio sko wa łam, że chło pak zda wał się za stary
na li -

ceum. Na upar te go mógł by cho dzić do ostat niej klasy, ale wy głą dał bar
dziej na co naj mniej stu den ta. Jego twa rzy, choć cał kiem przy stoj nej,
bra ko wa ło na sto let niej świe żo ści. Oczy miał pod krą żo ne, a po licz ki
za pad nię te. Ciem -

ne włosy po zba wio ne bla sku. Bar dzo mu się roz czo chra ły i wy głą da
ły, jakby ich wła ści ciel prze ga pił ze dwie wi zy ty u fry zje ra. Oczy wy
trzesz czał

sze ro ko, a ich ciem ne tę czów ki mocno kon tra sto wa ły z biał kiem
gałek.

Im bli żej się znaj do wał, tym mniej kom for to wo się czu łam, choć prze
ko ny -

wa łam samą sie bie, że re agu ję tak, bo je stem prze wraź li wio na i z na
tu ry stra chli wa.

Cóż, nie ste ty, tym razem mój me cha nizm obron ny oka zał się mieć rację.

– Monet.

Przez chwi lę mia łam trud no ści z przy pa so wa niem tego za chryp nię te go głosu do po sta ci chło pa ka zmie rza ją ce go w moją stro nę, mimo iż prze cież był je dy ną osobą w za się gu wzro ku. Dźwię ki roz mów uczniów z ko ry ta rza obok po win ny do da wać mi otu chy, bo ozna cza ły, że nie je stem tu osa mot -

nio na, ale w ogóle mnie nie uspo ka ja ły. Mój nie po kój wzra stał z se kun dy na se kun dę.

Za trzy ma łam się i łyp nę łam na nie zna jo me go, ostroż nie ni czym pło cha wie wiór ka. Miał tak po dej rza ną aure, że przy szła mi nawet do głowy myśl, by da ro wać sobie ten se kre ta riat i uciec z po wro tem do ludzi.

Po wstrzy ma łam się przed tym, czego już za chwi lę po za ło wa łam.

– Oto ona – mruk nął do sie bie, tak su jąc mnie od stóp do głów, aż w końcu jego oczy za trzy ma ły się na mojej twa rzy.

Mia łam już dość osób, które mnie znają, a o któ rych ja sama nie sły sza łam ani słowa. Cza sa mi jest to za baw ne, cza sa mi iry tu ją ce. Cza sem mę czą ce.

A cza sem jesz cze bar dzo nie po ko ją ce. To po czu łam teraz – nie po kój.

Głowa do góry i patrz przed sie bie, Ha ilie. Igno ruj go, idź do se kre ta ria tu.

– To ty krę cisz z moim bra tem?

Od wró ci łam się.

Na twa rzy nie zna jo me go ma ło wał się trud ny do zi den ty fi ko wa nia uśmie -

szek.

Zmrużyłam oczy. To jasne, że od razu po myślałam o Leo, bo z nim było mi najbliżej do „kręcenia”. Pod czas naszych długich rozmów za wszelkie winy i grzechy walił się wokół te maty jego starszego brata. Była to delikatna sprawa, a fakt, że za dłużył się akuratu u mojej rodziny, do datki wo tylko ją kompli -

kował.

Ale czy to na prawdę on? Ze zmarszczy mi brwi przyglądając się jego prostemu nosowi, zapadniętym policzkom i ciemnej czuprynie. Jakaś nie -

wielka, cieńka, choć głęboka bliźniacza prawą brew. Był nie -

zdrowo chudy, chudszy od Leo. Koszulę wypuścił ze spodni. KraWat na to -

miast przebiegł sobie przez szyję. Shane i Tony też tak cząsem robiłi. Nie dzisiaj jednak, bo dzisiaj był dzień egzaaminów i wszyscy mu się li prezentać się nie na ganie.

Nie wiedziałam w nim zbyt wielu podobieństw do Leo.

– Zapytaj brata – odezwał się w końcu, pilnując, by nie drżał mi głos.

– Ta, jemu nie uwierzę – odparł, po czym zaśmiał się i pokręcił głową. –

Nie no, w życiu nie uwierzę, że wyrywał się strę Monotów, c’nie. Nie ma opcji. – Chłopak mruknął. Nie była to jednak oznaka sympatii, tylko tik, jak odkryłam po chwili, gdy mruknął znowu.

Zaciśnęłam usta.

– Przyjść niemy się.

– Dobra, jasne. – Machnął ręką i założył się, opierając całe ciało na kuli.

Rękaw jego mundurka założył mu prawie na palce. Założył się na luzny mankiet i zmarszczył brwi.

– Dla czego masz na sobie mundurki? I co ty tutaj właściwie robisz? Nie chodzi do tej szkoły.

Brat Leo skwił to wał moje podejrzliwie spojrzeć niekoło nim parsknięciem śmiechu.

– No jasne, że nie chodzi. Wolałbym się strześć w łeb, niż uczyć się wśród takich snobów.

– No to nie wiem, co tutaj w ogóle robisz.

Na twarz chłopaka założył uśmiech, nieco cwańszy od tych wcześniejszych.

szych.

– Przyśledłem po ciebie, Monet.

Jakaś dziewczyna pojął się znikąd i biegłem po nią do sekretaria tu, czyli tam, gdzie sama po winę nam była już dawno być. Drzwi szybko się za nią zamknęły i po chwili byliśmy sami.

Pod skórą położył się nieprzyjemny mrowienie.

– Nie mam na to czasu. Zaraz mam egzamin. Muszę iść – oznajmił twar-

do i zrobił krok do tyłu, gotowy do obrótu na pięcie.

– Nie pomożesz Leo?

Położył się mały wdech.

– Niby w czym?

– Ma kłó po ty, c'nie. – Mru gnął znowu i wiem, że to aku rat nie jego wina, ale na praw dę za czy nał mnie tym iry to wać. Zaraz potem się ro zej rzał. – Tak w ogóle to wi dzia łaś go gdzieś tutaj? Dzi siaj?

Nie wi dzia łam. Za miast to przy znać, tylko wpa try wa łam się w mo je go roz -

mów cę z ostroż no ścia.

– Mil cze nie wezmę za „nie”.

– No i co? Nie czę sto się wi du je my.

– Ale co, nie ży czył by ci szczę ścia? Dziś, przed eg za mi nem? Na do da tek mając szan sę cię zo ba czyć, Monet, pierw szy raz od dawna?

– Do czego pi jesz? O co ci cho dzi?

– Nie ma go tu, bo wpa ko wał się w kłó po ty, c'nie. Przy je cha łem po cie bie, żebyś mu po mo gła, c'nie.

– Niby jak mam mu pomóc? – za py ta łam nie uf nie.

Tro chę się zmar twi łam, nie po wiem, że nie, ale jed no cze śnie de ner wo wa ło mnie to owi ja nie w ba weł nę.

– Mu sisz je chać ze mną, Monet. Jak cie bie zo ba czy, to się opa mię ta.

– Co? – Pra wie się za śmia łam. – Nie znam cię, jak ty to sobie wy obra żasz?

Leo się ze mną nie kon tak to wał, poza tym mam zaraz eg za min. Nie mogę tak po pro stu gdzieś sobie z tobą je chać.

-Je stem Ryder, c'nie, brat Leo – przed sta wił się, a mnie od razu nie spodo

-

bał się jego pro tek cjo nal ny ton. – A Leo się nie kon tak to wał, bo ma kło po ty, w które się wpa ko wał i do któ rych się nie przy zna, zwłasz cza przed tobą, Monet. Jak mu nie po mo żesz, to bę dzie po nim, c'nie. Czy to nie waż niej -

sze niż eg za min?

– Co to za kło po ty?

– Za dużo ga da nia, c'nie. – Ryder mach nął ręką. – Chodź ze mną, po wiem ci wszyst ko po dro dze. Nie ma czasu, Monet.

– Nie. Cze kaj – przy sto po wa łam go. – Nie mogę sobie tak po pro stu z tobą po je chać. Jeśli Leo ma pro ble my, to mogę mu pomóc ina czej. W szkole są moi bra cia, za dzwo nię i po wiem, co się dzie je, oni coś po ra dzą.

Ryder za śmiał się lek ce wa żą co.

– Bra cia Monet coś po ra dzą? Jass sne. Braci Monet ob cho dzi tylko wła sna dupa, c'nie. – Po krę cił głową, wciąż opie ra jąc się na kuli. – Nie, Monet, cho dzi w tym wszyst kim o to, żebyś ty po mo gła Leo. To cie bie ma zo ba -

czyć. Tylko ty mo żesz go ura to wać.

– Za dzwo nię do Shane'a, zaraz tu przyj dzie – kon ty nu owa łam, игно ru jąc jego słowa. Wy ję łam te le fon i od blo ko wa łam go. Bez wie dzy braci nie za -

mie rza łam w nic się pa ko wać, a ufa łam, że w razie czego oni roz wią żą każdy pro blem.

Ryder zbli żył się do mnie, co mnie za sko czy ło, bo zro bił to prak tycz nie bez sze lest nie, gdy ja wpa try wa łam się w ekran ko mór ki. Tym razem nie ha -

ła so wał kulą, bo – jak się oka za ło – naj wy raż niej w rze czy wi sto ści w ogóle jej nie po trze bo wał.

– Pójdiesz ze mną – wyszeptał.

Osa czył mnie jak pe le ry na, która nagle opa dła mi na włosy oraz ramiona, po czym zaczęła się kurczyć, ograničając wolność. Ryder pochylił głowę i w ten sposób miał świetny widok na czubek mojej własnój. Czulał jego oddech. Nie określiła bym też jego zapachu przyjemnym. Uniósł rękę i się -

gnął za pachę.

– Odsuń się – syknęła, wstrzymując oddech.

– Pójdiesz ze mną – kontynuował, jakby mnie nie usłyszał, po czym od -

chylił ramiona narękę mundurka, gdzie od wewnętrznej strony wciśniętą miał

broń, której ostrze gawczy błysk osła pił mnie na ułamek sekund. Szyja aż mnie za bolała, gdy szarpnęła głowę w górę. Wgapiałam się onie miała w twarz Rydera, nie wierząc w to, co właśnie przede mną zaprezentował.

Żeby było jasne, ten widok broni robił na mnie wrażenie, tylko oko liczy -

ności, w jakich miałam przyjemność ją oglądać. Chyba nawet moi bra -

cia, wielcy, kurczę, strzelcy, nie chodzili uzbrojeni po szkolnych koryta -

rzach.

– Co, odjęło ci mowę, Monet? – parsknął Ryder i mruknął. – Nie no, żart.

Wiem, że nie. W twojej roli nie to pewnie poluka cie takie śniadanko.

Razem z kawą i pre cel kiem.

– Je steś nie nor mał ny – wark nę łam, ły piąc na niego spode łba. – Jaki ty niby masz plan? Za strze lisz mnie, ge niu szu?

– Ta, i co jesz cze? Co ja niby miał bym zro bić z mar twą Ha ilie Monet? Hm?

– Ręką, którą od chy lał ma ry nar kę, teraz puk nął się w czoło. I mru gnął.
–

Rusz głową, to byłby tylko nie po trzeb ny pro blem.

– To po co po ka zu jesz mi tę broń?!

Usta Ry de ra ufor mo wa ły się w mały, lekko zło śli wy uśmiech, ale jego spoj -

rze nie po zo sta ło chłod ne.

– Nie za strze lę cię, Monet, ale jeśli nie pój dziesz ze mną, to zro bię tu za dy -

mę, ja kiej nie było nawet w GTA.

W tam tym mo men cie jesz cze nawet nie za ko do wa łam, że po rów ny wał rze -

czy wi stość do ja kiejś na szpi ko wa nej prze mo cą gry kom pu te ro wej, a mimo to zro zu mia łam prze kaz jego słów do sko na le i po czu łam, jak bled nę.

Aku rat wtedy z se kre ta ria tu wy szła dziew czy na, która mi ja ła nas kilka chwil temu. Miała włosy ze bra ne do tyłu opa ską, pro sto kąt ne oku la ry i za -

cher wie nio ne jesz cze od wcze śniej sze go biegu po licz ki. Już się nie spie szy -

ła, tylko po wo li kro czy ła przez ko ry tarz, chyba umysł nie nie na wią zu
jąc z żad nym z nas kon tak tu wzro ko we go.

Na jej widok na tych miast prze łknę łam ślinę i prze nio słam wzrok na Ry
de ra, który mru gnął dwa razy z rzędu, nadal z dia bo licz nym uśmie chem
przy kle -

jo nym do twa rzy, po czym wy szep tał do mnie:

– Ona mo gła by być pierw sza. Pif i paf. By ło by po niej. My ślisz, że za ła
-

twił bym ją jed nym...

– Prze stań, prze stań! – prze rwa łam mu, a głos utknął mi w gar dle, przez
co za brzmiał słabo. Skrył się w nim jęk tak roz pacz li wy, że mi ja ją ca
nas dziew czy na go usły sza ła i rzu ci ła mi py ta ją ce spoj rze nie.

Ryder wska zał na mnie głową.

– Przed eg za mi no wy stre sik, c'nie – za chi cho tał do niej, jakby był zwy
czaj -

nym, dow cip nym ko leż ką, a nie psy cho pa tą.

Dziew czy na wy krzy wi ła usta w dzi wacz nym uśmie chu, ale nie za trzy
ma ła się i ulży ło mi, gdy znik nę ła za za krę tem.

– Wi dzisz? Luzik- arbuzik, Monet. Nic ni ko mu nie zro bię. Tylko mu sisz
mnie słu chać. Bę dziesz się słu chać? Mu sisz wie dzieć, że nie mam zbyt
nio nic do stra ce nia.

Coraz bar dziej pa ni ku jąc, po ki wa łam głową. Sta ra łam się, na praw dę,
z ca -

łych sił sta ra łam się wy my ślić, jak po wstrzy mać Ry de ra. Gdy bym
tylko mogła skon tak to wać się jakoś z bliż nia ka mi! Albo cho ciał z
Moną. Ale co by to dało? Nie po tra fi łam my śleć o ura to wa niu samej

sie bie, jeśli na szali le za ło życie in nych, kó rzy mo gli by je stra cić przez to, że nie wy ko na łam kilku głu pich po le ceń.

– Miod nie – skwi to wał brat Leo i wy pro sto wał się, na po wrót opie ra jąc się całym cię za rem ciała na kuli. Ro zej rzał się wkoło, po czym mruk nął do mnie: – A teraz daj te le fon.

Spoj rza łam na jego roz ca pie rzo ne palce, które wy cią gnął w moją stro nę.

– No już – po na glił mnie, po ru sza jąc nimi – szyb ciut ko, Monet, nie ma czasu.

Unio słam drzą cą dłoń i od da łam mu te le fon, uwa ża jąc, żeby przy pad kiem nie do tknąć jego skóry.

– Bi żu te ria też.

– Po co?

– Te stu jesz moją cier pli wość, Monet. Dawaj mi wszyst ko, co masz, c'nie, albo wiesz, co bę dzie.

Przez chwi lę mia łam na dzie ję, że on mnie po pro stu naj zwy czaj niej w świecie -

cie okra da i, cho ciał szko da było mi po zby wać się pa mią tek od ojca, to jed -

nak bar dziej za le za ło mi na wyj ściu z tego cało, dla te go naj pierw za bra łam się śla ma zar nie do zdję cia ze gar ka.

Z zalem prze ka za łam go Ry de ro wi, a na stęp nie wy cią gnę łam z uszu drob ne kol czy ki.

– To wszyst ko? Nie masz nic wię cej? Żad nych wi sio rów, bro szek? – wy py -

ty wał, przy oka zji ła piąc mnie to za jeden, to za drugi nad garstek, by same -

mu się prze ko nać. Cofnę łam się z obu rze niem, gdy za koł nierz mojej ko -

szu li wsu nął palec, szuka jąc tam śla dów łań cusz ka.

– Wszyst ko! – syknę łam.

– To super, Monet. Teraz pokaż kie sze nie.

Bez słowa wy wa li łam je na drugą stro nę. Oprócz świst ka, który nio słam do se kre ta ria tu, świe ci ły pust ką. Byłam zu peł nie bez bron na.

Wtedy za do wo lo ny Ryder szarp nął głową w stro nę ko ry ta rza, gestem po ka -

zu jąc, że czas się ru szyć.

– Tylko pa mię taj, Monet... – Ostrze gaw czo za ma chał pal cem tuż przed moim nosem. – Bez kom bi na cji, c'nie? Jedno krzy we spoj rze nie, a będziesz od po wie dział na za ma sa krę, którą będą wał ko wać w me diach przez na stęp -

ny rok.

– Zro zu mia łam – szepnę łam z jadem, choć w głębi ducha strach pa ra li żo -

wał mnie coraz bar dziej. I tak dzi wi łam się, że w ogóle byłam w sta nie sta -

wiać sta bil ne kroki. Szłam bli sko Ry de ra, a im bli żej pierw sze go, za tło czo -

ne go ko ry ta rza się znaj do wa li śmy, tym trud niej było mi od dy chać. Za czę -

łam się pocić i to by naj mniej nie z po wo du wizji opusz cze nia waż nych
eg -

za mi nów.

Głosy uczniów zle wa ły się w jeden. W pew nym mo men cie w ogóle za
głu -

szył je szum, który zni kąd po ja wił się w moich uszach. Taki ja ło wy, z do
-

dat kiem nie zno śne go pisku, jakby wła śnie ogłu szył mnie wy buch
bomby, i aż zer k nę łam na dło nie Ry de ra, by mieć pew ność, że nie speł
nił jesz cze żad nej swo jej groź by i to po pro stu moje ciało pa ni ko wa ło.

Vin cent miał rację. Po wi nien był za mknąć mnie w piw ni cy. A nie puszczać
do szko ły, nawet na ważny eg za min. Nie chciał tego, ale był to ro
dzaj testu, do któ re go nikt nie po zwo lił by po dejść zdał nie, we wła
snym domu. A ja tak strasz nie chcia łam tu dzi siaj być. Byłam świet nie
przy go to wa na i na do da -

tek pra gnę łam zo ba czyć się z Moną, i w ogóle wy ściu bić nos spoza re
zy -

den cji Mo ne tów. Dla mnie przy by cie na ten eg za min to atrak cja mie
sią ca.

No to teraz będę miała przy go dę.

– Idź w stro nę bocz ne go wyj ścia – szep nął do mo je go ucha Ryder, a
gdy się do niego ob ró ci łam, mru gnął. – Nie bój dzidy, Monet, będę tuż za
tobą.

Sta nął na pal cach, po raz ko lej ny udo wa d nia jąc, że nie po trze bo wał
kuli.

Za wi sła na jego łok ciu, gdy on wy cią gnął rękę do góry. W gar ści trzy
mał

moje skar by i nie po strze że nie po rzu cił je na jed nej ze szkol nych sza fek, któ rych całe rzędy stały po usta wia ne wzdłuż ko ry ta rza. Przy oka zji rę ka -

wem mun dur ka ze brał z jej po wierzch ni chma rę kurzu, z któ re go się na -

stęp nie szyb ko otrze pał. Nikt nie znaj dzie ich tam przez długi czas. Ewen tu -

al nie Sonny lub moi bra cia wy tro pią je po na daj ni ku w te le fo nie, ale kiedy?

– Nie oglą daj się – wark nął cicho Ryder, gdy po su wa łam się do przo du wzdłuż ko ry ta rza, rzu ca jąc nie któ rym mi ja nym prze ze mnie zna jo mym ner -

wo we uśmie chy i od czasu do czasu od wra ca łam głowę, by upew nić się, że wciąż za mną po dą ża. On wy trwa le od gry wał swoją rolę ka le ki, bo uty kał, a nawet przy brał umę czo ny wyraz twa rzy.

Trud no było mi uni kać spoj rzeń in nych, bo naj wy raź niej pod czas mojej nie -

obec no ści krą ży ło sporo plo tek na mój temat i teraz ludzi bar dzo in te re so -

wał ich obiekt.

A ja mia łam w gło wie tylko jedną myśl: oni wszy scy mogą umrzeć, jeśli się nie wezmę w garść i do brze tego nie ro ze gram.

Za zdro ści łam im. Ob gry za li wargi, bo ich naj więk szym stre sem był w tym mo men cie eg za min. Co ja bym dała, żeby mieć tylko taki pro blem.

Szłam pro sto do boc z ne go wyj ścia ze szko ły, które pro wa dzi ło na część par kin gu. Idąc, go rącz ko wo roz my śla łam nad tym, jakie mam opcje, ale nie było ich zbyt wiele. Mo głam albo po tul nie po stę po wać wedle jego in struk -

cji, albo próbować się ura to wać i za ryzykować stać się po wo dem
ma sa kry na skalę krajo wą.

Nie znałam tego chłopa. Nie wiedziałam, do czego jest zdolny. Wyglądał

na niepocty talne go i może li we, że taki własnemu był. Nie mogłam ryzykować.

Nie tutaj, nie w szkole.

Dźwięk stuknięcia o podłogę kuli Ryderer w mojej czasce
dziury, dekoncentrując mnie coraz mocniej. To nie mogło mu się udać.

Na końcu, stając tuż przed drzwiami prowdzącymi mi na zewnątrz, rozrzęca -

łam się rozpaczyliście. Tak bardzo chciałam bym ujrzeć bliźniaków.
Gdyby tylko mogli zobaczyć moje przeświadczenie, poznaczenie jego powód i
użyć swojej wyuczonej odmałżewności, by rozbroić tego psycho
chopaka, to przy się -

gam, że wyścisnęłam bym i wycałowałabym nawet Tony'ego, którego jesz
cze kilka chwil temu miałam ochotę rozszarpać na kawałeczki.

Ale moi bracia znajdowali się w zupełnie innym skrzydle, czekając na
zu -

pełnie inne egzaminy. Ich pojął wieś tuż przedbyłoby tak piękne,
że aż kompletnie nieprawdopodobne.

Pchnęłam drzwi i wyszłam na dwór, gdzie uderzył mnie mroźny po
-

wie trze. Teoretycznie po winno przeświadczenie mi głowę, do której na
stępnie nagle wpadłby mi jakiś genialny pomysł, ale nic takiego się nie
wydarzyło.

Za te le pa łam się z zimna, bo był prze cież sty czeń, a ja wy szłam bez kurtki.

Na traw ni kach le za ła nawet mała war stwa śnie gu.

Dwie osoby, które zna łam z wi dze nia, stały przy scho dach, obie owi nię te cia sno weł nia ny mi sza li ka mi, i po chy la ły się nad te le fo nem. Obe rwa ło mi się od nich tylko spoj rze niem, ale nie na tyle za in te re so wa nym, by trwa ło dłu żej niż kilka se kund.

Par king z tej stro ny bu dyn ku nie cie szył się dużą po pu lar no ścią, dla te go było tu mniej sa mo cho dów. Kilka miejsc wy zna czo no dla nie peł no spraw -

nych i Ryder, gra jąc swoją rolę ka le ki naj le piej, jak po tra fił, zajął oczy wi -

ście jedno z nich.

Szturch nął mnie w ramię i po wie dział:

– Wsia daj od stro ny pa sa że ra. Do tego po pra wej. Gra na to we go. Ruchy, ruchy, Monet.

Wóz Ry de ra był prze tar ty z tej stro ny, z któ rej wła śnie wsia da łam. Lu ster ko bocz ne się wy krzy wi ło, a całe auto pre zen to wa ło się nie chłuj nie, tak jakby jego wła ści ciel wziął nie daw no szma tę i pró bo wał na szyb ko zmyć nią błoto sprzed lat wżar te w ka ro se rię, tylko je roz ma zu jąc.

W środ ku nie było le piej. Pa nu ją cy tu bur del obrzy dził mnie na wej ściu.

Pod wi nę łam spód nicz kę i usia dłam na fo te lu, strze pu jąc z niego wcze śniej ja kieś pa pie ry i otłusz czo ne sre ber ko, czyli po zo sta łość po żar ciu na wynos.

Zmarsz czy łam też nos na nie przy jem ny za pach. Boże drogi, to był jakiś kosz mar.

Ryder szyb ko się uwi jał i już za mo ment sia dał za ob dra pa ną kie row ni cą.

Za trza snął za sobą drzwi, po czym na tych miast po zbył się kuli, wrzu ca jąc ją na tylne sie dze nia tak nie dba le, że pra wie nią do sta łam. Bałam się od wra -

cać i ogar niać wzro kiem znaj du ją ce się tam małe wy sy pi sko śmie ci.

– Sorry za ba ła gan, nie mia łem czasu ogar nać, c'nie – mruk nął, klu czy kiem sta ra jąc się wce lo wać w sta cyj kę, która była mocno po ry so wa na od wielu ta kich wcz e śniej szych prób.

Nie sko men to wa łem tego, tylko ro zej rza łem się po par kin gu. Może teraz mogę jakoś uciec? Może sama mo gła bym go roz bro ić? Był to do ro sły, star -

szy ode mnie chło pak, ale też nie zbyt roz gar nię ty. Nie mia łem przy sobie ab so lut nie nic, czego mo gła bym użyć jako broni, ale zer k nę łem pod moje nogi, gdzie plą ta ła się cała chma ra śmie ci. Może zna la zł by się tam jakiś nóż albo, nie wiem, pi sto let...

– Dobra. – Ryder po cią gnął nosem, ura do wa ny, gdy sil nik wresz cie od pa lił.

Po kle pał kie row ni cę, po ru szył ra mio na mi, rzu cił okiem na sy tu ację wkoło, a potem zer k nął na mnie. I mru gnął. – Na zie mię, Monet.

Po pa trzy łem na niego, uno sząc brwi.

– Co?

– Da jesz nura pod fotel, już.

Zer k nę łem pod nogi. Stopy trzy ma łem na ja kiejs ga ze cie. Nawet nie wie -

dzia łem, ja kie go ko lo ru dy wa ni ki tutaj miał.

– Niby gdzie?

– Mówię, że pod fotel. Dawaj no, już.

– Tu nie ma miej sca! – pi snę łam za ła ma na, zde gu sto wa na i coraz bar dziej wy stra szo na.

Chciał mnie prze my cić poza teren szko ły! Idio ta wie dział, że jeśli przy bra -

mie mnie zo ba czą, to go nie wy pusz czą. Pew nie wie dział, że gdzieś tam za nią czuwa też Sonny. W tej chwi li po za ło wa łam, że ochro nia rzo wi jed nak nie po le co no sie dzieć razem ze mną w kla sie. Do pie ro sobie uświa da mia -

łam, jak łatwo go było teraz wy pro wa dzić w pole i jak bar dzo ogra ni czo ny oraz bez u ży tecz ny był, będąc zmu szo nym zo stać poza te re nem mojej szko -

ły.

To się nie dzia ło na praw dę.

Ryder wes tchnął z iry ta cją i po chy lił się w moją stro nę, rękę za ta pia jąc w tym całym bur de lu pod moim fo te lem. Szyb ki mi i znie cier pli wio ny mi ru -

cha mi łapał w garść to, co mu się na wi nę ło, i od rzu cał wszyst ko na tyły sa -

mo cho du. Ga ze ty, jakaś prze pa lo na od pa pie ro sów brud na po dusz ka, puszc -

ki, pa pie ry róż nej maści i wiele in nych, bli żej nie okre ślo nych zło mów.

Chcia ło mi się pła kać na widok tego syfu. Pod czas tego eks pre so we go sprzą ta nia zła pał kar to ny po je dze niu i gdy je pod no sił, wy sta ją ca z pu deł -

ka, po ła ma na pa łącz ka chiń ska za dra pa ła mnie w nogę.

– Dobra, go to we, ja śnie księż nicz ko. Czy ściej nie bę dzie – oznaj mił i za -

pra sza ją co wska zał na pod ło gę. Po jego minie wi dzia łąm, że za czy nał tra cić cier pli wość. Wpa try wał się we mnie z po wa gą, ale w jego oczach wi dzia -

łąm, że się de ner wu je.

Po raz ostat ni omio tłam wzro kiem przy pró szo ny de li kat ną war stwą śnie gu par king. Dwie osoby, które stały przy scho dach, wciąż tam były i nie zwra -

ca ły na nas uwagi. Nic nie za po wia da ło na głe go, cu dow ne go ra tun ku.

Ryder cmok nął z iry ta cją i wy star czy ło, że się gnął za pa zu chę, z pew no ścią po to, by po gro zić mi tym swoim pi sto le tem, a ja ru szy łąm się i ukuc nę łąm w ma leń kiej prze strze ni przed moim fo te lem. Od razu się skrzy wi łąm, bo po czu łąm, jak twar de okru chy i kilka in nych rze czy wbija mi się w ko ła na.

– Może bę dzie le piej, jak scho wam się z tyłu? – za pro po no wa łąm, reszt ka -

mi na dziei ła piąc się ostat nie go po my słu, na jaki wpa dłam. Mo gła bym przy cza ić się za jego sie dze niem i użyć swo ich raj stop jako ga ro ty, pod du -

sza jąc go do nie przy tom no ści.

– Nie, nie le piej. Prze stań gadać i na dół – wark nął Ryder i chyba za czy na -

łąm prze kra czać jakąś jego gra ni cę cier pli wo ści, bo pod niósł rękę i agre -

syw nie na ci snął nią na moją głowę, zmu szał jąc mnie do schy le nia się.

Wy rwał mi się pisk, bo mnie za bo la ło. Ryder rzu cił, żebym się przy mknę ła, ale za brał dłoń. Nie mia łam od wa gi wię cej się pro sto wać, więc po pro stu ro bi łam, co w mojej mocy, by za do wo lić mo je go po ry wa cza. Nogi wsu nę -

łam pod scho wek, wy pię łam się w stro nę drzwi, a głowę naj pierw oplo tłam sobie rę ko ma, a potem po ło ży łam przy skrzy ni bie gów. Było mi bar dzo nie -

wy god nie. Ostat nio nie po dro dze mia łam ze spor tem, więc moje mię śnie teraz zgod nie pro te sto wa ły prze ciw ko ta kiej gim na sty ce, a śmie ci, kto rych nadal pię trzy ło się tu mnó stwo, draż ni ły każdą par tię mo je go ciała. Po li czek

trzy ma łam na zim nym, de ner wu ją co sze lesz czą cym pa pie rze po czip sach, coś chro po wa te go wbi ja ło mi się w udo, a jeśli za bar dzo po ru sza łam ko la -

nem, to obi ja ło się ono o coś ob le śnie wil got ne go, czego nawet nie chcia -

łam ana li zo wać.

Za ci snę łam oczy, nie wie rząc, że to się dzie je na praw dę. I to pod okiem moich braci, kto rzy dwo ili się i tro ili, bym była bez piecz na. Po wa ga sy tu -

acji bo le śnie we mnie ude rza ła, z każdą se kun dą coraz bar dziej. Przez moje nie szczel nie za ci śnię te po wie ki za czę ły prze do sta wać się łyzy. To ko lej na rzecz, kto rej Ryder albo nie za uwa żył, albo którą miał głę bo ko gdzieś. Ewi -

dent nie był zbyt sku pio ny na swoim pla nie.

Po czu łam, jak jakaś płach ta opada na moje ciało. Nie spo dzie wa łam się tego, dla te go moje oczy same się otwo rzy ły. Je dy ne, co zo ba czy ły, to

ciem -

ność. Przy gry złam wargi, bo go to wa byłam krzy czeć, a prze cież nie mo

-

głam. Bałam się coraz bar dziej.

– Nie ru szaj się. Nic a nic. Tak do brze, wła śnie – szep tał do mnie Ryder i po czu łam, że auto ru szy ło. Za czął cofać. – Jeśli nie chcesz, żeby ktoś umarł, to po win no za le żeć ci tak, jak i mnie, żeby wy je chać z tej za ki cha nej szko ły bez kom pli ka cji.

Nie od zy wa łam się ani nie ru sza łam zgod nie z in struk cja mi. Le za łam jak nie ży wa pod cież kim kocem, krzy wiąc się na smród, jaki tu pa no wał. Nie dość, że w dole nie zno śny za pach ku mu ło wał się jesz cze bar dziej, to na do -

da tek ten ma te riał (który sam w sobie też capił nie wy obra żal nie) ogra ni czał

do pływ czyst sze go po wie trza do moich noz drzy.

Szko ła, do któ rej uczęsz cza łam, to pry wat na pla ców ka, w któ rej cze sne wy -

no si kro cie. Nie każdy mógł sobie tutaj wejść i wyjść, tak wła śnie my śła łam do tej pory. Wy star czy ło naj wy raż niej wcie lić w życie śred nio do pra co wa ny plan. Na le za ło przy ta chać ze sobą kulę i uda wać nie peł no spraw ne go dzie -

cia ka ze sty pen dium, który ostat ni mi czasy ko rzy sta z na ucza nia do mo we go ze wzglę du na zła sa mo po czu cie, po ja wić się w mun dur ku młod sze go brata, ukraść mu też czip, który otwo rzy bramę wjaz do wą, a nikt nie wpad nie na to, żeby prze świe tlić cię do kład niej, nawet je że li wje dziesz na teren szko ły takim gru cho tem.

Li czy łam, że może Sonny się za in te re su je tym autem i tu po dej dzie. Par ko -

wał za wsze nie da le ko wjaz du. Tylko skąd miał by prze wi dzieć, że sie dzi tu ktoś nie bez piecz ny?

Po czu łam, jak po jazd po ru sza się do przo du. Nikt go nie za trzy my wał. Nikt nie wie dział, że w aucie znaj du je się po rwa na uczen ni ca szko ły. Z ust wy -

rwał mi się roz pacz li wy jęk.

Na po cząt ku wy da wa ło mi się, że krę ci my się tro chę po oko li cy, ale w pew -

nym mo men cie za czę li śmy się roz pę dzać i nie mu sia łam pa trzeć przez okno, by wie dzieć, że takie roz wi ja nie prę d ko ści mu sia ło ozna czać jedno.

Wje cha li śmy na drogę szyb kie go ruchu. Ryder mnie po rwał i udało mu się to bez błęd nie.

Po win nam wstać? Coś po wie dzieć? Ile ja mia łam tak leżeć?

Drgnę łam. Raz, potem drugi. Wresz cie sie dzia łam pod tym kocem tak długo, że za czę łam się dusić. Zro bi ło mi się za go rą co, a jesz cze tro chę i chyba umar ła bym od sa me go wdy cha nia tego świń skie go po wie trza. Gdy czu łam, że znaj du je się już na gra ni cy wy trzy ma ło ści, po ru szy łam ręką, by od chy lić koc, przy naj mniej na wy so ko ści głowy. Łyk nę łam wtedy haust tlenu, mimo iż wciąż nie naj lep szej ja ko ści.

– Co się tak ko ko sisz, Monet? – za py tał Ryder, na po wrót roz we se lo ny i o wiele bar dziej zre lak so wa ny, niż jesz cze przed chwi łą.

– Nie mogę od dy chać – po skar ży łam się chra pli wie. Na do da tek roz bo la ła mnie głowa, choć był to naj mniej szy z moich obec nych pro ble mów.

– To po co tam sie dzisz? Wsta waj, c'nie. Je ste śmy na dro dze.

Za ci snę łam zęby i wspię łam się na fotel. Łok ciem opar łam się o sie dze nie, a drugą ręką zrzu ci łam z sie bie ten obrzy dli wy koc. Trud no mi było

utrzy -

mać rów no wa gę, bo auto Ry de ra nie zbyt sta bil nie su nę ło nawet po sto sun -

ko wo pro stej dro dze. Cała byłam po ła ma na i ob le pio na okru cha mi. Pod cią -

gnę łam się wresz cie na ręce i zdo ła łam usiąść, od gar nia jąc z twa rzy włosy i otrze pu jąc się do kład nie. Przy oka zji ro zej rza łam się – moim oczom uka -

za ła się droga oto czo na z obu stron lasem. W tej oko li cy one wszyst kie wy -

glą da ły tak samo. Na ko niec zła pa łam koc w obie ręce i za rzu ci łam go na tyły sa mo cho du.

Ryder zdjął ma ry nar kę i sie dział już w samej ko szu li. Na jego ustach błą dził

za do wo lo ny uśmie szek. Pa trzył pro sto przed sie bie, ale co jakiś czas rzu cał

mi spoj rze nie kątem oka. Był prze szczę śli wy.

To chyba nie wró ży ło do brze.

Niby nie po zor nie ob rzu ci łam drzwi od swo jej stro ny szyb kim spoj rze niem.

Mo gła bym je otwo rzyć i wy sko czyć na ulicę. Je cha li śmy za ska ku ją co szyb -

ko, jak na moż li wo ści tego złomu, ale by ła bym w sta nie za ry zy ko wać, gdyby nie to, że Ryder za dbał, by wci snąć blo ka dy bez pie czeń stwa.

Po zo sta ła mi na razie gadka. Naj pierw się gnę łam po pas, by się za piąć, jako że nie ufa łam umie jęt no ściom jazdy tego oszo ło ma, ale ręką wy czu łam pust kę. Zdez o rien to wa na od wró ci łam się, by wzro kiem po szu kać kla mer ki, która po winna ster czeć gdzieś przy moim pra wym uchu, ale nie było jej tam.

Ten facet nie miał w aucie nawet pasów! Uciał je lub wy rwał.

– Ryder – za czę łam cicho i uprzej mie, sta ra jąc się go nie roz gniewać. – Leo wcale nie po trze bu je po mo cy, praw da?

Od po wie dzia ła mi wy mow na cisza, więc praw dy łątwo mo głam do my ślić się sama.

– Jaki ty masz wła ści wie plan?

On przez chwi lę mil czał, ale nie po to, by prze my śleć swoją od po wiedź. To nie był czło wiek tego po kro ju. Mil czał ra czej, bo nie wie dział, co po wie -

dzieć. W końcu jed nak prze chy lił głowę na bok i się ode zwał:

– Wiesz, jak cię na zy wa ją?

– Kto jak mnie na zy wa?

– No lu dzie, c'nie.

– Jacy lu dzie?

– Rusz głową, Monet. – Ryder wy wró cił oczami. – Wiesz, że twoja ro dzin -

ka jest udana i tak samo uda ny mi cu da ka mi się ota cza.

– No to jak mnie na zy wa ją?

Ryder uśmiech nął się cał kiem sym pa tycz nym uśmie chem, innym niż do tej pory.

– Pe reł ka Mo ne tów.

Unio słam brwi.

– Jak...?

– Sły sza łaś – mruk nął i po krę cił głową, po czym par sk nął. – Pe reł ka Mo ne -

tów. Od na le zio na po la tach, je dy na córka Cam de na Mo ne ta, młod sza sio -

stra słyn nych braci Monet. Je ba na pe re lecz ka. – Za śmiał się pod nosem i rzu cił mi roz ba wio ne spoj rze nie. – Która teraz sie dzi w moim aucie.

Prze łknę łam ślinę. Moje serce za bi ło moc niej jed no cze śnie z roz ko szy i prze ra że nia.

– Chcę spraw dzić – kon ty nu ował – ile tak na praw dę je steś warta.

– To jest twój świet ny plan? Po rwa nie dla okupu?! – za wo ła łam, tra cąc nerwy i nie do wie rza jąc jed no cze śnie.

– Twoi bra cia pa no szą się wszę dzie, jakby byli bo ga mi. Wiel ka, waż niac ka ro dzin ka. Wy star czy, że im się nie spodo basz, a już je steś spa lo ny na star -

cie, c'nie...

– Czy ty się cza sem sam u nich nie za dłu ży łeś?

Ryder szyb ko spo chmur niał i teraz pro wa dził z nie wi dzą cym wzro kiem wbi tym w jezd nię oraz po nu rym wy ra zem twa rzy.

– Po ży cza ją ci pie nią dze i po ży cza ją, i po ży cza ją, a nagle ko niec...
– Ode -

rwał na chwi lę dłoń od kie row ni cy i pstryk nął pal ca mi. – ...i robią pro blem, zni kąd zu peł nie. Trze ba od da wać, c'nie. Bo im się tak za chcia ło.

I się z nimi nie do ga dasz. W dupie mają tłu ma cze nia. Wszyst ko się dzie je wedle ich pie przo ne go wi dzi mi się. Nie waż ne, czy masz hajs, czy nie. Nic do nich nie do cie ra. Pa ni ska, myślą, że są nie wia do mo kim.

– Trze ba było po ży czać pie nią dze le gal nie, na przy kład w banku – mruk nę -

łam z prze ką sem.

Nie za mie rza łam bro nić swo ich braci, bo wie dzia łam, że świę tosz ka mi nie są, ale w tym wy pad ku uwa ża łam, że Ryder pre ten sje może mieć przede wszyst kim do sie bie.

– Jezu, Monet – wes tchnął, od rzu ca jąc głowę do tyłu. – Jaka ty je steś ode -

rwa na od rze czy wi sto ści. No ale nie ma się co dzi wić, c'nie...

– Ja ode rwa na od rze czy wi sto ści? – Obu rzy łam się. – W po rów na niu do cie bie wiem, że jak coś po ży czam, to muszę od dać. Tak dzia ła świat.

– Ta jasne, wiesz, jak dzia ła świat w teo rii, ale gówno znasz się na prak ty ce.

Żaden bank nie po ży czy mi pie nię dzy. Oni po ży cza ją tylko pe dan ci kom w ga jer kach. – Mru gnął. – No a nie wszy scy uro dzi li się w ro dzi nie, gdzie pod cie ra się tyłki bank no ta mi. Jakoś se trze ba ra dzić.

– To może idź do pracy? – za su ge ro wa łam.

Nie chcia łam brzmieć prze mą drza le, ale on sam się pro sił. Poza tym po zwa -

ła łam sobie na tyle, bo prze cież przez więk szość życia też da le ko mi było do zaj mo wa nia uprzy wi le jo wa nej po zy cji. Wcale się tak bar dzo od niego nie róż ni łam.

– I haruj za dzie sięć do lców za go dzi nę jak mój za ło sny bra ci szek? Po dzie -

ku ję.

– Nie mów tak o nim – upo mnie łam go. – W po rów na niu do cie bie on cięż -

ko pra cu je, żeby wyjść na ludzi. I to na pewno mu się opła ci.

Ryder prychnął i robił teraz wyjątkowo mroczny wrażeń. Pastry przed siebie na skrytą wśród złowieszczych drzew drogę. Znowu zaczął prószyc lekki śnieg. Czaś mi czułam, jak auto ślizga się nieco na jezdni, i po prostu stało mi się dynie dziękować w myślach za to, że droga była pusta i jechalibyśmy prosto. Po winno obejść się bez gwałtownych manewrów.

– A co ty o mnie wiesz, Monet?

Milczałam przez chwilę, dumając nad tym, na ile mogę sobie z nim pozwolić -

lić.

– Wyłeczyłeś się już z nałogu? – zagadnęłam znikąd.

Ryder spojrział na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Palce za cisnął

mocniej na kierownicy.

– Nie twoja sprawa.

– Skończyłeś już odwyk? – dążyłam. Ja z kolei kurczowo pałam się brzo -

gu swoje go się dzieła.

Ryder za cisnął wargi w prostą linię, a brwi miał nastraszony. W pewnym momencie jego poprzecznie przebiegło się na mnie.

– A ty skończyłeś już truć? Jesteś wnerwiająca.

– Czyli nie skoń czy łoś? – do py ty wa łam.

Nie od po wia dał.

– Dalej bie rzesz?

To było o jedno py ta nie za da le ko, bo palce Ry de ra aż zbie la ły, na to miast jego twarz po czer wie nia ła. Men tal nie się spo licz ko wa łam. Głu pia, i po co było ci go draż nić?

My śla łam, że chło pak jed nak zde cy du je się otrzą snać i nie da się tak łatwo pod pu ścić, ale za po mnia łam, że nie roz ma wiam z Vin cen tem, tylko z ja -

kimś mło do cia nym ćpu nem.

Ryder naj pierw do ci szał pe da łu gazu, jakby chciał tym za de mon stro wać swoją wście kłość, a na stęp nie, ku mojej krót ko trwa łej uldze, za czął zwał -

niać. Wtedy już po sta no wi łam, że le piej się nie od zy wać, więc w mil cze niu ob ser wo wa łam, co się dzie je. Coraz moc niej trzy ma łam się wła sne go fo te -

ła, ciąg le pa mię ta jąc o tym, że po wierzch nia jest śli ska, a mnie nie chro ni pas bez pie czeń stwa.

Chło pak wresz cie za trzy mał się i udało mu się to zro bić bez wpad nię cia w po ślizg czy spo wo do wa nia tra gicz ne go w skut kach wy pad ku. Auto sta nę -

ło na po bo czu, które jed nak nie było sze ro kie, a zaraz już za czy na ła się ścia na drzew, dla te go po jazd wciąż w po ło wie znaj do wał się na jezd ni. Nie po wi nien to być wiel ki pro blem, bo naj wy raż niej inne auta nie czę sto ją prze mie rza ły.

Pro ble mem było zaś to, że Ryder z bocz nej kie szon ki w drzwiach wyjął sobie wła śnie mały wo re czek z bia łym prosz kiem.

MYŚL, HA ILIE

Co ty ro bisz?! – krzyk nę łam gło śno, a jedna z moich dłoni po wę dro wa
ła au to ma tycz nie do klam ki z mojej stro ny. Przy oka zji od kry łam, że
jest uła -

ma na, więc nawet jeśli drzwi by ły by otwar te, to i tak mo gła bym mieć
trud -

no ści z wy do sta niem się na ze wnętrz.

Świet nie, jest po pro stu coraz le piej.

– Co? Sama za czę łaś – prychnął, re lak su jąc się na sam widok nar ko ty
ku.

– Chyba nie za mie rzasz... Prze cież pro wa dzisz! – za wo ła łam z prze ra
że -

niem.

Wci snę łam się w kąt, jak naj da lej od Ry de ra. Tak jak bym bała się, że
też się na ćpam od sa me go pa trze nia na ko ka inę.

– Luz, Monet, po cu krze mam za wsze lep szy re fleks.

Mru gnął. Dwa. Razy.

To jakiś kosz mar. Nie dość, że upro wa dził mnie nie zrów no wa zo ny psy
-

chicz nie czło wiek, to jesz cze na do da tek zaraz miał być rów nież na ćpa
ny.

Ryder ro zej rzał się po ota cza ją cej nas pu st ce. Las zda wał się groź ny, a
gęsto osa dzo ne tu drze wa su ro we i obo jęt ne. Jak pu blicz ność, która
oglą da małe emo cjo nu ją cy film. Na drogę coraz licz niej opa da ły płat

ki śnie gu, a ja sama trzę sła bym się za pew ne z zimna, sie dząc w tym po zba wio nym ogrze wa nia gra cie, gdyby bu zu ją ca w moich ży łach ad re na li na nie umoż li wi ła mi igno -

ro wa nia ta kich nie do god no ści.

– Ryder... – jęk nę łam, gdy pod wi nął rękaw ko szu li i na lewą dłoń na sy pał

sobie nieco prosz ku.

Igno ru jąc mnie i bar dzo uwa ża jąc, by nic nie zmar no wać, znowu się gnął do wspo mnia nej kie szon ki w drzwiach i wyjął z niej znisz czo ną, ale wciąż od -

po wied nio sztyw ną wi zy tów kę. Przy jej po mo cy za czął for mo wać sobie na dłoni kre skę.

On zaraz po waż nie bę dzie przy mnie wciąż gał ko ka inę, czy kto wie, co to tak wła ści wie było. Prze stra szy łam się jesz cze bar dziej. Lu dziom od bi ja ło po nar ko ty kach i to jest fakt, a nie tylko puste ostrze że nia żyw cem wy cią -

gnię te ze szkol nych warsz ta tów.

Co jeśli Ryder sta nie się agre syw ny lub jeśli coś sobie ubz du ra i jed nak po -

sta no wi mnie skrzyw dzić?

Chło pak kilka razy po cią gnął nosem, z cho rym utę sk nie niem wpa tru jąc się w kre chę bia łą go prosz ku, roz cią gnię tą na jego dłoni. Jakby nie zjadł dziś śnia da nia, a ktoś pod su wał mu pod nos pysz ny lunch.

– Zdrów ko – mruk nął i po ło żył palec na pra wym skrzy deł ku nosa.

– Ryder! – krzyk nę łam znowu, tym razem bar dziej zde cy do wa nie, i zanim po my śła łam, z całej siły na par łam na jego ramię.

Po le ciał na drzwi, głową ude rzył lekko w szybę, ale bar dziej niż to za bo
ła ła go utra ta sta ran nie przy go to wa nej dział ki jego cukru. Roz sy pał
się mu po ko la nach, sie dze niu i pod ło dze. Gdy sobie to uświa do mił,
drgnął, jakby do -

stał ja kie goś ataku, a na stęp nie za czął oce niać szko dy, jakie spo wo do
wa -

łam.

Wy ba łu szo ny mi oca mi wpa try wał się w roz dmu cha ny pro szek, któ
re go nie dało się już ra czej ze brać. Za cho wy wał się, jakby nie ro zu
miał, co się wła -

śnie wy da rzy ło, i wszyst ko to do cie ra ło do niego w opóz nio nym tem
pie.

Ja sama za sty głam, oszo ło mio na i ze stre so wa na wła snym czy nem.
Po wo li od da ła łam się od niego, z po wro tem wci ska jąc się w mój bez
piecz ny ką,

do brze wie dząc, że zaraz za pła cę za mój gwał tow ny i w ogóle nie prze
my -

śla ny ruch.

Naj pierw za czę ły mu się trząść ręce. Potem po wo li uniósł głowę i wbił
po -

ciem nia ła spoj rze nie we mnie, do dat ko wo kilka razy upior nie mru ga
jąc.

Au to ma tycz nie ro zej rza łam się za jakąś bro nią, czym kol wiek, co mo
gła -

bym użyć prze ciw roz wście czo ne mu nar ko ma no wi na gło dzie.

– Po pie przy ło cię?! – wrza snął na mnie, a ja przy mknę łam na chwi łą
po -

wie ki, bo jego krzyk w tak małej prze strze ni oka zał się nie do znie sie
nia.

To, co na stą pi ło póź niej, prze ra zi ło mnie jed nak jesz cze bar dziej.
Ryder rzu cił się na mnie i szarp nął mnie za moją ko szu lę, przez co mój
tułów wy -

giął się jak łuk. Spa ra li żo wa na stra chem, szu ka łam czło wie czeń stwa
i nor -

mal no ści w jego ciem nych tę czów kach, ale w tym mo men cie przy po
mi nał

je dy nie roz ju szo ne go wil ko ła ka, z któ rym żadna dys ku sja nie miała
sensu.

Co nie ozna cza ło, że sie dzia łam cicho.

– Pusz czaj!

Usłu chał, tylko że pchnął mnie tak, że po le cia łam na deskę roz dziel czą i
ude rzy łam się czub kiem głowy w przed nią szybę. Za bo la ły mnie też
szyja i brzuch. Ledwo żywa opa dłam z po wro tem na swoje miej sce, od
dy cha jąc cięż ko.

– Głu pia cipa – syk nął pod nosem Ryder i teraz z kolei sku pił się na zmia
ta -

niu jedną dło nią w drugą resz tek prosz ku, które osa dzi ły się na sie dze
niu.

Nie zbyt mu to wy cho dzi ło, bo nie było tam czego zbie rać. – Po wi nie
nem cię za ła twić i już.

Rękę przy kła da łam do żeber, bo to tam się naj bar dziej po obi ja łam.
Prze chy -

li łam głowę tak, by wi dzieć do kład nie mo je go po ry wa cza.

– Tylko co ty zrobisz z matką Ha ilie Monet – występka łam słabo, czy tując jego wczesną wyprawę po wiedzę.

To była moja przebiegłość. Jeśli Ryder ma rzyść o oku pie, po trzech bo walczył mnie żywej. Za pewno własnemu dziełu przed sobą kunda w ostatniej chwili się opiera -

no walczył, mimo tak wielkiej złości.

– Coś bym wymyślił – odburknął wyzywająco, a ja za cisnęłam wargi. – Raz było blisko, c'nie.

Zmarsz czy łam brwi, a on zaśmiał się na widok mojej pogubionej miny.

– Nie jesteś ty – kontynuował – chyba nie przypasował ci zapach perfum, coś ich na tobie nie czuję.

I mruknął.

Opierałam dłoń i mimo boleści wyprostowałam się, a na moim zeszywanym

łym ciele pojawiły się ciarki.

– Perfumy – wyszeptałam.

Za dużo się w moim życiu działo, bym przypasowała pościel brata Leo do osoby, która próbowała mnie zabić. Za mało praw do dobrej było.

Od razu przywołałam z pamięci ciemny, który Vince i ojciec pokazali mi u Blanchy. Czy tam ten ubrany w zbyt duże, eleganckie ciuchy mężczyzna zna to mógł być Ryder?

Mógł.

– Słodki zapach dla słodkiej dziewczyny. – Uśmiechnął się.

– To ty!

Z grozą wy ma lo wa ną na twa rzy po krę ci łam głową.

Ryder wzru szył ra mio na mi.

– Dla za ba wy. Taki wiesz, pre zent dla Pe reł ki Mo ne tów, c’nie – za śmiał się.

– Szko da, że nie tra fio ny.

– Chcia łeś mnie zabić! – wy krzyk nę łam i gdyby tylko było tu wy star cza ją -

co miej sca, to ze rwa ła bym się na równe nogi.

– Nie cho dzi o cie bie, Monet. – Mach nął ręką. – Twoi bra cia sami się na ra -

zi li. Wiesz, okra da ją moją matkę i takie tam, c’nie.

– Je steś psy chicz nie chory! Dałeś mi per fu my z kwa sem! Skąd w ogóle taki po myśl?! Za bił byś mnie!

– Dobra, nie po si kaj się. Nic ci nie jest, jak widzę, c’nie.

Chcia łam coś po wie dzieć, może nawet wy zwać go naj wul gar niej, jak po tra -

fi łam, ale głos uwiązł mi w gar dle. Co za okrop ny czło wiek. Pra wie mnie zabił.

Brat Leo.

– Chcia łeś mnie zabić – po wtó rzy łam cicho do sie bie, prze tra wia jąc te słowa.

Ryder prze krzy wił głowę.

– Nie, teraz chcę cię zabić, bo mi, kurwa, roz sy pa łaś mój koks.

– Skąd wie dzi łoś, że będę na tam tym przy ję ciu w ho te lu? Śle dzi łoś mnie?

– za py ta łam, marsz cząc brwi.

– Nie, Monet, nie śle dzi łem. Trud no się cie bie śle dzi, wiesz, masz sporą ob -

sta wę. Ale ze dwa czy trzy razy mo głę m sobie przeję rzeć te le fon mo je go bra cisz ka. A sporo sobie mó wi cie, c'nie.

– Czy ta łoś wia do mo ści moje i Leo? – obu rzy łam się.

– Opła ca ło się prze ko pać przez te wasze przy nu dzań sko.

Spu ści łam głowę, jak bym spo dzie wa ła się, że wy ja śnie nie pod łe go za cho -

wa nia brata Leo znaj dę na swo ich ko ła nach.

– I co – burk nę łam, ły piąc na niego spode ła – za kra dłoś się do ho te lu w cu dzych, ele ganc kich ciu chach, pod rzu ci łoś fał szy wy pre zent i zwia łoś?

Tro chę się na tru dzi łoś, w końcu taka akcja wy ma ga ła planu...

Ryder za śmiał się wred nie.

– Nie zła in ter pre ta cja z tymi ciu cha mi. Traf na – przy znał i wzru szył ra mio -

na mi. – Trze ba było się jakoś wpa so wać w grono tych bu fo nów, c'nie.

Ja kieś auto wła śnie nas wy mi nę ło. Za uwa ży łam je, do pie ro gdy po je cha ło dalej. Było i znik nę ło jak duch. Wy msknę ło mi się cięż kie wes tchnię cie.

Ryder też zer k nął za sa mo cho dem, po czym uśmiech nął się do mnie jesz cze zło śli wiej, mru ga jąc. Wie dział, że nie wąt pli wie po gło wie cho

dzi mi ucieczka. Nie skomien to wał jednak tego, a po prostu koniecznie
ował swoje wywoły, które coraz mniej mnie, szczerze mówiąc, in te re
sowały.

– A cała akcja, jak to nazywałeś, Monet, nie wyraża żadnego planu.

Wszystko było spontaniczne. Wy starczy mieć głowę i kumać, c’nie –
po -

chwycił się mego siebie Ryder, dumnie wypinając pierś do przodu. –
Jakżo -

ba czyłem, w którym to roku obiecałeś tę waszą imprezję, to było jak
znak z nieba, c’nie. Jak handlowałem dla Ricardo Arroyo, to grubas za
wsze chciał spotykać się tylko tam, więc całkiem nieźle ogarniam te ich,
wiesz, lobby i tak dalej.

– A perfu my? Skąd wy trzasnąłeś tak żrący kwas?! – za pytałem, a
przed oczami stał mi obraz dziur w pałacych w naszym dwuwieżowym
sałonie.

– Stary był chemikiem. Spierdoł, ale w piwnicy po prostu wiał jakiejś
swojej eliksiry. Co, Leos nie wspominał?

Chwila mojej konsternacji wystarczyła, bym sobie uświadomiła, że
tak, wspominał. Przy naj mnie o tym, że jego tato studiował chemię.
Właśnie sobie przypomniałem, jak o tym opowiadał.

– Tak to u mnie w chacie wygląda, scho dzisz po wodę, a znajdujesz
inne...

substancje. – Ryder po ciągnął nosem, zaśmiał się i mruknął.

– Znałaś kwas i po myślałaś sobie, że za morowaliśmy nie mnie za jego
pomoc -

całą dziedzielnym po myśłem? I to tylko dla tego, że masz coś do
moich braci? – wyszeptaliśmy z nie do wiary.

– No, a przy oka zji oca lił bym młod sze go brata, c’nie. Gdzie są Mo ne to wie, tam są pro ble my. Mówię mu, a on nie słu cha. I się wpier dzie la bez sensu w re la cję z tobą, Monet, która źle się dla niego skoń czy.

– Nic nie wiesz o na szej re la cji i nie twoja spra wa, jak się ona roz wi nie –

wy tknę łam mu ze zło ścią w gło sie.

Leo nigdy nie po dzie lił się ze mną tym, że jego brat skoń czył bądź prze rwał

odwyk. W związ ku z tym nie in for mo wał mnie też o jego uwa gach czy nawet za strze że niach do ty czą cych na szej przy jaź ni.

– Dobra, wiesz... – Ryder mach nął lek ce wa żą co ręką. – Teraz to już w sumie nie waż ne, c’nie. Jed nak do brze się stało, że się nie po dziu ra wi łaś, bo mój ak tu al ny po myśl jest lep szy. – Mru gnął, pa trząc mi pro sto w oczy. –

Ko rzyst niej szy.

– I co, my ślisz, że moi bra cia za pła cą ci okup i od puszc zą? – prychnę łam.

Bła gam, prze cież nie trze ba być ich sio strą i miesz kać z nimi pod jed nym da chem, żeby wie dzieć, że bra cia Monet są za wię ci jak mała kto.

– Myślę, że za pła cą, a potem będą sobie mogli mnie szu kać. Jak igły w stogu siana. C’nie.

Zer knę łam na zegar na desce roz dziel czej. Eg za min mu siał się już za cząć.

Cie ka we, czy za uwa żo no nie obec ność jed nej z uczen nic. Jeśli tak, to szyb -

ko wy tro pią po ka me rach auta, które nie daw no opuśc za ły teren szko ły w tam tych go dzi nach. I nas znaj dą.

Im dłużej stałiśmy w miejscu, tym lepiej dla mnie.

– Ale żeby odebrać pieniądze, będziesz musiał zdradzić swoją lokalizację.

– Nie, Monet, za bieram cię daleko, koniecznie tu jestem z Monetami, a potem oni wysłała mnie na wskazane konto, oczywiście. Ja po prostu jestem z banku,

oni wtedy do wiadomości się, gdzie przebywamy, ja spać dam, oczywiście, ciebie zostawię -

wiem i wszystko jest elementarne. Jeśli będą próbować kręcić, to obrwie się tobie. Proste, oczywiście.

Moim zdaniem to wciąż nie brzmiało jak plan do skona, ale w ogóle nie czułam potrzeby wytykania tego Ryderowi. Cieszyłam się, że w pewnym momencie planował mnie puścić wolno. Oznacza to, że jeśli wszystko się uda, to istnieje spora szansa, że przeżyję to porwanie.

Oczywiście, tylko jeśli jego nie zrównoważenie nie miało to powodzenia. Bo Ryder, najwyraźniej wciąż wyjątkowo dołony z siebie i swoich miśternych założeń, nie sprawił wrażeń osobom przy zdrowych zmysłach. Po twierdził

to po raz kolejny. Poruszył się i sięgnął znowu do schowka w drzwiach.

Wyjął z niego mały i szczelnie scalony woreczek kokainy.

Jesz cze jeden.

Październik, jak chłopa po nowo opiera się wygodnie na swoim siedzeniu, odkrywa mankiety mundurka, wsuwa je i jeszczę bar dziej i wyśtawia sobie dłoń, niczym ta leria przez kąski.

– Do tknij mnie raz jeszczę, Monet, a od strzele ci łapę – za grozi mi, w ogóle na mnie nie pażąc, gdy poruszyłam się nie spokojnie.

Ryder na chwi lę odło żył wo re czek na ko la na, żeby znie cier pli wio ny mi, mało pre cy zyj ny mi ru cha mi wyjąć pi sto let. Za ma chał nim, zanim wci snął

go sobie pod udo tak, abym do brze wi dzia ła, że trzy ma go w peł nej go to -

wo ści do uży cia.

Muszę coś zro bić, nie mogę tu sie dzieć jak idiot ka i pa trzeć, jak chło pak się odu rza, a na stęp nie wy wo zi nas ze stanu.

Myśl, Ha ilie, myśl.

Pa trząc na biały, groź ny pro szek, który Ryder po now nie na sy pał sobie na ze wnętrz ną stro nę ręki, na bra łam de ter mi na cji. Wciąż sie dzia łam nie ru cho -

mo, ob gry za łam wargę i tylko roz głą da łam się w po szu ki wa niu do brych po -

my słów. Moją szcze gól ną uwagę przy cią gnę ło wy sy pi sko gnieź dżą ce się na ty łach auta. A po chwi li do strze głam tam coś, co mnie za in te re so wa ło.

Nie no, to czy ste sza leń stwo.

Nie uda mi się.

To sta rał się prze ka zać mi rozum, ale usta żyły wła snym ży ciem, bo za chwi lę się otwo rzy ły i padły z nich słowa.

– Hej, Ryder. Tro chę tu chłod no. Mogę koc?

Ryder, za ję ty for mo wa niem kre chy, rzu cił obo jęt ne spoj rze nie do tyłu i tylko kiw nął na odwal głową...

– Dzię ki – mruk nę łam cicho i po wo li się gnę łam po ten okrop ny, za wszo ny koc, przy oka zji dys kret nie prze my ca jąc w nim ostrą, zła ma ną

pa łącz kę chińską, którą wczęśniej się za dra pałam. Sterczała wśród
chmary śmieci i pa trzymała na mnie jakby za chęca jąco.

Bar dzo uważałam, by Ryder jej nie dostrzegł, i od razu owinęłam się
kocem, marszcząc nos, gdy po nownie po czułam za pachstęchli zny.
Pod nim ścisnęłam w pięści swoją nową broń tak mocno, że jeszcze chwila
i bym ją zmiażdżyła.

Cze ka łam na naj lep szy mo ment, by rzu cić się na chło pa ka i dra snać go.

Może w brzuch albo w oko? Bez piecz nie by ło by ce lo wać w gar dło, jed nak nie chca łam go od razu mor do wać. To w końcu brat Leo.

Jeśli jed nak tylko go uszko dzę, on w zło ści może skrzyw dzić mnie. Po win -

nam dzia łać pew nie i się nie wahać.

– Taa – ode tchnął Ryder, gdy wcia gnał pierw szą dawkę.

Długo po cią gał nosem, a na stęp nie uśmiech nął się, przy my ka jąc po wie ki.

Ob ser wo wa łam go z uwagą, jakby miał za mie nić się teraz w ja kieś mi stycz -

ne mon strum. Nic się jed nak z nim nie dzia ło i po chwi li z za do wo le niem przy stą pił do wcia ga nia po zo sta ło ści bia łej sub stan cji, które za cho wał

sobie, naj wi docz niej, na drugą nóżkę.

Raz się żyje, czy tak to się mówi? Od rzu ci łam koc i sko czy łam na niego, a pa łecz ką dźgnę łam go w szyję. Kiedy za mach nę łam się po raz drugi, prze cią gnę łam ją po jego skó rze w dół, co wy wo ła ło u Ry de ra gło śny jęk bólu. Przy trze cie j pró bie zo sta wia łam mu sporą szra mę na po licz ku. Aż od -

chy lił głowę i wtedy otwo rzył oczy, w któ rych ozna ki chwi lo we go roz ko ja -

rze nia szyb ko zo sta ły za stą pio ne przez wście kłość.

Jego palce za ci snę ły się na moim nad garst ku. Bo le śnie wy krę cił mi rękę.

Po skutko wało, bo wypuściłam z niej pałeczkę. Gdzieś upadła i zniknęła wśród innych śmieci. Wtedy wydało się jeszcze, że Ryderowi udało się odeprzeć mój jedyny niechwilowy sukcesywny atak. Przez ciężki ból w nadgarstku -

ku był tak mocny, że przez kilka sekund się byłam w stanie jedyny nie na nim. Gdy jednak dostrzegłam, że on sięga po pistolet, spała i kochałam i zmusiłam się do działania. Wiedziałam bo wiem, że tym razem mi nie od -

puści. Znowu zmarłowałam mu narokotyki i tym razem miałam za to obie -

rwać.

A on zdążył już się trochę naćpać. Trudno więc było nawet przeze mnie, z jaką stroną Ryder miał teraz do czynienia. Na dodatek go zraniłam, więc już w ogóle szanse na otrzymanie liście zdawały się nikłe.

Wiśnięłam nad nim, a kolano wbiłam w jego udo, pod którąkolwiek broń.

Przechyliłam się w prawo, bo skręcało mnie z bólu w tym nadgarstku, który chłopa bezliście uciskał. Kątem oka widziałam, jak na twarz i szyję położyła jej wia mu się krew w zadanych przeze mnie zadraśnięciach, jak jego źrenice za czyją się rozszerzać, a z nosa otrze jej się resztki krwi -

łęgo prosił. Aby powstrzymać go przed chwyceniem pistoletu, mimo trudności poruszyłam się tak, że moje kolano zsunęło się z jego nogi i mocno wbiło się w jego krocz.

Od razu odechnęłam z ulgą, bo ból w nadgarstku zelżał, gdy tylko Ryder z rykiem zabrał ode mnie swoje łapska. Bruć nie odepchnął moją nogę i przytknął sobie palce do obolałego mojego pięciopalcusznego.

Ja w rezultacie położyłam na bok. Prawym pośladykiem dość mocno ude -

rzy łam o skrzy nię bie gów, a górna część mo je go ciała spo tka ła się z pod ło -

gą po stro nie kie row cy. Bra ko wa ło tu miej sca, nawet by po de przec się na ręce i się pod nieść. Ryder nie omiesz kał sko rzy stać z mojej obec nej po zy cji,

bo mimo iż skre cał się z dys kom for tu, za ła wio ny mi z wście kło ści oczami wy pa trzył mnie i z wiel ką ra do ścią od krył, że moja twarz znaj do wa ła się teraz prak tycz nie na jego bucie.

Już za chwi lę wy dar łam się gło śno, gdy po czu łam twar dą po de szwę na swo jej szczę ce. Kop nął mnie i to tak mocno, że aż dziw, iż nie wy pa dły mi wszyst kie zęby.

Całe szczę ście, nie tylko ja po trze bo wa łam chwi li, żeby dojść do sie bie.

Gdy już prze sta łam wi dzieć gwiazd ki przed oczami, za wie si łam rękę na no -

gaw ce mo je go po ry wa cza. Uży łam wszyst kich swo ich nie ist nie ją cych mię -

śni brzu cha, by się unieść, sta ra jąc się nie obe rwać znowu. Gdy już znaj do -

wa łam się w po zy cji pio no wej, ła twiej też było mi splu nąć krwią, która wy -

peł ni ła mi usta po ude rze niu.

Za pra gnę łam do rwać się do broni, którą brat Leo trzy mał wciąż pod udem, ale jak tylko wy cią gnę łam po nią ręce, on przej rzał moje za mia ry i kop nął

mnie w brzuch, krzy wiąc się nie mi ło sier nie na twa rzy z wy sił ku.

Dziękuję ci temu, że sam był osła biodynamicznego, kopniak ten o bez władni mnie je dy nie na chwile. Tym razem po ciebie do tyłu, tak jakby z powrotem na swoje się dzie nie, choć od razu się z niego ze śli zgnęłam. Wyłączyłam do wałam w śmieci -

ku, który teraz przy krywał zrzucił co przy mnie wczynie koc. Załam go dziś

mój upadek.

Zrobiło mi się nie do brzo, ale tylko na chwile i szybko się pozbierałam, kie -

rozwijała na głowie nie strachem, że Ryder zła pie wreszcie za broń, której tak uparł się pilnować.

Za ciśnieńłam za cię zębami. Ignorując ból, podniosłam się. Wszelkie myśli w mojej głowie zniknęły. Tak jakby mój mózg się ich pozbawił na potrzeby walki, by nie zawodził. Stan, w jakim się znalazłam, nie był niczym, czego doświadczyłam wczynie.

Nigdy wczynie nie byłam tak wściekła.

Przez tego kopniaka broń spod ręki Rydera z ciebie po między się dzie nie, co mój przy ciwnik skwił to wał siar czy stym przykleń stwem. Za bardzo go bola -

ło, by mógł się teraz gimnastykować w jej postępkach, ale gdy ją gwał -

to nie się po nią rzuciłam, on wyciągnął rękę i szarpnął mną tak, że ude -

rzyłam się o niego plecami.

To właśnie wady bycia drobniądziewczyzną. Siłniej siłownie mogli ze mną robić, co chcieli.

Głową za ry łąm o jego brodę, ale nie mia łąm czasu, by zwró cić uwagę na ból, gdyż szar pią ca mną wcz e śniej dłoń teraz za ci snę ła się na mojej szyi.

Dusił mnie.

Brat Leo mnie dusił i było to ab so lut nie fa tal ne uczu cie. Naj pierw, au to ma -

tycz nie, moje ręce po wę dro wa ły do źró dła uci sku, by je zneu tra li zo wać.

Pró bo wa łąm po zbyć się dłoni ze swo je go gar dła, szo ru jąc po cu dziej skó rze pa zu ra mi, ale Ryder za wziął się tak mocno, że przez chwi lę my śła łąm, że to już ko niec.

Ma cha łąm no ga mi, ko pa łąm swoje sie dze nie, deskę roz dziel czą, śmie ci.

Na bi łąm sobie kilka no wych si nia ków. Coraz więk szy mi i bar dziej pa nicz -

ny mi hau sta mi ły ka łąm po wie trze, od czu wa jąc strach i fru stra cję, że mimo wy sił ków nie je stem w sta nie do star czyć płu com wy star cza ją cej ilo ści tlenu.

Aż w mo men cie, gdy za czę ło mi ciem nieć przed ocz a mi, do zna łąm olśnie -

nia.

Po dob nych ru chów uczy łąm się z Dy la nem na na szych tre nin gach. Ostat ni -

mi czasy tro chę je za nie dba li śmy, ale tłu kli śmy tę jedną po zy cję tak dłu go, że coś mu sia ło zo stać mi w gło wie. Pa mię tam, jak kładł mi rękę na szyi, a ja mu sia łąm się obro nić. Mniej wię cej jak teraz, tylko że za miast stać, to ja na moim na past ni ku prak tycz nie le ża łąm, przy ci śnię ta do niego ple ca mi.

Uczę pi łąm się wspo mnie nia tre nin gów i od pu ści łąm sta wia nie bez sen sow -

ne go oporu. Ryder z pew no ścią po my ślał, że to dla te go, że od pły wam i choć było mi do tego bar dzo bli sko, naj pierw zgię łąm rękę. A potem z całej po zo sta łej mi siły wbi łąm mu swój ło kieć pod żebra, tro chę na oślepi.

Wrzask Ry de ra był jesz cze gło śniej szy niż wcz e śniej i do wiódł, że mój atak był celny. Na tych miast po czu łąm, jak cię żar przy gnia ta ją cy mi tcha wi cę ze -

lżał, i wzię łąm wdech tak ogrom ny, że aż roz kasz la łąm się za wszyst kie czasy. Po chy li łąm się do przo du i jedną ręką opar łąm się o kie row ni cę, a drugą zła pa łąm się za pierś, nie mogąc się uspo ko ić. Oczy za szły mi łzami.

Jak można od czu wać tak wiel ką ulgę i ból naraz?

Kilka se kund póź niej od wró ci łąm się, żeby zo ba czyć, w jakim sta nie znaj -

du je się mój prze ciw nik. Łyp nę łąm na niego spode łba, od dy cha jąc wciąż cię ż ko i chra pli wie. Sie dzia łąm na jego fo te lu, a wła ści wie to na jego ko la -

nach. Nie zrzu cił mnie z nich jesz cze z pro stej przy czy ny: sam zwi jał się z bólu.

Wy koń czo na i zmor do wa na, uśmiech nę łąm się le ciut ko, gdy to do mnie do -

tar ło.

Nie tylko on tutaj za da wał ciosy.

Zanim jed nak pę kłam z dumy z po wo du wła snej za rad no ści, mu sia łąm przy po mnieć sobie, że jesz cze nic nie wy gra łąm i że zwy cię stwo umoż li wi mi przede wszyst kim wej ści e w po sia da nie bron i pal nej. Ko

rzy sta jąc z chwi lo wej nie dy spo zy cyj no ści Ry de ra, znowu za nur ko wa łam mię dzy fo -

te le.

Na tra fi łam na twar dą, me ta lo wą lufę i za ci snę łam na niej mocno palce w tym samym cza sie, gdy Ryder szarp nął za moje mocno skoł tu nio ne już włosy. Krzyk nę łam i od rzu ci łam od sie bie pi sto let. Upadł na koc pod przed -

nim fo te lem pa sa że ra.

– Zjeż dzaj! – huk nął Ryder, a gdyby był po sta cią z kre sków ki, to z jego ust wła śnie po to czy ła by się piana.

Pró bo wał mnie ode pchnąć i wy chy lić się za bro nią, ale ja rzu ci łam się po nią pierw sza.

To był mo ment, w któ rym moja drob na syl wet ka i smuk łość dla od mia ny się na coś przy da ły.

Po czu łam, jak Ryder cią gnie mnie do sie bie za spód ni cę mun dur ka, która zje cha ła mi w tym mo men cie bar dzo nisko. Zi gno ro wa łam to, by sku pić się na tym, co wresz cie mia łam w rę kach.

Marsz czy łam chwi lę brwi, pró bu jąc roz gryźć tę broń i cho ciaz usta lić jej typ, ale wresz cie po pro stu na ślepo ją od bez pie czy łam. Udało mi się to bez błęd nie.

Nie ste ty, Ry de ra nie spło szył sam dźwięk, ale gdy wy krę ci łam tułów tak, by się od wró cić w jego stro nę i wy ce lo wać, chło pak na chwi lę za stygł.

A potem zło śli wie się uśmiech nął.

– I tak nic nie zro bisz, Monet – prze mó wił zmę czo nym gło sem.

Ledwo skoń czył to zda nie, a ja strze li łam w bocz ne okno, wcale nie tak da -

le ko od jego głowy. Ce lo wo nie prze strze li łam mu jesz cze czasz ki, a tylko na ro bi łam ha ła su. W szy bie po wsta ła dziu ra, obok któ rej splo tły się licz ne pęk nię cia.

Moja groź ba była jasna.

– Za bie raj ode mnie ręce – wark nę łam słabo, ale też sta now czo.

Ryder, który wzdry gnął się na dźwięk wy strza łu, wi docz nie za sko czo ny, po wiódł wzro kiem za kulą, którą z mojej per spek ty wy wy strze li łam gdzieś w szare niebo. Spoj rzał na mnie znowu, tym razem z nieco mniej szą pew -

no ścią. Gdy nie cier pli wie się po ru szy łam, on w końcu za brał pa lu chy z mojej spód nicz ki.

Od chy lił się w fo te lu, a ręce uniósł nie dba le, jakby od da wał mi kon tro lę nad sy tu acją. Bar dzo ostroż nie za czę łam gra mo lić się na swoje sie dze nie, nie od wra ca jąc od niego wzro ku, cho ciał by na uła mek se kun dy. Da ro wa -

łam sobie nawet po pra wie nie spód nicz ki, od gar nię cie wło sów czy po ma so -

wa nie spuch nię tej szczę ki. Wie dzia łam, że to nie ko niec.

Usa do wi łam się wy god niej i dałam sobie chwi lę, by się za sta no wić.

Ryder nie wy głę dał na za do wo lo ne go takim ob ro tem spraw, jed nak wciąż po słu sz nie uno sił dło nie na wy so ko ści wła snych ra mion. Jego klat ka pier -

sio wa fa lo wa ła szyb ko, a minę miał skwa śnia łą. Za pew ne wciąż od czu wał

ból. Uda za ci skał w dziw ny spo sób, upew nia ją cy mnie, że nie bez po wo du kro cze ucho dzi u męż czyzn za słaby punkt.

Pra wie uśmiech nę łam się, gdy przy po mnia łam sobie, że to Will po ra dził mi kie dyś na jed nym z na szych tre nin gów, by za wsze ce lo wać w to miej sce.

Mój prze ciw nik miał też za czer wie nio ną brodę, więc ucie szy łam się, że nie tylko ja ucier pia łam, gdy ude rzy łam się o nią głową. Twarz i szyję zdo bi ły czer wo ne paski, które wy ha ra ta łam mu pa łecz ką chiń ską, a na po licz ku roz -

ma za ła mu się nawet krew. Ubru dzi ła przy oka zji jego białą ko szu lę, która też bar dzo się po gnio ła, a ze dwa gu zi ki na wy so ko ści brzu cha roz pię ły.

Przez chwi lę mie rzy li śmy się z Ry de rem wzro kiem. Był pod mi no wa ny, na -

ćpa ny i nie prze wi dy wal ny.

I co ja mia łam z nim zro bić?

Po zbyć się, naj le piej.

– Wy sia daj – roz ka za łam nagle, samą sie bie za ska ku jąc mocą swo je go głosu.

Wy ce lo wa łam do niego o wiele od waż niej niż jesz cze przed chwi lą. Byłam w sta nie strze lić i wie dzia łam, że to zro bię, jeśli będę mu sia ła. To nowy ro -

dzaj zde cy do wa nia, któ re go nigdy wcze śniej nie do świad czy łam.

Co naj lep sze, było to coś, co naj wy raż niej wy czuł rów nież Ryder, bo po raz chyba pierw szy w życiu od nio słam wra że nie, że ktoś trak tu je moje groź by w stu pro cen tach po waż nie.

– Wy- sia-daj! Już. Już, już! – za wo ła łam jesz cze gło śniej, pil nu jąc, by nie ma chać za bar dzo pi sto le tem.

Bądź sku pio na.

Nie od pły waj do kra iny ku cy ków.

-Dobra, cze kaj, Monet. Po ga daj my... – za czął Ryder, a potem z jego ust wy pły nę ła wią zan ka nie zwy kle barw nych, jak na jego ogra ni czo ne słow nic -

two, prze kleństw.

Bo strze li łam mu pro sto w pisz czel. Po pro stu opu ści łam lufę, zmru ży łam oczy, jakby wi zu ali zu jąc sobie w gło wie cel i strze li łam. A co naj lep sze, nie chy bi łam nawet o mi li metr. Wie dzia łam, że kulka po sła na w dolny od ci nek jego nogi ra czej go nie za bi je ani nawet nie spo wo du je trwa łych szkód.

Miała go je dy nie osła bić.

– Wy sia daj albo strze lę w drugą nogę. Obie cu ję, że to zro bię.

Tak śmier tel nie po waż na nie byłam jesz cze nigdy.

Gdy bym zer k nę ła teraz w lu stro, nie po zna ła bym w nim sie bie.

Roz le gło się klik nię cie i sku lo ny teraz już Ryder, nie umie jęt nie tłu miąc swoje ago nicz ne wrza ski, wła śnie od blo ko wał swoje drzwi. Otwar cie ich kosz to wa ło go kilka nie dba łych, cha otycz nych i gwał tow nych ru chów, ale w końcu mu się udało i do środ ka po jaz du mo men tal nie wla ło się mroź ne po wie trze.

– Wyłaź! – po na gli łam go nie cier pli wie.

Świe że po dmuchy sma ko wa ły jak na dzie ja, byłam tak bli sko wy gra nej...

Ryder wy to czył się z auta, pra wie uwie sza jąc się na drzwiach, a ja tylko mo dli łam się w duchu, by się nie urwa ły pod jego cię ża rem.

– Odsuń się. Odsuń się od sa mo cho du! – wy krzy ki wa łam ko lej ne żą da nia, a Ryder z wiel ki mi trud no ścia mi sta rał się je wy peł niać.

Na czwo ra ka, cią gnąc za sobą ranną nogę, od da łał się od auta i gdyby jakiś roz pę dzo ny po jazd je chał teraz z na prze ciw ka, to cał kiem moż li we, że chło -

pak by tego nie prze żył.

Gdy zna łażł się wy star cza ją co da le ko, wsko czy łał na miej sce kie row cy, które wczę śniej zaj mo wał, ob rzu ci łał spoj rze niem kie row ni cę, pe da ły oraz klu czyk, który – całe szczę ście – wciąż ster czał w sta cyj ce, a potem z po -

wro tem zer k nę łał na swo je go po ry wa cza, który teraz kulił się kilka me -

trów dalej.

Naj pierw spró bo wa łał od pa lić auto. Raz, drugi, trze ci. Funk cjo nal ność tego złomu to był jakiś smut ny żart, ale za czwar tym razem sil nik wresz cie za char czał i nie zgasł. Wtedy, nie mogąc się po wstrzy mać od zło śli wo ści, po pa trzy łał na Ry de ra raz jesz cze i za ry zy ko wa łał chwi lo wą nie uwa gę po to, by z tyłów auta wy grze bać wczę śniej wrzu co ną tam przez niego kulę.

– Chyba jed nak serio bę dziesz jej po trze bo wał – za wo ła łał do niego sucho i rzu ci łał obok niego ów przed miot.

A potem za trza snę łał drzwi, na ci snę łał pedał gazu i ru szy łał do przo du.

Sta ra łał się nie je chać za szyb ko, acz kol wiek pra gnę łał, by widok po -

szko do wa ne go Ry de ra, po ję ku ją ce go w ka tor gach i obej mu ją ce go wła sną nogę, jak naj prę dzej znik nął z za się gu mo je go wzro ku. Co rusz zer ka łał na niego w lu ster ku, jak bym bała się, że nagle ot tak wsta nie i po pę dzi za mną.

Aż wreszcie prosta droga za częścią godnie skręcać i nie dłużej go potem brat Leo nie był już dla mnie wiadczy.

Wtedy, wciąż roztrzęsiona, odechnęłam i w stu procentach skupiłam się na jeździe. Do dałam nawet trochę gazu, ale bardzo, bardzo ostrożnie.

Po winą była za wrócić i kierować się w stronę, z której Ryder mnie przy -

wiózł, ale kierownik był ze mnie fatalny, to ta nie do świadczony i zwy -

czajnie nie potrafiłam tak manewrować samochodem, żeby wrócić na prostą, nie zbyt szeroko i na doświadczonej drodze. Poza tym bałam się wrócić, bo wtedy musiałabym znowu mijać chłopa. Za dałam, że trochę -

chęć mu to zajmij, zanim się pozbiera. Za czy nałam czuć wyrzuty sumienia, że zostawiłam go ranne go i na mrozie. Może mogłam mu chociaż zostać koc.

Oczywiście moje wyrzuty sumienia nie były tak wielkie, bym przedłożyła życie Rydera nad swoje własne, bo sama przecież też nie byłam w najlepszym -

stanie. Już za chwilę za częścią pluć sobie w brodę, że nie ka załam mu zostać te lefony. Jak mogłam o tym nie pomyśleć! Na pewno mu się

mieć z sobą kórkę. Czuję się jak idiotka. Już teraz mogłabym dzwo -

nić o pomoc, a tak to pozostało mi je chać przed siebie z nadzieją na to, że nie dłużej wyskoczy tu jakiś zajazd, stacja benzynowa albo, co byłoby abso -

lutnie przez cudowną opcję, jakąś miściną.

W takich momentach żałowałam, że nie mieszkałam w ogromnej metropoli, skąd wyjazd poza jej granice załatwiłby Rydego z dobrej drogi. Albo przy najmniej w mniejszym kraju, w którym bez ludnej drogi nie ciągnę się w nieskończoność.

To czy żałuję już tak prawie ze dwa dziesięć minut. Bardzo się nie cierpliwi -

Żałuję. Sie działam na samym brzegu fortecy, bo był dla mnie nieco za daleko od sułtana od pedantów, ale nawet nie próbowałam się z nim szarpać, by do -

stosować go do swojego wzrostu. Prawie wiśnięłam na kielichach, czy pijąc się jej jak kołosa tunikowego. Mruczyłam też oczy, a śnieg za czy nał sypać coraz bardziej, mocno ograniaczając wiśnięć. Cóż, nie były to warunki idealne dla kogoś, kto się działa za kółkiem za ledwie kilka na ścieżce w życiu. Poza tym auto Rydego prowaździło się bardzo opornie i jak nigdy do niego nie żałuję dzisiaj swoje poręczenie.

Co jakiś czas żałuję nerwowo w lustro, niby żeby sprawdzić, czy szczęśliwie ktoś za mną nie jeździ, ktoś, kogo mogłabym prosić o pomoc. W rzeczywistości przyłączyłam się na strachu przed ujrzaniem tam Rydego, jak kuś tyka za mną.

– To jakiś koszt mar – mruczałam do siebie, rozdygotana z zimna i emocji.

Tak bardzo prawie żałuję ujrzeć jakiś znak za powiadający, że wkrótce za czną mijając coś więcej niż same drzewa, że gdy tak wyrosł wreszcie na drodze -

dzie, że szczęście, podniecenia i głów nie też deprecjacji, przyśpieszyłam.

Waliło mi serce.

Miałam stęknąć, zbliżyłam się do jakiegoś miażdżaka. Wjadę tam, za paręku byle gdzie i za czepię pierwszą lepszą osobę na ulicy. Proszę o te

le fon.

Albo wejdem do sklepu czy do jakiejś kawiarni.

Las już zaraz miał zacząć się przez rzeka. Droga, po której jeżdżę, miała przyłączyć się do innej, częściej uczęszczonej. Za chwilę miałam palce na kierownicy -

nie było jej już coraz szybciej.

Zerknęłam ostatni raz w lustro. Za mną było pusto i za chwilę się robić na prawej białe.

- Spoko, Hailie, nikt cię nie goni, jedź do przodu, zaraz ktoś ci pomoże.

Okej, czekaj, patrz, droga zakręca. Lepiej zwolnić. Wiem, wiem, że chcesz dojechać tam jak naj szybciej, ale teraz lepiej zwolnić. Przed zakrętem. Oj, ślisko. O tym właśnie mówię, głupia, wolniej... - bredziłam do siebie, bo od kiedy, że dźwięk własnego głosu do dał mi otuchy.

Droga faktycznie zakręcała. I nie ważne, że była gładka. Ważne było, że po -

wierzchnia za chwilę za mną zamieniła się w małe dołki, a Ryder za pewnie nie zabrał o to, żeby auto miało odpowiednie opony. Wystarczyło, że poruszyłam kierownicę o milimetr, a po jazd od razu wpadł w mały poślizg, z którego jeszcze wyszłam cała, gdyby nie to, że dałam się ponieść emocjom i na step nie ma newr, jaki wykonałam, był kolej -

nym skrzętem kierownicy, tym razem dużo bardziej pałającym.

I to był mój największy błąd.

Pa mię tam tylko, że auto wyjechało z drogi. Pa mię tam, że ścisnęłam kierownicę -

ni cę, jakby od tego za le za ło moje życie (i moż li we, że tak wła śnie było).

Pa mię tam ogrom ną siłę, jaka pchnę ła mnie do przo du. I ko lej ną falę bólu.

I tę okrop ną nie moc spo wo do wa ną bra kiem kon tro li. Bo jak tylko straci łam ją na uła mek se kun dy, wię cej już jej nie od zy ska łam.

Chyba krzy cza łam, a serce po de szło mi do gar dła. Czu łam je wy raź nie, razem ze stra chem i zgubą.

Ostat nia myśl, jaka po zo sta ła mi w gło wie, to czy moja mama, se kun dy przed wy pad kiem, który do pro wa dził do jej śmier ci, też się tak bar dzo bała.

52

ZIMNO

Cześć, mysz ko.

Zmarsz czy łam brwi na dźwięk tego cie płe go głosu, który sta no wił dla mnie opar cie przez zde cy do wa nie więk szą część mo je go szes na sto let nie go życia.

W głębi ducha wie dzia łam, że – choć na tych miast po dzia łał na mnie ko ją co

– nie po win nam była go sły szeć.

A to dla te go, że na le zał do mojej długo już nie ży ją cej mamy. Gdy sobie to uświa do mi łam, otwo rzy łam prę d ko oczy. Le za łam na ple cach, przy kry ta pod samą brodę grubą koł dra, która była jak osło na i wię zie nie jed no cze -

śnie, bo czu łam, że z ja kie goś po wo du nie je stem w sta nie ru szyć nawet małym pal cem. Zu peł nie straci łam kon tro lę nad cia łem. Po tra fi łam tylko leżeć i się gapić ni czym w sta nie we ge ta cji.

Je dy nym po wo dem, dla któ re go nie do sta łam jesz cze po rząd ne go ataku pa -

ni ki, była obec ność mojej utę sk nio nej mamy, która sie dzia ła na brze gu łóżka i wpa try wa ła się we mnie z roz anie lo ną miną. Je dy nie mała zmarszcz ka mię dzy jej brwia mi zdra dza ła, że się mar twi.

– Mama – wes tchnę łam ci chut ko, gor li wie chło nąc ten widok.

Burzę ru dych loków spię tą miała z tyłu, za pew ne kłam rą, tak jak lu bi ła. Za -

szkło ne oczy wpa try wa ły się we mnie z nie ska żo ną, mat czy ną mi ło ścią, a bla do ró żo we usta roz cią ga ły w de li kat nym uśmie chu. Na uszach dyn da ły jej uko cha ne, szma rag do we kol czy ki. Ubra na była w ob ci sły, brą zo wy golf, który – jak rów nież do brze pa mię ta łam – był jej ulu bień cem w sza fie. Ko -

bie ta nawet pach nia ła jak moja mama. Po mi ja jąc de li kat ny, kwia to wy za -

pach per fum, wko ło niej uno si ła się też przy jem na woń her bat ki owo co wej, naj pew niej ma li no wej.

– Zimno ci – po wie dzia ła, a zmar twie nie na jej twa rzy za czy na ło po wo li prze wa żać nad czu ło ścią.

Po krę ci łam głową. Po pierw sze, było mi wręcz za cie pło i tro chę du si łam się za wi nię ta w tę koł drę ni czym kokon, a po dru gie, nie o tym chcia łam roz ma wiać z kimś mi bar dzo bli skim, kogo stra ci łam i nagle od zy ska łam.

– Tak, Ha ilie, mu sisz się roz grzać – upie ra ła się.

– No nie – od par łam ze znie cier pli wie niem. – Mamo, co się dzie je, co ty tutaj ro bisz?

Chcia łam unieść rękę i do tknąć jej, żeby prze ko nać się, że obec na tu osoba to fak tycz nie moja mama z krwi i kości, ale moje koń czy ny oka za

ły się bez u ży tecz ne.

Za to ona pod nio sła swoją dłoń i po gła ska ła mnie po po licz ku. Z ja kie goś po wo du spo dzie wa łam się, że dotyk ten bę dzie chłod ny, ale wręcz prze ciw -

nie – po wie dzia ła bym, że pra wie mnie opa rzył.

– Moja Ha ilie – mruk nę ła pod nosem de li kat nym, mo no ton nym tonem.

– Gdzie je ste śmy? – do py ty wa łam, ale w tym samym cza sie sama się ro zej -

rza łam i od razu po zna łam od po wiedź.

Nie wiel ki pokój, w któ rym dwu drzwio wa, dę bo wa szafa była ni czym w po -

rów na niu z moją obec ną gar de ro bą. Pro ste, upo rząd ko wa ne biur ko stało ide al nie pod oknem, gdzie pur pu ro we ro le ty były teraz za cią gnię te. Sto ją ca w kącie lampa z klo szem z bi buł ki da wa ła de li kat ne, żół ta we świa tło. To ona spra wia ła, że w po miesz cze niu pa no wał pół mrok. Tyle mi wy star czy ło, bym z po wro tem wbiła w mamę zdez o rien to wa ne spoj rze nie.

– Moja sy pial nia – szep nę łam do sie bie i tro chę też do niej.

Ona po ki wa ła gło wą.

– Jak?

Tym razem wzru szy ła ra mio na mi.

-Myślę, że to me cha nizm obron ny two je go mózgu – wy zna ła i teraz lekko po gła ska ła moje włosy.

– Obron ny przed czym?

Na jej czole po ja wi ło się wię cej zmarsz czek.

– Ha ilie, po win naś się roz grzać.

– Cie pło mi – zby łam ją nie cier pli wie i znowu spró bo wa łam się po ru szyc.

Chcia łam jej do tknąć, przy tu lić. Wes tchnę łam z fru stra cją. – Po wiedz mi, co się dzie je.

Ko bie ta uśmiech nę ła się do mnie ła god nie.

– Dużo się dzie je, mysz ko, dla te go mu sisz dzia łać. Dasz radę. Wiem, że dasz. Je steś nie sa mo wi cie silna. I przy tym taka dobra. – Po krę ci ła głową z za chwy tem, a jej spoj rze nie mnie hip no ty zo wa ło. – Nie sa mo wi cie. Nie mo gła bym być z cie bie bar dziej dumna.

– Nie je stem silna – za pro te sto wa łam au to ma tycz nie, a po chwi li do da łam, jakby nie świa do mie: – Prze cież umie ram.

Rude loki mamy roz bu rzy ły się, gdy ona ener gicz nie po trzą snę ła głową.

– Nie. Dziś nieco bli żej ci do śmier ci, ale nie ma mowy o umie ra niu. Sły -

szysz mnie? Mu sisz się tylko roz grzać. I obu dzić.

– Wtedy znik niesz, praw da? – za py ta łam, choć do my śla łam się od po wie dzi.

– Nie chcę. Mamo, nie chcę, żebyś zni ka ła.

Ona wes tchnę ła cięż ko i przy mknę ła po wie ki. Na jej twa rzy ma ło wa ło się teraz nic, tylko cier pie nie. Wpa try wa łam się w nią wy cze ku ją co, by po zwo -

li ła mi wresz cie wy plą tać się z tej koł dry i przy tu lić. Zro bi ły by śmy sobie

może herba ty, po ga da ły by śmy. Nad ro bi ły stra co ny czas. Wy ja śni ły nie któ re rze czy.

Och, prze cież mia ły śmy tyle do wy ja śnie nia!

– Innym razem, Ha ilie. Innym, nie teraz. Nie ma teraz czasu – za czę ła, a gdy to mó wi ła, wresz cie otwo rzy ła na po wrót oczy. Zmie ni ły się. Były bar dziej zde cy do wa ne, spoj rze nie miała tward sze i mniej wy ro zu mia ła. Jej ton rów nież nie był sta ły. Mó wi ła coraz gło śniej i gło śniej, aż pra wie krzy -

cza ła. – Teraz otwórz oczy i się roz grzej. Mu sisz wal czyć, otwórz oczy. Ha -

ilie, no otwórz je, już! Otw-...

Otwo rzy łam.

Otwo rzy łam.

Wzię łam głę bo ki, gwał tow ny wdech i od razu wy pu ści łam po wie trze, a klat ka pier sio wa drga ła mi jak po ru szo ne stru ny harfy. Mru ga łam. Mama znik nę ła. Mój pokój też. Mia łam ochotę się roz płą kać, bo po czu łam, że już jej tak szyb ko nie zo ba czę. A tak bar dzo chcia łam ją przy tu lić.

Zanim jed nak łyzy zdą ży ły na gro ma dzić się w ką ci kach moich oczu w ta kiej ilo ści, by z za ło ścią spły nać po po licz kach, coś ode rwa ło moją uwagę od chęci pod da nia się tej nie ubła ga nie nad cho dzą cej roz pa czy. Zo rien to wa łam się bo wiem, w jak dziw nym po ło że niu wła śnie się znaj do wa łam, i przez chwi lę głów ko wa łam, o co cho dzi.

Tuż przed moją twa rzą two rzy ła się teraz biała mgieł ka, która po wo li bla -

dła. Pod czas każ de go mo je go wy de chu od na wia ła się i kilka dłu gich se kund za ję ło mi roz wią za nie za gad ki jej ist nie nia. Moje usta znaj do wa ły się cen ty -

me try od szyby, na kórej skraplała się ciepla para wodna za każdym razem, gdy wychodziłam po wieźce.

Cóż, to chyba dowód na to, że żyję.

Od dy cham.

Ale skąd, u licha, ta szyba wzięła się tak blisko? Marsz czy łam chwilę brwi, nie zdolna jeszcze do poruszenia się. Oględnym wykończę łam, kiedy nie poru-

szając gałkami, i na prawde nie podobalo mi się to, co zobaczyłam.

Po pierwsze, było ciemno. To, co udało mi się ustalić, to, że najwyraźniej leżałam na brzuchu na desce rozdzielczej. Moja głowa i tułów były wci-

śnięte po mnie gdzieś przed nią szybę. Czoło chyba przycisnęłam do szkła, a przede mną rozpościerał się widok mrocznego lasu. Niebo zdążyło przy-

brać atrakcyjną barwę. Po kraczone figury drzew straszły w ciemności.

Byłam w stanie coś dostrzec, kiedy nie dzięki białemu śniegowi, który obficie pokrywał ścieżkę i nieco rozjaśniał ją całą wokół czerń.

Mniej więcej wtedy taśma ze wspomnienia przewinęła się w mojej głowie -

wie jak film. Ryderzabrał mnie ze szkoły, tuż przed moimi nogami na mi.

Uprowadził mnie w aucie. Był naćpany. Szarpaliśmy się. Strześliłam do niego. Zobaczyłam go na drodze. Odjechałam. Wpadłam w poślizg.

- O kurwa - szepnęłam cieniem głosem.

Moje gar dło zda wa ło się spuch nię te, jakby po żą dli ły je osy. Spró bo wa łam od chrzą k nąć, czego skut kiem oka za ło się atak przy pra wia ją ce go mnie o md ło ści kasz lu.

Oczy zwil got nia ły mi jesz cze bar dziej, a to wszyst ko przez wy si łek, jaki kosz to wa ło mnie uspo ko je nie. Od su nę łam czo ło od szyby, co spo tka ło się z nie przy jem nym wra że niem oder wania, jakby ktoś przy kle i ło mi je tam kle -

jem. Syk nę łam cicho i au to ma tycz nie unio s łam d łoń, żeby przy ło żyć ją do bo lą ce go miej sca, ale tylko nie chcą cy ude rzy łam nią o przed nią szybę.

Cho ler na klit ka.

– Mu sisz się ru szyć, Ha ilie – wy char cza łam do sie bie. – No już.

Mój głos w dal szym ciągu do da wa ło mi otu chy, zwłasz cza teraz, gdy wko ło było tak ciem no i g łu cho.

Prze ży łam mi ni za wa ło, gdy przez dłu ż szą chwi lę nie mo g łam po bu dzić nóg do pracy. Już my śla łam, że stra ci łam w nich czu cie, ale wtedy za czę łam pa -

nicz nie nimi kopać i ma chać na wszyst kie stro ny. Na bi łam sobie kilka no -

wych si nia ków. Nie zro bi ły mi róż ni cy. Na ro bi łam też sporo ha ła su, ale przy naj mniej u da ło mi się nimi wresz cie po ru szyć, więc szyb ko mi ulży ło.

Chyba będę cho dzić.

W zół wim tem pie i stę ka jąc, jak bym miała ze sto dwa dzie ścia lat, unio s łam się i de li kat nie zsu nę łam z deski. Gdzieś tam zje cha ła mi noga i o coś się ude rzy łam w bio dro, ale – jak mó wi łam – by łam tak po obi ja na, że po pro stu za ci snę łam moc niej szczę kę i kon ty nu owa łam zbie ra nie się do kupy.

Ab so lut nie każda jedna ko stecz ka w moim ciele była ze sztyw nia ła do tego stop nia, że nie zdzi wi ła bym się, gdyby nagle za czę ły one trzesz czeń i skrzy -

pieć przy wszel kim po ru sze niu. Mię śnie na to miast stra ci ły swoją ela stycz -

ność i nie chęć nie słu cha ły po le ceń wy sy ła nych z mózgu, rów nież ak tyw nie pro te stu jąc przy nawet naj mniej szych moich wy sił kach.

Gdy wresz cie za ję łam z po wro tem miej sce kie row cy i zys kałam wię cej prze strze ni i lep sze wa run ki, by do kład niej się ro zej rzeń, pierw sze, na co mój wzrok padł, to ze ga rek na desce roz dziel czej. Wska zy wał późną, wie -

czor ną go dzi nę. Ryder po rwał mnie jesz cze przed po łu dniem, więc tro chę tu po le ża łam.

Z ja kie goś po wo du nie świe ci ły świa tła (ani przed nie, ani tylne), choć na pierw szy rzut oka masce za bar dzo się nie obe rwa ło. Po dej rze wa łam, że to może wina prze sta rza ła go aku mu la to ra, który nie wy trzy mał tylu go dzin na cho dzie.

Tak więc przód pre zen to wał się nie naj go rzej i już po my śla łam, że wcale to nie było nic ta kie go, ten cały wy pa dek. Nawet spró bo wa łam prze krę cić klu -

czy ki, wciąż wy trwa le ster czą ce w sta cyj ce. Oczy wi ście auto nawet nie pry ch nę ło. Wtedy do pie ro się od wró ci łam i na bra łam aż po wie trza. W miej -

sce, w któ rym znaj do wa ły się tylne sie dze nia, wbity był wiel ki konar drze -

wa. Tak jakby sa mo chód na dział się na niego jak cho ler ne mię sko na szpil -

kę do szasz ły ków.

Aż za tka łam sobie usta dło nią. Jezus Maria, gdyby ktoś zaj mo wał tylne sie -

dze nie, to by ło by już po nim.

Na do da tek uszko dze nie tam tej czę ści auta było na tyle spore, że po jazd zde cy do wa nie tra cił miano schro nie nia. Była tam dziu ra, przez którą z pew -

no ścią ucie kło już wszel kie cie pło, jakie ten sa mo chód był w sta nie w sobie utrzy mać. Nawet na sy pa ło przez nią nieco śnie gu. A ja wciąż się dzi wi łam, że ze wszyst kich nie wy gód i bo le ści, jakie mi do ku cza ły, uczu cie zimna nie było jedną z nich.

Wtedy przy po mnia łam sobie słowa mamy, że muszę się roz grzać.

– Ale prze cież mi cie pło – mruk nę łam do sie bie, chu cha jąc przed nosem parą.

A potem spoj rza łam na swoje okrop nie po czer wie nia łe dło nie. Unio słam je.

Palce mi drża ły. Pra wie ich nie czu łam. Obej rza łam je do kład nie ze wszyst -

kich stron. Nie mal już si nia ły. W po rów na niu z nimi ręce babki Blan che były gład kie i jędr ne jak u młód ki. Wtedy uświa do mi łam sobie, że mama miała rację.

Ja na praw dę muszę się roz grzać.

Tymi sa my mi, ze sztyw nia ły mi pal ca mi się gnę łam do lu ster ka wstecz ne go.

Usta wi łam je tak, by zo ba czyć w nim swoją twarz, i na tych miast tego po ża -

ło wa łam. Tak źle nie wy głą da łam jesz cze chyba nigdy. Nawet w pa nu jącej ciem no ści nie mo głam na sie bie pa trzeć.

Po mi ja łam już czer wo ne jak cze re śnie po licz ki i pra wie po si nia ły nos, oba efek ty po wsta ła w wy ni ku zimna. Zi gno ro wa łam też si niak na szczę ce, gdzie Ryder kop nął mnie swoim bu cio rem. Naj bar dziej za nie po ko ła mnie za krwa wio na rana na czole, z któ rej dość długo mu sia ła są czyć mi się krew, bo mimo iż już dawno skrze pła, to za la ła mi ona cały lewy bok twa rzy. Od skro ni, aż po szyję i ramię, gdzie wsią kła w ma te riał ma ry nar ki i koł nierz ko szu li.

– Co jest? – wy mam ro ta łam, ob ser wu jąc moje po ra nio ne czoło w lu ster ku.

Chcia łam go do tknąć, ale jed nak zre zy gno wa łam. Za miast tego od wró ci ła m wzrok na przed nią szybę, która była rów nież za krwa wio na. Mu sia łam o nią rąb nąć wła sną czasz ką. Do pie ro to za uwa ży łam.

Och, nie, mu sia łam stąd spa dać i to jak naj szyb ciej. Nie wy trzy ma ła bym w tym aucie ani mi nu ty dłu żej.

Prze cze sa łam włosy tak, by za kryć czoło grzyw ką i w ogóle jak naj le piej ukryć twarz. Jeśli ktoś by mnie teraz zo ba czył, to uciekł by przede mną z krzy kiem. Ro zej rza łam się też za ewen tu al ny mi przed mio ta mi, które na le -

ża ło by za brać ze sobą i z któ rych mo gła bym zro bić jakiś uży tek.

Ni czym za wo do wa za ból czy ni naj pierw po my śla łam o pi sto le cie. Po chwi li kon ster na cji zna la złam go gdzieś pod pe da ła mi. Na tych miast go stam tąd wy grze ba łam, ostroż nie za bez pie czy łam i scho wa łam go do we wnętrz nej czę ści ma ry nar ki. Myk, który pod pa trzy łam u Ry de ra. Muszę przy znać, że na praw dę pa so wał tam jak ulał. Jakby dzie cia kom ce lo wo wszy to te kie sze -

nie do mun dur ka, by w razie czego miały gdzie prze cho wy wać broń.

A wła śnie, o wilku mowa. Kątem oka do strze głam ma ry nar kę, którą chło -

pak wrzu cił na tylne sie dze nie, jak tylko wy je cha li śmy poza teren szko ły.

Cóż, pu cho wa kurt ka to nie jest, ale nie było czasu na wy brzy dza nie, więc po nią się gnę łam. Szarp nę łam za rąbek ma te ria łu, ale za cze pił się o coś i nie dawał za wy gra ną. Jako że w tył auta wbity był ma syw ny ko rzeń drze wa i to naj wy raż niej on blo ko wał mnie przed do sta niem w ręce tak cen ne go w tej chwi li okry cia, wresz cie dałam sobie spo kój.

Za miast tego przy po mnia ło mi się, że pod fo te lem pa sa że ra wciąż po wi nien znaj do wać się za pchlo ny koc. Mia łam rację, bo leżał tam grzecz nie, i ja, z braku lep szych opcji, się gnę łam po niego, z au to ma tu marsz cząc nos, mimo iż prze cież żaden smród nie po wi nien być dla mnie w tym mo men cie re al ną nie do god no ścią.

Zwi ja jąc koc w skost nia łych rę kach, ro zej rza łam się jesz cze kon tro l nie po aucie. Tak na praw dę tliła się we mnie cicha na dzie ja na do strze że nie te le fo -

nu ko mór ko we go, a może nawet lap to pa z, nie wiem, prze no śnym in ter ne -

tem wsu nię tym w gniaz do USB. Ileż ja bym wtedy miała moż li wo ści, by skon tak to wać się z brać mi!

– Weź ty się ogar nij – zga ni łam się na głos z na praw dę szcze rą nie chę cią do wła sne go mózgu, który aku rat teraz pod sy łał mi tak mało praw do po dob ne wizje. – Le piej się skup.

Chcia łam już stąd wy siać, a jed no cze śnie bałam się cze ka ją cej na mnie sa -

mot nej wy pra wy, dla te go przed otwar ciem drzwi sie dzia łam jesz cze chwi lę i po nu ro wpa try wa łam się w przed nią szybę. Skła ma ła bym, gdy bym po wie -

dzia ła, że nie wy pa try wa łam wil ków.

A niedź wie dzie? Prze cież w tych pen syl wań skich la sach wręcz się od nich roilo.

Za drża ła bym, gdyby moje ciało wciąż nie było tak drę twe.

– Spo kój – upo mnia łam się – je steś po rą ba ną idiot ką!

Jesz cze więk szą się oka za łam, gdy po czu łam wy rzu ty su mie nia, że tak brzyd ko się do sie bie od zy wam.

– No dobra, prze pra szam – wy mam ro ta łam po chwi li. – Nie je steś po rą ba ną idiot ką. Tylko spró buj wziąć się w garść, co? Tak cho ciał tro szecz kę. I nie martw się o niedź wie dzie. Prze cież wiesz, że o tej porze roku śpią.

Wresz cie zdo by łam się na od wa gę i wcz e śniej opa tu liw szy się szcel niej swoją ma ry nar ką, wy szłam na ze wnętrz. Spo dzie wa łam się, że będę mu sia -

ła wal czyć z otwar ciem drzwi, ale pu ści ły bez pro ble mu. To auto z całą pew no ścią nada wa ło się już co naj wy żej na złom.

Śnieg za chru pał, gdy po sta wi łam na nim pierw sze nie pew ne kroki. Nogi mi drża ły i naj wy raż niej to tal nie nie spo dzie wa ły się, że będę im ka za ła iść, bo pra wie na tych miast się pode mną ugię ły, tak że mu sia łam oprzeć się o sa -

mo chód, by nie upaść.

Wes tchnę łam. Po sia da nie tak nie po rad ne go ciała było nie zmier nie iry tu ją ce.

Moim ko lej nym ru chem było pod cią gnię cie spód nicz ki, która jesz cze tro -

chę i zje cha ła by mi do sa mych ko stek. Na stęp nie za rzu ci łam na sie bie koc, który ści ska łam pod pachą. Roz ło ży łam go i śla ma zar nie okry łam sobie nim plecy. Nie są dzi łam, by roz grzał mnie choć tro chę, ale za wsze to jakaś do -

dat ko wa osło na, która mogła wy dłu żyć mi życie o kilka minut.

Za te le pa łam się. Z grozy, nie chło du.

Koc trzy ma łam dłoń mi sca lo ny od we wnątrz i pod cią gnę łam go aż na nos, żeby chro nić też więk szą część twa rzy. Tak za ka mu flo wa na za czę łam wresz cie roz głą dać się za kie run kiem, w któ rym po win nam iść. Pla no wa -

łam wró cić do drogi i kie ro wać się do mia stecz ka, li cząc, że wcze śniej mi -

nę ło by mnie auto. Może z jakąś miłą ro dzin ką? Naj le piej taką z ma ły mi dzieć mi. Tacy to na pewno by mi po mo gli.

Po trze bo wa łam, nie ste ty, dłu giej chwi li, by oce nić po ło że nie. Wszel kie ślady wy pad ku zo sta ły za sy pa ne przez śnieg, jakby ten chciał zro bić mi na złość, i dla te go moje za da nie było utrud nio ne, ale w końcu roz gry złam, gdzie iść.

Po ru sza łam się wolno, krzy wiąc się, gdy szyb ko za czę ły mok nąć mi skar -

pet ki. Jesz cze mi tego bra ko wa ło. Było mi tak źle, tak nie do brze. Co ja bym dała, by zna leźć się teraz w re zy den cji Mo ne tów! Usia dła bym na ka na pie, pod ku li ła nogi, opar ła się o mięk ką po du chę, włą czy ła se rial, a Eu ge nie przy nio sła by mi cie płe kakao.

Usta same wy gię ły mi się w pod ków kę, gdy my śła łam o tych bła host kach, które nie do końca zwy kłam do ce niać, a za które teraz da ła bym się po -

ćwiar to wać.

W pew nym mo men cie po tknę łam się o jakiś ko rzeń i się wy wró ci łam. Jęk -

nę łam głó śno i za ło śnie, gdy obi łam sobie ko la na. Po ło ży łam dło nie na po -

kry tej śniegiem ziemi, żeby się po de przeć, i wszystkie moje miżer nie próby ogrzań ich pod kocem poszły na marne.

– Czemu nikt mnie nie ratuje?! – za wyłam do siebie głodną, zmęczoną, a na dołda też zziębniętą.

Miałam gdzieś, jak mełdra ma tyćnie i że nią coś brzmiałam. Ja prosto już nie mogłam. Nie miałam siły. Żadna ze mnie wojniczka, więc jeśli ktoś ociekiwałby ode mnie teraz, że rozpalę ognisko, upoluje je leniawie i będę skakać po drzewach, to zaśmiałabym się tej osobie prosto w twarz. A potem szarpnęłabym ją za kudły, żeby, proszę bardzo, stanęła w moich butach i pojechała, na co ją stać. Tak bym zrobiła, a wtedy...

Coś za szeleściło.

Prędko przystopowałam abstrakcyjnie myśli, by skupić się na tym niepożądanym -

nym odgłosie. Na tych miast się rozejrzałam, ale nie ujrzałam niczego po dej -

rza nie go. Ot drzewa, ciemniacy i jedna wielka dupa.

– Wyrażaj się – syknęłam do siebie, niczym Vincent.

Chyba traćciłam rozum. Musiałam się ratować, zanim ktoś mi odbięje.

Podniosłam się na równe nogi, po bieżnie otrzepałam ze śniegu, po nownie opałułam kocem i ruszyłam przed siebie, tym razem nieco szybciej. Strach dodał energii moim skostniałym kończynom.

Wreszcie do człapałam się do drogi. Wcale nie była tak dołda, ale przez te śniegi, a także moją niezdarność i osłabienie chwileczką mi po kołna nie nawet tak wielkie go odciąka.

Nie jesteś tyżednia cały czas świeciłapustkami. Nawet nie było na niej zbyt wielu widocznych śladów opon, co oznaczało, że miałam marne

szan se na na po tka nie tu żywej duszy. Po wo lut ku po ru sza łam się
wzdłuż drogi w stro -

nę mia sta. Bro dzi łam po kost ki w śnie gu i co chwi la od wra ca łam się
w na -

dziei, że do strze gę ja kieś nad jeź dza ją ce auto.

Na dzie ja matką głu pich.

Nie wiem, ile tak szłam. Bar dzo ucie szy łam się, gdy droga po łą czy ła się
z inną, która z za sa dy po win na być czę ściej uczęsz cza na, ale w prak ty
ce oka za ła się rów nie roz cza ro wu ją co pusta. Tylko jedno auto mnie na
niej wy mi nę ło i zanim zdą ży łam się pod nie cić, za ma chać i coś krzyk
nąć, ono w bez błęd nym stylu mnie zi gno ro wa ło.

Wpa try wa łam się w od da la ją ce się świa tła, za wie dzio na taką znie
czu li cą.

Ja, na miej scu kie row cy, na pewno bym się za trzy ma ła...

Może mnie nie za uwa żył...

W końcu jed nak uj rza łam pierw sze bu dyn ki. Nie wy głą da ły one nie
ste ty na domki za miesz ka łe przez ser decz ne i po moc ne ro dzi ny. To
mu sia ła być bar -

dziei prze my sło wa część mia stecz ka. Po cie sza łam się jed nak, że
kogoś na pewno zaraz tu spo tkam.

I tak się stało.

53

DZI KU SKA

Pierw szy bu dy nek, jaki mi nę łam to sklep, Dol lar Tree bo daj że, któ re
go zie -

lo ny szyld jako pierw szy zwia sto wał ozna ki cy wi li za cji. O tej porze
oczy -

wi ście już był za mknię ty, a nie wiel ki par king pod nim pusty, ale nie za
ła -

my wa łam się. Zwłasz cza gdy zo ba czy łam, że gdzieś w od da li śmi gnę
ło ja -

kieś auto. Cze ka łam, aż dotrę do mniej szych uli czek, bo na razie kro czy
łam tylko tą głów ną, wokół któ rej to całe senne mia stecz ko zo sta ło zbu
do wa ne.

Za skle pem wy ła nia ła się jakaś spora hala, tak duża, że zmie ści ły by się
w niej ze dwa sa mo lo ty Mo ne tów. Za nią na to miast cią gnę ły się po nu
re ga -

ra że.

Nie za mie rza łam zba czać jesz cze z głów nej drogi, a już zwłasz cza nie
w plą ta ni nę ga ra ży, które ko ja rzy ły mi się z tymi wszyst ki mi fil ma
mi, w któ rych mor der cy lu bi li ukry wać ciała swo ich ofiar w ta kich wła
śnie ma -

ga zy nach.

Poza tym w końcu po ja wił się chod nik. Ucie szy łam się z niego jak małe
dziec ko, bo – mimo iż ruch na jezd ni był ze ro wy – to po czu łam się odro
bi -

nę bez piecz niej.

Cia śniej na cią gnę łam na sie bie koc i roz głą da łam się uważ nie. Po
lewej stro nie znaj do wał się jakiś warsz tat sa mo cho do wy, a potem
znowu wy ra sta -

ły drze wa. Za pa trzy łam się na nie, a w tym mo men cie po dru giej stro
nie ktoś za pa trzył się na mnie.

– Ktoś tam lezie – burk nął męź czy zna, który stał przy jed nym z bla sza ków, bar dzo bli sko drogi, którą szłam.

Jak tylko jego za chryp nię ty głos prze ciął ciszę, od wró ci łam głowę. Nie od razu go do strze głam, bo był scho wa ny i ubra ny na czar no, ale teraz się wy -

chy lił, pa trzył na mnie, a w ręce trzy mał za rzą ce go się pa pie ro sa.

– Kto? – za py tał drugi.

Świet nie, tego mi bra ku je. Chwi lo wa eu fo ria wy wo ła na obec no ścia ży wych istot wy pa ro wa ła jak woda, gdy tylko do strze głam, że są nimi rośli fa ce ci, nie wzbu dza ją cy krzty za ufa nia.

Przy spie szy łam kroku. Tuż obok za czy na ły się po sza rza łe bu dyn ki, które –

ku mo je mu za wo do wi – rów nież zo sta wia ły wiele do ży cze nia.

– Ej, kto ty? – wark nął ten pierw szy facet nie przy jaź nie, co spro wo ko wa ło mnie, by iść jesz cze szyb ciej. Tylko go to roz draż ni ło. – Ej, mówi się do cie bie!

– Zo staw, to jakiś klo szard.

– Sam, kurwa, je steś klo szard, to jakaś baba.

– No baba- kurwa-kloszard, zo staw ją.

– E! – za wo łał ko lej ny, trze ci już głos, nieco do nio ślej szy. – Co z wami? Co wy sobie tam ćwier ka cie, pa nien ki? Ro bo ta czeka.

– Joey jest nie wy ży ty i oglą da się za bez dom ny mi.

– Co za bez dom ni? – wark nął tam ten i też się wy chy lił, żeby na mnie spoj -

rzyć.

Boże, Ha ilie, idź szyb cieją.

– Ej, po dejdź no tu.

Nie re ago wa łam.

– Głu cha je steś?

Tak, je stem głu cha, od wal cie się.

Żeby mnie zo sta wi li, pro szę, żeby mnie zo sta wi li.

Na stęp nie do na szych uszu do bie gła długa i bo ga ta w so czy ste blu zgi
wią -

zan ka. Coraz gło śniej ją sły sza łam, co ozna cza ło, że jej autor stra cił
cier pli -

wość i ru szył w moją stro nę. Ob ró ci łam de li kat nie głowę, żeby się
upew nić, a gdy zo ba czy łam, że wiel ki osił ko wa ty by sior kro czy za
ma szy ście, w końcu za czę łam pa ni ko wać i po pro stu już jaw nie rzu ci
łam się do uciecz -

ki.

Koc opadł na chod nik, ale nic mnie to nie ob cho dzi ło. Po bu dzi łam nie
po -

słusz ne ciało do biegu, a ono, ku za sko cze niu, wresz cie za czę ło brać
moje ko men dy na po waż nie. Serce za bi ło mi moc niej. Na ro dzi ła się
w nim na -

dzie ja, że gdzieś w cze lu ściach zmro żo ne go or ga ni zmu za cho wa ła
się jesz -

cze moja dawna zwin ność. Nie zdą ży łam się jed nak nią na cie szyć, bo
po -

czu łam, jak obce palce za ci ska ją się na tyle mo je go mun dur ka.

Na stą pi ło szarp nię cie i gra wi ta cja po cią gnę ła mnie do tyłu. Wokół mnie owi nę ły się czy jeś ręce, ni czym pa skud ne żmije.

– Zo staw! – pi snę łam i sza mo ta łam się chwi lę, aż w końcu od kry łam, że nie ma to żad ne go sensu.

– To na sto lat ka – prych nął lek ce wa żą co jeden z męż czyzn.

Po krę ci łam głową, by za kryć twarz wło sa mi

– Na sto lat ka?

– Ma ło la ta jakaś.

– Prze stań się szar pać – wark nął mi do ucha ten, który mnie trzy mał.

Szarp nę łam się jesz cze moc niej.

– Serio, i to nie byle jaka. Patrz, w co jest ubra na. Cho dzi do Aka de mii Nor the ast. – Facet sto ją cy na prze ciw ko obej rzał mnie od stóp do głów.

– To jakiś bo ga ty dzie ciak.

– No i po kiego się tu szwen dasz sama? – za py tał trzy ma ją cy mnie osi lek, jak gdyby był moim ro dzi cem i chciał mnie zga nić, a potem jesz cze dać szła ban na wyj ścia.

– Pusz czaj mnie – syk nę łam tylko i nie na wi dzi łam swo je go głosu za tak słabe i za chryp nię te brzmie nie. Mó wi łam do kład nie tak, jak wy głę da łam, czyli fa tal nie.

– Ty, ona ma krew na twa rzy.

Jeden z nich zbli żył się, żeby się przyj rzeć.

– Co?

– Cała w ogóle jest jakaś po tłu czo na. – Męż czy zna kon ty nu ował swoje ogłę dzi ny, a ja spo głę da łam w bok, żeby uni kać jego spoj rze nia.

– Chry ste, co ci się stało, dziew czy no?

Mil cza łam. Nie ta kie go ra tun ku ocze ki wa łam, ale roz wa ła za łam wła śnie, czy po pro sić tych gości o te le fon. Nie wzbu dza li mo je go za ufa nia, ale też nie mo głam po wie dzieć na sto pro cent, że to złe opry chy. To zna czy opry chy może i tak, ale...

Spró bo wa łam raz jesz cze tego dnia użyć moich umie jęć no ści sa mo obro ny, ale byłam zbyt osła bio na, by za sko czyć krę pu ją ce go mnie prze ciw ni ka. On szyb ko przy trzy mał mój łó kieć, któ rym za mie rza łam go wal nąć, i cmok nął

z iry ta cją.

– Prze stań się wy ry wać, dzi ku sko. Dajże sobie pomóc.

Tak bar dzo pra gnę łam ra tun ku, że na jego słowa rze czy wi ście się uspo ko -

łam.

Ode tchnę łam cięż ko, ale już się nie sza mo ta łam, a facet, wi dząc to, roz luź -

nił naj pierw nieco uścisk, by potem w ogóle za brać ode mnie rękę, tak że je dy ne, co po wstrzy my wa ło mnie przed uciecz ką, to jego druga dłoń, która wciąż za ci ska ła się na moim łok ciu.

– Co ci się stało? – za py tał mnie, za do wo lo ny, że prze sta łam się rzu cać.

Nie od po wie dzia łam mu, a tylko ły pa łam na niego po dejrz li wie. Nie chcia -

łam się od zy wać, bo brzmia łam zbyt za ło śnie, a poza tym prze cież nie opo -

wiem ob ce mu fa ce to wi o swo ich po rą ba nych prze ży ciach.

– Pew nie ucie kła z domu – za su ge ro wał ten drugi.

– Ucie kłaś z domu?

Po krę ci łam głową.

– Jak nic ucie kła z domu. Te dzia ne ro dzin ki to czę sto pa to lo gia ja kich mało.

– Nie ucie kłam! – syk nę łam wście kle.

– To kto cię tak za ła twił?

Na ćpa ny brat mo je go ko le gi ze szko ły.

Mil cza łam.

Facet, który mnie trzy mał teraz już tylko za ło kieć, wes tchnął i prze je chał

sobie wolną dło nią po twa rzy.

– Dobra, nie mamy na to czasu.

– Puść ją, niech sobie idzie.

– Co, sama, po ciem ku? – Osi łek spoj rzał na mnie. – Może chcesz, żeby cię gdzieś pod rzu cić?

Czy chcia łam wsia dać z tym nie zna jo mym męż czy zną do sa mo cho du?

– Chyba żar tu jesz. Ro bo ta czeka, a ty bę dziesz sobie teraz prze jażdż ki urzą -

dzał?

– A co mam zro bić? Masz lep szy po mysł?

– Nie, sorry, ale nie wiem, co się robi ze zbląka niemi na sto latka mi.

– Ja ci powiem, co się robi. Dzwo ni się na psiar nię, czyli coś, co od pa da.

Ostat nie, czego nam tu bra ku je, to węszą cy gli nia rze.

– Mogę za dzwo nić – ode zwa łam się w końcu, ściągając na sie bie uwagę to -

wa rzy szy. Od chrząknę łam cicho i po wtó rzy łam te same słowa, żeby nadać swo jej wy po wie dzi formę py ta nia: – Mogę za dzwo nić?

By sior spoj rzał na mnie, jakby za sko czo ny, po czym zwró cił się do swo je go ko le gi.

– A wi dzisz? Nie ma ze sobą nawet te le fo nu. Żadna na sto latka nie zwia ła by z domu bez te le fo nu.

– Okej, dobra. – Młody mę ż czy zna mach nął ręką. – Niech dzwo ni i spada.

Oczy aż mi się za świe ci ły, gdy osi łek wyjął z kie sze ni spodni swo ją ko mór -

kę. Zanim zro bił ruch, by mi go podać, po gro ził mi pal cem.

– Dzwo nisz do ro dzi ców, tak?

Spoj rza łam w jego oczy i do pie ro zo ba czy łam, że były cał kiem nor mal ne, nie takie jak sobie w pierw szej chwi li wy obra ża łam, czyli prze żar te złem, za wi ścią czy ze psu ciem.

– Do brata – od po wie dzia łam cicho.

Facet po ki wał głową, ale jesz cze na chwi lę zmarsz czył brwi.

– Nie jest z po li cji, nie?

Ależ w żad nym razie.

Zanim zdążyłam odpołowieć na głos, po deszczu do nas kołej na osoba, ściga ją na siebie naszą uwagę. Oczywiście, bo jakże by inaczej, był to ko-

łejny mąż czy zna. Najpierw coś za wołał, a potem się zbliżył.

– Co wy, jesteście na wakacjach? – zapytał. Jego głos był głębszy i spokojny -

niejszy od pozostałych. A co najgorsze, był dla mnie dziwnie znajomy, dla -

tego na pięć lat się nieco, próbując go na szybko rozpoznać.

– Nie no, na pewno czytał się tu jakiś dzieciak, więc...

Nowo przybyły łysy mąż czy zna od razu przejrzał na mnie wzrok, no i wtedy mnie rozpoznał, bo otworzył oczy szerzej.

– Ha ilie Monet.

Stałam się za chwilę neutralny wyraz twarzy, gdy uświadomiłam sobie, że stał teraz obok nas mój były ochroniarz. Do kłada nie ten, którego zwolniono -

no, bo nie upił nował mnie, gdy wymknęłam się z Moną z jej mieszkaniami do kierunku pani Hardy, żeby pomóc Leo.

– Co?

– Na pewno czytał się wam nie jakiś tam dzieciak, tylko siostra Monetów.

Wszyscy gapił się teraz na mnie z nowym wyrazem twarzy na twar-

zach.

– Jesteś Ha ilie Monet? – powiedział z nie do wiary niem mąż czy zna, który mnie złał, i pałałam z załogiem, jak dyskretnie z powrotem

wsuwa ko -

mór kę do kie sze ni. Nie od po wia da łam, więc zwró cił się do no we go:
– Je -

steś pe wien, że to ona?

Ten rzu cił mu po iry to wa ne spoj rze nie.

– Chyba je stem w sta nie roz po znać kogoś, wokół kogo non stop sku pia
ła się moja praca, nie? – Mój były ochro niarz zmru żył oczy i ski nął na
mnie głową. – Co ci się stało?

– Nic – burk nę łam przez zęby, zde ner wo wa na jego obec no ścią.

Łysy po krę cił do sie bie głową, jakby nie miał ocho ty cią gnąć mnie za
język.

– Dobra, weź cie ją do środ ka. I daj cie cynę sze fo wi.

– Chodź, dziew czy no – rzu cił do mnie osi lek i po cią gnął mnie.

Spró bo wa łam się za przec i za wo ła łam roz pacz li wie:

– Nie! Mia łoś mi dać za dzwo nić!

By sior cof nął się i po chy lił tak, żeby pa trzeć mi pro sto w oczy. Ra czej
do -

bro tli wy wyraz jego twa rzy przy kry ła de ter mi na cja.

– Słu chaj, przy kro mi, na praw dę, ale spra wa się skom pli ko wa ła. Mu
sisz pójść z nami. – Z tymi sło wa mi od wró cił się i już nie zwa żał wię cej
na moje pro te sty, tylko bez li to śnie cią gnął mnie za sobą. Jak można się
do my -

ślić, moje próby oswo bo dze nia się nie przy no si ły skut ków.

-Pusz czaj! Pusz czaj! – za wo ła łam, a potem wpa trzy łam się w tył łysej głowy by ła go ochro nia rza i dość ja do wi cie zwró ci łam się do niego: – Ty!

Pra co wa łoś dla moich braci, nie wolno ci...

– Pra co wa łem i już nie pra cu ję – od krzyk nął, uno sząc tylko rękę, bym za -

mil kła, choć za chwi lę się od wró cił, rzu ca jąc mi roz ba wio ne spoj rze nie: –

Coś nie masz szczę ścia do ochro nia rzy, hę?

I od wró cił się z po wro tem przed sie bie.

Wtedy nie po zo sta ło mi nic in ne go jak ostat nia deska ra tun ku.

– Na POMOC! – wy dar łam się naj gło śniej i pi skli wiej, jak po tra fi łam, i wy -

da wa ło mi się, że wszy scy trzej męż czyź ni cmok nę li z iry ta cją. Na pewno każdy z nich rzu cił mi wku rzo ne spoj rze nie, a ten, który mnie cią gnął, zła -

pał mnie teraz tak, żeby za tkać mi usta.

Sta nę li śmy po mię dzy rzę dem ga ra ży, z któ rych jeden z nich, ten naj bli żej drogi, był otwar ty. W środ ku krę ci ło się kilka osób i kątem oka do strze -

głam, że nie któ re rzu ca ły nam za in te re so wa ne spoj rze nia. Tuż obok stał bu -

dy nek, bar dzo ob skur ny, z rów nie ob skur ny mi, otwar ty mi drzwia mi, które wy glą da ły na bocz ne wej ście do me li ny. Osi łek, po krót kiej wy mia nie zdań z moim byłym ochro nia rzem, pró bo wał mnie tam za cią gnąć.

Byłam tak zmęczona, że mogłam bym nawet zasnąć na stojąco. Wszystko mnie bolało, a na dodatek brakowało mi refleksu, dla tego powiedziałam wam, że w takim stanie nie potrafiłabym się uwolnić nawet z przyjacielskiej uścisk -

skutku Mony, a co do pierożków z łap szerzszych niż moja talia.

To dla tego z taką łatwością zostawiłam wprochowaną do baru. Trzeba było pokonać kilka schodków w dół, by znaleźć się w jakimś piwnicy bez okien.

Nie była to duża sala, ponieważ w niej ponury nastrój i z pewnością nie było -

walniętych murów. Przez obdrapanie, ciemnozielone ściany w wielu miejscach przebił się szary tynk, sufit pękał, a pod nim plątały się gołe rury. Znajdowało się tu kilka stolików na krzyż, a za każdym był tylko jeden z nich przez jakiegoś mężczyznę czy kobietę, który popijał piwo, palił papierosa i czytał

gazetę. Rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym powrócił do lektury, jakby wychodził z założeniem, że lepiej się nie mieszać.

Oczywiście jak w każdym miejscu, nawet tej najbardziej zaopracowanej, nie mogło zabraknąć baru. Przy nim siedział jeszcze jeden facet, który pił jakiegoś -

gość drinka. On natomiast rozmawiał z mną o barze. Był bardzo stary, z nie -

modnym beretem przykrywał siwe włosy, i wpatrywał się we mnie w -

szumnie bez wstydu, w taki, w jaki tylko wiekowi, doświadczeni przez życie ludzie potrafią. Zadowolona, obok łada kręcił się spo -

rych roz mia rów bar man. Miał się ga ją ce ra mion tłu sta we włosy i pu co
ło wa -

tą twarz bez śladu za ro stu. Wy głą dał tro chę jak duże dziec ko i nie pa so
wał

do tego po dej rza ne go oto cze nia.

– Idź pro sto – po le cił mi osi łek, który wresz cie za brał dłoń z moich ust.
Teraz już nie opła ca ło mi się krzy czeć. Ci lu dzie tutaj nie wy głą da li,
jakby mieli rzu cić mi się na ra tu nek. – Sły szysz? Do tych drzwi. To ła
zien -

ka. Uwa żaj, jest z deka za sy fia ła. Umyj se tam twarz i tak dalej. No co
się tak pa trzysz, zmyj cho ciał tę krew, nie? – Otwo rzył dla mnie za ma lo
wa ne po pę ka ną, mię to wą farbą drzwi, a ja nie pew nie we szłam do środ
ka, od razu roz głą da jąc się za ewen tu al ny mi opcja mi do uciecz ki, co
osi łek w mig pojał, bo rzu cił za mną: – Za po mnij, tam nie ma nawet
okien.

Rze czy wi ście ich tam nie było, nawet ta kich ma łych, tuż przy su fi cie.
Je dy -

nie jakaś brud na krat ka, ale nawet gdy bym była świet nie wy szko lo ną,
tajną agent ką, dla któ rej tar za nie się po sys te mie wen ty la cji to coś nor
mal ne go, to i tak bym się tam nie zmie ści ła.

Po miesz cze nie skła da ło się z ma leń kiej umy wal ki, wie ko wej su szar
ki do rąk, która wi sia ła na ścia nie po kry tej sta ry mi, sza ry mi ka fla mi,
po tłu czo ny -

mi i po ma za ny mi w każ dym chyba moż li wym miej scu, oraz nie wiel
kie go, pęk nię te go lu stra. Obok znaj do wa ła się rów nie cia sna, jak się
zaraz mia łam prze ko nać, ka bi na.

Ledwo udało mi się usiąść na se de sie. Byłam tak obo la ła. Efek ty mojej
szar pa ni ny z Ry de rem oraz sa me go wy pad ku coraz bar dziej da wa ły
mi się we znaki. Co wię cej, w po miesz cze niu, nawet tak nie przy jem

nym jak to tutaj, za czy na łam się nieco roz grze wać. Po wo li czu łam, jak palce u rąk i stóp, a także po licz ki z nosem za czy na ją mi drę twieć. Nie byłam do końca pewna, czy to dobry znak.

Nie mo głam uwie rzyć, że już pra wie mia łam te le fon w ręce. Jesz cze chwil -

ka i mo głam za dzwo nić do Vin cen ta. Wtedy już by ło by z górki. Ja kie goż ja pecha mia łam, że na pa to czył się ten mój były ochro niarz. Okrop ne go pecha.

Spu ści łam po sobie wodę i wy szłam, by umyć ręce. Wtedy wresz cie od wa -

ży łam się spoj rzeć w lu stro. Włosy mia łam skoł tu nio ne, twarz wciąż na bie -

ra ła coraz to now szych i dziw niej szych barw – od fio le tów i pur pu ry aż po róże i mocną czer wień. Oczy mia łam przy ga szo ne i bar dzo zmę czo ne. Pu -

ści łam stru mień wody z kranu, która była za smu ca ją co lo do wa ta i za ci ska -

jąc mocno zęby, za czę łam prze my wać nią twarz, by zmyć cho ciaz ślady krwi.

Tro chę się na mę czy łam, bo skórę na buzi mia łam dziś wraź li wą jak nigdy.

Naj mniej szy dotyk spra wiał, że z ust wy do sta wa ły mi się ciche po ję ki wa -

nia. Wresz cie jed nak udało mi się do pro wa dzić do stanu, w któ rym wy głą -

da łam po pro stu na nie atrak cyj ną na sto lat kę, która za rwa ła kilka nocy i za -

po mnie ła o ist nie niu prysz ni ca, ale za to prze sta łaam stra szyć wy ma za nym krwią czo łem.

Zanim jesz cze wy szłaam do osiła ka, po kle pa łaam się tylko po lewej stro nie mun dur ka, a gdy wy czu łaam scho wa ną tam broń, po czu łaam się pew niej.

– Po cze kaj tam – po in stru ował mnie mę ż czy zna, wska zu jąc na na róż ną ka -

na pę, taką, na któ rej spo koj nie mo gła by roz sięć się spora grup ka zna jo -

mych. Nie uszło też mojej uwa dze, że był to sto lik naj bar dziej od da lo ny od wej ścia. – Usiądź i siedź, dobra?

Zanim wy ko na łaam jego po le ce nie, ro zej rza łaam się jesz cze tę sk no za opcja -

mi do uciecz ki, co on od razu do strzegł.

– Nie kom bi nuj – upo mniał mnie z po wa gą na twa rzy, po czym po cze kał, aż zajmę po słusz nie wska za ne mi miej sce, i od szedł.

Sie dzia łaam za drew nia nym sto li kiem z kle ją cym się bla tem na drew nia nej ka na pie z imi tu ją cy mi skórę czar ny mi obi cia mi, w któ rych gdzie nie gdzie po ro bi ły się dziu ry. Mia łaam na sobie mun du rek, w któ rym mu sia łaam wy głą -

dać w takim miej scu wręcz ko micz nie. Nic dziw ne go, że za rów no ten dzi -

wacz ny bar man, jak i dziad sie dzą cy przy barze, co rusz zer ka li na mnie i cza sem nawet coś do sie bie szep ta li. Gdyby nie to, że przy wej ściu stali mę ż czyż ni, któ rzy mnie tu przy wle kli, to po pro stu bym wsta ła i spró bo wa -

ła się stąd wy do stać. To zna czy nie wi dzia łaam ich wszyst kich, ale co jakiś czas w przej ściu po ja wia ła się głowa osiła ka, który zer kał pro sto na

mnie, spraw dając, czy się dzie tam, gdzie mnie to sta wił.

Objęłam się ramionami, bo to, że było tu nieco cieplej, nie oznaczało, że prze stało mi być zimno. Wręcz przeciwnie – miałam wrażenie, że scho dził

ze mnie cały stres dzień tego dnia, po wo dając przejmując cie dresz cze.

A gdy bym wyjęła broń i zaczęła im wszystkim tutaj grozić?

To nie mogłoby się skończyć do brze.

Odchyliłam głowę do tyłu, pa trzyłam w górę, na opłata nie paję czy na mi rury, pa trzyłam w bok, na nie równo ściany, pa trzyłam pod nogi, na brudną posadzkę, gdzie oprócz warstwy błota walały się też nie do pałki pa pierosów.

Raz po raz wzdychałam ci chutko. Stałam się uniemożliwić wzroku barmana.

Miałam wrażenie, że zaraz do mnie podejście i zrobi coś strasznie go.

O dziwo nie długo później zaczęłam powoli odpląwać. Sie działam tak wci -

śnięta w kąt na różniaka, podkułam nogi i oparłam głowę do tyłu, co chwile za mykając oczy i zmuszając się do ich ponownego otwarcia. Za każdym razem ta druga czynność okazywała się coraz trudniejsza.

Chcę do domu.

Bar dzo prawdo podobnie, że wykrzyczałabym te słowa na całego, gdyby nie to, że siły ucho dziły ze mnie tak szybko, jak po wie trze z pęknięciem tego ma -

teraz. Nic dziwnego, że w pewnym momencie na prawdę zaczęłam przy sy -

piąc. Nie chciałam tego. Nie w tym miej scu, nie wśród tych ludzi...

– Po budka, Ha ilie Monet.

54

WY ŚMIE NI TA

RO BO TA

Ocknęłam się gwałtownie i za mrugałam. Wciąż się działam w tym samym pubie. Moje oczy były pod puchnięte, a więc wciąż zmęczone. Musiałam drzeć za siebie chwilę.

Och, głupia Ha ilie, jak mogłaś tu zaśnieć?!

Do piero gdy przetarłam powieki i po wstrzymaniu ziewnięciem, przy po mnie -

łam sobie, że ktoś przed sobą kładę po wie dział moje imię. Spojrzałam zdezorientowana na przed siebie, nie zbyt go to wana koleżny siłk.

Przed stolikiem, przy którym się działam, stał wlaśnie elegancjny ubrany mężczyzna, w którym od razu rozpoznałam Adriana Santana, współniemce mojej rodziny.

Patrzył prosto na mnie i nie brałowało mu bystrości, którą widziałam pod -

czasem na szybach wczesniejszych spotkań. Na jego twarzy miał się lekki uśmiech. Włosy miał nieco zmierzwił, pewnie przez wiatr, ale oprócz tego prezentował się perfekcyjnie do stojącego. Góra wał nade mną w do pasu -

wanym, ciemnym płaszczem, który sprawiał wrażenie niecierpiącego, ale jego wlaściecielnie wyglądał na zziębniętego.

Zapatrzyłam się w niego prosto wam się i upomniałam się, by zamknąć usta, które same otworzyły mi się ze zdumienia.

– Co ty tu robisz? – za pytałam szepem, który spowodował był bólem gardła.

dła.

Adrien przez krzyki de la kat nie głowę w bok, patrząc na mnie z ciętym głosem -

słabnącym za intereso waniem. Po chwili wyjął ręce z kieszeni i zaczął od -

pięć guzików płaszcz. Przytrzymał mi Vincenta z całą swoją do stojno -

ścią. Jednocześnie dużo bardziej niż mój najstarszy brat lubił owinąć ba -

węłnę.

– Smacznie ci się spało?

Do brzo, że wciąż byłam zbyt zmęczona, by się ruszyć.

– Co tu robisz? – powiedziałam.

– Ciękało pytała, zważywszy, że to ty przyłączyłaś się do mojego baru.

Uniosłam brew.

– To jest twój bar? – Rozeszłam się wokoło raz jeszcze, jakby nagle miało się tu zrobić atrakcyjniej.

Adrien zaśmiał się, z grąką się dając na przeciwko mnie.

– To miej szepem dla moich przyjaciół – spróbowałam.

– Wyjął go za puszczone.

– Oni nie narzekają. – Wzruszył ramionami, wyraźnie nie zainteresowany twoją gadką na temat wystroju wnętrza. – No to skąd ty się tutaj wzięłaś, Ha ilie Monet?

Weschnęłam, zbierając w sobie całą cierpliwość świata. Nie sądziłam, że tego okropnego dnia przyjdzie mi jeszcze prowa dzić rozmowę z Adrienem, który był tak śliskim typem, że wszelką interakcję z nim wyماغала na prawo-

de nieładę skupienia i energii, którą teraz mi brakowało.

Przy okazji za drzwiłam i za cisnęłam palce w pięści, po cieraając o nie kciuki -

mi, by je nieco rozgrzać, bo sam fakt, że jeszcze mi się nie odmroziły, był

cudem.

Mój dyskomfort nie uszedł uwadze mojego strażaka, który rozmawiał z nim, który odwrócił głowę w stronę baru i przywołał do nas barmana. Ten zerwał

się na tych miast i stanął obok nas, po prostu jak skały, którą się ogląda -

łam pod czas odwiezienia na wyspach u Blanche.

– Abe, podaj na szesmu gościni coś na rozgrzanie – po prostu ował go Ad -

rien, nadal nie odwracając ode mnie wzroku.

Barman po kiwał energicznie głową, wpatrując się w swoje go, zgażdę, szefa, z dziwnym odaniem.

Adrien obserwował mnie przez chwilę, po czym wstał, złączył swoje okrycie, które wcześniej elegancznie złożył na karnie, i podszedł do mnie. Obserwowałam jego ruchy w pięciu.

– Wy lu zuj, Ha ilie Monet. Nie chce my prze cież, żebyś nam tu za mar z
ła. –

Z tymi sło wa mi okrył moją sku lo ną syl wet kę swoim płasz czem. Przez
mo -

ment się nie ru sza łam, dziw nie czu jąc się z gar de ro bą Ad rie na cią żą
cą mi na ra mio nach. A cią ży ła do słow nie, bo ma te riał, z któ re go była
uszy ta, sporo ważył. Za pach mę skiej wody ko loń skiej, któ rym była prze
siąk nię ta, za wład nął moimi zmy sła mi. Płaszcz od razu za czął mnie roz
grze wać i au to -

ma tycz nie opa tu li łam się nim moc niej.

Ad rien zdą żył zająć z po wro tem swoje miej sce po prze ciw le głej stro
nie stołu, a do mnie pod szedł wiel ki bar man i po sta wił mi przed nosem
szklan -

kę pełną bursz ty no we go płynu. Od razu po czu łam in ten syw ną woń al
ko ho -

lu. Unio słam wzrok na swo je go to wa rzy sza, który w tym samym mo
men cie cmok nął ze znie cier pli wie niem.

– Abe – upo mniał go ni czym oj ciec swo je go przy głu pa we go syna –
nie al -

ko hol.

Bar man po pa trzył na niego szcze rze zdez o rien to wa ny. Ad rien przy
mknął na chwi lę po wie ki, a gdy je otwo rzył, w końcu zer k nął na swo je
go pra cow ni -

ka.

– Nie cho dzi ło o al ko hol – wy ja śnił, po czym wska zał na mnie brodą. –
Jest za młoda, przy nieś jej coś in ne go.

Abe gapił się na szklan kę, marsz cząc brwi.

– Abe, przy nieś jej coś in ne go – po wtó rzył Ad rien, a ja uzna łam to za nawet uro cze, że ma tyle cier pli wo ści. – Ja kies ziół ka czy coś.

– Ziół ka – pod ła pał Abe, a jego oczy roz były sły. Ki wa jąc głową, na tych -

miast zro bił w tył zwrot.

– Stój – roz ka zał mu gło śno i twar do Ad rien, ma su jąc sobie na sa dę nosa. –

Nie takie ziół ka.

Abe znowu zmarsz czył brwi, a jego chwi lo wa eks cy ta cja mi nę ła tak szyb -

ko, jak się po ja wi ła.

– Cho dzi o her ba tę. Go rą cą her ba tę. Ro zu miesz?

Bar man motał się chwi lę, jakby her ba ta była obcym sło wem, któ re go się kie dyś na uczył, potem za po mniał, a teraz pró bo wał przy wo łać jego zna cze -

nie z pa mię ci, ale wresz cie cof nął się do baru i coś tam za czał kom bi no wać.

– Wy bacz. Nie któ rzy moi lu dzie nie grze szą by stro ścią. Po win ni byli le piej o cie bie za dbać, gdy tu cze ka łaś.

– Nie chcę her ba ty, chcę do domu – burk nę łam i do da łam, by nie brzmieć zbyt dzie cin nie: – Prze cież je steś wspól ni kiem Vin cen ta, po wi nie neś od razu dać mu znać, że mnie zna ła złość.

– Racja – zgo dził się, wciąż na mnie pa trząc. – Chciał bym wie dzieć, kto tak za ła twił sio strę Mo ne tów.

– A co ja cie bie niby ob cho dzę? – wark nę łam buń czucz nie.

Ad rien wzru szył ra mio na mi.

– Nie cho dzi o cie bie, tylko o czło wie ka, który za darł z Mo ne ta mi.
Jeśli od -

wa żył się pod paść im, chcę wie dzieć, czy ja i moja ro dzi na też mamy
pod -

sta wy do obaw – wy tłu ma czył. – Wi dzisz, Ha ilie Monet, ja też mam sio
stry.

Chcę wie dzieć, czy padło aku rat na cie bie przy pad kiem.

– Masz sio stry? – zdzi wi łam się, co w sumie było głu pie, no bo prze cież
po sia da nie siostr to żadna no wość, a w końcu nie wie le o Ad rie nie wie
dzia -

łam.

On ski nął głową z drwią cym uśmie chem.

– Dwie, star sze. Jedna z nich nawet pie przy się z twoim bra tem. Nie wie -
dzia łaś?

– Któ rym znowu?

– Nie wie le ci mówią, co?

Za mil kłam.

Ad rien po krę cił głową, cią gle z tym samym uśmie chem przy kle jo nym
do twa rzy.

– Nie wiesz, co tra cisz.

– No tak, bo ja po pro stu marzę o im pre zo wa niu z obrzy dli wie bo ga ty
mi ma fio sa mi.

Nie zmierz nie go tym rozba wiłam.

– Ma fio sa mi – po wtó rzył, szczerząc zęby – cóż to za pra sta re wy ra że nie. –

Pokręcił głową, po czym nieco spoważniał. – Nie uważaj się za lepszą, Ha -

ilie Monet. Jesteś tak samo obrzydliwie bogata jak my wszyscy. To, że chwilowo wmasz sobie, że nie jesteś za in te re so wa na naszą śmie tan ką to wariacja, nie oznacza, że tak będzie zawsze. Po mijając już fakt, że to twoja ro dzina cię od niej izoluje, więc nie udawaj, że jest to twój własny wybór.

– Mam swoich znajomych – skłamałam. – Nie potrzebuję towarystwa wa -

szej śmie tan ki.

Adrien na chylił się lekko do przodu.

-Uważaj, bo może li we, że pewnego dnia obu dźwiesz się, zderza na przez am bi -

cje, i odkryjesz, że twoje ukochane, szkolne psiactwo za trzy mały się w mój scu, bo skończy się ich możliwość. A ty będziesz wiedziała, że twoje nigdy się nie skończy. Będziesz potrzebowała wspinać się w górę i górę, coraz wyżej. Wtedy zapukasz do naszych drzwi, a my... – Adrien zaśmiał się na chwilę głośno, odchylił się na krzesło, po czym, puszczone oczko, dodał: – A my cię wpuścimy.

Pałałam na niego, przeobrażając jego słowa, które komplementy nie zbiły mnie z tropu. Jak to w ogóle się stało, że we szliśmy na takie te ma ty?

Nawet nie uważałam, że znowu przyszedł do nas Abe, tym razem trzy -

mając kufel – tak, kufel – herbaty. Gdy postawił go przede mną, trzasnął

nim głośno o blat stołu i rozlał po nim trochę wrzątku. W środku na czynie pływała szetka, a woda barwiła się barwami de likatnie. Nie miałam ochoty tego pić, ale nie mogłam odmówić sobie na chyle niasię nadparują cym wy -

wa rem i objęcia kufła zmarznięty mi dłońmi.

– Kto cię zaatakował i jak udało ci się uwolnić? – za pytał znowu Adrien.

– Najpierw zadzwoniłam po Vincenta.

– Stawiamy warunki, proszę. – Dochodziłam do wniosku, że zbyt często było mu do śmiechu. Podczas gdy ja marzyłam o końcu czegoś tego koszt -

marne go dnia, on się do brzo bawił. – Pamiętaj, Ha ilie Monet, że my sobie tutaj wcale nie nie go cjujemy. Jestem miły dla siostry Vincenta, ale moja uprzejmość też ma swoje granice.

Ciaśniej za ciśniełam ręce wokół jego rąkce go kufła, jedno cześniej marszcząc brwi.

– Nie możesz mi grozić.

– Nie chcę – powiedziałem. – Ale mogę.

Odśnięłam się od herbaty, ześciągając twą rękę obserwując swoje go roz -

mówię. Próbowaliśmy ignorować katar, który pod wpływem cieplą zaatakował -

wał mój nos.

– Zadzwoniłam, proszę, do Vincenta – zażądałam, stając się brzmieć jedno -

czegoś nie twar do i kul tu ralne.

Ad rien nawet nie mru gnął. Bar dzo przy po mi nał mi mo je go naj star sze go brata, poza tą swoją non sza lan cją, która była wręcz ścią gnię ta od Dy la na.

Sie dział wy pro sto wa ny i dumny, ale jed no cze śnie wy lu zo wa ny.

Ja też się wy pro sto wa łam. Na stęp nie zro bi łam coś, co za sko czy ło mnie samą. Na pewno była to czyn ność nie prze my śla na, bo mój mózg, jak już wspo mi na łam, nie dzia łał naj le piej pod wpły wem znu że nia i oszo ło mie nia.

Po wol nym, acz zde cy do wa nym ru chem się gnę łam za pa zu chę mun dur ka i wy cią gnę łam broń. Już będąc w po ło wie tego ruchu, za wa ha łam się nad jego słu sz no ścią, ale nie mo głam się już wy co fać.

Ad rien przy głą dał się, jak wyj mu ję pi sto let, ob rzu cił go tym samym, za cie -

ka wio nym spoj rze niem i nawet nie drgnął, gdy wy ce lo wa łam lufą w jego stro nę. Za miast tego prze niósł wzrok z po wro tem na moją twarz i po wie -

dział:

– Spo dzie wa łem się noża.

Trzy ma nie Ad rie na na musz ce było czymś kom plet nie innym niż ce lo wa nie do Ry de ra. Bra tem Leo kie ro wa ła głu po ta i nie trud no było prze jąć nad nim kon tro lę, Ad rien jed nak to stary wy ja dacz, któ re go wy czu cie było nie lada wy czy nem, zwłasz cza dla tak nie do świad czo nej w spra wach gro że nia innym oso bie jak ja.

– Od po wia da jąc na twoje py ta nie, wła śnie tak udało mi się uwol nić. A teraz za dzwoń do Vin cen ta.

Ad rien nie zła pał za ko mór kę. Za miast tego Abe zo ba czył, jak ce lu ję do jego szefa i za czął coś krzy czeć, zza baru wy cią ga jąc swoją wła sną splu wę.

Dziad, który tam przy nim się dział, też się gnął za swój pasek, a z ze
wnątrz

zaj rzał do środka osi łek, zwa bio ny przez ha ła sy, i rów niez się gnął po
pi sto -

let.

Brawo bra vis si mo, Ha ilie, wy śmie ni ta ro bo ta.

Muszę przy znać, że na widok tyłu broni wy ce lo wa nych nagle w moją
stro -

nę na moje czoło wstą pi ły kro ple potu. W jed nym mo men cie zro bi łam
się mała ni czym mrów ka w po rów na niu z tymi wszyst ki mi do ro sły mi
go śc mi wkoło, ale z ja kie goś po wo du nie opu ści łam swo je go pi sto le
tu, tylko za ci -

snę łam na nim ner wo wo palce i zer ka łam na obroń ców Ad rie na.

On na to miast uno sił jedną rękę. Wie dział, że za jego ple ca mi znaj do wa
li się jego pra cow ni cy go to wi do roz bro je nia mnie. Zresz tą wszy scy
sły sze li śmy od bez pie cza ją ce bro nie klik nię cia. Dłoń Ad rie na ster
cza ła w po wie trzu, niby to nie dba le, ale jed no cze śnie jasno ko mu ni
ku jąc, żeby wstrzy mać ewen tu al ne wy strza ły i atak. Ma syw ny sy gnet
błysz czał na jed nym z jego pal ców, do dat ko wo sy gna li zu jąc, kto tu
wy da je po le ce nia.

Ad rien wpa try wał się we mnie, jakby chciał mi bez słów prze ka zać, kto
tu jest górą i że mam się za cho wy wać, po czym zwró cił się do swo ich
ludzi:

– Ależ pa no wie. Pro szę nie wpro wa dzać ner wo wej at mos fe ry –
mówił do nich, jakby to oni byli tutaj pro wo dy ra mi tej całej akcji. Nie od
wró cił się do nich zu peł nie, bo nie prze rwał kon tak tu wzro ko we go ze
mną. – Nie chce li -

by ście przez przy pa dek za strze lić Ha ilie Monet, czyż nie? Scho waj cie broń i wra caj cie do swo ich spraw.

Chwi lę póź niej osi łek wy szedł z po wro tem na ze wnątrz, dziad od wró cił się jak gdyby nigdy nic do baru i tylko Abe co jakiś czas wciąż łąpał na mnie po dejrz li wie.

Ja zaś w dal szym ciągu ce lo wa łam do Ad rien na, ale rów nie do brze mo głam tego nie robić, bo po tym, co zo ba czy łam, wie dzia łam, że po strze le nie go nie uszło by mi na sucho. Ad rien na pewno do sko na le zda wał sobie z tego spra wę.

Nie chęć nie od wza jem ni łam w końcu jego spoj rze nie, wie dząc, że na pewno bę dzie kpiar skie. Nie po my li łam się.

– No, no, uro sły ci jaja.

Skrzy wi łam się zde gu sto wa na.

-Nie to, co twoje – od pa ro wa łam, zanim zdą ży łam się po wstrzy mać i wzdry gnę łam się z za że no wa nia.

On znowu się za śmiał.

– O nie. Moimi się nie in te re suj. Mó wi łem już, że je steś za młoda.

Przy mknę łam po wie ki, zbie ra jąc w sobie siłę na dal sze uże ra nie się z tym idio tą. Nie po tra fi łam z nim roz ma wiać i się nie de ner wo wać. Miał w sobie tę nie zwy kłą umie jęt ność od bi ja nia pi łecz ki za każ dym razem, gdy co kol -

wiek po wie dzia łam. Iden tycz ną mieli Dylan z bliź nia ka mi i była to praw -

dzi wie iry tu ją ca cecha.

Otwo rzy łam z po wro tem oczy, by znowu cze goś za żą dać, li cząc, że Ad rien w końcu prze sta nie sobie żar to wać i weź mie mnie na po waż nie. Prze cież nie bę dzie my tu sie dzieć w nie skoń czo ność. Cała moja de

ter mi na cja jed nak ule cia ła, gdy tylko zo ba czy łam, że do tej pa skud nej me li ny wszedł wła śnie Will.

Serce za ko ła ta ło mi w klat ce pier sio wej tak mocno, że pra wie po obi ja ło się o żebra. Naj pierw po my śła łam, że mój prze mę czo ny mózg robi mi ja kieś psi ku sy, ale czas mijał, a ja wciąż wi dzia łam w nowo przy by łym męż czyż -

nie mo je go uko cha ne go brata. Co wię cej, wszedł do po miesz cze nia, uważ -

nie się roz głą da jąc, i nie mał od razu na po tkał moje spoj rze nie, na któ rym się za trzy mał.

Jego błę kit ne oczy to wszyst ko, co wi dzia łam. Ulga, jaka mnie za la ła, aż spra wia ła mi ból. Od mo men tu spo tka nia Ry de ra ma rzy łam, żeby zna leźć się w po bli żu braci, u boku któ rych czu łam się bez piecz nie, ale zna leźć się kon kret nie u boku Willa to było coś ab so lut nie wspa nia ła go.

Przy po mnia ło mi się, że wciąż za cię cie ce lo wa łam w Ad rie na bro nią, którą teraz prę dko opu ści łam, jak bym zo sta ła przy ła pa na na go rą cym uczyn ku.

Will jed nak nie był głupi, z pew no ścią wi dział, co jego sio stra trzy ma w rę -

kach, teraz ukry tych pod sto łem. Czym prę dzej rzu cił się w moją stro nę.

– Ach, przy był Wil liam Monet. – Ad rien uśmiech nął się sym pa tycz nie, ni -

czym go spo darz na im pre zie ocze ku ją cy ko lej nych gości.

Will nie przy wi tał się z nim, za ję ty oglą da niem mnie z każ dej stro ny. Był

prze ję ty i chyba nie spo dzie wał się, że będę wy głą da ła tak źle, bo nie mógł

wy du się z siebie słowa, tylko od razu na chylił się nade mną i de li kat ny mi mu śnięcia mi palców od gar nął moje włosy i grzyw kę, by przyjąć rzecz się do -

kład niej moim ranom i si nia kom. Wi dzia łem, że chciał do tknąć mojej twa -

rzy, po głaskać mnie po po liczkę, ale bał się, że sprawi mi tym ból.

Zerka łem z dołu na jego na pięć tą twarz. Szczękę miał za ci śniętą, a w oczach, choć kryła się opiekuńczość, ma ja czy ła też złość.

– Już do brze, Ha ilie, mamy cię z powrotem. – To były jego pierwsze słowa, które do mnie wyszeptał.

Pocałował mnie w czubek głowy, kładąc dłoń na jej tyle i przytulając ją -

ciutko do swojej pierś. Wy czuwaając jego bliskość, moje ciało się poddało.

Prze sta łem wywierać na sobie presję, by za chwilę wać się jak odważna -

ha ter ka, bo wiedziałam, że cokolwiek się teraz wydarzy, to Will o mnie zadba i mi pomoże. Nie musiałam się już niczym przejmować. Jakże kojąca była ta myśl! Wciąż nie mogłam uwierzyć, że po tym wszystkim, co prze -

szłam, do tar łem do momentu, w którym wreszcie mogłam się po prostu wy -

łączyć.

Will złapał mnie trochę w dłoń. Wyjął z niej pięstolet, na co mu bez -

względnie pozwoliłam. Za bezpieczył go sprawnie i wsunął sobie do spodni, jakby nic się nie wydarzyło, i wciąż się nade mną pochylał, zapętał:

– Mo żesz cho dzić?

Po ki wa łam głową.

Wtedy po mógł mi wstać, dba jąc o to, by sta no wić dla mnie jak naj so lid niej -

szą pod po rę. Gdy przy ci skał mnie do swo je go boku, już na sto ją co, do strze -

głam, że wła śnie pod cho dził do nas Vin cent. Jego nie czu łem oczy pa trzy ły pro sto na mnie przez długi czas, jakby upew nia jąc się, że to na praw dę ja.

Potem on i Will wy mie ni li się spoj rze nia mi, ski nął na niego głową, i od -

wró cił się do Ad rie na. Witał się z nim for mal nie i dzieł ko wał mu za te le fon.

Z za in te re so wa niem nad sta wi łam uszu, ale mój ulu biony brat po kie ro wał

mnie do wyj ścia, a ja nie pro te sto wałam, tylko cie szy łam się, że mogę wresz cie opu ścić to prze brzy dłe miej sce. Jesz cze przed wyj ściem z baru Will za trzy mał się tylko na chwi lę i zdjął swój płaszcz. Za rzu cił go na moje ra mio na, na któ rych znaj do wał się już płaszcz Ad rie na.

Sku li łam się, gdy wy szłam na zimno, przy po mi na jąc sobie od razu moją nie daw ną tu łącz kę. Jak ja wtedy ma rzy łam o chwi li jak ta, kiedy je stem już z moją ro dzi ną, za opie ko wa na. Przy ga ra żach stał mój były ochro niarz wraz z osił kiem, a obok nich, wi docz nie cały spię ty, na bu zo wa ny i z za ło żo ny mi na sze ro kiej pier si rę ko ma, krę cił się Dylan. Kła sycz nie wdał się w jakąś ma ło kul tu ral ną py sków kę z byłym ochro nia rzem, ale olał go to tal nie, gdy zo ba czył mnie. Opu ścił ręce wzdłuż tu ło wia, ale jego dło nie po zo sta ły za ci -

śnie te w pięści. Na wia za li śmy kon takt wzro ko wy, jed nak nie było czasu na nic wię cej, bo Will bar dzo zde cy do wa nie cią gnął mnie do swo je go sa mo -

cho du.

– Cze kaj na Vince’a – rzu cił tylko do młod sze go brata, a ten wbrew sobie usłu chał. Will otwo rzył przede mną drzwi i po mógł mi wejść do środ ka, na -

cią gnął na mnie moc niej swoją kurt kę, za pew ne do brze wi dząc, jak wcze -

śniej bli sko mi było do za mar z nię cia.

– Coś cię mocno boli? Coś ci do le ga, o czym po wi nien wie dzieć, zanim po -

je dzie my do szpi ta la? – pytał, gdy wresz cie sie dzia łam, a on stał nade mną, chro niąc mnie przed naj więk szym zim nem.

Po krę ci łam głową.

– Nic ta kie go, Will. Je stem tylko zmę czo na, nie mu si my je chać do szpi ta la.

Wy star czy do domu. Marzę, żeby od po cząć w domu – wy mam ro ta łam sen -

nie, opie ra jąc głowę o za głó wek fo te la.

– Do brze, że nie czu jesz, by dzia ło ci się coś po waż ne go – od parł, wpa tru -

jąc się we mnie z nie skry wa nym zmar twie niem. – Oczy wi ście, że po je dzie -

my do szpi ta la. Nie wzdy chaj tak, ma lut ka, wiem, że po trze bu jesz od po -

czyn ku.

Obie cu ję, że do sta niesz go tyle, ile tylko bę dziesz chcia ła. Okej? Po pro stu mu si my upew nić się, że nie stało ci się nic po waż ne go.

Przy mknę łam po wie ki, nie szczę śli wa, że nie tra fię jed nak od razu do domu, ale wie dzia łam, że Will miał rację. Gdy za mknę łam oczy, trud no mi je było otwo rzyć, więc mój brat za piął mnie, po czym zło żył moje ręce na moich ko la nach i ostroż nie za mknął drzwi. Potem usiadł za kie row ni cą i od pa lił

auto, od razu pod krę ca jąc ogrze wa nie.

Po chwi li do łą czy li do nas Vin cent i Dylan. Ten drugi usiadł obok mnie, z tyłu. Jak tylko to za ko do wa łam, za mknę łam z po wro tem oczy. Nie mia -

łam siły nawet pa trzeć ani mówić.

– Wszyst ko z nią okej? – za py tał Dylan i czu łam na sobie jego spoj rze nie.

– Daj cie jej swoje kurt ki, cała jest zmar z nią ta.

Po chwi li po czu łam, jak łą du ją na mnie ko lej ne war stwy, ni czym koł der ki.

– Ad rien mówił, że jego lu dzie zna leź li ją, jak szła przy dro dze. Ma ranę na czole, dość ob fi cie z niej krwa wi ła.

– Jaką ranę na czole? O chuj, fak tycz nie. Ude rzy łaś się? Ktoś cię ude rzył?

– Dylan, zo staw ją. Wszyst kie go się do wie my.

Wresz cie zro bi ło mi się tro chę cie pło. Wresz cie było mi wy god nie. Wresz -

cie znaj do wa łam się w to wa rzy stwie ludzi, któ rym ufa łam. Roz ko szo wa łam się dźwię kiem ich gło sów. Wiem, że dys ku to wa li o mnie, i nor mal nie żwawo ucze stni czy ła bym w ich wy mia nach zdań, ale teraz po tra fi łam tylko cie szyć się chwi lą spo ko ju.

A na stęp ne go dnia, cóż, cze ka ła mnie roz mo wa z brać mi i już do kład nie wie dzia łam, co im po wiem.

Zwłasz cza Vin cen to wi.

55

CHIŃSZ CZY ZNA

Zdu szo ny śmiech Tony'ego to pierw sze, co usły sza łam po prze bu dze niu.

Otwo rzyw szy oczy, uj rza łam go, sto ją ce go przy szpi tal nym łóżku, które zaj mo wa łam. Pięść przy kła dał do ust, by stłu mić gło sne par sk nie cie. A roz -

ba wił go Dylan, znaj du ją cy się obok spo re go, lu ko we go okna, je dy ne go w tym po miesz cze niu. Naj wy raż niej pró bo wał je wła śnie otwo rzyć i gapił

się na uła ma ną kłam kę, którą trzy mał teraz w dłoni.

– Co za szajs – mruk nął pod nosem i od rzu cił ze psu ty przed miot na pa ra pet, po czym zer k nął na Tony'ego: – Prze stań rzeć, bo ją obu dzisz.

O dziwo, Tony spró bo wał się nieco uspo ko ić. Wtedy obaj moi bra cia rzu ci li mi kon tro l ne spoj rze nie i gdy od kry li, że ja na praw dę już nie spa ła m, ich oczy się roz sze rzy ły. Dylan od razu ru szył na przód, by sta nąć po mojej lewej stro nie. Pró bo wał za cho wy wać się na tu ral nie, co nie zbyt mu wy cho -

dzi ło, bo wi docz nie czuł się nie swo jo. Naj pierw splótł przed sobą ręce, które na stęp nie opu ścił luźno wzduż tu ło wia, po czym splótł je znowu.

Lu dzie, przy nie ście ka me rę, przede mną stał wła śnie rzad ki okaz za kło po ta -

ne go Dy la na!

Pa trzy łam w górę, na ciem ne oczy brata. Wy obra ża łam sobie, że mój wyraz twa rzy wy zu ty był z wszel kich emo cji, bo tak przy naj mniej czu łam się w duchu.

– Co tam? – za py tał cicho.

Też był po waż ny, a jego wzrok ostroż ny.

Wie dzia łam, że moja od po wiedź bę dzie albo za chryp nię ta, albo ci chut ka, pi skli wa lub chra pli wa, dla te go nie kwa pi łam się do otwie ra nia ust.

– Co tam? – prychnął Tony, który teraz opie rał się o rów no le głą ścia nę z ra -

mio na mi za ło żo ny mi na pier si i rów nież uważ nie mnie ob ser wo wał.
– Za -

py tał byś ją, jak się czuje, a nie, kurwa, „co tam?”.

Dylan spoj rzał na niego z iry ta cją.

– To może sam ją za py taj? Też tutaj je steś, nie?

– Dobra, jak już ty ga dasz, to gadaj.

– To siedź cicho.

W cza sie ich py sków ki ro zej rza łam się po po ko ju, który mi przy dzie lo no.

Nie był wiel ki, ale przy naj mniej nie mu sia łam go z nikim dzie lić, no i znaj -

do wa ły się tu do dat ko we drzwi, które praw do po dob nie pro wa dzi ły do mojej wła snej ła zien ki. Na ścia nach ko lo ru kre mo we go roz cią gał się gruby, ciem no brą zo wy pasek tuż pod samym su fi tem. Poza tym na prze ciw ko łożka wi siał pła ski, mały te le wi zor, a w kącie, nie da le ko okna, stał brą zo wy fotel dla od wie dza ją cych. Obok mo je go łożka na to miast znaj do wał się sto -

lik z ład nym kwiat kiem o gru bych, so czy ście zie lo nych li ściach.

Obok głowy Dy ła na dyn da ła to reb ka wy peł nio na prze zro czy stym pły nem, którą do strze głam, do pie ro gdy pod nio słam brodę. Do niej do cze pio na była rurka, któ rej śla dem na stęp nie po dą żył mój wzrok. Jej drugi ko niec oka zał

się igłą wbitą w wierzch mojej dłoni. Pa trzy łam bez na mięt nie na we nflon, pró bu jąc przy po mnieć sobie, kto i kiedy, u licha, mi go za ło żył.

Spoj rza łam z po wro tem na braci, ale oni jesz cze nie skoń czy li się prze ko -

ma rzać.

– ...to się na coś przy daj i idź, po wiedz, że się obu dzi ła.

– No i pójdę.

– No i za je bi ście.

– I chuj, idę.

Tak więc kon ty nu owa łam oglę dzi ny. Mia łam na sobie szarą ko szul kę, o sto roz mia rów na mnie za dużą, więc mu sia ła na le żeć do któ re goś z moich braci. Dol nej czę ści mojej gar de ro by nie wi dzia łam, bo przy kry ta byłam koł drą. Po chwi li rze czy wi ście na wie dzi ły mnie mgli ste wspo mnie nia po -

ma ga ją cej mi się prze brać pie lę gniar ki. Za ję ła się wtedy też moją raną na czole i chcia łam teraz unieść palce, by do tknąć opa trun ku i po twier

dzić tym praw dzi wość tam tych wy da rzeń, ale osta tecz nie mój mózg
uznał, że od ry -

wa nie dłoni od koł dry to za wiele za cho du, więc dałam sobie spo kój.

– Sorry, Ha ilie – mruk nął do mnie Dylan, jak tylko drew nia ne drzwi z
pro -

sto ką t ną, mlecz ną szybą za mknę ły się za jed nym z bliż nia ków. – Tony,
wiesz... Tony jest głupi.

Wpa try wa łam się bez wy ra zu w ciem ne oczy brata, po czym ro sną ca
we mnie chęć do gry zie nia mu wy gra ła i ode zwa łam się po raz pierw
szy.

– Ty nie je steś lep szy.

Zgod nie z moimi przy pusz cze nia mi brzmia łam sucho, jak bym wie czór
wcze śniej zdar ła sobie gar dło na kon cer cie me ta lo wym.

Dylan uniósł palec i po gro ził mi nim z uda wa nie po waż ną miną.

– Ty, nie po zwa laj sobie, mała dziew czyn ko.

Pa trzy łam na niego wciąż nie wzru szo na.

– Nu, nu, nu – wy mam ro ta łam słabo.

Ta opa ten to wa na przez niego głu piut ka od zyw ka od razu wy wo ła ła
sze ro ki uśmiech na jego twa rzy. Ja też nie mo głam po wstrzy mać uśmie
chu.

W pew nym mo men cie moje roz ba wie nie prze kro czy ło pewną gra ni
cę i po -

czu łam fi zycz ny ból. Bo la ło mnie wciąż prze wraź li wio ne gar dło, co
za pew -

ne mię dzy in ny mi było skut kiem pod du sze nia. Bo la ły mnie zebra,
które po -

obi ja łam, ro biąc fi koł ki w tym nie szczę snym aucie, no i bo la ła mnie
też szczę ka. A także mi lion in nych miejsc.

Dylan, za pew ne na widok mo je go na głe go skrzy wie nia, spo waż niał i
zna -

łam go już na tyle do brze, żeby wie dzieć, że jego scho wa ne pod tą luźną,
szarą bluzą, którą miał na sobie, mię śnie, mocno się wła śnie na pi na ły.

– Za bi ję go.

Jego oświad cze nie było ciche, spo koj ne i tak zwy czaj ne, jakby po pro
stu oznaj mił, że musi ogra ni czyć ko fe inę. To dla te go aż prze szły mnie
ciar ki.

– Dylan... – Kom plet nie nie wie dzia łam, co za mie rzam po wie dzieć, i
tylko wpa try wa łam się w jego pło ną ce de ter mi na cją tę czów ki.

– Za bi ję go, Ha ilie.

– Dylan. – Ostry, chłod ny głos na sze go naj star sze go brata roz brzmiał,
gdy ten do łą czył do nas w salce.

Oboje prze nie śli śmy na niego wzrok. Był w ko szu li, jak zwy kle, a pod
ocza mi wid nia ły mu tylko nie wiel kie cie nie. Ab so lut nie nie pod wa ża
ły one jed nak jego au to ry te tu ani nie po da wa ły w wątpli wość jego
siły. Rzu cał

wła śnie twar de, ostrze gaw cze spoj rze nie na sze mu bratu.

– Czy chcesz wyjść i ochło nąć? – za py tał go, uprzej mie jak zwy kle.

Dylan za ci snął dło nie w pię ści.

– Ona się nawet nie może za śmiać!

Vince, zbliżając się do mojego łóżka z przeliczeniem do Dylana na stronie, pa -

trzymał na niego znacząco i spuścił wzrok na mnie, dopiero gdy się zatrzymał.

Ucieszyłam się, że jego oczy błysnęły na tych miastach. Po trzech godzinach -

łam jego taryfę ulgową jak nigdy. Pragnęłam, by się ze mną potacał, tak jak za wszystko robił Will.

– Jak się czujesz?

Vincent nie potrafił brzmieć trochę niewinnie, dla tego jego pytanie nie zdało się rzucić ośchle, ale i tak je do siebie nie łam. Przy okazji uświadomiłam sobie, w jak beznaście stałam się.

Bo łapała głowa, za tkały nos i spuchnięte gardło świadczą o najzwyczajniej -

klejszynie infekcji, którą mój biedny, wyziębiony organizm miał pełne prawo złapać. Do tego dochodziły sińce po bójkach z Rydem oraz stłuczenia po wypadku. Koń czy nadal miałam ze sztywnymi łyżkami, ssano mnie w żołądki z głodu, a w ustach miałam puściwo.

– Tak... średnio. – Odchrząknęłam, stając się zrobieć to dyskretnie, po czym dodałam: – Chyba jestem trochę chora.

Vincent patrzymał na mnie z góry przez dłuższą chwilę i nałożyłam, że w tym czasie mruknął może dwa razy, po czym przełożył znowu, teraz już otwarcie przechodząc na formalne tony.

– Masz stan pod rączkę, ostatni raz mierzo no ci temperaturę pół godziny -

ny temu. To przez długi czas trwałe osłabienie twoje organizmu. Byłaś od -

wod nio na, więc za ło zo no ci kro plów kę. Obyło się bez szwów na czole, ale zaraz zro bią ci prze świe tle nie głowy i brzu cha, żeby wy klu czyć po waż ne ob ra że nia we wnętrz ne. Jeśli czu jesz się na si łach, mo żesz naj pierw wziąć szyb ki prysz nic.

Po dą ży łam wzro kiem za jego dło nią. A więc do brze zga dy wa łam, że tamte drzwi pro wa dzą do ła zien ki.

Ski nę łam głową. Wizja prysz ni ca po dzia ła ła na mnie mo ty wu ją co. Pra gnę -

łam po czuć się świe żo. Pra gnę łam mieć czy ste i pach ną ce włosy. Pra gnę łam umyć zęby jakąś mocno mię to wą pastą. I prze myć za puch nię te po wie ki na -

są czo nym chłod ną wodą płat kiem ko sme tycz nym. I wy szo ro wać plecy, i stopy, i, o Jezu, moje pa znok cie. Wła śnie na nie spoj rza łam. Skąd tam się wziął ten pa skud ny brud?

Jak na za wo ła nie spró bo wa łam się pod nieść. Ode rwa łam głowę od sztyw -

nej po dusz ki, pod par łam się na łok ciach i pod nio słam plecy, ale były to ruchy zbyt rap tow ne i wy ma ga ją ce dla mo je go roz le ni wio ne go ciała, przez

co na tych miast od czu łam ból w kilku miej scach naraz, i opa dłam z po wro -

tem na ma te rac, gło śno wzdy cha jąc.

Dylan i Vince rzu ci li się do mnie z dwóch stron, obaj wy cią ga jąc ręce, by mnie ase ku ro wać.

– Ej, cze kaj, młoda, uwa żaj.

– Po wo li.

Na klatce pierś się wejść po czułam dłoń, która deklamuje, acz stanowiąc
po -

wstrzymajmy się przed kolejnymi takimi prześladkami zrywkami. Do -

pięć chwilę później zebrałam siłę i odważyłam się, by ponownie otworzyć
oczy.

Od razu na powtórka wzrok Vincenta, bardzo intensywny, jakby mój
najstarszy -

szwagier siłą woli stał się prześladką miłośnika swojego i oparł
na -

nią. To jego dłoń mnie hamowała. Zerknęłam na nią i ten mój sygnał
głęboki, spojrzenia jąca na jednym z jej palców. Po dobrego do tego u Adriana.

Wtedy Vince zabrał rękę, uniósł ją i nachylił się, by – jak się zaraz mia-
łam przeświadczyć – wezwać pięć gniazdek przy ciszką wieszającą nad
moją głową. Potem, bez słowa, wskazał brodą na mój węzłowiec, o którym
zdaży -

łam już za mnie.

Czekając na asystę, nie odzywałam się. Październik na swoje szczęście
ręce, w szpitalnych warunkach robiąc wrażenie niechlebny wy-
chodzący. To tu, to tam zdołały być brzydki, purpurowe plamy.

W powietrzu czuło się napięcie i pewna byłam, że Dylan z Vincentem
zer -

ka ją na siebie. Na szczęście wkrótce do pokoju weszła pięć gniazdek
przy -

mi na jąca kośmyczkę wspanialej z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Moi braćcia odeszli na bok, pod czas gdy ko bie ta za da wa ła mi py ta nia o moje sa mo po czu cie, na które prak tycz nie nie od po wia da ła m. Skrzy wi ła m się, gdy wy cią ga ła mi z dłoni we nflon. Kilka razy upew nia ła się, że je stem w sta nie wziąć prysz nic o wła snych si ła ch. Gdy po ma ga ła mi pod nieść się z łóżka, my śła ła m, że rzucę się na nie z po wro tem i za du szę się po dusz ką, bo co chwi la po wta rza ła nie zmier nie iry tu ją ce mnie słowo „po wo lut ku”.

Usły sza ła m, jak Vince rzuca cicho do Dy la na, by ten otwo rzył okno i tro chę tu prze wie trzył. Ten zaś w od po wie dzi mruk nął, że „Tony roz je bał kłam kę”.

– Po wo lut ku – za traj ko ta ła pie lę gniar ka, gdy spu ści ła m z ma te ra ca nogi.

Tuż przy łóżku cze ka ły na mnie ide al nie ki czo wa te, ró żo we, gu mo we klap -

ki z pu cha ty mi pom po na mi. Nie wiem, kto je dla mnie tu przy tar gał, nie przy po mi nam sobie, bym miała je wcze śniej.

Gdy wsu wa ła m w nie stopy i już chcia ła m się pod nieść, Vince zbli żył się i wy cią gnął rękę. Z przy jem no ścią wy bra ła m uwie sze nie się na jego sta bil -

nym ra mie niu niż na tym na le żą cym do drob nej pie lę gniar ki. Ona naj wy -

raż niej nie miała z tym pro ble mu.

– Po wo lut ku.

Za ci snę ła m zęby.

Zro bi ła m pierw szy krok, a potem drugi.

– O tak, wła śnie. Po wo lut ku.

Drgnęłam i się za trzy małam. Zdałam sobie sprawę, że byłam nie na tu ról -

nie spokojna, pod czas gdy w mojej duszy kłębiły się uwięzione palące, skrajne emocje. Okazało się więc, że niewiele było trzeba, żeby je uwolnić.

– No przecież robię wszystko po wolutku! Jestem wolna! Nawet jakbym chciała, to nie potrafię szybko! Ledwo chodzę, chyba przez cieź widać!

Otworzyłam szeroko oczy, gdy uświadomiłam sobie, że autorką tego wybuchu -

byłam ja sama. Gdybym nie zakochała się w palącym na karku Vince'a, to właśnie krywałabym własne usta.

Pielęgniarzka zamrużyła, po czym spuściła głowę i przeprosiła mnie uprzejmie -

nie, kontynuując swoją asystę w milczeniu. Dylan gapił się na mnie zdziwiony -

widocznie, z niesionymi mi brwiami, ale nie odezwał się, a na Vincenta nawet nie miałam odwagi spojrzeć. Na szczęście wyjątkowo po prostu nie kołatał -

wał na głos moje gozawania.

Szkłał przyszyty był niewielki, ale bardzo czysty, toaletowy biały i wysoki -

wał na błysk, a spore lustro nad umywalką po rządnie oświetlało. Do sta -

łam ja gdzieś pięć minut na przyszyty i nie zamierzam przez krótkość tego czasu, bo nie potrafię mi zamknąć drzwi, żeby jak najszybciej zareagować na wypadek, gdyby coś mi się stało.

Po ło wę mo je go li mi tu cza so we go stra ci łam na oglę dzi ny mo je go zmor do -

wa ne go ciała w lu strze. Wy glą da łam strasz nie. Byłam brud na i po si nia czo -

na. Mia łam si nia ki w miej scach, w któ rych nawet nie wie dzia łam, że można je mieć.

Cie pła woda i pach ną cy kwia ta mi żel pod prysz nic na praw dę spra wi ły, że po czu łam się le piej. Wsko czy łam w świe że ubra nia i wy tar łam włosy ręcz -

ni kiem. Wtem roz le gło się po na gla ją ce pu ka nie do drzwi.

Wstęp ne ba da nia i oceny moich ob ra żeń zo sta ły wy ko na ne, gdy spa łam albo pra wie spa łam. W ogóle nie pa mię ta łam le ka rza, który rze ko mo w nocy się mną zajął, i gdyby nie to, że moi bra cia po twier dzi li tę wer sję, to po my śla ła bym, że ktoś tu kła mie. Taka chwi lo wa amne zja była mi jed nak na rękę. Jak chyba każdy, nie prze pa da łam za szpi ta la mi.

Wy szłam z po ko ju w to wa rzy stwie pie lę gniar ki i Vince'a. Na ko ry ta rzu spo tka li śmy Tony'ego, który stał przy au to ma tach z ba to ni ka mi, po czym zaraz na tknął się na nas także Will. On wy szedł zza win kła i wła śnie koń -

czył roz mo wę te le fo nicz ną. Gdy nas zo ba czył, na tych miast pod szedł do mnie, przy tu lił mnie, jed no cze śnie prze jąc mnie od Vince'a, który to z kolei znik nął za za krę tem. Tak oto osta tecz nie to mój ulu bio ny brat to wa -

rzy szył mi pod czas ko lej nych badań, które – szczę śli wie dla mnie – oka za ły się for mal no ścią.

Gdy wra ca łam, wciąż w to wa rzy stwie Willa, mi nę li śmy z kolei Dy la na i znowu Tony'ego, któ rzy za po wie dzie li, że idą po je dze nie dla wszyst kich.

Potem znowu na tknę li śmy się na Vin cen ta, gdy roz ma wiał z pie lę gniar ką, a kiedy wró ci łam do po ko ju, zna la złam Shane'a roz cią gnię te go na moim łóżku jak prze ci nek. Głowę trzy mał na za ło żo nych rę kach i nawet zdjął

buty. Oglą dał te le wi zję.

Tak wła śnie wy glą dał szpi tal opa no wa ny przez braci Monet.

Cie szy łam się, że oni wszy scy byli tu, w po bli zu.

Co nie ozna cza ło, że nie byłam wciąż roz draż nio na.

– Złaż – burk nę łam, zbli ża jąc się do łóżka.

– Cii, dziew czyn ko – mruk nął i wy cią gnął ramię, za chę ca jąc mnie, bym po -

ło ży ła się u jego boku. Mimo że wciąż od czu wa łam dziw ną, nie zba da ną jesz cze do końca iry ta cję, to z na bur mu szo ną miną wdra pa łam się na ma te -

rac i przy lgnę łam do jego boku.

Shane po tra fił wku rzać, to praw da, ale mia łam też do niego se kret ną sła -

bość. Cza sa mi był zbyt po ciesz ny, by się na niego zło ścić. Przy tu li łam się do niego i po czu łam, jak jego ręka mocno opla ta moje plecy. To było na -

praw dę miłe.

To nie tak, że za snę łam, po pro stu przy mknę łam oczy i przez chwi lę prze -

sta łam sły szeć głosy braci. Will prze ka zywał Shane'owi nudne in for ma cje, że ba da nia wy ka za ły u mnie lek kie wstrzą śnie nie mózgu, które nie wy glą -

da ło po waż nie, ale przez które po le co no zo stać mi w kli ni ce noc dłu
żej.

A potem nagle po czu łam cu dow ny za pach mie szan ki chili, im bi ru i
może sza lot ki albo czosn ku? I aż na grzał mi się nos.

Ślin ka na tych miast na pły nę ła mi do ust i za mru ga łam nie przy tom
nie.

Wciąż gnieź dzi łam się na łóżku u boku jed ne go z bliż nia ków, a gdy ro
zej -

rza łam się po po ko ju, do strze głam, że po zo sta ła czwór ka też już tu
była. Po raz pierw szy dziś wi dzia łam ich wszyst kich w jed nym po miesz
cze niu.

Dylan i Tony przy tar ga li chińsz czy znę na wynos i każdy teraz do stał
swoją por cję cha rak te ry stycz nie żół te go ma ka ro nu z wa rzy wa mi i
kur cza kiem w czer wo nych, kar to no wych pu deł kach. Pod nio słam się
do po zy cji sie dzą -

cej i opar łam się o po dusz ki, grze biąc w swoim daniu.

– Za baw ne – za czę łam na głos, przy głą da jąc się z sym pa tycz nym
uśmie -

chem drew nia nej pa łącz ce. – Iden tycz ną wbi łam Ry de ro wi
Hardy’emu w twarz.

Bra cia Monet po win ni mieć swo je go pry wat ne go fo to gra fa, który
cho dził by wszę dzie za nimi i uwiecz niał na zdję ciach ich bez cen ne
miny w mo men -

tach ta kich jak ten.

Za pa dła gro bo wa cisza. Tony prze stał mla skać, a Dylan sze le ścić.
Wszy scy wbi ja li teraz swoje zdez o rien to wa ne spoj rze nia we mnie.
Nawet Vince, król opa no wa nia, nie spo dzie wał się tak ab sur dal nie
brzmia cych słów.

Unio słam wzrok, nie dając się im spłoszyć.

– Co się tak ga pi cie? – za py ta łam bez po śred nio, pil nu jąć, by zaj rzeć w oczy każ de mu z nich, bez żad ne go wy jąć ku. – Ob cho dzi was to w ogóle?

Chłop cy byli tak za sko cze ni, że zanim mi od po wie dzie li, zdą ży łam, krę cąc z nie chę cią głową, wró cić do ko pa nia w moim ma ka ro nie, choć było jasne, że mimo głodu, mój ape tyt rów nał się teraz zeru.

Pierw szy ode zwał się Will. Jego sa me go je dze nie też mo men tal nie prze sta -

ło ob cho dzić. Od sta wił swoją por cję na bok, na sto lik obok mo je go łóżka, i się zbli żył.

– Ha ilie...

Po czu łam też dłoń Shane'a, którą ten po ło żył na moim ra mie niu. Na tych -

miast ją strą ci łam, agre syw niej, niż za mie rza łam.

– Nie wy da je mi się – od po wie dzia łam sobie, po czym wbi łam spoj rze nie pro sto w Vin cen ta, któ re mu udało się zająć je dy ny do stęp ny w tym po ko ju fotel. – Pew nie po pro stu za mknie cie mnie w domu na kto wie ile i może do rzu ci cie ze dwóch ochro nia rzy. Bo po co wcho dzić w szcze gó ły.

– Ha ilie, jak się do wie dzie li śmy, że zo sta łaś upro wa dzo na, nie było mo -

men tu, że by śmy w spo ko ju usie dli na dupie – po wie dział cicho Shane i nawet on prze stał jeść.

– Szu ka li śmy cię cały czas – dodał Dylan.

Rzu ci łam mu pod mi no wa ne spoj rze nie.

– No to świetne miejsce tempo, na prawdę. Gdybym nie odżyła przy -

to no ścisła, to już dawno bym zamieszkała.

– Nie no, ty chyba żartujesz – przyjechał Dylan, w tym samym ironicznym tonie, co ja wcześniej. Opiekał się o parę, ale tak się napuścił, że aż od -

stał swoje puściłko za siebie i zrobił kilka kroków w moją stronę. – Na -

prawdę mówię, że szukałśm cię na pół gwizdka? Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz, że co, że jak do stałśm cynk, że nie poszedłśm na egzamin, to nie spałśm niżej? Że jak zobaczyłśm na kamekach, że jakiś zjebany -

wiózł cię poza szkołę, to nie poszedłśm wszystkim na nogi?! Że mach -

niełśm sobie ręką? Dobra, chuj, jakoś to będzie, Ha ilie daśm sobie radę?

Serio macie nas za ta kich powaleńców?

Swoje puściłko nie dba o odświeżenie na bok, na koł drzew, nie dbając, czy się przewróci i po prostu szewkę. Byłam bardziej niż chętna do kłótni.

W środku było mi zbyt wiele emocji, z którymi musiałam coś zrobić.

– Nie wiem, Dylan, nie wiem! – Pięć za cię śmiełam na koł drzew. – Wiem je -

dy nie, że chyba te wasze wielkie są nie wiedzieć, skoro przez cały dzień nie potrafię znaleźć auta, które wypadło z drogi. To w końcu nie tak, że ktoś wywiozł mnie na Alaskę!

– Była śnie ży ca! Cho ler na śnie ży ca! Śnieg padał jak po je ba ny! – krzy
czał

Dylan.

– Nie dało się nawet wy star to wać he li kop te rem – do rzu cił Shane.

– No i te drony. Zwia ło nam ze trzy – mruk nął Tony.

– Szu ka li śmy cię cały czas, ma lut ka. Nasze opcje ogra ni czy ły się
przez po -

go dę, a póź niej, gdy się unor mo wa ła, nie wie dzie li śmy, czy nadal znaj
do -

wa li ście się gdzieś w oko li cy, czy Ryder zdą żył wy wieźć cię nie wia do
mo gdzie – prze mó wił ła god nie Will.

– Bra li śmy pod uwagę różne ewen tu al no ści, że mo gli ście mieć wy pa
dek, że za brał cię do ja kiejs kry jów ki, że uciekł z tobą do in ne go
stanu... – mówił

Shane.

– Na dro dze, na któ rej się roz bi łaś, śnieg za sy pał ślady wy pad ku. – Mó
wiąc to, Will gła skał mnie po gło wie.

– Nie wiesz, cho le ra, nawet nie wiesz, jak wiel ką ulgę po czu li śmy, gdy
do Vince’a za dzwo nił Ad rien z wia do mo ścią, że jego lu dzie na tknę li
się na naszą za gu bio ną sio strę. Prze cież my śla łem, że się po rzy gam! –
huk nął

Dylan i krę cił głową z tak nie wy sło wio ną wście kło ścią, że nie mo głam
na niego za długo pa trzeć. – I ty się mnie bę dziesz pytać, czy mnie ob cho
dzi?

– Nawet się nie za py ta li ście, co się stało – burk nę łam, nieco gu biąc się
we wła snej zło ści.

Po czu łam na plecach dłoń Willa.

– Proszę, nie uznawaj tego za naszą obojętność, Hailie. Nie chcemy na ciebie -

bie na cię skącić. Nie wiemy, jak dużo przeszłaś. Twoje zdrowie i samopoczucie jest ważniejsze niż grzebanie w tak świeżych i nieprzyjemnych wspomnieniach -

niach. Chcemy, żebyś opowiedziała nam wszystko, gdy będziesz na to gotowa -

wa – wy ja śnił spokojnie i rzeczywiście, co jakiś czas wykończając dłonią kołki, kołki ruchy, od których do stała łam lekko dręczy. – Jesteś?

Przygryzałam przez chwilę wargę. Byłam zbyt zła i rozgniewana, by od -

czuć zażenowanie lub wstyd z powodu tego, o co oskarżałam swoich braci.

W końcu odchrząknęłam ci chutko.

– Chłopak, który mnie uprowadził, to nie stałby się psychicznie nieczynnym, który groził, że po rozstrzela wszystkich wkoło. Im szybciej zostaniesz schwytany, tym lepiej.

– Szukałmy go cały czas – odezwał się Vincent i, tradycyjnie, wszyscy zwrócili się ku niemu, by wysłuchać, co ma do powiedzenia. On się działo

wtedy, do stoją jak zawsze i jedynym kierunku, czerwonopudłko z chińsz -

czyżby, które trzymał w jednej dłoni, psuło nieco jego elegancję prezentację.

– Cie szę się, że masz ocho tę roz ma wiać na ten kon kret ny temat już teraz.

Rze czy wi ście po wie dzia no nam, że le piej nie ata ko wać cię od razu py ta nia -

mi, na wy pa dek gdyby miały one tylko przy spo rzyć ci trau my, ale skoro sama w oczy wi sty spo sób na le gasz, by o wszyst kim opo wie dzieć, ja z przy -

jem no ścią tego wy słu cham, Ha ilie.

Z po wa gą po ki wa łam głową, chcąc po ka zać moje pełne za an ga zo wa nie.

– Do brze więc... – Vince rów nież ski nął głową. – Ja prze ka żę ci, jakie in -

for ma cje my mamy, a wtedy ty uzu peł nisz je swo imi, zga dzasz się?

– Tak – od par łam nieco nie cier pli wie. Usia dłam też tro chę wy god niej.

Przejdź my już do rze czy.

– Po go dzi nie dzie się tej trzy dzie ści do sta łem wia do mość, że nie sta wi łaś się na eg za mi nie. Na tych miast roz po czę to po szu ki wa nia w szko le, a twój ochro niarz zajął się tro pie niem na daj ni ka. Te le fon wraz z twoją bi żu te rią zna lażł po rzu co ny na szaf ce w ko ry ta rzu.

– Tak, mamy twoje rze czy, nie martw się. Są bez piecz ne – uspo ko ił mnie Will, uprze dza jąc moje py ta nie. W końcu bar dzo za le ża ło mi na od zy ska niu pre zen tów od ojca.

– Za czę li śmy prze głą dać na gra nia z ka me ry w tam tym ko ry ta rzu – kon ty -

nu ował Vince. – Udało nam się zi den ty fi ko wać na nich two je go po ry wa cza, któ rym jest, jak sama zdą ży łaś już wspo mnieć, Ryder Hardy...

– Brat tego frajerka, co przytar gał ci kwiatki, warto za zna czyć – wtrącił

Dylan, mając pa lu chem. – Przy pa dek?

Trochę mnie za bołała sama myśl o Leo, więc na razie zignorowałam su ge -

się Dy la na, pa trząc cią gle na Vince'a, który rzu cił mu krótkie, po iry to wa ne spoj rze nie, jak robił za wsze, gdy ktoś wcho dzi mu w słowo.

– Miał broń i groził, że jej użyje, jeśli z nim nie pójdę – wy jaśniłam, na co nasz najstarszy brat ski nął głowę.

– Tak też wyglądało to na gra niu.

– Punktem za cze pie nia było auto, do kó re go z nim wsia dłaś – dodał Will.

Mówił spokojnym tonem i bar dzo mi się to po do ba ło. – Wszyst kie pa tro le go szu ka ły. Gdyby nie ten nie szczę sny wy pa dek, za kła da my, że mogli by

was zna leźć jesz cze przed po łu dniem. Poza tym, oczy wi ście, po szu ki wa no też cie bie i Ry de ra. Wczo raj wie czo rem na po li cję zgło sił się mąż czy zna, który na tknął się na niego na dro dze. Był zzięb nię ty i kulał, ale nie chciał

je chać do szpi ta la, pro sił tylko o pod wie zie nie. Póź niej mąż czy zna obej rzał

wia do mo ści i roz po znał twarz Hardy'ego, więc na tych miast zgło sił się na po li cję.

– Co? – jęknęłam, ha mu jąc sar ka stycz ne par sk nię cie. – Nie wie rzę. Mnie nikt nie po mógł, a Ry de ro wi już tak?

– Był na innej dro dze niż ty. Mu siał tam do kuś ty kać przez las. Trochę trud -

no w to uwie rzyć, bo facet ze znał, że Ryder był w tra gicz nej for mie, ale teo -

re tycz nie jest to moż li we – po wie dział Shane.

– Twój wy pa dek był tak nie for tun ny, ma leń ka, że w tam tym miej scu, na za -

krę cie nie było nic widać. Śnieg za sy pał wszel kie ślady.

Za my śli łam się.

– Czyli gdy bym się nie obu dzi ła, tobym umar ła?

Wszy scy za mil kli na chwi lę, a na ich twa rzach odbił się cień grozy.

W końcu ode zwał się znowu Will, naj pierw od chrzą ku jąc.

– Gdy po li cja oznaj mi ła, że świa dek wi dział Ry de ra sa me go, ran ne go w oko li cy, na tych miast za wę zi li śmy po szu ki wa nia do tam tych oko lic.

Mniej wię cej wtedy ty szłaś do mia stecz ka. Myślę, że gdy byś się jed nak nie obu dzi ła, to i tak pew nie zna leż li by śmy cię nie dłu go potem.

– Kilka za gad nień wy ma ga tu kla ry fi ka cji – wtrą cił Vin cent. – Wszyst ko wska zu je na to, że pod czas wy pad ku w aucie byłaś sama. Co się więc stało, że Ry de ra nie było z tobą? Co ta kie go się wy da rzy ło, że się od dzie li li ście, a on zo stał ranny?

Mil cza łam chwi lę, a zaraz z po wro tem zła pa łam za pu deł ko z je dze niem, żeby przy naj mniej zająć czymś ręce, gdy przy zna wa łam:

– Ach... bo ja... po strze li łam go.

56

MO MEN TY

NA WAGĘ ZŁOTA

Chwila ciszy.

– Po strze li łaś go? – po wtó rzył Will, mru ga jąc z nie do wie rza niem.

Wzru szy ła m ra mio na mi, uni ka jąc zszo ko wa nych spoj rzeń moich braci.

– Jak?

– No naj pierw... jakby naj pierw mu za gro zi ła m, ale on nie trak to wał mnie na po waż nie, to mu sia ła m mu po ka zać, że no... no wie cie, że nie żar tu ję –

wy ja śnia ła m, pa łaecz ka mi na bie ra jąc por cję ma ka ro nu. – Dla te go strze li ła m mu w nogę. Mó wi li ście, żeby w razie co strze łać w nogę, nie? Żeby nie mogli ucie kać i byli mniej... – Za ma cha ła m pa łaecz ka mi. – ...mniej mo bil -

ni?

Zer k nę ła m na Tony'ego, szu ka jąc po twier dze nia w jego wy ba łu szo nych oczach i we pchnę ła m sobie do ust pierw szy kęs. Je dze nie było smacz ne i by ło by świet nie, gdy bym mogła się nim roz ko szo wać, ale obec na dys ku -

sja wy ma ga ła ode mnie stu pro cen to wej aten cji, dla te go z peł ny mi usta mi prze nio sła m wzrok na Willa, który chyba nie świa do mie i wi docz nie sko ło -

wa ny po cie rał skroń.

– Cze kaj, chwi la – wtrą cił się Dylan, marsz cząc brwi. – Jak w ogóle za bra -

łaś mu broń?

– Uhm, no trochę się szarpali śmy... Upadła międzyste, gdy próbowałam

mnie uduścić.

– Co?

– Dusił cię? – syknął Shane.

Prze wróciłam oczami.

– A myślisz, że skąd mam te ślęce na szyi? – prychnęłam, po czym skierowałam wzrok na sztywną od na pięćcia twarz Dylana. – Te twoje triki z samymi

obrotami jedynkami, bo puścił mnie, jak uderzyłam go łokciem w żebra.

Za mrugał, a usta lekko mu się rozchyliły.

– Ale... ale dla czego chciał cię uduścić? – za pytał sucho Will.

– A bo ja wiem, to psychol. – Wzruszyłam ramionami, miesząc palczaka -

mi w małą ronie. – Strasznie się wkurzył, jak kopnęłam go w kroczek.

Chwila ciszy numer dwa.

– Jak... w aucie? W aucie go kopnęłaś w... – Shane marsz czył czoło, zapewne próbując to sobie związać.

Cmoknęłam z irytacją, że wszystko trzeba im tak do kładnie tłumaczyć.

– No dobra, bar dziej ude rzy łam. Szar pa li śmy się i wtedy wbi łam mu ko la no mię dzy nogi.

Cisza numer trzy.

– Kurwa – rzu cił po chwi li Dylan i aż po ma so wał się po roz por ku.

Chyba wszy scy moi bra cia się też wzdry gnę li, a Tony wy pu ścił po wie trze z ust ze świsz czą cym sy kiem.

Po ki wa łam głową.

– Wtedy on mnie ze pchnął na zie mię i wal nął butem. – Tutaj wska za łam na swoją szczę kę.

-Ale... jak do tego w ogóle do szło? – drą żył Will, a jego mocny zwy kle głos brzmiał coraz sła biej.

Wzię łam ko lej ny kęs ma ka ro nu i gdy wcią ga łam go do buzi, wy mow nie unio słam pa łecz ki. Chwi lę prze żu wa łam, po czym wy ja śni łam ze wcią ż na wpół peł ny mi usta mi:

– Dźgnę łam go.

Chyba wszy scy moi bra cia w tym mo men cie z chwi lo wą uwagą przyj rze li się swoim ze sta wom pa łe czek. Vince omiótł je dość szyb kim spoj rze niem, a Shane nawet spraw dzał ich sku tecz ność, pró bu jąc je wbić w otwar tą dłoń.

– Tamta była zła ma na i ostra – mruk nę łam do niego, na co on tylko za ga pił

się na mnie bez słowa.

– Do brze – za czął Will, jakby na nowo, sta ra jąc się brzmieć rze czo wo i sen -

sow nie. – Spró buj my to upo rząd ko wać. – Spoj rzał na mnie. – Za ata ko wa łaś go pa łecz ką chiń ską. Tak... po pro stu? Zni kąd?

– A, nie. – Machnęłam ręką. – Wszystko za sprawę się od tego, że rozsypanałam mu kokainę.

Cisza numer cztery trwała bardzo krótko, bo Shane ze zdumieniem odchylił

się tak bardzo, że zleciał z łóżka, na rozbierał ją i choć bardzo szybko ko-

stała ną na równe nogi, to bluźnił na głos jeszcze przez długą chwilę.

Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy po prostu stali gapili się na mnie, jak bym była jakimś rzadkim gatunkiem wróżki z buszki skrzyżowanej -

nej z elfem Świętego Miłości.

– Nie no, nie do brzemienia. – Dylan ruszył w stronę drzwi wyjściowych, ale

został przed nimi i odwrócił się po prostu w moją stronę. – Kokainę?

Serio?

– Tak naprawdę nie wiem, co to było. Jakiś biały proszek. Mówią na to ko-

kałina, nie? Wiadziałam w filmach.

– Chciał się przy tobie naćpać? – zapytał z nieskrywaną niechęcią Tony.

– Tak, choć teraz, gdy o tym myślę, to nie miało to zbyt wiele znaczenia, bo on na pewno już wcześniej działał pod wpływem narkotyków. – Znowu wzru-

szyłam ramionami.

– Twój ko leż ka twier dzi, że on to jest na ćpa ny bez prze rwy – burk nął
Dylan.

Po trze bo wa łam chwi li na prze tra wie nie tego, co po wie dział, zanim
wy cią -

gnę łam na stę pu ją ce wnio ski.

– Chwi la, to zna czy, że wy... r- rozmawialiście z Leo?

Na tych miast spoj rza łam na spo koj ne go Vince'a, który od wza jem niał
moje spoj rze nie i tylko de li kat nie ski nął głową. Ło kieć opie rał na pod
ło kiet ni ku, a dło nią pod trzy my wał swoją skroń i wie dzia łam, że in ten
syw nie po rząd ku -

je sobie wszyst kie myśli i in for ma cje, które wła śnie usły szał.

Za drża łam. Przez to wszyst ko, co się wy da rzy ło, nie zdą ży łam po my
śleć o Leo. Nawet nie wie dzia łam, czy wciąż był moim przy ja cie lem. Po
czu łam nie przy jem ne ukłu cie w sercu, gdy uświa do mi łam sobie, że
może od dawna już nim nie być.

– Oczy wi ście, Ha ilie. Od razu po zi den ty fi ko wa niu two je go po ry wa
cza zwró ci li śmy się do jego ro dzi ny – oświad czył Will.

– I co jego ro dzi na na to? – za py ta łam za nie po ko jo na.

– Nikt nie wie dział, co pla nu je Ryder.

Wes tchnę łam z ulgą.

– Praw do po dob nie – wtrą cił z unie sie niem Dylan. Znowu zro bił krok
w moją stro nę. – Praw do po dob nie jego ro dzi na o tym nie wie dzia ła.
Nie mo że my być pewni na sto pro cent.

Od wró ci łam głowę z po wro tem do Willa.

– Co Leo wam po wie dział?

Dla Willa temat mo je go przy ja cie la nie był naj wi docz niej aż tak istotny jak roz ma wia nie o mnie i o moich prze ży ciach, ale chyba dał się prze ko nać mo je mu bła gal ne mu spoj rze niu, bo w końcu od po wie dział mi na py ta nie.

– Naj pierw by li śmy po dejrz li wi, bo Leo rów nież nie zja wił się na eg za mi -

nach. To nie mógł być zbieg oko licz no ści. I nie był. Gina Hardy, jego matka, tra fi ła do szpi ta la tego sa me go ranka. Stra ci ła przy tom ność. Jak się oka za ło, ktoś do pra wił jej kawę jakąś dziw ną mie szan ką środ ków na sen -

nach. Gdy Leo nie mógł jej do bu dzić, prze stra szył się i we zwał ka ret kę. Po -

je chał za nią do szpi ta la, a Ryder mógł wtedy re ali zo wać swój plan.

– Chwi la, co ty mó wisz, Ryder otruł wła sną matkę? – wy szep ta łam z prze -

ję ciem.

– Otruł to może odro bi nę za duzo po wie dzia ne, ale...

– ...ale na szpry co wał ją ja kimś gów nem, tak – do koń czył Dylan, krę cąc głową z nie sma kiem. Potem wy ce lo wał we mnie wład czo pa lu chem, tak jak zbyt czę sto lubił robić, gdy mi roz ka zy wał. – Dla te go trzy masz się od tej ro dzin ki z da le ka.

– Prze cież Leo nie zro bił nic złego, więc nie wiem, o co ci cho dzi – syk nę -

łam do niego ze zło ścią.

Dylan już otwie rał usta, ale na szczę ście prze rwał mu Will.

– Prze stań – rzu cił do niego wład czym, sta now czym tonem. – Prze stań. Ma od po czy wać, nie de ner wuj jej.

– Wła śnie, Dylan, nie de ner wuj mnie.

Mój wred ny brat rzu cił mi mor der cze spoj rze nie, ale nie ode zwał się, tylko w końcu wy szedł z salki i chyba chciał trza snąć drzwia mi, ale plany po -

krzy żo wał mu sys tem ci che go do my ku i za miast huku roz le gło się je dy nie ciche klik nię cie.

Wes tchnę łam ci chut ko pod nosem i z po wro tem za pa trzy łam się na swoją chińsz czy znę. Ja dła bym ją z więk szą przy jem no ścia, gdy bym nie mu sia ła stre so wać się ta ki mi roz mo wa mi. Oczy wi ście padło jesz cze kilka pytań, które po mo gły bra ciom le piej ro ze znać się w sy tu acji, ale wi dząc moją nie -

chęć, szyb ko od pu ści li. Wi docz nie wzię li sobie do serca za sa dę nie mę cze -

nia mnie. W sumie była mi ona na rękę, bo wresz cie do koń czy łam je dze nie, i resz tę dnia spę dzi łam, na prze mian drze miąc i przyj mu jąc spo ra dycz ne od wie dzi ny le ka rza i pie lę gnia rek. Pra wie cały czas to wa rzy szył mi Shane, roz wa lo ny w moim łóżku, i muszę przy znać, że było to dla mnie bar dzo ko -

ją ce, bu dzić się i wi dzieć, że jest obok.

W środ ku nocy jed nak prze bu dzi łam się prze ra żo na kosz ma rem i ni ko go przy mnie nie było. Ro zej rza łam się po pu stym po ko ju. Te le wi zor był już wy łą czo ny. Ciem ność po grą ży ła po miesz cze nie, zu peł nie jak w moim śnie, co z pew no ścia nie po mo gło uspo ko ić się mo je mu ga lo pu ją ce mu sercu.

Samo moje wy bu dze nie było nie przy jem nie gwał tow ne, bo za chły snę łam się w tym samym mo men cie, w któ rym ze rwa łam się na łóżku do po zy cji sie dzą cej. Cięż kie kro ple potu spły wa ły mi po czole, a także po mo czy ły ko -

szul kę. Za kasz la łam, pró bu jąc uspo ko ić roz dy go ta ny od dech.

Po czu łąm dresz cze, zro bi ło mi się nie do brze i mia łąm wra że nie, jak bym się du si ła. To dla te go wy śli zgnę łąm się spod koł dry i przy zwy cza ja jąc się do pa nu ją ce go poza nią chło du, ze sko czy łąm z łożka. Na stopy za ło ży łąm tamte dzi wacz ne kap ciusz ki i obej mu jąc się ra mio na mi, wy mknę łąm się po cichu z po ko ju.

Zmru ży łąm oczy, bo na ko ry ta rzu było nie na tu ral nie jasno i pusto. Ro zej -

rza łąm się, mru żąc oczy, i za czę łąm za sta na wiać, w którą stro nę le piej by było pójść. W prawo, w lewo? Czu łąm się jak w hor ro rze. Dla cze go je stem sama, dla cze go ni ko go tu nie ma? Ktoś musi tu pra co wać. Obej mo wa łąm się coraz moc niej i sta wia łąm nie pew ne kroki. Bra ko wa ło jesz cze, żeby lampy na su fi cie za czę ły mru gać albo żeby jakiś za chryp nię ty głos star ca za czął wołać moje imię. Albo żeby ktoś za czął chu chać mi na kark.

Przy spie szy łąm, nie źle wy stra szo na, a wtedy do tar łąm do końca ko ry ta rza i za za krę tem zo ba czy łąm Vin cen ta. W swo ich czar nych spodniach i ko szu -

li. Opie rał się o ścia nę i pro wa dził roz mo wę te le fo nicz ną, z uwagą wpa tru -

jąc się w prze ciw le głą ścia nę.

Sta nę łąm jak wryta. Jezu, to Vin cent, co za ulga. Jak do brze.

– Nie. Wszyst kie kon trak ty mają być do wglą du dla praw ni ka. Do pó ki nie będą spraw dzo ne, nie ma sensu się w nie... za głę biać. – Mój brat mnie do -

strzegł i, wy raż nie za sko czo ny, ob rzu cił mnie spoj rze niem od stóp do głów, po czym na po wrót sku pił się na swoim roz mów cy. – Zo staw to i cze kaj na zie lo ne świa tło. Bę dzie my jesz cze roz ma wiać.

Roz łą czył się i wciąż trzy ma jąc te le fon w ręce, pod szedł do mnie ze zmarsz czo ny mi brwia mi.

– Dla cze go nie je steś w łózkú?

Za mru ga łam. Za dłu go cie szy łam się tym, że Vince stoi przede mną, żywy i praw dzi wy. Przez to od pły nę łam i mu sia łam ze brać się w sobie, by od po -

wie dzieć coś sen sow ne go.

– Mu sia łam do ła zien ki? – za chry pia łam nie win nie.

– Coś jest nie tak z tą, którą masz w po ko ju?

– Mu sia łam się przejść.

– W środ ku nocy?

Wes tchnę łam.

– Mia łam zły sen.

Ob ser wo wał mnie przez chwi lę i po ki wał głową.

– Chciał bym, żebyś wró ci ła do łózka – oświad czył, te le fon wsu nął sobie do kie sze ni swo ich ele ganc kich spodni, a na stęp nie tę samą rękę po ło żył na moim ra mie niu. – Nocne spa ce ry po ko ry ta rzach nie po mo gą na kosz ma ry.

– Po wrót do łózka też nie – mruk nę łam, po słusz nie dając mu się jed nak po -

pro wa dzieć. Do pó ki był przy mnie, nie my śla łam o stra chu.

– Pójdę z tobą – za ofe ro wał się. – Byłem przy tobie w po ko ju, ale za dzwo -

nił te le fon. Nie chcia łem tam roz ma wiać, żebyś się nie obu dzi ła.

Ski nę łam głową, ak cep tu jąc jego wy ja śnie nie. Zbli za jąc się do drzwi mo je -

go po ko ju, po czu łam po wra ca ją ce prze ra że nie. Na pię łam mię śnie,
gdy mie -

li śmy prze kro czyć próg po ko ju, ale Vince za pa lił świa tło i oka za ło
się, że mając go przy sobie, już się nie boję. Ot, pokój jak pokój, z roz grze
ba nym łóż kiem po środ ku.

– Po wiesz mi, co to za sen? – za py tał, gdy z po wro tem za ko py wa łam
się pod koł drą.

Mach nę łam lek ce wa żą co ręką.

– Nie chcesz tego słu chać, Vince, serio – za żar to wa łam, choć mój
śmiech był jaw nie wy mu szo ny.

– Nie py tał bym, gdy bym nie chciał.

Wtu lo na już w po dusz ki, ob ser wo wa łam nieco po dejrz li wie, jak nie
spiesz -

nym kro kiem pod cho dzi do fo te la, a na stęp nie z ci chym szu ra niem
przy su -

wa go bli żej mo je go łóżka. Gdy na nim za siadł, wy głą dał jak te ra peu
ta albo sę dzia.

Spu ści łam wzrok na koł drę, gdy zro zu mia łam, że nie ubła ga nie nad
cho dzi jeden z rzad kich mo men tów szcze ro ści mię dzy mną a moim
opie ku nem.

Wes tchnę łam.

– Wi dzia łam mamę.

Rzu ci łam mu spoj rze nie, by zo ba czyć jego re ak cję na moje słowa, ale
za po -

mnia łam, że mam do czy nie nia z mi strzem skry wa nia uczuć, dla te go
na widok jego ka mien nej twa rzy z po wro tem od wró ci łam od niej

wzrok.

-Wtedy, zaraz po wy pad ku. Zanim się obu dzi łam – kon ty nu owa łam, z cięż -

kim ser cem roz pa mię tu jąc tamte chwi le. – Le ża łam w swo jej sta rej sy pial ni

i nie mo głam się ru szyć, ale była tam ze mną mama. Sie dzia ła tuż obok mnie, na brze gu łóżka, o tak mniej wię cej... – Ge sty ku lo wa łam, by jak naj -

le piej zo bra zo wać mój sen Vin cen to wi. – Czu łam nawet jej za pach, to na pewno była ona. Tak praw dzi wa, jak nigdy.

Vince po pa trzył na mnie. Nie od zy wał się, więc cią gnę łam moją opo wieść, coraz bar dziej się na krę ca jąc.

– Ka za ła mi się obu dzić i roz grzać, a wiesz, po wy pad ku le ża łam w tam tym aucie i było mi zimno, na praw dę zimno, i ja w tym śnie tego nie czu łam wcale a wcale, w ogóle tego nie czu łam, nawet jak się obu dzi łam, a ona wie dzia ła, że po win nam się roz grzać, i no to mu sia ła być ona, praw da? Bo skoro ja sama o tym nie wie dzia łam, to nie mogło się dziać w mojej gło wie, bo ja bym tego nie wy my śli ła, ona mi się jakoś ob ja wi ła, ona... To była ona, praw da? Co my ślisz?

Ner wo wo za ci ska łam i roz luź nia łam w kółko pię ści na koł drze, prze ły ka jąc co chwi la nad miar śliny spo wo do wa ny moim na głym sło wo to kiem. Teraz już pa trzy łam pro sto na Vin cen ta, głod na jego re ak cji. Chcia łam, żeby po -

twier dził moje słowa. Sza no wa łam go, ce ni łam jego opi nię i tak bar dzo pra -

gnę łam, żeby ski nął głową i po wie dział, że tak, to moja mama ura to wa ła mnie przed śmier cią. Że ona na praw dę tam gdzieś jest i czuwa.

– Nie wiem, Ha ilie – po wie dział w końcu, a ja pa trzy łam na niego w mil -

cze niu z iry tu ją co szyb ko uno szą cą się i opa da ją cą klat ką pier sio wą. Nawet gdy bym chcia ła, nie by ła bym w sta nie za pa no wać nad swo imi emo cja mi.

Głę bo ki zawód mu siał mocno wyryć się na mojej twa rzy, bo wpa tru jąc się w nią, Vince wes tchnął cięż ko. Nawet nie sta ra łam się ukryć za sę pie nia. Bo skoro on nie wie dział, to kto miał wie dzieć?

– Ale jeśli to na praw dę była ona i to dzie ki niej się obu dzi łaś, mam u niej ogrom ny dług wdzięcz no ści.

Pod niósł się i zbli żył do mnie jesz cze bar dziej. Swoją dłoń po ło żył na mojej, ak tu al nie ner wo wo zbi tej w pięść. Nie byłam pewna, ile ak tu al nie czu ło ści wy ra ża ły jego oczy, bo moje nagle za szkli ły się od łez.

Przez drzą ce wargi i zbie ra ją cą się w gar dle gulę mój głos zro bił się nie -

zwy kle cien ki i pi skli wy, gdy znowu prze mó wi łam.

– Przed chwi- chwilą śniło mi się, że znowu byłam w łóżku, w swoim sta - rym po ko ju i- i dalej się nie mo głam ruszy- yć – mó wi łam, a z każ dym sło -

wem coraz trud niej wy po wia da ło mi się ko lej ne. – Było też ciem- mno.

A mama znik nę ła. Już jej przy mnie nie było. I znowu zo sta łam sama...

Vince przy siadł na brze gu mo je go ma te ra ca i przy cią gnął mnie do sie bie.

Nie sta wia łam żad nych opo rów. Nawet nie zda wa łam sobie spra wy, jak bar -

dzo po trze bo wa łam ta kiej zwy czaj nej bli sko ści, do pó ki jej nie do sta
łam od mo je go naj star sze go brata.

Obej mo wał mnie mocno, uosa bia jąc sta bil ność i siłę, któ rych tak bar
dzo w tam tej chwi li po żą da łam.

– Może nie było jej przy twoim łóżku – za czął spo koj nie, gdy za pa dła
mię -

dzy nami cisza i sły chać było tylko moje nie udol ne próby stłu mie nia
szło -

chu – bo wie, że teraz już czuwa przy nim kto inny.

Ga pi łam się w pusty fotel, na któ rym jesz cze nie daw no sie dział, prze
twa -

rza jąc jego słowa. Po czu łam mro wie nie w oko li cach serca.

Mo men ty, kiedy otrzy my wa łam od naj star sze go brata nieco czu ło ści,
były na wagę złota. To wtedy mia łam oka zję wsłu chać się w zrów no wa
żo ne bicie jego serca, po czuć pro mie niu ją ce od niego cie pło i utwier
dzić się w prze ko na niu, że on na praw dę jest czło wie kiem, jak my wszy
scy.

– Może. Dzię ki, Vince.

Może i nie mówił dużo i czę sto, ale gdy już de cy do wał się otwo rzyć
usta, to wy do sta ją ce się z nich słowa były szcze re i zna czy ły wiele. Nie
mu siał mi teraz traj ko tać nad uchem, że to wszyst ko bę dzie do brze. On
po tra fił za że -

gnać mój chwi lo wy kry zys w kilku pro stych sło wach.

Jako że wszyst ko to dzia ło się w środ ku nocy, to tak szyb ko, jak wy bu
dzi -

łam się ze snu, tak szyb ko uda ło mi się w niego za paść i wciąż się do
niego przy tu la łam, gdy usły sza łam, jak mówi cicho:

– Przepraszam, że nie nauczyłem cię lepiej proważać.

57

PRZY TU LA NIE

JEST FAJNE

Widok willi Mo ne tów po ruszył moje serce tak, jak bym ujrzął miłość
swoją -

je go życia po latach rozłąki. Przyzwyczajam się do nazwania tego
miejscą domem i, jak każdy dom powinien, ten był dla mnie schronie-
niem i bez -

pieczę przy stała. Wiedziałam, że tu będzie mi ciepło i wygodnie
oraz że za wsze mogę tu przeżyć na spokojnie nie wszystkich pod sta-
wo wych potrzeb.

Miałam na sobie nie zwykłe wygodne spodnie dresowe i bluzę, które
jeszcze pachniały nowością. Nieczęsto tak robię, ale dziś wybrałam
kolor, który bez dwóch zdań, odzwierciedlał mój nastrój. Mocny, li-
wy od cień był jak wiosna, jak nowy początek, jak szczęście, energia i
trochę też siła.

Prze wróciłam oczami, gdy wiazałam włosy przed lustrem, i przysła-
mi do głowy myśl, że dobrałam sobie ciuch pod kolor sińców, które jesz-
cze przez dłuższy czas miały widnieć mi na twarzy. Ranę na czole za-
kryłam miałam cielistym plastrzem, który przykryłam grzywką, ale szyi
oraz szczęki nie mogłam zakryć. Cóż, nie szkodzi, mi nęła raptem jedna
noc, odkąd wróciła -

ciłam z kłopotami, mimo iż psychicznie czułam się nie najgorzej, to nikt
nie oczekiwał, że będę wyglądać od razu jak nowo narodzona.

Z kuchni roznośli się zapach świeżych bajgli oraz domowej roboty
masła ziołowego. Eu genie dwoiła się i troiła, by przywitać mnie jak
najlepiej.

Scho dzi łąm po scho dach, roz ko szu jąc się tą wonią, gdy do moich uszu do -

bie gły od gło sy ja kie goś nie zbyt przy jem nie za po wia da ją ce go się star cia, które mocno za bu rzy ły moją wizję sie lan ko we go śnia dan ka.

Zmarsz czy łąm brwi, po ko nu jąc scho dy wy wa żo nym truch tem, tak aby nie roz draż nić moich wciąż obo la łych po wy pad ku mię śni.

– To jest wej ście głów ne, dla gości. Za pra szał cię tu ktoś jako go ścia? Bo nie wy da je mi się – war czał Dylan na wy so kie go, mło de go blon dy na, w któ rym do pie ro po chwi li roz po zna łąm Leo.

Włosy miał tro chę roz czo chra ne, pew nie przez czap kę, którą przed chwi lą mu siał zdjąć i teraz trzy mał w ręku. Miał na sobie ciem ną kurt kę opró szo ną na ra mio nach bły ska wicz nie top nie ją cym śnie giem.

– Nie znam in ne go wej ścia. Ostat nio wcho dzi łem tędy – bro nił się.

– Ostat nio byłeś go ściem mojej sio stry, dziś nim nie je steś. Za bie raj dupę do auta i za pra sza my na tyły...

– Leo! – za wo ła łąm na jego widok. Oczy otwo rzy ły mi się sze ro ko, a usta po zo sta ły roz chy lo ne w szoku. Sta nę łąm na prze ciw ko niego, tuż obok na je -

zo ne go Dy la na. – Co ty tutaj ro bisz?

Nie umknę ło mojej uwa dzie, jak spoj rze nie chło pa ka się zmie ni ło, gdy tylko mnie zo ba czył.

– Ha ilie – szep nął nie pew nie.

– Świet nie – burk nął pod nosem Dylan.

– Jak... się czu jesz? – za py tał mój, jak by nie było, przy ja ciel. Wo dził

wzro kiem po śla dach na mojej twa rzy, zda jąc sobie spra wę, kto był ich au -

to rem.

– Le piej. – Wzruszyłam ramiona na mi. – Ale serio, co ty tutaj robisz?

– Twój brat, to zna czy, Vincent prosił o spotkanie nie.

Zmarsz czyłam brwi i przez niego słam pytająco- podejrzliwe spojrzę nie na
Dyła -

na, które go widocznie niecierpliwiła nasza gadka.

– Po co?

– Bo tak – rzucił mój brat i cofnął się trochę, by stanąć nieco za mną i po
ło -

żyć mi dłużej na ramionach. Na stępnie pchnął mnie delikatnie w stronę
kuchni. – Idź, zjedz śniadanie.

Wykręciłam się z jego uścisku i stanęłam z boku, żeby nie mieć go za
swo -

imi pleca mi. Pośladki mu też spojrzę nie pod tytułem „Żar tu jesz
sobie?

Chcę wiedzieć, co jest grane, i nie zjem żadnego śniadania, dopóki nie
otrzymam od powiedzi”.

Dylan odchylił głowę bez błędnie, bo ostentacyjnie wznosił oczy do nieba,
mru -

cząc pod nosem jakiegoś przekleństwo.

– Przez stań tak robić – warknęłam na niego. – Mój przyjaciel jest w naszym
domu i chcę wiedzieć, w jakim celu został tu ściągnięty.

– Przyjaciel? Brat tego twojego całe go przyjaciele próbowały cię
zabić, po -

rwać, a potem znowu zabić, co ty, masz pa mięć jak u zło tej rybki?!

Do strze głam, że w oczach Leo po ja wia się na dzie ja na dźwięk słowa „przy -

ja ciel”.

– Tak, wła śnie, jego brat – pod kre śli łam. – Nie ste ty żadne z nas nie ma wpły wu na za cho wa nie na sze go ro dzeń stwa.

– Ja prze cież nic nie robię. Na razie je stem tylko nie mi ły. Nie pró bu ję go za mor do wać. Jesz cze.

Wtedy Leo po sta no wił się wtrą cić, naj wy raź niej chę tny do prze rwa nia wy -

mia ny zdań mię dzy mną a Dy la nem.

– Je stem tu, bo wy ra zi łem chęć po mo cy. W zna le zie niu Ry de ra.

Znowu roz dzia wi łem buzię i szyb ko ją za mknę łem, marsz cząc czoło. Choć nic nie po wie dzia łem, Leo po ki wał głową, jakby po twier dzał jakąś moją teo rię.

– Ślad po nim za gi nął. Mu siał się gdzieś za szyć, nie wia do mo gdzie. Twoi bra cia... – Tu ski nął na Dy la na, który dla od mia ny słu chał go w mil cze niu.

– ...go szu ka ją, a ja... Ja chcę, żeby go zna leź li – wes tchnął.

Ob ser wo wa łem go przez chwi lę. Te jego pięk ne, mio do we oczy, w któ rych znaj do wa ło się tyle nie za słu żo ne go bólu i cier pie nia.

– Jak?

– Ryder od wa la coś, znika, a potem przy la tu je z pod ku lo nym ogo nem. To taki sche mat. Tak było, odkąd pa mięć tam. Jest jak bu me rang. – Po krę cił

głową. – Wraca za wsze. Je stem pe wien, że tym razem też tak bę dzie.

Gdzie kol wiek on teraz jest, prę dzej czy póź niej wpa ku je się w jesz cze więk sze kło po ty. Skoń czą mu się pie nią dze, komuś pod pad nie, bę dzie miał

nóż na gar dle. Wtedy wróci – wy tłu ma czył, na ko niec od wa ża jąc się spoj -

rzeć mi w oczy. – Bo wie, że nasza matka za wsze go przyj mie, nie waż ne, co zrobi. Może li czyć tylko na nią. Nikt inny mu nie po mo że.

– Py ta nie tylko – ode zwał się Will, który po ja wił się wła śnie na scho dach i zbli żał się do nas po wo li, z dło nią wy cią gnię tą na ba lu stra dzie.
– Czy gdy przyj dzie co do czego, bę dziesz w sta nie sprze dać nam wła sne go brata.

Za trzy mał się obok Dy la na, tak że teraz oboje stali na prze ciw ko Leo i ści -

dro wa li go wzro kiem. Ja przy głą da łam się temu jakby z boku, zer ka jąc na duet moich prze ra ża ją cych braci.

– To nie tak, że ja tego nie prze my śla łem – od parł cicho mój przy ja ciel.

Mu siał być przy tło czo ny obec no ścią braci Monet. A to tylko dwój ka z nich!

– Zdaję sobie spra wę z kon se kwen cji. Ryder po pro stu... On prze kro czył

już wszel kie gra ni ce. – Leo po krę cił głową. – Nigdy nie był dla mnie praw -

dzi wym bra tem. Ro dzi na nigdy go nie in te re so wa ła. Gdzieś miał mnie i mamę. A ostat nie wy da rze nia utwier dzi ły mnie w prze ko na niu, że on się już nie zmie ni. Za wsze bę dzie tylko mącił. Kiedy wszyst ko się nor mu je po jed nym jego wy sko ku, on znów coś od wa la. Tak się nie da żyć.

Matka na to nie za słu gu je. On ją tylko okra da, nie raz pod niósł rękę na nią, na mnie.

Chowa po domu pro chy. Za dłu za nas.

Współ czu łam mu całym ser cem. I wie rzy łam, że ma dobre in ten cje. Will i Dylan pa trzy li na niego uważ nie, obaj z za ci śnię ty mi usta mi i za ło żo ny mi na pier si rę ko ma.

– Cóż, po roz ma wiaj my – za pro po no wał Vin cent, jako na stęp ny Monet wy -

ła nia ją cy się z pię tra. Dziś był już wy po czę ty i go to wy do pracy. Po czu łam jego mocne per fu my, jesz cze zanim sta nął po śród nas. – Skoro już je steś w tej czę ści domu, przejdź my po pro stu do bi blio te ki – za pro po no wał.

– Oczy wi ście – od parł Leo, sta ra jąc się do rów nać ma nie rom mo je go brata.

Vince od wró cił się i skie ro wał w stro nę wspo mnia ne go po miesz cze nia, a Leo po słu sz nie po dą żył jego śla dem. Za nimi dwoma od razu ru szy łam ja, jak bym była tutaj rów nie istot nym roz mów cą.

– Gdzie? – za wo łał za mną Dylan, zwra ca jąc uwagę Vince’a, który bez od -

wra ca nia się rzu cił przez ramię:

– Bez cie bie, Ha ilie.

– Wła śnie że ze mną.

Wtedy mój naj star szy brat zwol nił kroku i obej rzał się na mnie.

– Bez. Cie bie – po wtó rzył do bit niej, po czym ski nął głową w stro nę kuch ni.

– Śnia da nie.

– Wszyst ko okej, Ha ilie – dodał cicho Leo i wtedy się za trzy ma łam.
Przy -

gry za jąc wargę, od pro wa dzi łam wzro kiem panów do drzwi bi blio te
ki. Mia -

łam złe prze czu cia. Roz mo wy z Vin cen tem za wsze miały jakiś powód i
rzad ko kiedy były przy jem ne, zwłasz cza dla osób spoza ro dzi ny, jak zdą
-

ży łam się zo rien to wać.

W końcu uda łam się do kuch ni. Eu ge nie, która sta wia ła wła śnie na śro
dek stołu kosz z jesz cze cie pływ pie czy wem, rzu ci ła mi spoj rze nie i w
kilka se -

kund zdą ży ła za ła mać ręce nad tym, jaka je stem po szko do wa na,
potem skom ple men to wać nie zwy kłą rześ kość, która po dob no ode
mnie biła, a na ko niec do cze pić się mojej chu dej apa ry cji. Wszel kie do
dat ki do baj gli, które sta wia ła na stole, przy su wa ła bli żej mnie. Wśród
nich zna lazł się słój wspo mnia ne go wcze śniej masła zio ło we go i kilka
in nych sma ro wi deł, jak na przy kład masło orze cho we i pasta z pie czo
nych ba kła za nów.

Prze żu wa łam, sie dząc jak na szpil kach. Stre so wa łam się spo tka niem,
które od by wa ło się kilka pokoi dalej. Świa do mość, że Leo był w moim
domu sam na sam z prze ra ża ją cym Vin cen tem, na pa wa ła mnie stra
chem.

Gdy tylko zo sta łam w kuch ni sama, nie wy trzy ma łam i wy mknę łam
się do ko ry ta rza. Sta ra łam się spra wiać wra że nie, jak bym aku rat się
tam tę dy prze -

cha dza ła, ale tak na praw dę cza łaam się obok drzwi do bi blio te ki, zze ra
na przez cie ka wość. Nie ste ty nawet gdy przy tknę łam ucho do drew nia
nych, ma syw nych drzwi, nie udało mi się wy chwy cić zza nich ani słowa.
Vince w końcu nigdy nie pod no sił głosu, a i Leo nie na le żał do ha ła śli
wych osób.

Nie było więc żadnym zastrzeżeniem, że nie usłyszałam, gdy skończyli, i kiedy drzwi się otworzyły, musiałam od nich gwałtownie odskoczyć, by mnie nie uderzyły. Vince spojrział na mnie i tylko wzniósł oczy do nieba.

Leo wyglądał... do brzo. Przeżył tę rozmowę i sprawił wrażenie, że nie zmotywo-

wał go, jakby przed chwilą zostały podjęte jakieś decyzje, a on był gotów działać.

– Odproszę cię do auta – zaofiarowałam się i niby zwracałam się do niego, ale tak naprawdę ze złością na brata, który to jakoś nigdy nie na-

szedł trójki ewentualnie nie mógł mieć jakiegoś obiektu. Żeby go przekonać, do-

dałam słodko: – Proszę.

– Trzymaj się – zastrzegł Vince, po czym skierował się na Leo i odszedł od nas, kierując się do kuchni, za pewnie zadowolony z powodu mojej pomocy.

Mruknęłam do Leo, byśmy wyszli na dwór, bo w tym domu ściany miały uszy. Zarzucałam na ramiona kurtkę, włożyłam buty i nawet czapa, żeby nikt nie mógł się do mnie przychylić, że o siebie nie dbam. Leo uśmiechnął się na widok wielkiego pompoona, który sterował na jej czubku.

Mój przyjaciel odezwał się, dopiero gdy stanęliśmy obok jego auta.

– Ha ilie, nie mogę spojrzeć ci w oczy – wyznał, rzucając na podłogę paczkę papierosa, na którą oprószył cię niutką warstwą śniegu kostką. – Po wszystkim -

kim... Światło, że Ryder...

– Ale ty taki nie jesteś – powiedziałam szybko. – Ty jesteś do brym człowie-

kiem, ja to wiem.

Spoj rzał na mnie.

– To nie ma...

– Ma – prze rwa łam mu od razu, bar dzo sta now czo. – Wła śnie że ma zna -

cze nie. Nie mia łoś wpły wu na de cy zje Ry de ra. Tak jak i ja nie mam wpły -

wu na de cy zje Vin cen ta. – Re ko ma owi nę łam swój tułów. – Ja nie wiem, co on tam robi, za drzwia mi swo je go ga bi ne tu. Nie wiem i nie za mie rzam za to od po wia dać. Tak jak i ty nie mu sisz od po wia dać za czyny Ry de ra.

– Twoi bra cia mają chyba inne zda nie na ten temat. Nie ko men tu ją tego na głos, ale nie sądzę, bym do brze wy padł w ich oczach, skoro chcę wko pać wła sne go brata.

– Ja myślę, że nawet oni widzą, jak da le ko wam do praw dzi wie bra ter skiej re la cji – szep nę łam. – Ryder jest chory psy chicz nie. Poza tym widać, że za -

le ży ci na ro dzi nie. Wko pu jesz go prze cież dla mamy.

– Dla niej i, jak by nie było, dla cie bie też.

Uśmiech nę łam się lekko, a Leo to od wza jem nił, ale prę d ko spo chmur niał.

– Nie na wi dzę go, Ha ilie. Nie na wi dzę i jest mi cho ler nie przy kro – wy znał, wzdy cha jąc cież ko. – Zwłasz cza gdy pa trzę na cie bie i twoje ro dzeń stwo i widzę, że się da. Że się da nor mal nie razem żyć. I że wcale nie trze ba sobie wcho dzić na co dzień w dupę, żeby mimo wszyst ko się ko chać.

Gdy to mówił, czu łam ciar ki na całym ciele.

Zbliżyłam się do niego i dotknęłam jego ramienia.

– Przykro mi, Leo – szepnęłam. – To jest tak... nie sprawia dłużej...

Zaciśnęłam palce na jego kurtce i poczułam jego twarde mięsień. Zerknął

na mnie. Barczyłam, gdy nasze spojrzenia się spotkały. On zawsze tak głębooko za głędał mi w oczy...

– Tak jest... – mruknął po chwili – ...i tego nie zmienimy. Trudno. Już dawno się nauczyłam, że życie daje w kość. – Wtedy uniósł swoją dłoń i przykrył

nią moją. Podałam mi się, że była taka duża i rozgrzana, mimo pałające wokół mrozu. – Cieszę się, że twoi bracia o ciebie dbają.

Przytuliłam go z całej siły. Musiałam wyjątkowo usilnie hamować obsecyj -

nią myśl o tym, jak barczyłam bym go tak tulić często. I jak barczyłam bym być dla niego oparciem i mu pomóc. Być tą osobą, która po

prawi mu humor i która barwi jego szarą rze czy wi stość.

– Ha ilie Monet, do domu!

Oderwałam się od Leo, spłoszona na głos po brzmieniu jąca w tonie Dyłana.

Na turalnie bar dziej obawiałam się o moją go towarzysza niż o samą siebie.

– Ta, dbają – westchnęłam, zerkając za siebie na ogromne gochłopa, który zmierzzał do nas wielkimi krokami. – Jedź już, Leo. Mam nadzieję, że pozo -

sta nie my w kontakcie.

– Zro bię, co mogę, żeby tak było – od szepnął, po czym rzu cił mi na ko niec swój pięk ny uśmiech i wsiadł do auta, a ja prę d ko się od su nę łam, by jak naj szyb cie j mógł za trza snać drzwi. Na ko niec, zanim jesz cze to zro bił, rzu -

cił mi ostat nie, smut ne spoj rze nie i po wie dział, dla kon tra stu, żar to bli wie: –

Trzy maj się, c'nie.

Ro ze śmia łam się cicho i szcze rze.

Leo od pa lił sil nik w mo men cie, gdy przy był Dylan, i z ulgą pa trzy łam, jak od jeź dza, nie mu sząc sta wiać czoła mo je mu roz draż nio ne mu bratu.

– Co on, co ty... – bur czał z o wiele za dużym wy rzu tem. – Po co go do ty -

ka łaś?

– Tylko go przy tu li łam.

– Po c...

Nie do koń czył, bo prze wró ci łam oca mi, otwo rzy łam ra mio na i przy lgnę -

łam do tej góry mię śni bę dą cej moim wred nym, cho ler nie wku rza ją cym,

na do pie kuń czym, cze pial skim, rzą dzą cym się i wred nym (tak, wiem, po -

wta rzam się) bra tem.

– Bo przy tu la nie jest fajne, Dylan – wy mru cza łam w jego klat kę pier sio wą, de lek tu jąc się pięk nem na sze go siostrzano- braterskiego uści sku. Mia łam za mknię te oczy, ale uśmiech nę łam się au to ma tycz nie,

gdy po czułam, jak jego ręce też mnie oplała ją. Nie wątpiłam, że tak będzie.

– Nie najgorzej.

Nie był już tak na dąsały, jak jeszcze przed sobą kunda.

Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę. Było chłodno, ale od Dylana było cieplej -

pló, które dzięki temu aktywnie stanowią namiśki tecznie chroniło mnie przed zimą.

Na stępnie wyprzedziła mnie wyrażenie nie przyszło mi do głowy znikąd i wypłynęło z moich ust wyjątkowo płynnie i naturalnie.

– Kocham cię.

Dylan na próbę się trochę, a ja wiedziałam dla czego. Bracia Monet to byli tacy twarde, którzy nie rozumieli za wiele o uczuciach. A już na pewno ich tak do kłada nie de facto wali. Z kolei ja z moją mamą zwykły -

śmimy po prostu sobie te piękne słowa przy każdej okazji. Do piero teraz uderzyło we mnie, jak dawno ich od niego nie usłyszałam, dla tego po prostu nie uciekałam się, gdy mój brat wreszcie odparł:

– No ja ciebie też, mała dziewczynko.

58

PRAWDZIWA MONET

Do domu weszliśmy, pod śmiejąc się pod nosem. Ciężka ręka Dylana na nią -

żyła mi na ramionach, za to palce mojej lewej dłoni zaścisnęły się na tyle jego kurtki. Zdjęłam kurtkę, czapkę oraz buty i razem skierowała

śmy się pro sto do kuch ni, w któ rej sie dzie li Vince wraz z Wil lem, wi docz nie za sko -

cze ni wi do kiem mnie i Dy la na razem, uśmiech nię tych.

W końcu się od sie bie ode rwa li śmy i usia dłam przy stole obok Willa. Eu ge -

nie zo sta wi ła dzba nek świe zo wy ci śnię te go soku z po ma rań czy i szczo drze za peł ni łam nim sobie szklan kę, wi dząc, że moi bra cia i tak bar dziej za in te -

re so wa ni byli kawą.

Wciąż mia łam z nimi wiele te ma tów do ob ga da nia i wła śnie za sta na wia łam się, czyby ich nie po ru szyć od razu, zwłasz cza że jak na za wo ła nie zja wi li się Shane i Tony. Uzna łam, że nie mogę prze pu ścić ta kiej oka zji, skoro mia -

łam ich wszyst kich w jed nym miej scu.

Shane był bez ko szul ki i z mo kry mi wło sa mi, a także aurą pełną wi tal no ści, dla te go zga dy wa łam, że od bęb nił swój po ran ny tre ning, za to Tony wciąż chyba spał, bo z za mknię ty mi oczami ru szył do eks pre su do kawy.

– Vince – za czę łam nie win nie, a gdy ścią gnę łam na sie bie jego uwagę, do -

da łam: – Chcia ła bym po roz ma wiać.

– Teraz? – za py tał, uno sząc swój ulu bio ny kubek z Gwiazd nych wojen i upi ja jąc łyk.

Ski nę łam głową.

– Tutaj?

– Mhm, może być tutaj.

– Słucham.

Oczywiście wszyscy za milki, nie zmieniać cię, co mam do powiedzenia -

nia.

A ja, nim za częłam, wzięłam głęboki wdech.

– To nie działa.

Niektórzy rzucili mi spojrzeń, przeżuwając, inni zmarszczyli brwi. Vince wpał się we mnie z neutralnym wyrazem twarzy.

– Co masz na myśli? – zapytał Shane. On był jednym z tych marszczących brwi, bo wiedział, że go zna.

– Wszystko. To, jak wygląda teraz moje życie – wyjątkiem. – Za miesiąc -

łam z wami ponad rok temu i tyle... dziwnych... rzeczy, jakie mi się przez ten okres przytrafiły... – Po kręciłam głową, wyrażając odczucia. – Nie mogę ich nawet zliczyć.

– One nie powinny być się zdarzyć – mruknął Shane zaraz po ugrzezieniu bajgla.

Po kiwałam głową.

– Ale się zdarzyły. I kto wie, co jeszcze się zdarzy.

– Do czego jeszcze? – zapytał Will, który siedział dość blisko mnie, więc wychyłał nieco głowę, by widzieć moją twarz.

– Do tego, że... – Wzięłam kolejny głęboki wdech. – Chcę zmian.

Wszyscy bracia Monet obserwowali mnie, poświadczyli mi o wiele więcej uwagi niż swojemu sianu. W napięciu czekała, aż się określi, i ciszy -

łam się, że dla od mia ny je stem trak to wa na na po waż nie.

– Ja kich zmian, ma lut ka?

Pa trzy łam pro sto w oczy mil czą ce go Vin cen ta.

– Chcę nor mal ne go życia. Mam szes na ście lat i chcę żyć jak nor mal na na -

sto lat ka. Chcę po peł niać swoje błędy. Chcę umieć prze trwać w wa szym świecie – mó wi łam twar do, a na widok nie któ rych min cią gnę łam jesz cze do bit niej: – Gdy Ryder mnie po rwał, to nie ochro niarz czy na daj nik w te le -

fo nie mnie oca lił. Sama się oca li łam. Gdy bym nie po tra fi ła się bro nić, Ryder by mnie udu sił. Gdy bym nie po tra fi ła strze lać, on za strze lił by mnie.

A gdy bym nie po tra fi ła kie ro wać, nie mo gła bym go zo sta wić na dro dze i od je chać.

Bra cia mil cze li, a ja zer k nę łam każ de mu z nich od dziel nie w twarz, po czym zwró ci łam się bez po śred nio do Vin cen ta:

– Do tej pory ro bi li śmy po two je mu. Z tymi wszyst ki mi za ka za mi i tak dalej. Może ostat nie wy da rze nia to dowód na to, że twój spo sób jed nak nie dzia ła? Może pora spró bo wać cze goś in ne go?

Roz my ślał nad moimi sło wa mi, na pewno, i to już był suk ces.

Po czym wes tchnął i po krę cił głową, pa trząc mi pro sto w oczy.

– Czego in ne go, Ha ilie? – za py tał. – Nie mogę prze cież po zwo lić ci na to -

tal ną nie za leż ność, choć bym nawet tego chciał.

– Ale ja nie mówię o to tal nej nie za leż no ści – za pro te sto wa łam prę d ko. – To nie tak, że po tym, co mi się przy tra fi ło, ja się nie boję. Zga dzam

się na ochrona rza i zgadzam się na, nie wiem, nawet na ten głupi na dajnik i w ogóle, ale skoro mam żyć w ten sposób, to chcę mniej ograńcień. Chcę żyć tak normalnie, jak to może być. – Pastryłam błagalnie na Vincenta, wie -

dzając, że to jest ta chwila, w której albo się do gadaamy, albo nie. – Chcę komuś prosić.

– Na przykład?

– No... na przykład... – zawałam się – chciałam bym zrobić cza sem użytek ze swojego auta.

Dylan i Tony przewrócili oczami.

– No co? Jest moje, tak czy nie? Kupiliście mi auto, którym nie mogę jeździć -

dzić, to przebież bez sensu. Wszyscy moi znajomi zdają teraz egzamin na prawo jazdy. To normalna rzecz, jaką robi większość na sto latków w moim wieku. Ja też chcę.

– Jak miałby wygłodać komuś prosić w tej kwestii? – za pytał rzeczowo Vince, biorąc kolejną kawę.

– No, że... no, że... Nie wiem. Nie przeżyłam jeszcze wszystkiego. –

Wzruszyłam ramionami. – Może coś w stylu, że cza sem jeździć do szkoły sama, a cza sem nie?

– Nie musisz jeździć sama, przebież cho dziemy do tej samej szkoły – za prosi -

te stował Shane.

– Ale o to chodzi, że cza sem chcę. Chcę móc wsiąść we własne auto, jak mnie wkurzysz. Albo pojechać do koleżanki po szkołę. Cza sem. Poza tym nie dłużej idziesz do koleżanki, prawda? – Pastryłam na Shane'a z

unie sio ną brwią, po czym z po wro tem zer k nę łam na Vince'a. – Chcę być mo bil na.

Zwłasz cza że miesz ka my w środ ku lasu, no na mi łość boską!

– No już, nie ma co się uno sić – mruk nął Shane. – Kumam.

– Nie uno szę się, tylko to są tak oczy wi ste rze czy... Albo szko ła. Chcę cho -

dzić do szko ły. Za ję cia in dy wi du al ne mnie męczą...

Dylan par sk nął roz ba wio ny, a Tony prych nął:

– Ra czej cho dzi o to, że na in dy wi du al nych nie mo żesz być naj lep sza.

Teraz wszy scy przy głą da li mi się z de li kat nie drwią cy mi uśmiez ka mi, co nie zmier nie mnie zi ry to wa ło.

– Lubię być naj lep sza, i co z tego – burk nę łam wy zy wa ją co. – Nauka to coś, w czym je stem dobra, a cho dze nie do szko ły mnie mo ty wu je. I tyle.

– No już do brze, prze cież wszy scy je ste śmy z cie bie dumni – za śmiał się Will, po kle pu jąc mnie lekko po ple cach.

– Co, jeśli po ja wi się drugi Ryder, który bę dzie ci gro ził na szkol nym ko ry -

ta rzu? – spy tał Vin cent.

Przez chwi lę byłam cicho, za sta na wia jąc się, co od po wie dzieć.

– Sądzę, że to szko ła tu za wi ni ła. Po win ni bar dziej uwa żać, kogo wpusz -

cza ją na swój teren – po wie dzia łam w końcu.

Vince ski nął głową.

– Zgadza się. Władze szkoły na pewno poinformują konsekwencje, jednakże ja -

niekiedy w środku bez przecieństwa wdrowa, nie można bezgranicznie ufać, że do pilnowania, by sytuacja się nie powróżyła.

Za chwilę łam się.

– W takim razie co ty proponujesz?

– Jeśli upierasz się, by chociaż do szkoły, wyrażę na to zgodę, tylko jeśli ty zgodzisz się, by za równo poza jej murami, jak i w środku nich, to warzywał

ci ochroniarz.

Opa dła mi szczęka.

– Co, że wkleja się? I na stołówce? I korytarzu?

– Pod klasą, i na stołówce, i na korytarzu, tak. Wszędzie.

Opa dłam na oparcie mojego krzesła.

– To... trochę eksperymentalne – wyrażam roztępienie.

– Wiem. – Vincent ski nął głową. – Ale ta kwestia nie podlega dyskusji.

Nie miałam czasu na dokładne przemyślenie tego warunku. Fakt był jednak taki, że nastawiłam się na walkę z kimś kompromisowym i skoro Vince zgodził się na współpracę, to chciałam po prostu mieć, że ja też jestem w stanie się uginać.

– Okej.

Shane odchylił głowę.

– Ha! – za wo łał ze śmie chem, po czym szcze rząc się, dodał: – Bę dziesz naj po pu lar niej są dziew czy ną w szko le.

Za ci snę łam wargi w pro stą linię.

– Tak jakby już jest – mruk nął Tony.

– Bę dzie jesz cze bar dziej.

Wes tchnę łam.

– Sonny pew nie nie bę dzie ska kał z ra do ści – rzu ci łam, chcąc od wró cić ich uwagę od mo je go szkol ne go sta tu su to wa rzy skie go.

Chłop cy za mil kli i na tych miast wzbu dzi li tym moją po dejrz li wość.

– Co jest?

Vince od chrząk nął.

– Nie za de cy do wa łem jesz cze, co zro bi my z Son nym.

Zmarsz czy łam brwi.

– Co masz na myśli?

– Po rwa li cię tuż pod jego nosem – wy ja śnił mi Dylan, na kła da jąc na po -

łów kę baj gla za bój czo grubą war stwę masła.

– Ale to nie jego wina. Nikt nie mógł tego prze wi dzieć. Nie zro bił nic złego

– bro ni łam go, a wi dząc nie wzru szo ne twa rze braci, do da łam bar dziej zde -

cy do wa nie: – Chcę, żeby Sonny po zo stał moim ochro nia rzem. Jest dobry, sami mó wi li ście.

– No a co ci tak za le ży? – za py tał Shane.

– Nie po trze bu ję ko lej ne go ob ce go fa ce ta w moim życiu. Przy zwy cza łąm się do Sonny’ego i go lubię. Jest dys kret ny i jed no cze śnie uprzej my.

Vince pa trzył na mnie, a pał cem po cie rał ucho swo je go pu ste go już kubka, naj wy raź niej roz my śła jąc. Na ko niec wzru szył ra mio na mi.

– Za sta no wię się.

Nie drą ży łąm te ma tu. To Vin cent, więc nie mogło z nim pójść zbyt łątwo.

– Chcę, żeby moje życie to wa rzy skie nie ogra ni cza ło się do wyj ścia do kina czy cen trum han dlo we go. Chcę od wie dzać zna jo mych i... no cho dzić na im pre zy.

Teraz to mój naj star szy brat uniósł brew.

– Masz szes na ście lat.

– Nie mówię, żeby im pre zo wać co ty dzień – zre flek to wa łąm się – ale jak jest jakaś oka zja, to chcę w tym uczest ni czyć, a nie sie dzieć za mknę ta w sy pial ni i oglą dać re la cje na so ciał me diach, jak moi zna jo mi do brze się bawią.

– Nie ma mowy – za opo no wał Shane.

Dzi wi łąm się przez chwi lę, że tym razem to on gra pierw sze skrzyp ce w tak za wzię tym ogra ni cza niu mojej wol no ści, ale potem zro zu mia łąm, że Dylan, który zwy kle to robił, mu siał być tak wy jął ko wo mil czą cy, bo wciąż był

roz czu lo ny moim wy zna niem.

Will i Vince też byli za sko cze ni, bo zer k nę li na niego z za in te re so wa niem.

– Na prawdę nie chce cię, żebyś im powiedział – powiedział do nich Shane. –

W barach za mną się wzięli.

– Prawda – powiedział z głuchym uśmiechem Tony.

– Jesteście bez nadziei – powiedziałam na blizny ków zła, że robią mi tak fa -

tał na rękę. – Tamto to było coś innego. No i nikt tu nie mówi o barach.

Vince wskazał na mnie swój palec, ten z sygnetem.

– Przeżyłem to, ale jedynym z was ków będę bez względu na zakaz alko -

lu – powiedział, mrugając nieco oczami. Po chwili tym samym, że wciąż był

rozdrażniony moim wybraniem na wyspach. – Jeśli wam nie chodzi o sta -

mały, wróćcie mi do starego trybu.

– Zgoda. – Skłoniłem głowę, stając się nieekscytowanym. Vincent na prawdę szedł mi na rękę, co się dzieje!

– Coś jeszcze?

– No...

Vince chciał ci powiedzieć, że wyduścisz się, kiedy nie żyjesz i jeśli spo -

dział się, co powiedziałem, to nie dawał tego po sobie poznać.

– Leo.

Wtedy nawet Dylan nie wytrzymał i – mimo iż wciąż po wstrzymania się przed rozbiciem afery – to od razu na głos kręcił się, na którym się działał, i wstał ostentacyjnie, żeby dolać sobie kawy.

Bliźniacy obaj przychłonęli lekceważąco, a zdało mi się, że gdyby Will i Vince usiłował się zgrywać tę dojrzałą część mojego rozednia -

stwa, to pozwoliłoby sobie na to samo.

– Co z nim? – zapytał mój ulubiony brat, widząc niepróbując przekazać mi, że nie zdarzy się cięgać po chodnikach wniósł (w porównaniu do niektó -

rych), co przyjąłam z wdzięcznością.

– Lubię go. – Wzruszyłam ramionami. – Chciałabym się z nim przyjaźnić.

I chciałam bym, żebyście to zaakceptowali.

– Przyjaźnić? – burknął Dylan, ale gdy odwróciłam jego spojrzenie, od razu odwrócił ode mnie wzrok, nie mówiąc nic więcej.

– Tak. Przyjaźnić.

Tony parsknął wyjątkowo głośno.

– Ty – szczeniaku na niego – ty się lepię od zrywaj. Chciał mi ze -

różnić przyjaźni!

Tak, powiedziałam to. Za mało miałam do świadczania w rozmowach o seks -

sie, by dobrać lepsze słowa, więc tylko miałam te, które już gdzieś wcześniej słyszałam. A że mieszkalam z bratem Monet i akurat byłam rozdrażniona...

– Ha ilie, słow nic two – upo mniał mnie ostro, jak na sie bie, Will.

Vin cent też się tro chę na stro szył, ale na szczęście uwaga bar dzo szyb ko prze nio sła się na bliź nia ka.

– Tony? – Will skie ro wał się teraz do naj młod sze go z braci Monet, a w jego gło sie po brzmie wa ła żądza wy ja śnień.

Oczy Tony’ego otwo rzy ły się sze rzej i za mru gał.

– Ja? Kiedy niby?

– Halo? Na przed świą tecz nej do mów ce? – wark nę łam, wście kła, że zgry wa głup ka.

Shane wy ba łu szył oczy na swo je go brata, za gry za jąc wargi, by le by nie wy -

buch nąć śmie chem.

– Po wie dzia łość jej? – obu rzył się Tony, a swoje wy rzu ty kie ru jąc do Dy la na, który wła śnie po dmu cha mi stu dził swoją go rą cą kawę.

– No co ty, żar tu jesz? – od mruk nął i wes tchnął z roz cza ro wa niem god nym pię cio lat ka: – Wła śnie stra ci łem na cie bie haka.

– Wy... – za czę łam, ale nie było sensu koń czyć. Za mknę łam usta, po sta ra -

łam się szyb ko ochło nąć i prze mó wi łam znowu, spo koj niej, kie ru jąc słowa bez po śred nio do Tony’ego. – Słu chaj, po pro stu trzy maj się od Mony z da -

le ka. I nie waż się wy ko rzy sty wać tego, że chwi lo wo jest tobą za uro czo na.

Tony uśmiech nął się kpiar sko, ale na widok min na szych naj star szych braci, po wie dział:

– Spoko, w sumie to mam ją gdzieś.

Z jednej strony się cieszyłam, że tak jest, z drugiej byłam poirytowana na jego podejściem do dziewczyn. Will i Vince jeszcze przez chwilę palili na niego z dezaprobacją, z czego byłam zadowolona, i coś mi mówiło, że jeszcze -

co wróć do tego te matki na osobności. Bardzo do brzo, wreszcie nie tylko ja miałam otrzymać w tym domu reprimendy.

– Czyli mamy umowę? – zapytałam po chwili Vincenta.

On uniósł brew, a jego błękitne oczy były śnięte rozbrajaniem.

– Umowę?

Nie dałam mu się zbyć i palili na niego wycofując ją.

– Moje życie to walka i wolność w zamian za moją prywatność?

Vincenta nękała głowa, ale do piero po chwili. Nigdy nie robił niczego pod wpływem impulsu. Wtedy ja podniosłam się i wyciągnęłam rękę w jego stronę, dając do zrozumienia, że traktuję ją naszą rozmowę nie zwykłą rozmową -

nie.

On palnął na nią i nie wiem, czy go brałam, czy nie, ale za głębią dając mi na stępnie głębo w oczy, uściśnął moją dłoń. Po chwili jego twarzą dy, me ta -

lo wysięgnę oraz mocny i stał nowym chwyt, jaki mu się miało, gdy dobił

tarłów ze swoimi wspólnikami.

– Spróbujmy – powiedział, gdy brał rękę. – Ale palnę, że jeśli prze -

gniesz, wróć ci my do sta re go sche ma tu.

Teraz to ja ski nę łam głową.

Wszyscy nasi braćcia z za in te re so wa niem przy słu chi wa li się na szym
ne go -

cja cjom i żaden z nich już spe cjal nie się nie wtrącał, choć byłam pewna,
że mieli jesz cze sporo do po wie dze nia. Sy tu acja jed nak była zbyt pod
nio sła -

Vince na praw dę zgo dził się trak to wać mnie po waż nie. Nawet uści snę
li śmy sobie dło nie, by przy pie czę to wać nasze po ro zu mie nie. A te
usta le nia miały re al nie wpły nąć na moje życie.

Za koń czy łam tę dys ku sję z suk ce sem i chcia łam wyjść z kuch ni.
Chwy ci -

łam za szklan kę z so kiem i pla no wa łam ewa ku ować się do sa lo nu,
gdzie mo gła bym sobie wy po cząć przed te le wi zo rem.

Chłop cy też się ru szy li ze swo ich miejsc. Shane chwy cił ostat nie go baj
gla i wstał, by z nim odejść, Tony szturch nął go w ramię, bo wi docz nie
też miał

na niego ocho tę, Vince wy cią gał te le fon z kie sze ni, Will wkła dał puste
kubki po kawie do zlewu i tylko Dylan miał jesz cze coś do po wie dze nia.

- Ej - rzu cił zni kąd.

Wszyscy jesz cze na chwi lę zmu si li się do uwagi, spo glą da jąc na niego.

- Co?

- Nic. - Wzru szył ra mio na mi, niby to obo jęt nie, po czym pod niósł
głowę i wbił spoj rze nie pro sto we mnie. - Chcia łem tylko pod kre ślić, że
nasza mała Ha ilie spra ła bez li to ści do ro słe go typa.

Żeby ukryć za że no wa nie, upi łam łyk soku.

Z jakiego powodu spodziewałam się, że może mi się obejść za to, co wy -

prawiłam z Rydem. Ku mojemu zaskoczeniu pierwszy odezwał się Tony, który po kiwał głową i wzruszył ramionami.

– No, ja tam jestem pod wrażeniem.

Wow, usłyszeć od niego taką aproba to za szczyt.

– Nie mogło być inaczej – stwierdził Vince, a jego rozbrajający uśmiech sprawił, że mi się łamało za trzęsotą po wiekami, by uwierzyć, że mi się nie przydarzyło.

– W końcu to nasza Hailie, nie? – Mruknął Shane i uszczypnął mnie w policzek.

czek.

– Swoich genów nie oszukasz – zaśmiał się Will.

Zaciśnęłam palce na szklance, bo aż mnie zaboleła. Mocno.

To ten moment.

To właśnie ten moment, w którym poczułam, że ja tu na prawdę należą.

Dresz przebiegł mi po całym ciele i pałałam przed siebie, na moich żartujących braci, po prostu na w ciężkim szoku, bo nigdy nie spodziewałam się, że uczucie przyznałoby się po prostu tak nagle. Mówią, że aklimatyzacja -

to proces, że trwa, że trzeba się stopniowo przyzwyczajać. Sądzę, że gdy tak się już stanie, moment, w którym zostanie prawdziwą częścią -

dziny Monet, będzie niewiadczy, a ponieważ na przeze mnie gra niecałkowicie -

tar ta. Co wię cej, uwa za łam, że prze kro czy łam ją już wcze śniej.

No i nie mo głam się bar dziej mylić, bo nie wie le rze czy w życiu po czu
łam tak mocno, jak – dziś, tu i teraz – tę więź. Spa dła na moje barki ni
czym su -

per moc, i to wcale nie przy pad ko we po rów na nie, bo na praw dę po czu
łam tę ener gię i magię ku mu lu ją ce się teraz po też nie w moim sercu.

I mo głam szcze rze przy znać przed sobą, że na resz cie byłam go to wa na
zmia ny.

Document Outline

- [Strona tytułowa](#)
- [Strona redakcyjna](#)
- [32](#)
- [33](#)
- [34](#)
- [35](#)
- [36](#)
- [37](#)
- [38](#)
- [39](#)
- [40](#)
- [41](#)
- [42](#)
- [43](#)
- [44](#)
- [45](#)
- [46](#)
- [47](#)
- [48](#)
- [49](#)
- [50](#)
- [51](#)
- [52](#)
- [53](#)
- [54](#)
- [55](#)
- [56](#)
- [57](#)
- [58](#)